

LEOPOLD TYRMAND

CYWILIZACJA KOMUNIZMU

POLSKA FUNDACJA KULTURALNA LONDYN 1992

„Myśl jest pełną godnością człowieka; stąd dążenie aby myśleć dobrze — oto jedyna moralność”.
Blaise Pascal, „Pensées”

WSTĘP

Ta książka nie ma pretensji naukowych, ani publicystycznych, ani dziennikarskich. Ma pretensje literackie. Mimo to nie jest ani beletrystyką, ani literackim esejem. Jest ona pamfletem na komunizm, zamierzonym przejawieniem istniejącej rzeczywistości. Uważam komunizm za najgorszą plagę jaką spotkała ludzkość i żywię głęboką nadzieję, że książka ta odzwierciedla moje uczucia w odpowiednim stopniu. Czy znaczy to, że pamflet wykrzywia prawdę? Ani trochę. Komunizm jest zjawiskiem, wobec którego obiektywizm, jako metoda wyjaśniająca, jest śmieszny w swej nieporadności. Uważam, że pamflet jest jedyną — przynajmniej na razie — metodą prawidłowego wyjaśniania komunizmu. Moim zdaniem, książka moja jest prawdziwsza od setek obiektywnych rozpraw i pewny jestem, że miliony ludzi zgodzą się ze mną.

Czy można obiektywnie wyjaśnić system prawny, w którym oskarżyciel ma zawsze rację? Czy można obiektywnie rozprawić o psychologii, której kamieniem węgielnym jest pojęcie świadomości klasowej, co w praktyce znaczy, że jeśli ktoś kazał kogoś rozstrzelać bez sadu, to wykazał instynkt klasowy? Czy można obiektywnie opisać instytucję policji politycznej, której racją istnienia jest stwarzanie przestępców, o ile ich nie ma w istniejącej rzeczywistości? Czy można obiektywnie pisać o społeczeństwach, w których pijaństwo jest jedynym epikureizmem i przejawem humanizmu? Czy można obiektywnie badać ekonomię, która brak chleba tłumaczy okolicznością, że z każdym rokiem więcej ludzi je chleb? Czy można obiektywnie badać moralność ludzi, którzy w komunizmie robią kariery na tropieniu i konfiskowaniu najmniejszych przejawów wolnej myśli, w Londynie zaś, Paryżu i Waszyngtonie wygłaszają przemówienia o swej walce o wolność i niepodległość ludzkiego ducha — i którym ich zachodni słuchacze wierzą w to co mówią?

Czytając tę książkę wielu powie, że przerysowuję, zniekształcam, popadam w groteskę i operuję efektem surrealistycznym. Chyba tak. Ale do tłumaczenia komunizmu realizm jest tak przydatny jak rower do lotu na księżyc. W demokracjach brak jest systemu odniesienia dla tyłu zjawisk stanowiących codzienność komunizmu, że mówienie o adekwatności procesów społecznych, czy ontologicznych, tak modne na Zachodzie, jest zwykłym bełkotem intelektualnym w uszach ludzi pod komunizmem. Mnóstwo z tego, co wyda się wielu nieprawdopodobne w tej książce, płynie z faktu, że staram się mówić o rzeczach, o których nie wie się na Zachodzie albo nic, albo bardzo niewiele, pomijam zaś to, o czym się już obficie mówiło i pisało. Także moje interpretacje są interpretacjami człowieka stamtąd, co ludziom tutaj często może się wydać deformacją, irracjonalizmem i przesadą. Lecz ludzie tam przeważnie tak widzą rzeczy i to wiedzą o rzeczach. Pisanie o tych, którzy wierzą, że komunizm jest jedyną perspektywą dobra, sprawiedliwości i strukturalnego sensu, i w imię tej wiary egzekwują władzę opartą o niesłychane okrucieństwa, doszczętną destrukcję jednostki ludzkiej i zupełną pogardę dla racjonalizmu — z natury rzeczy niewiele ma wspólnego z logiką. Moją ambicją, pisząc tę książkę, było poszukiwanie jakiegoś szkieletu prawdy, jakiegoś odnalezienia struktury rzeczywistości pod złożonością przejawów życia. W tym celu trzeba było usunąć wiele z tego, co życie kumuluje i co zamętnia przejrzystość schematu. Wydaje mi się także, że zmiany zachodzące w obrazie komunistycznego świata, a zachodzą one na pewno i w sposób widoczny, dotyczą właściwie tylko owej zewnętrznej ornamentacji, skumulowanej przez praktykę na samej powierzchni zjawiska. Sam schemat i pierwiastkowa zasada, na której *è pur se muove* pozostają ciągle te same.

Ludzie nie żyjący w komunizmie nie pojmują dlaczego tam mówi się: „zupa w komunizmie”, „komunistyczny bilard”, „pisarz w komunizmie”, „komunistyczne pomidory”. Używa się tam także na co dzień zwrotu „oni”, który oznacza komunistów, zarówno rządzących jak również tylko ludzi wyznających komunizm jako światopogląd. Być może, że czytelnik tej książki będzie miał z początku trudności z oczywistą antropomorfizacją terminu „komunizm”. Ale tam właśnie tak się czuje komunizm — jako kogoś okropnego i nie do wytrzymania, rzeczywiście istniejącego tuż obok Puryści zarzucą mi, że używam słowa komunizm dla oznaczenia mnóstwa niesprecyzowanych treści i dodadzą, że termin ten dość ściśle oznacza coś i nic poza tym. Mnie się jednak wydaje, że jest to termin — w aktualnym momencie historii — ambiwalentnie luźny i precyzyjny zarazem. Oznacza przede wszystkim to co się tam dzieje. Komuniści utrzymują, że to co się dzieje obecnie za Żelazną Kurtyną nie jest jeszcze komunizmem, że stanowi etap nazywany socjalizmem na drodze do społeczeństwa komunistycznego. Lecz ludzie tam nie są skłonni do dialektycznych subtelności, pośpieszyli się i nie używają innego słowa dla określenia istniejącego stanu rzeczy. Rozpacz ogarnia ich na myśl, że jeśli to jeszcze nie komunizm to wyobrazić sobie można co będzie jak już nadejdzie komunizm. Godne uwagi są tu słowa pewnej warszawskiej sprzedawczyni w sklepie spożywczym, która w odpowiedzi na gorzkie narzekania kupujących na brak chleba, masła, mięsa i innych towarów, zawołała: „Ludzie, na litość Boską, czego ode mnie chcecie?! Ja nie kazałam strzelać z Aurory...”^{*})

Mój stosunek do komunizmu jest prostym wynikiem mego życia w komunizmie. W ciągu tych lat nauczyłem się nienawidzić komunizmu za zawarte w nim zło. A także bać się go ze względu na jego metafizyczną zdolność do zawierania w sobie coraz więcej i coraz więcej zła.

^{*} Zgodnie z oficjalną historią ZSRR, ogień z dział opanowanego przez komunistów krążownika „Aurora” na Pałac Zimowy w Petersburgu był sygnałem do wybuchu Rewolucji Październikowej i przesądził o jej zwycięstwie.

JAK SIĘ URODZIĆ

Zarówno teoria, jak i doświadczenie pierwszych lat pięćdziesięciu, uczą nas, że najlepiej jest przyjść na świat w rodzinie robotniczej. Wskazówka ta pozostaje, oczywiście, w sprzeczności z tym wszystkim co wynika z pragmatycznej obserwacji; wydaje się wręcz lekkomyślna na pierwszy rzut oka. Każdy wie dobrze, że robotnikom nie powodzi się najlepiej w społeczeństwie komunistycznym, co jest w zupełnej zgodzie z wewnętrzną logiką każdej rewolucji. Rewolucja komunistyczna dokonana została w imię potrzeb, żądań, celów i ideałów robotnika, jest zatem zupełnie zrozumiałe, że jej sukces nie może przynieść niczego nadzwyczajnego robotnikom — jako że nigdy żadna rewolucja w dziejach nie spełniła swych przyrzeczeń. W komunizmie ustanowionym robotnicy pracują ciężiej i zarabiają mniej pieniędzy. Są oni ponadto pozbawieni wszelkich społecznych korzyści, ułatwień i drobnych radości jakimi cieszą się robotnicy w kapitalizmie; kapitalizm bowiem, jako najzaciętszy wróg ludu pracującego, śmiertelnie się tegoż ludu boi, pragnie pozostać z nim w najlepszych stosunkach, szanuje jego związki zawodowe i rozpieszcza go mnóstwem tzw. ulepszeń i świadczeń socjalnych. Komunizm, będąc robotnika najwierniejszym przyjacielem i sojusznikiem, jest, rzecz jasna, zwolniony od tego rodzaju zobowiązań. Stąd, los robotnika, w komunizmie jest nie do pozazdroszczenia i noworodek w jego domu musi liczyć się z brakiem wielu luksusów łatwo osiągalnych w domach dygnitarzy partyjnych czy serwilistycznej inteligencji. Niemniej, niezależnie od przeciwnych dowodów, ciągle jeszcze najkorzystniej jest pojawić się na świecie za pośrednictwem rodziny robotniczej.

50 lat praktykowanego komunizmu uprzytomniło wszystkim dokoła, że Komunizm przywrócił do życia i zinstytucjonalizował podstawową zasadę feudalną przywilejów płynących z urodzenia. Ludzie nie rodzą się już równi, jak to mylnie sądzono w Europie po rewolucji francuskiej, lecz sam fakt urodzenia w określonym środowisku społecznym czyni ich” lepszymi lub gorszymi. Wyśiłek czterystu lat europejskiej myśli filozoficznej i społecznej, trudzącej się ustanowieniem skali wartości jednostki ludzkiej na podstawie jej cech indywidualnych, został twardo wymazany raz na zawsze z rzeczywistości społecznej kształtowanej przez komunizm. Społeczeństwo komunistyczne stało się tym samym tworem ściśle klasowym i hierarchicznym. Ludzie w nim są surowo dzieleni na lepszych i gorszych, mniej lub bardziej wartościowych, wyższość zaś i niższość określana jest przez ustalone przez komunistów kryteria. W takim układzie stosunków wykonywany zawód jest źródłem społecznego prestiżu i wagi, podczas gdy pozycja w ramach nowych hierarchii stanowi o akcesie do przywilejów nie pozostających w żadnym związku z indywidualną wartością moralną czy przydatnością społeczną. Większe znaczenie ma to co człowiek robi, niż jak to robi, lub w jakiej proporcji działalność jego jest pożyteczna dla społeczeństwa, czy choćby jego własnego rozwoju osobowego. Symbole społecznej pozycji i stanu eksponowane są powszechnie i natrętnie; mają one takie same znaczenie i taką samą siłę oddziaływania jak niegdyś symbole arystokracji w społeczeństwie feudalnym, w którym znikczemniały i głupi szlachcic dysponował możliwościami całkiem niedostępnymi pełnemu talentów i moralnych zalet mieszczaninowi. Mimo, że narodziny w rodzinie robotniczej nie stanowią o żadnych konkretnych korzyściach czy powodzeniach, zawierają one w sobie krzepki potencjał pięcia się w górę, ofiarowany na kredyt i za nic w zamian. Pochodzenie robotnicze nie zapewnia awantazy automatycznych, lecz kryje w sobie potęgę formuły „Stoliczku, nakryj się!”, która — w rękach zdolnych do umiejętnej eksploatacji — okazać się może w późniejszym życiu kopalnią ułatwień, zysków i przyzwoleń na każdy dozwolony lub zakazany manewr. Przede wszystkim zaś, darzy ono beneficjenta owym szczególnym poczuciem pewności siebie, gdy niepowodzenia grożą człowiekowi z każdej strony. I to poczucie jest nieocenioną wartością w komunizmie.

Marksizm-leninizm oraz wszystkie komunistyczne konstytucje państwowe posługują się terminem Lud, oraz gramatycznymi pochodnymi tego słowa, w sensie jakiejś suwerennej, realnie istniejącej jakości, obdarzonej w państwie komunistycznym wszelkim możliwym przywilejem nadrzędności. Teoretycznie, Lud jest wartością najwyższą i autonomiczną, zgodnie zaś z zasadami dialektyki dzieli się on na trzy klasy społeczne: robotników, chłopów i tzw. pracującą inteligencję. Nominalnie, klasy te zrównane są w swych prawach i obowiązkach, oraz zgodnie i bezstronnie reprezentowane są przez partię komunistyczną. Rzeczywistość okazuje się jednak bardziej zniuansowana. Według doktryny partia komunistyczna jest w swym założeniu partią robotniczą i okoliczność ta ma zasadniczy wpływ na formowanie się nowych mitologii, bieżących wartościowań i najnowszych snobizmów. Czyli rozbudowuje nową infrastrukturę nierówności społecznych. Z której z kolei wynika, że być robotnikiem jest o wiele lepiej niż być chłopem, zaś znacznie lepiej niż być przedstawicielem inteligencji pracującej. Jeśli trzy osoby o tych samych indywidualnych kwalifikacjach lecz o trzech różnych pochodzeniach społecznych starają się o tę samą pracę, czy stanowisko, to — o ile rzadki wypadek chemicznego braku protekcji czy tzw. poparcia wchodzi w grę — otrzyma je ten kto dysponuje pochodzeniem robotniczym. Gdy trzej pisarze piszą trzy powieści o trzech postaciach literackich wywodzących się z trzech różnych środowisk klasowych, ów który pisze o robotniku otrzyma nagrody i rozgłos nie pozostające w żadnej proporcji do obiektywnej wartości jego dzieła. Noworodkowi w komunizmie nie wolno o tym zapominać. Gdy później w życiu zapragnie on zapaść się w wyższe regiony sukcesu, nieocenioną pomocy będzie finezyjnie tu i ówdzie rzucona uwaga o swym robotniczym pochodzeniu. W komunizmie istnieje kilka kręgów wyniesionych, czyli dobrego towarzystwa, i każdy gotów jest przygarnąć przedsiębiorczego potomka robotników. Należy jednak wiedzieć jak podkreślać tę właściwość zależnie od okoliczności.

W milieu więcej artystycznym czy intelektualnym dobrze jest uwypuklać swe robotnicze pochodzenie ze szczytą ostrożnej, wyszukanej ironii i wyrafinowanym podtekstem odżegnywania się, dając w ten sposób do zrozumienia, że osobiste powodzenie osiągnięte zostało wbrew różnym rodzinnym upośledzeniom i mimo społecznych zaszeregowień. W towarzystwie bardziej oficjalnym osób rządowych czy partyjnych zaleca się umacnianie ich teoretycznych i zupełnie nonsensownych wyobrażeń, że sytuacja robotnika w komunizmie jest rogiem obfitości przywilejów i korzyści materialnych, robotnicze zaś dzieci stanowią najzdrowszy i najbardziej wartościowy element narodu; w konsekwencji, rzeczą korzystną jest utrzymywać, że wszelkie osobiste dokonania i sukcesy są błogosławionym skutkiem pochodzenia robotniczego, dzięki któremu życie staje się przedsięwzięciem radosnym i obfitującym w oficjalnie zadekretowane szczęście — w ten sposób umacniając dygnitarzy w ich idiotycznych złudzeniach, co z kolei zawsze się stać może źródłem dalszych pożądanych sukcesów, jakże przydatnych każdemu człowiekowi z ubogiej rodziny robotniczej. W końcu — jeśli przyszyłoby kiedykolwiek, później w życiu, potomkowi robotników wkroczyć na drogę otwartej opozycji przeciw komunistycznemu reżymowi, opinia publiczna obdarzy go zwielokrotnionym uznaniem i entuzjastycznym aplauzem. „Nawet on...”, zachwycą się wrogowie, „krew z krwi i kość z kości proletariusza...” — a popularność jego rosnać będzie w postępie geometrycznym. Dla porządku zaznaczyć jednak trzeba, że po aresztowaniu za opozycyjną działalność narażony on będzie na kilka dodatkowych cierpień i zniewag. Oficer śledczy, w przypiływie łatwo zrozumiałej goryczy, wrzucić mu może kilka ponad programowych kopniaków w brzuch, zaopatrzonych w wyjaśniającą uwagę: „Nawet ty, sukinsynu, przeciw nam...” Podstawą powodzenia noworodków w komunizmie jest tedy precyzyjna świadomość tego jak ciężko jest być nonkonformistą czy autentycznym przeciwnikiem, nawet jeśli przychodzi się na świat w robotniczej rodzinie.

Urodzić się w chłopskiej chacie nie jest najgorzej, lecz dezorientująco. Zgodnie z Literą Zakonu chłopci dzielą się na trzy kategorie: biednych, średnich i bogatych, lecz klasyfikacja ta

opiera się na niezwykle mętnych pomiarach. Na przykład: bogaty rolnik, któremu zdarzyło się oddać jakieś usługi komunistom przed ich dojściem do władzy, zaraz po owym dojściu zaklasyfikowany zostaje jako biedniak, co w konsekwencji czyni go niezwykle zamożnym, albowiem jego stan posiadania nie ulega zmniejszeniu, podczas gdy jego zdolność do ekonomicznego manewru rozszerza się niepomniernie. Innymi słowy, zostaje on obdarzony przywilejami niedawno eksploatowanych i przyzwoleniem do dalszego eksploatowania. Niemniej, noworodek musi wiedzieć o niebezpieczeństwach kryjących się w pochodzeniu z wieśniaczej kołyski. Jeśli, na przykład, później w życiu zapraśnie on kariery politycznej, sławy, honorów, czy nagród literackich, współzawodnicy jego zawsze postarają się dowiedzieć, że jest on potomkiem wiejskich bogaczy — nawet jeśli w rzeczywistości ujrzał on światło dzienne w najnędzniejszej z lepianek, a w dzieciństwie spał z bydłatkami i jadł trawę na śniadanie. W ogóle przekonujące i skuteczne posługiwanie się przedrewolucyjną nędzą i ubóstwem jest sprawą skomplikowaną i trudną: dla prawdziwego marksisty-leninisty bowiem liczy się nie obiektywne uwarunkowanie materialne ofiary kapitalizmu, lecz jego przydatność dla sprawy komunizmu. Stąd niewiele znaczy, że ktoś umierał z głodu przed rewolucją — ukazać trzeba, w sposób nieodparty, jak bardzo jego głód przyczynił się do zwycięstwa rewolucji, proletariatu, komunizmu. Na ogół każdy jest zawsze podejrzany o to, że pochodzi z wyzyskiwaczy, a usiłuje podszyć się pod dziecko wyzyskiwanych. Wrogowie potomka autentycznych oraczy nie zaniebają żadnej okazji aby pogłębić odmęt możliwych podejrzeń. Niezliczone plotki określają z bezbłędną precyzją miejsce, w którym ojciec pretendenta do kariery zakopywał w nocy złote dolary, nawet gdy nie posiadał nigdy w życiu nie tylko skrawka ziemi do kopania, lecz nawet łopaty. Zaś chłop bogaty jest dla komunistycznego ortodoksy wcieleniem grzechu: samo pojęcie emanuje woń występku podobną do owej jaka dręczy pobożnego chrześcijanina gdy słyszy o rozpuszcie wśród zakonnic.

To samo dotyczy pracującej inteligencji, której pozycja w hierarchii społecznych możliwości ułożona jest o stopień poniżej chłopstwa. Inteligencja pracująca ma, w oczach komunistycznych władców, wielce dwuznaczna wartość społeczno-moralną. Służy ona nieustająco jako kozioł ofiarny i łatwy cel różnorodnych oskarżeń, z których dwulicowość okazała się, na przestrzeni lat istnienia komunizmu, najpopularniejsza. Stąd nowonarodzony w rodzinie inteligenckiej liczyć może czasem na towarzystwo czarujących, często nawet inteligentnych, przeważnie dobrze wychowanych ludzi, za co później w życiu zapłaci mnóstwem uciążliwych kłopotów, gdy będzie usiłował dostać się na uniwersytet lub starał się o lepszą posadę.

Fakt narodzin członka partii komunistycznej nie ma szczególnego znaczenia dla przyszłych możliwości nawonarodzonego. W ogóle jest rzeczą trudną ustalić co jest korzyścią a co obciążeniem w życiu członka partii. Rzecz uściśla się nieco gdy członek partii jest dygnitarzem partyjnym, rządowym lub administracyjnym. Nie podlegająca dyskusji dogodność posiadania pomarańcz i zagranicznych zabawek w dowolnej ilości przez całe dzieciństwo koegzystuje, w takim wypadku, z ponurymi niebezpieczeństwami jakie czyhają na komunistycznego prominenta na każdym kroku. W komunizmie polityczne upadki i klęski są bezkompromisowe i nieodwracalne, są rzadko niepowodzeniem, zawrże katastrofą. Ich rezultatem nie jest przejściowy niedostatek, lecz przeważnie kompletna ruina. Ich cechą charakterystyczną jest, że spadają nieoczekiwanie, jak grom z jasnego nieba. Rzadko mijają nie odcisnąwszy fatalnej pieczętki na przyszłych losach potomka upadłej wielkości, albowiem w komunizmie obowiązuje odpowiedzialność zbiorowa, co znaczy, że nawet najbardziej zrównoważony syn odpowiada za szaleństwa ojca.

Do wyżej wymienionych możliwości przyjscia na świat dochodzi bezmierna różnorodność złych pochodzeń. Ich ilość i nieogarniona różnorodność zawartych w nich zasadzek złagodzona jest znacznie i skutecznie przez specyficzną fizjologię kłamstwa w komunizmie. Kłamstwo w nowym porządku społecznym ma funkcję zupełnie specjalną i stanowi całkiem nowy czynnik

obowiązującej rzeczywistości. Z moralnego punktu widzenia, kłamstwo ma cechy ambiwalentne na tle komunistycznego „esse” — jest nieetycznym pogwałceniem prawdy lub jej unicestwieniem, ale też zarazem jedynym i błogosławionym schronieniem i ucieczką milionów ludzi. Posługiwanie się kłamstwem jako instrumentem rekompensat za ślepotę losu jest tak stare jak świat: historia pełna jest facetów wiedzących aż za dobrze jak korygować własne miejsca urodzenia, które wydawały im się nie do przyjęcia. Wkład i innowacje komunizmu polegają przede wszystkim na wymiarze i beczelności kłamstwa: nie należy wszakże do rzadkości, że prasa komunistyczna opisuje narodziny marksistowskiego świętego pod maszyną tkacką, przy której jego eksploatowana matka–proletariuszka harowała niehumanitarnie na kapitalistycznego pracodawcę, bez prawa do ludzkiego połogu — podczas gdy wszyscy w kraju wiedzą, iż jest on synem przedrewolucyjnego sklepikarza–krwiopijcy.

JAK PRZEŻYĆ SZPITAL POŁÓŻMY I ŻŁOBEK DLA MALUCHÓW

Od samego początku trzeba cholernie uważać pielęgniarstwo jest jednym z najgorzej płatnych zawodów, pielęgniarki są zmęczone i roztargnione, myślą tylko o zakupach — jeśli mają rodziny — lub o awansach, jeśli są wolne, a do awansów, jak wszystkim wiadomo, najprostsza droga prowadzi przez dyżurki lekarzy, nie przez sale chorych, zupełnie jak w kapitalizmie. Stąd znane są skandale wokół zamiany noworodków w gigantycznych szpitalach państwowych. Tym samym, nowoprzybyły obywatel komunizmu uczy się od razu, że nie wolno polegać na usługach ofiarowanych przez państwo.

Całkiem wcześnie, bo w państwowym żłobku, otrzymuje on pierwsze dane w sprawie fundamentalnego stosunku pomiędzy nim jako jednostką ludzką a otaczającą go rzeczywistością. Krążyła w swoim czasie po Warszawie historia o młodej gorliwej matce, przybywającej do państwowego żłobka aby odebrać swe dziecko po rozłace długiego dnia pracy. Pielęgniarka przynosi maleństwo, które matka tuli w przypływie uczuć do piersi, lecz po chwili wykrzykuje: „Ależ towarzyszek! Na litość Boską! To nie moje dziecko!” Pielęgniarka uśmiecha się wyrozumiale i mówi z pobłażliwością: „I po co ten szum? Co za różnica? I tak przyniesie je pani jutro rano przed pójściem do roboty, no nie?”

JAK BYĆ DZIECKIEM

Problemy świadomości, trapiące człowieka przez całe życie, zaczynają się w komunizmie męcząco wcześniej. Stąd, trudno jest być dzieckiem w komunizmie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W demokracji dziecko jest wolne od wszystkiego co nie jest sprawą dziecka, ma bezcenne prawo do nieświadomości. Wybór, rozróżnianie, wartościowanie mają dlań wyłącznie znaczenie pedagogiczne. Niepowtarzalną wygodą dzieciństwa jest wolność od nakazów krytycyzmu, które obowiązują dorosłego na każdym kroku. Dziecko ma prawo do zachwyty i wiar niekontrolowanych przez rozsądek, instynkt samozachowawczy czy ironię. W komunizmie prawo to jest dziecku odmówione, anulowane przez konstrukcję Codziennego życia.

Komunizm, po zdobyciu władzy, nabiera cech religii państwowej. Uświęcanie treści ideowych i obyczajowych jest właściwością i przywilejem religii państwowych, i komunizm hojnie z niego korzysta. Beatyfikacja ludzi i zdarzeń nie stanowi na ogół źródła cierpienia dla poddanych komunizmowi mas ludzkich; społeczeństwa produkują szydercze odtrutki, dowcip rozsądza fałszywe liturgie. Jedyną grupą społeczną bezbronną wobec zakłamania sztucznych świętości są dzieci.

Dziecko jest uczulone na świętość, łaknie jej, jego świadomość jest żyzną glebą dla istnień wyniesionych przez pobożność, dobro, szlachetność, piękno i przeznaczonych do adoracji. Za niczym dziecko tak nie tęskni jak za charyzmą i namaszczeniem, jak za uwielbieniem. Komunizm zaś o niczym innym nie marzy goręcej niż o tym, ażeby być wielbionym we wzniesionych przez siebie strukturach pojęciowych, w świątyniach własnego znaczenia, w osobach władców rządzących w imię komunizmu, charyzmatycznych i namaszczonych.

Od najwcześniejszych chwil obudzenia świadomości dziecko otoczone jest więc przez symbole i znaki, które ma wielbić. Częstotliwość ich powtarzania się na każdym kroku naciska bezlitośnie na miękki mózdek dziecka i dziecko wielbi, adoruje kolor czerwony, sierpy i młoty, godła państwowe. Wcześniej zaczyna dostrzegać postacie: wszędzie wokoło roi się od Marxów, Leninów i pomniejszych, lokalnych świętych. Stoją na pomnikach, wiszą na ścianach miejsc publicznych, widnieją na transparentach, pełno ich w książkach, gazetach, telewizji. Wzbudzają nabożny szacunek swym uświęconym wyglądem, od zarania kojarzą się dziecku z jakimś nadrzędnym porządkiem i nieokreśloną potęgą. Gdyby poprzestano na tym zaszerogowaniu wrażeń i ich odbić w świadomości dziecka, dzieciństwo nie doznałoby większego uszczerbku: we wszystkich systemach społecznych podaje się dziecku barwne postacie oficjalne do zabawy w naiwne uniesienie. Ale komunizm ma wobec dziecka cele dalsze niż przepojenie go uwielbieniem i szacunkiem. Komunizm pragnie miłości, chce, aby dziecko go pokochało. W tym celu uruchamia niezwykłą maszynę oddziaływania na świadomość i percepcję. Dostojne i pełne godności Leniny i Staliny przeobraża w ukochane, tkliwe Leniny i Staliny przy pomocy retuszu. Dziecko nie wie o specjalnych zakładach poligraficznych, których zadaniem jest usilna, benedyktyńska praca nad zmianą wyrazu twarzy dostojników partyjnych i państwowych. Całe zastępy specjalnie szkolonych retuszerów pracowały mrówczo w Rosji Sowieckiej aby z twarzy Lenina, która emanowała rzadką złośliwością i chytryością, uczynić twarz ukochanego wujaszka, za którym przepadają dzieci i który skłonny jest oddać im swój złoty zegarek na pewną zagładę. Zachodni mężowie stanu używają również szminki i makijażu, lecz tylko przed kamerą telewizyjną. Chcą wyglądać młodziej, co świadczy o wyrachowanej próżności, lecz nie jest grzechem kłamstwa. Stalin, jak wiadomo, odznaczał się obliczem, wobec którego Al Capone zdrętwiałby z przerażenia, bandytyzm jego natury, podłość i okrucieństwo charakteru biją wprost z każdej, nieocenzurowanej fotografii; lecz od czego wykwalifikowani retuszerzy? W milionach żłobków i szkół podstawowych na obszarze całego imperium widniał ojcowski portret

Stalina, ozdobiony tak promienistym uśmiechem, że nie było chyba dziecka, które nie śniłoby o tym że wdrapuje się na kolana generalissimusa i ciągnie go za wąsy. A co tu dopiero mówić o armii pochlebnych, służących malarzy i ilustratorów, którzy w setkach milionów książeczek dziecięcych rysowali Stalina jako uosobienie wszelkich słodyczy. Z czasem doszło do tego że można było odnaleźć rysy Lenina, Stalina, Ulbrichta czy Mao w buziach Sierotek–Maryś, Królewien Śnieżek i Czerwonych Kapturków, podczas gdy Duży Zły Wilk miał zawsze w sobie coś amerykańskiego. Powie ktoś: prezydenci, ministrowie i kandydaci na senatorów w demokratycznym kapitalizmie, żądni poklasku tłumów, też lubią fotografować się pochyleni nad płowymi głowinami dzieci, brać je na ręce i całować w pyzate policzki z fałszywym uśmiechem pseudodobrotliwości na przebiegłych wargach i w oczach szperających za wyborcami. To fakt, ale ten ckliwo–przymilny uśmieszek jest łatwo zauważalną maską, kryjącą naturalną odrazę do wilgotnych nosków i niepewnych puppek. Demokratyczni mężowie stanu nie retuszują swej prawdziwej natury i dzieci jakoś to czują, nie traktują ich poważnie, nikt tu nie rozprawia o miłości, ufności, oddaniu — i to jest uczciwa gra. Konwencja życia, na to nie ma rady, tak się składa że w pewnej chwili politycy potrzebują dzieci, rzadziej dzieci polityków, ale żadnych deklamacji o uczuciach i żadnego wzajemnego okłamywania się.

Aby zachować zdrowie psychiczne dziecko powinno zażądać przywrócenia wszelkich praw zneutralizowanym Kotom w Butach i Byczkom–Fernando — ale jak tu żądać i upominać się o jakieś prawa w ustroju, w którym nie istnieje habeas corpus? Dziecko obrabowane więc zostaje ze swego przywileju nieświadomości. Jeszcze wielbi i kocha całym swym czystym, małym serduszkem, ale już nachodzą je pierwsze nieporadne wątpliwości. Dlaczego kochany wuj Stalin z portretu w żłóbku staje się nagle dość srogim Stalinem z obrazu w urzędzie pocztowym, do którego trzeba iść z mamą? Dlaczego dorośli nie widzą w nim tej dobroduszości, którą dostrzega dziecko, i mówią o nim bez sympatii, lub starają się w ogóle nie mówić, ucinając pytania na jego temat? W rodzinach partyjnych dziecko jest pod nakazem adoracji, co budzi w nim z kolei zrozumiałe podejrzenia: dlaczego mam być grzeczny i kochać Stalina? Wszędzie i zewsząd pojawiają się oznaki dręczącej i zagadkowej ambiwalencji, druzgoczące rozkosze nieświadomości. W pewnym węgierskim miasteczku, natychmiast po zgnieceniu powstania przez sowieckie czołgi, komuniści z właściwym sobie taktem postavili pomnik przyjaźni sowiecko–węgierskiej. Przechodząc obok, mały chłopczyk spytał ojca:

— Tatusiu, co to jest?

— To jest pomnik przyjaźni węgiersko–radzieckiej — odparł ojciec zgodnie z pozorami rzeczywistości.

— Ale dlaczego u nas? — zażądał wyjaśnień chłopczyk.

Dziecko to wcześniej zaczęło się zmagać z wieloznacznością, która kiedyś zatruje mu życie, wdało się w nierówną walkę z wszechnaciskającym kłamstwem i wszechmocą pozoru. Lecz ten historyczny dlań moment przebudzenia się w nim zmysłu krytycyzmu odebrał mu, lub co najmniej naruszył w nim, świat dzieciństwa.

Antytotalistyczne systemy społeczne szanują suwerenność tego świata: jego głupiutkie niedźwiadki i zajaczki być może nie rozwijają natrętnie umysłowości dziecka, ale nie rabują mu prawa do jedynej w życiu autonomii i nieangażowania się. Sprawa św. Mikołaja jest tu nader charakterystycznym przyczynkiem. W Rosji św. Mikołaja zastąpił w jego dorocznych funkcjach niejaki Dziadek–Mróz — postać wywodząca się ze starorosyjskiej, ludowej mitologii. Przez długie lata Dziadek–Mróz działał sprawnie pod czujnym okiem i kontrolą organów bezpieczeństwa ZSSR, ale jakoś nie potrafił budzić serdeczności i ciepła, może ze względu na nazwisko. Dzieci odmawiały mu czułego przywiązania, nawet urodzone grubo no rewolucji i których rodzice baliby się sformułować tak antypaństwowy slogan jak „dobry, święty Mikołaj”. Za czasów Chruszczowa zaczęto więc mówić o przywróceniu temu

ważnemu funkcjonariuszowi jego dawnego tytułu. Stare kraje katolickie, okupowane po ostatniej wojnie przez komunizm, zmuszone były do zaakceptowania Dziadka–Mroza wraz z dobrodziejstwami planów gospodarczych. Impreza ta od początku skazana była na klęskę. Lansowany usilnie przez prasę, radio, telewizję, oficjalne widowiska i bale dla dzieci Dziadek–Mróz stał się tylko i wyłącznie przedmiotem złośliwych żartów. Dzieci gremialnie odmówiły z nim związków uczuciowych — ale za jaką cenę? Za cenę kolejnego naruszenia suwerenności ich świata. Raz do roku dzieci popadały w odmęty schizofrenii Jak pogodzić reklamowaną kampanię „mass media” na rzecz Dziadka–Mroza z popieranym uporczywie przez resztę społeczeństwa św. Mikołajem? „Przyjdzie dziś do ciebie święty Mikołaj” — mówiła mama rano, zaś po południu, na kinderbalu, święty przedstawiał się oficjalnie: „Jestem Dziadek–Mróz”... Gdy zaś dzieci wołały doń zgodnie z nastrojami całego narodu: „Święty Mikołaju!...” — mrugał porozumiewawczo jakby dając do zrozumienia że na sali są osoby niepowołane do tego ażeby wiedzieć, jak się naprawdę nazywa. Zdarzyć się wręcz mogło że zbyt obcesowo ciągnięty za rękaw i nagabywany o innych świętych, mruknął krzywo: „Odczep się, szczeniaku, bo wyciągną służbowe konsekwencje za szeptaną propagandę...” Coś tu było przeto nie w porządku, w oczach dzieci, ale co? Trudno stwierdzić bez przeczytania „Zagadnień leninizmu”, lecz rzadko kto czyta to dzieło w wieku lat pięciu. W okresie stalinowskiego upodlenia ogromnych mas ludzkich, dzieci w żłobkach, a nawet w najuboższych przytułkach dla sierot wzywane były i — jak to się mówiło — „organizowane” do składania swych grosikowych oszczędności na prezenty dla ukochanego dziadka Stalina. Taki apel padał na podatny grunt, albowiem do dziecka łatwiej jest trafić z prośbą o akt poświęcenia niż o zaprzestanie bezsensownych krzyków. I dzieci dawały, wysypywały grosiki z kieszonek fartuszków, kupowały za nie plastelinę, lepiły i wysyłały figurynki dla Obrońcy i Opiekuna Ludzkości. I zapewne oburzyłyby się, gdyby im powiedzieć że poświęcenie ich planowane było przez partyjnych ekonomistów jako ważki element w walce z inflacją i przesadnym spożyciem czekolady, którą tak trudno wyprodukować i dostarczyć na rynek w potrzebnych ilościach. Lecz kiedyś mała dziewczynka wezwana do zbiórki na prezent dla mordercy Tuchaczewskiego, miała jakoby odpowiedzieć:

— A dlaczego ja nie dostaję od niego prezentów?

W odpowiedzi usłyszała od konformistycznej nauczycielki:

— Stalin dał ci wszystko co masz, ojczyznę, wolność, szczęśliwe dzieciństwo...

Dziewczynka nie dała się złamać i odparła zimno:

— Ja chcę buciki!

Ta mała dziewczynka zasługuje na miejsce w Panteonie wielkich bojowników o sens współczesnej cywilizacji i chyba nie bez przyczyny zdarzenie to podobno miało miejsce w Królewcu, w mieście autora „Krytyki czystego rozumu”. W komunizmie uprawa tej krytyki jest często w rękach dzieci.

Dziecko nie umie i nie lubi nienawidzić, ale umie i lubi się bać. Tego komunizm nie przeoczył. O ile komunizm ma podświadomość, jego libidem jest żądza siania strachu i perwersyjna tęsknota za miłością w duszach swych ofiar, zaszyfrowana w różnych eufemizmach Dziecko staje się świetnym partnerem: nie umie się bronić, łatwo daje się przestraszyć, szuka chętnie i ufnie schronienia w ramionach straszącego. Straszanie dzieci i nauka jak mają się bać jest rozkoszą komunizmu, marzenia zaś komunistycznych czarnoksiężników o zaszczepianiu strachu na całe życie są lubieżną sublimacją tej rozkoszy. Ileż przyszłych sukcesów propagandowych wymusić można na ludziach o zwyrodniałych odruchach i niedowładzie poznawczym na skutek strachów dzieciństwa? Rzecz w tym, by umiejętnie operować symbolami strachu. Niegdyś był to opasły burzuj o świńskim ryju, dziś jest to chudy, przeraźliwy Amerykanin o strasznym, haczykowatym nosie pod gwiaździstym cylindrem, zastanawiająco przypominający diabła z chrześcijańskiej ikonografii. Na zapadłych kołchozach straszy się dziś dzieci Amerykaninem. Nie dlatego że Amerykanin coś

znaczy dla ludzi, którzy na oczy nie widzieli Amerykanina, lecz dlatego właśnie że nic nie znaczy, że jest pustym symbolem ustanowionym przez niepodlegającą kontroli instancję. Radio, telewizja i prasa zastępują księdza i kazanie w formowaniu psychopojęciowej ohydy i uczą, w aureoli ponadludzkiej technologii, że Amerykanin zjada dzieci. Niegdyś ciemne niańki groziły: „Przyjdzie diabeł i weźmie cię do lasu...” Dziś, udręczona nędzą i pracą ponad siły matka wiejska mówi, ufna w potęgę naciskającej zewsząd na dziecko celebracji sloganów: „Jak będziesz niegrzeczny, oddam cię Amerykaninowi, który zabierze cię do Ameryki...”

W świetle partyjnej egzegezy jest to apokaliptyczne ultimatum, ale później w życiu okazuje się że należało być okropnym dzieckiem ażeby otrzymać prawdziwą nagrodę. W tym punkcie chrześcijański system kar okazuje swą bezsprzeczną wyższość i finezję. Gwoli sprawiedliwości rzecz trzeba że amerykańskie komiksy dla dzieci pełne są straszliwych postaci zwanych Reds: posiadają one silnie zaznaczone cechy etniczne, głównie przy pomocy odrażających mord, rubaszek zamiast koszul, bądź skośnych oczu charakteryzujących ostatnie odchylenie polityczne w łonie Kominformu. Różnica w metodzie indoktrynacji wydaje się niewielka, niemniej nigdy jakoś nie słyszałem o tym by w Ameryce straszono dzieci Rosjaninem czy Komunistą. Istnieje głęboka analogia pomiędzy komiksowym Red a smokiem z dawnych bajek: niby się go trzeba bać, ale coś jest w nim nie na prawdę, więc można pozwolić sobie na brak nienawiści. Ten układ odzwierciedla jakąś głęboką prawidłowość: póki nie ma ultimatywnej konfrontacji, większe niebezpieczeństwo grozi Rosji ze strony Ameryki, niż odwrotnie; Rosja więc musi propagować strach przed Amerykaninem wśród swych dzieci, podczas gdy Ameryka może zdać się na luksus wesołej pogardy i miażdżące zwycięstwa Batmana nad Smershem. Operowanie strachem jest zresztą obosieczne i ulega wszechstronności i bogactwu samego życia. Dziecko współżyjące z radiem i telewizją wymaga dodatkowych eksplikacji.

„Tato — pyta — co to jest podżegacz wojenny?” Rodzice, o ile nie są partyjni i ściśle poinformowani, sami nie wiedzą, usiłują więc wymigać się przy pomocy wygodnego, choć obskurantckiego idiomu: „To Amerykanin, albo ktoś z Zachodu ...” — lub jeszcze mniej precyzyjnie: „To ktoś, o kim pisze się w gazetach ...”. I znów dziecko wpływa na ocean mętnych rozróżnień. Nieufność do gazety, radia czy telewizji jest rozsianym w powietrzu imperatywem, którym się oddycha, który dostrzega się w każdym słowie, geście, spojrzeniu i westchnieniu starszych. Jak o kimś mówią źle w radio, to może nie jest on taki zły? Może jest inny, niż o nim piszą, może nie ma trosk materialnych jak wszyscy wokół, może ma nawet samochód? Takie są męki budzącej się świadomości. Nie umiając wątpić, dziecko skazane jest na przegraną z komunizmem. „Będziemy się bawili w plan pięcioletni!” — wołają dzieci na podwórzu czy na ulicy, tym samym tonem, jakim niegdyś mawiały: „Będziemy się bawili w sklep...” Lecz sklep jest w komunizmie nieatrakcyjny, szary, pusty, jest miejscem nudy i męki tych, którzy z reguły nie mogą w nim dostać tego, po co przyszli i co powinno w nim być. Natomiast plan pięcioletni istnieje wokoło w barwnych plakatach, zastępujących wesołe reklamy płatków owsianych z kapitalizmu. Dziecko nie wie że plan pięcioletni jest jednym wielkim nadużyciem i humbugiem, dzięki któremu właśnie nie ma niczego w sklepach, więc ulega mistyfikacji, przeciw której jedyną bronią jest szydercze zwątpienie. Ratunek jest w cynizmie: dziecko grzeczne i cyniczne jest w stanie oprzeć się najskuteczniej gwałtom nad swoją świadomością i rabunkowi świata dzieciństwa. Ale dziecku łatwiej jest być wandalą, barbarzyńcą, mordercą, gwałcicielem, oprawcą, okrutnikiem i kłamcą, niż cynikiem. Wejście do komunistycznego sklepu z zabawkami wymaga dużej siły charakteru i tylko jednostki wielkiego ducha nie załamują się i nie szukają ratunku w panicznej ucieczce przed koncentratem ponurej brzydoty skumulowanej w obecnych tam zezowatych lalkach, sadystycznych misiach, pokręconych przez reumatyzm żyrafach, pajacach z pluszu używanego w krajach cywilizowanych na siedzenia w pociągach, bączkach, które w imię

nieznanego sabotażu nie kręcą się i piłkach, które nie odbijają się od podłogi. Dziecko cyniczne, postawione oko w oko z takim koszmarem, nie zapłacze rzewnie, lecz uśmiechnie się wyrozumiale. Zabawki są przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie od zarania komunizmu: nikt tam nie może zrozumieć dlaczego odpowiedni przemysł nie jest w stanie wyprodukować przedmiotów wzbudzających natychmiastowego, dojmującego jęku. Prawdopodobnie błąd tkwi w teorii, która narzuca zasadę że zabawka winna uczyć, a nie bawić. Pedagogika, w rękach tych samych planistów, którzy wierzą w walor wychowawczy prezentów dla Stalina za uciulane przez dzieci grosze, uważa że kotek nie jest czymś, co należy kochać, lecz jest członkiem socjalistycznego zwierzostanu i dziecko winno mieć do kotka odpowiedni stosunek, uwzględniający jego przynależność. Sklepy komisowe, jedna z najpotężniejszych instytucji ekonomicznych w komunizmie, są pełne zabawek z kapitalistycznego świata: wiadomo powszechnie że opłaca się je przywozić. Dziecko zwykle rozpętuje niebywałe awantury na widok sklepu komisowego: po prostu chce mieć natychmiast wszystko co w nim jest. Dziecko cyniczne zachowuje się spokojnie: wie że ceny w komisach są karykaturalnie wysokie i mało kto może sobie pozwolić na kupowanie tam zabawek, a na pewno już nie jego rodzice. Nawet u zamożniejszych rodziców dziecko cyniczne nie domaga się pomarańcz: rozumie że pomarańcze w sklepach to cud natury, raz na rok w sklepach, zaś cudów nie można się domagać, trzeba na nie czekać. Dobrze jest być dzieckiem cynicznym w komunizmie, wszyscy je kochają, a rodzice mówią z dumą: „To takie kochane dziecko...”, chwala się nim, nie wiedząc że jest ono po prostu dzieckiem cynicznym, czyli ułatwiającym życie.

JAK CHODZIĆ DO SZKOŁY

Szkoła w komunizmie wygląda tak jak szkoła w demokracji. Dużo szkół wygląda nawet lepiej, szkoły stanowią ulubione miejsca do których zwozi się oficjalnych gości z zagranicy, wrogich dziennikarzy i wycieczki komunistów z krajów, gdzie jeszcze nie doszli oni do władzy. Są to piękne, nowoczesne budynki, projektowane przez najlepszych architektów, wyposażone w przestrzenne klasy, imponujące, pełne słońca i powietrza okna, zgodne z ostatnimi zdobyczami pedagogiki ławki i pomoce szkolne. Dzieci, jak wiadomo, umieją wyrażać mnóstwo uczuć, prócz ironii, stąd są niezawodną pomocą we wszelkich akcjach propagandowych: dziecko krzyczy „Tak!” lub „Nie!”, ale nie umie ujawnić swej dezaprobaty w sposób melancholijny i dwuznaczny, tak aby nie narazić się na represje, co potrafi każdy robotnik. Dlatego więc lepiej jest wozić gości do szkół, niż do fabryk.

Bystry i uważny obserwator, o ile wymknie się na chwilę z pieczołowitości przewodników i zajrzy do klasy nieprzygotowanej do wizyt, dostrzeże natychmiast drastyczną rozbieżność pomiędzy rozmachem architektury a ogólnym stanem schludności wewnątrz budynku. Rzecz można, że jest to stan na pograniczu dewastacji wzbudzającej zastanowienie. Nawet najbardziej wzorowa szkoła, poddana dynamice setek młodych istot, których imperatywem życia jest krańcowa pogarda dla wszystkiego co państwowe, przeistacza się wkrótce w śmietnik. Lichość komunistycznych produktów, a więc i materiałów budowlanych, metod konstrukcji i wyposażenia, zupełnie niezdolnych do walki z czasem, gra w procesie rozpadu wielką rolę. Prasa i telewizja takie uwielbiają pokazywać szkoły reszcie społeczeństwa, ilustrując nimi wspaniałe osiągnięcia komunizmu, czynią to jednak z dużą zręcznością i wdziękiem, zawsze pamiętając o tym żeby nie pokazać tego co nie trzeba. Jest to taktycznie wspaniałe pociągnięcie i mnóstwo uczniów może sobie dzięki temu pomyśleć, że tylko jego szkoła tak okropnie wygląda, podczas gdy wszystkie inne wyglądają jak w telewizji. Ten prosty zabieg indoktrynacyjny ma teoretycznie cechy genialności, w praktyce przynosi jednak zupełnie odwrotne od zamierzonych skutki. Początkowo uczniowie przypisują fizyczny upadek swojej szkoły lokalnym cechom niedoskonałości. Od wczesnego dzieciństwa znają z autopsji marność i nędzę bytu wokoło siebie, jego rozdźwięk z symbolami w prasie, w kinie, na afiszu propagandowym, ale myślą sobie, że tak źle jest tu, zaś gdzie indziej może być lepiej. Dopiero stwierdzenie, że nie się nie robi dla ocalenia ich szkoły, jedynie przestaje ona być fotografowana i filmowana o ile przedtem była, zaś na jej miejsce pojawia się nowa, wzorowa szkoła, zmusza ich do refleksji. Nie wiedzą oni jeszcze, że w komunizmie łatwiej jest zbudować rzecz nową, niż utrzymać już zbudowaną w stanie przydatności, żeby już nie wspomnieć o jej ulepszaniu. Zagadnienie remontu i odnowy jest kluczowym problemem tak materialnych jak i duchowym; jak dotąd, komunizm sparaliżowany jest magiczną niemożnością naprawienia czegokolwiek co utraciło zdolność funkcjonowania. Uczeń zaś przestając być uczniem, a stając się człowiekiem jeszcze przed okresem dojrzewania, uczy się — o tle nie jest wyjątkowym idiotą — jednego z zasadniczych praw istnienia w komunizmie, mianowicie, że to co zostaje podane I za regułę jest zawsze wyjątkiem, a właśnie pozorny wyjątek stanowi regułę. Czyli pojmuje raz na zawsze pierwsze przykazanie propagandy, która w komunizmie jest jedynym uświęconym przez teorię narzędziem kształtowania ludzkiej świadomości i która towarzyszyć mu będzie odtąd przez całe życie.

Metafizyczny nakaz drapieżnego stosunku do wszystkiego co państwowe, przybierający bądź formę przywłaszczania bądź bezinteresownego niszczenia, stanowi coś w rodzaju instynktu samozachowawczego, jakiegoś *élan vital*, z którym przychodzi się w komunizmie na świat. Łatwo byłoby go nazwać wandalizmem lecz ten ma swoje korzenie w bezmyślnej rozkoszy druzgotania, podczas gdy tamten krystalizuje się w ciemnym niemal biologicznym nakazie wyrównania krzywd, których źródłem jest nieuchwytnie, tajemnicze pojęcie Państwa.

Urzednicy, milicjanci i zolnierze, czyli oprawcy w imie Państwa acz znienawidzeni, budzą mniej owych niewytłumaczalnych dla szarego człowieka złych pasji i namiętności, niż samo Państwo — rzecz z kategorii żywiołu, zawsze zwrócona przeciw człowiekowi. Ich człowieczeństwo i szamotanina z życiem są dostrzegalne, podczas gdy bezosobowość Państwa sprawia że otacza je nienawiść mistyczna, jak grzech w średniowieczu. Dom rodzinny pielęgnuje ten impuls i rozwija, czasem z troskliwą otwartością powiedzenie: „To tylko państwowe...” rozgrzesza każde nadużycie, jedynym zaś nakazem moralny jest skuteczne uniknięcie przyłapania na gorącym uczynku i kary. Przywódcy komunistyczni zdają sobie z tego sprawę, toteż szkoła ma być pierwsza w życiu człowieka instancja, której zadaniem jest wykorzenienie owej przywary. O ile zadaniem szkoły w demokracji jest przygotowanie człowieka do życia w ogóle i przekazanie mu dostatecznej ilości wiadomości jakie mogą mu się w życiu przydać bądź wpłyną na jego dalszy rozwój, o tyle szkoła komunistyczna ma za cel przygotowanie do życia w komunizmie, czyli przekazanie wyłącznie informacji wpływających na formowanie osoby, z której komunizm czerpał korzyści. Oficjalnie nazywa się to kształtowaniem jednostki zdolnej do ofiarnego życia dla swego społeczeństwa. W praktyce wygląda to tak:

— podręczniki historii nie mają nic wspólnego z historią, ich zadaniem jest gloryfikacja, a nie kodyfikacja faktów; prowadzi to do zadziwiających ujęć, w których myśli i czyny średniowiecznych bohaterów narodowych, królów i duchowieństwa wyjaśniane są i motywowane językiem aktualnych artykułów prasowych, donoszących o osiągnięciach komunistów, z czego wynika na przykład że krucjaty były przedsięwzięciem katolickich podżegaczy wojennych usiłujących skierować klasowy gniew wynędzniałego ludu na tory imperialistycznych awantur;

— z nauki o literaturze wynika, że „Faust” Goethego jest wyrazem przywiązania poety do tradycji ludowej i idei postępu, a prastara legenda o zmaganiach Fausta z Mefistofeilesem odzwierciedla dążenia mas pracujących do uniezależnienia się od religii;

— za czasów tyranii Stalina nauczanie, wraz z całą kulturą, wtrącone zostało w odmet neobarbarzyństwa, nie liczącego się nawet z pozorami prawdopodobieństwa; i tak uczono w szkołach, że w czasie drugiej wojny światowej alianci byli w tajnej zмовie z Hitlerem i dopiero olśniewające zwycięstwa ZSRR pod wodzą genialnego Stalina skłoniły ich do zdrady Hitlera i przyłączenia się do triumfującej Czerwonej Armii;

— ponieważ Rosjanie dokonali pierwszej rewolucji komunistycznej, przeto logicznym wnioskiem jest, że są oni źródłem i główną siłą napędową całej współczesnej cywilizacji; jak dotąd, nauka i wiedza, zmonopolizowane przez kapitalistów, fałszowały fakty, które trzeba sprostować; w konsekwencji tego prostowania okazuje się w podręcznikach komunistycznych, że maszynę parową wynalazł Rosjanin, radio — Rosjanin, Rosjanie zbudowali pierwszą katedrę gotycką i otworzyli pierwszy w dziejach sklep.

W polskich szkołach pojętni uczniowie twierdzili skwapliwie na egzaminach, że schody wynalazł Rosjanin nazwiskiem Iwan Schodow, Amerykę odkrył Krzysztof Timofiejewicz Kolumbow, a elektryczność niejaki Beniamin Franklinenko.

Szkoła, jak wiadomo, wszędzie próbuje uczyć pierwszych w życiu lojalności. W demokracjach nauka taka dotyczy związków człowieka z człowiekiem oraz z otaczającą go wspólnotą społeczną, często określaną jako naród, lecz nie traktowaną jako wartość najwyższa. Przejawy sceptycyzmu wobec wdrażanych prawd czy sposobów myślenia i postępowania uważane są za dowód ruchliwości umysłowej, a nawet inteligencji. W komunistycznej szkole wdraża się uczniom przede wszystkim dogmat partyjnego absolutu, który utwierdzić go ma raz na zawsze w przekonaniu, że partia komunistyczna jest błogosławionym dawcą, i sprawiedliwym regulatorem WSZYSTKIEGO, a jednorodność interesów WSZYSTKICH obywateli, oraz ich marzeń, planów, kuchen, kapeluszy, psów, kotów i maszynek do golenia z interesem partii nie może być podana w wątpliwość. Stąd

najlejszy przejaw sceptycyzmu czy zastrzeżenie poczytywane jest od razu za objaw buntu przeciw nienaruszalnym prawdom i świętościom. Aby więc przebyć szkołę i otrzymać świadectwo jej ukończenia, nieodzowne dla dalszych studiów i konieczne dla licznych ułatwień w życiu, trzeba przeto:

— słuchać, a nie mówić;

— jak mówić, to zgadzając się z każdym oficjalnym punktem widzenia i chwając go jako jedyny słuszny, mądry, dobry;

— jak chwalić, to nie bacząc na żadne kryteria racjonalizmu, erudycji, prawdopodobieństwa czy nawet zdrowego rozsądku; za czasów Stalina używanie takich chwytów jak „Stalin, nasz genialny Ojciec, który nas wszystkich stworzył, ożywił, dał nam wieczne szczęście i pierwszy sformułował twierdzenie Pitagorasa...” gwarantowało najlepsze stopnie z matematyki; umiejętne obrzucanie błotem wrogów Stalina, jak „niesyty krwi ludu pracującego wampir Trocki”, albo „faszystowski morderca robotników Tuchaczewski”, dowodziły dużego wyrobienia politycznego w młodym wieku i wskazywały na czytanie gazet, bowiem wrogowie Stalina nie istnieli w podręcznikach; rewolucja październikowa jest tam opisana bez wymienienia choć raz nazwiska Trockiego, ale przy opisie trudności pierwszych piątelek i procesów moskiewskich pojawia się nagle termin trockiści jako uosobienie wszelkiego demonicznego zła; stąd każdy uczeń powinien był wiedzieć, że tylko Stalin przy pomocy Lenina dokonał rewolucji, sam jeden wygrał wojnę domową, zbudował przemysł, socjalizm, po czym od niechcenia, jako solista, pokonał Niemców, Włochów i Japończyków. Tak jawne nadużywanie prawdy i prawdopodobieństwa — zresztą mocno zracjonalizowane i złagodzone w epoce postalinowskiej, lecz stanowiące podstawę metodologiczną w szkole — prowadzi do zasadniczych podziałów w szkolnej społeczności. Wiek szkolny jest wiekiem budzących się ciekawości, chłopiec i dziewczynka zaczynają interesować się coraz szerzej własnym otoczeniem, to zaś co widzą i poznają skłania ich do przekory — pierwszej formy krytycyzmu. W domu dostrzegają niekończące się trudności, ciągły brak pieniędzy i najpotrzebniejszych przedmiotów, prymitywizm egzystencji, mordercze przepracowanie ojca i matki w pogoni za minimum utrzymania. W szkole uczą się, że żyją w najdoskonalszym modelu społecznym, gdzie ludzie muszą być szczęśliwi. W rodzinach partyjnych widzą wszechobejmujący strach przed władzą, autorytetem, odpowiedzialnością, słyszą niewolnicze slogany przepisanych przez partię pacierzy. W szkole uczą się o tym jak kapitalizm dławi, poniża i degraduje człowieka, a jak socjalizm go wyzwala. Ale świat ery technologii i elektroniki to naczynia połączone, w których nic nie zdoła już zapobiec przenikaniu i cyrkulacji najprostszych wiadomości. Wiek szkolny to czas kiedy słyszy się po raz pierwszy francuską czy amerykańską piosenkę, w której stwierdza się ze zdumieniem zupełny brak akcentu propagandowego, wpada do rąk ilustrowane pismo z Zachodu, pełne zdjęć przedmiotów, ubrań, ludzi, samochodów wyglądających nieskończenie lepiej niż to co widzi się wokoło siebie albo we własnych gazetach, ogląda się film, którego treścią jest wyłącznie miłość lub przygoda. Wprawdzie szkoła kontruje natychmiast, ucząc o potędze zachodniodemokratycznego blichtru i reklamy, które pokrywają bezbrzeżną nędzę ogromnych mas ludności — w jednym z podręczników szkolnych znaleźć można było, w początkach lat pięćdziesiątych, zdjęcie małych, wynędzniałych dzieci, leżących na chodniku, jako ilustrację do lekcji o tym jak dzieci umierają z głodu na ulicach Nowego Jorku, w sąsiedztwie Wall Street — lecz trzeba być jednostką wyjątkowo słabo rozwiniętą umysłowo by nie dostrzec katastrofalnych sprzeczności pomiędzy twierdzeniami szkoły. Mnożą się luki w rozumowaniu, w szkole zaś o nic pytać nie wolno, aby nie wzbudzić podejrzeń w nadgorliwych nauczycielach lub kolegach z organizacji politycznych. W ten sposób następuje rozwarstwianie szkolnej społeczności na trzy zasadnicze grupy.

Pierwsza jest grupa milczących. Stanowią przygniatającą większość. O nic nie pytają, nie wyrażają sądów własnych. Chcą jak najszybciej przejść przez szkołę i otrzymać urzędowe świadectwo jej ukończenia.

Drugą jest grupa cyników. Mówią dużo i w tonie wyraźnego serwilizmu, ale widać po nich, że absolutnie nie wierzą w to co mówią. Pozornie akceptują wszystko co podaje im się do wierzenia, lecz ich akceptacja nosi cechy szyderstwa wyraźnego, ale tak ostrożnego, ażeby nie można się było doń przyczepić. Wcześniej doszli do wniosku, że jedyną wolnością, jaką mogą zdobyć w komunizmie, jest wolność od wszelkiej wiary w cokolwiek albo prawo do bezbrzeżnej, nienawistnej pogardy za cenę ostentacyjnego przytakiwania. Celem ich jest zdobycie sobie jeszcze w szkole opinii, która później zapewni im powodzenie materialne i karierę. Jest to opinia uległego, choć niepokonanego, chętnego do służby każdej sprawie w zamian za odpowiednie wynagrodzenie.

Trzecią jest grupa idealistów. Ich młodzieńcza potrzeba wiary jest tak silna, że wierzą nawet w to czego uczy ich szkoła. Jest ich bardzo mało, zazwyczaj pochodzą z rodzin oddanych członków partii na wysokich stanowiskach, czyli ze sfery wyizolowanej z reszty społeczeństwa. Ich rodzice są czasami ludźmi wysokiej klasy osobistej, determinując ich idealizm. W szkole stanowią trzon organizacji politycznych. Stoi za nimi cała moc państwa, systemu społecznego i aparatu władzy, co sprawia, że ich młodzieńcza niezręczność w operowaniu takim zasobem potęgi staje się źródłem licznych nieszczęść i krzywd innych ludzi. Oczywiście, otoczeni są powszechną nienawiścią, na którą często nie zasługują, ale która tylko ich umacnia w przekonaniu, że bezwzględność jest mądrością.

Powstaje pytanie: czy nikt nigdy się nie przeciwstawia? Czy zasadniczy rozdzźwięk pomiędzy wyjaśnianiem świata a samym światem nie budzi w nikim oporu, protestu, sprzeciwu? Od czasu do czasu zdarzają się młodzi buntownicy, zabierający głos na lekcjach i dzieciennie formułujący swe nieporadne veto. Za czasów Stalina wystąpienie takie kwalifikowało do natychmiastowego wyrzucenia ze szkoły, co równało się przymusowej rezygnacji z dalszego kształcenia się w ogóle. Znane są wypadki, tak w Rosji jak i we wschodniej Europie, gdy policja polityczna zabierała kilkunastoletnich uczniów wprost ze szkół i trzymała bez sądu w tak zwanym śledztwie, całe lata w więzieniach, jedynie za wątpliwości kto pierwszy rozpoczął wojnę w Korei. W epoce postalinowskiej praktyki te uległy znacznemu złagodzeniu, niemniej zasada bezlitosnego tępienia wątpliwych nadal rządzi szkołą. Najgroźniejszym jej narzędziem jest zupełna izolacja i przemilczanie faktów oporu. Gdy w demokracji uczniowie wyrażają swe niezadowolenia, prasa i *mass-media* donoszą o tym szeroko; następujące ewentualnie represje są również podane do ogólnej wiadomości, budząc sympatie dla zbuntowanych, które to sympatie stają się czasem podstawą ich zwycięstwa, bądź po prostu triumfu sprawiedliwości. W komunizmie akt oporu w szkole nawet poparty przez kilkuset uczniów, jest szczelnie przemilczany przez *mass-media*; następuje represja, zazwyczaj bardzo surowa i brutalna, ale którą też nikt się nie chwali. Represja pozostaje w mocy aż do zdeptania oporu, zaś sława jako zadośćuczynienie nie nadchodzi. Nie ma się do kogo odwołać, prasa, sądy i policja są w jednym i w tym samym ręku tych, którzy tłumią. Dziwna symbioza Marxa ze stuleciami bizantyńsko-azjatyckich perfekcji w tyranii dała tę komunistyczną mądrość, że tylko nie rozgłaszana ani nie reklamowana represja jest naprawdę skuteczna. Bardzo wcześnie uczeń uczy się w komunizmie niemożliwości walki z krzywdą, stąd ogólny szacunek dla apatii i inercji jako dla jedynej drogi do sukcesu.

Głównym instrumentem krzywdy jest w szkole organizacja polityczna. Za czasów Stalina przynależność do niej była przymusowa. Ktoś kto znalazł się poza jej obrębem, nie miał szans ani na dobre stopnie, ani na dalsze studia na uniwersytecie, bo tylko jej rekomendacja zapewniała dopuszczenie do egzaminów. Organizacja młodzieżowa była wtedy skrzyżowaniem harcerstwa ze Świętą Inkwizycją. Jej zadaniem była dbałość o czystość

uczniowskich dusz, jej paliwem były dewocja i bigoteria. Jeśli organizacja urządziła potańcówkę czy wycieczkę za miasto, ci, którzy nie mogą przyjechać, byli automatycznie wrogami ustroju albo agentami CIA, albo ofiarami perfidnej propagandy „Głosu Ameryki”. Gdy młodzież bawiła się dobrze, rzecznik organizacji wyjaśniał, że jest to zasługą rewolucji i walki klas; gdy kanapki były smaczne, wzywał do okazywania wdzięczności partii i jej wodzom. Wszystko poddane było komunistycznej superakcji istnienia: przeprowadzeniu Staruszki na drugą stronę ulicy towarzyszyła uwaga, że czyn ten dokonany został na chwałę Lenina, Obrońcy Ludzkości. Organizacja rościła sobie pretensję do pełnego sadu nad duszą każdego ucznia, obowiązywał surowy nakaz publicznej spowiedzi na plenarnych zebraniach, istniał nienaruszalny system eksplikacji grzechów. Chłopcy i dziewczęta oskarżali się wzajemnie o niską namiętność do gumy do żucia i ze łzami w oczach przysięgali, że już nigdy nie ulegną diabelskim pokusom kapitalizmu. Gdy ktoś się źle uczył, znaczyło to, że Intelligence Service zapuściła swe macki w szkole. Donosicielstwo ustanowione zostało cnolą najwyższą: każdy miał prawo oskarżyć kolegę lub nauczyciela o nieprawomyślność, dowodów winy nie wymagano, a los oskarżonego był z góry przesądzony. Chłopiec w zbyt kolorowych skarpetkach lub dziewczynka w nieprzepisowym uczesaniu bywali denuncjowani jako kontrrewolucjoniści i wyrzucani ze szkoły, bez prawa zgłoszenia się do innej. Oskarżenie o słuchanie płyt jazzowych lub zagranicznego radia często kończyło się aresztowaniem przez policję polityczną. Niektóre organizacje domagały się donoszenia rozmów, jakie toczono w domach rodzinnych, po czym dumnie przekazywały zdobyte informacje tajnej policji, w ramach tzw. czynu społecznego, czyli ochotniczej pracy nad ulepszaniem socjalizmu. Policjanci gładzili uczniów z afektacją po policzkach i wręczali im premie w postaci dzieł Lenina i Stalina. Oczywiście, nawet w tej erze zupełnej degeneracji rozumu i instynktów ludzkość zdolna była do produkcji humanistycznych antybiotyków przeciw upodleniu i głupocie. Przemówienia młodocianych dewotów były źródłem upojnego humoru i wszyscy dobrze wiedzieli jak się z nich śmiać, tak aby uniknąć aresztowania. Potajemne słuchanie Louis Armstronga, Elli Fitzgerald, czy Elvisa Presleya nabierało cech tak wyrafinowanej rozkoszy, że są ludzie, którzy do dziś dnia uważają owe konspiracyjne sesje nad radioodbiornikiem czy adapterem za najczarowniejsze chwile swego życia.

Organizacja przesądzała los uczniów i nauczycieli. Ci ostatni żyli w wiecznym terrorze i zagrożeniu o ile sami nie wykazywali gorliwości w wydzielaniu z siebie koniecznych komunałów lub nie byli wpływowymi członkami partii. Głupi i zły uczeń, cieszący się poparciem organizacji, miał zapewnione dobre stopnie, inaczej organizacja oskarżała nauczyciela o tępienie młodych komunistów. Po dziś dzień życie nauczyciela w komunistycznej szkole jest piekłem, nawet jeśli jest on konformistą, oportunistą i nie zamierza walczyć ani o prawdę, ani o słuszość. Jest źle opłacany, pracuje w chronicznie przeludnionych klasach, przy ciągłych poniżeniach ze strony uczniów. Nawet najmniej zdolny tępak może go zmusić do uległości deklarując chłodno: „Radzę panu profesorowi nie męczyć mnie za bardzo. Pan nie wie kim jest mój tatuś i co on może...” Tatuś, o ile jest wpływowym członkiem partii albo wysokim urzędnikiem administracji, może w istocie bardzo dużo. Wypadki, gdy dzieci dygnitarzy po zbrodniach popełnionych w szkole, za które normalnie idzie się do więzienia, otrzymywały świadectwa z odznaczeniami dla celujących uczniów, były i są nadal na porządku dziennym.

Poststalinizm przyniósł pewne zmiany w komunistycznej szkole. Przynależność do organizacji, poza Rosją, przestała być przymusem. Podstawowa zasada nadrzędności dogmatu nad rozumem, a nawet rozsądkiem, nie została jednak nigdy i nigdzie zlikwidowana. Wolno już tańczyć publicznie *rock'n'roll* i nosić *mini-skirt*, lecz uczeń ciągle dowiadyuje się w szkole, że mieszkaniowiec kraju komunistycznego żyje lepiej, niż ktokolwiek na kuli ziemskiej. Im lepiej — się jednak uczy, tym skuteczniej wyrabia sobie o tym swoje własne zdanie. W

szkole stalinowskiej dobrym uczniem można było być tylko za cenę zupełnej rezygnacji z własnej inteligencji.

CO ROBIĆ PO SZKOLE

Gospodarka socjalistyczna nie rozwija się, lecz pączkuje. Znaczy to, że każda dziedzina gospodarki nie podlega zmianom organicznym, dyktowanym przez życie, jego potrzeby i logikę podaży i popytu, lecz jest kształtowana przez tzw. plan gospodarczy, czyli teoretyczne założenie, wynikające z kryteriów politycznych i propagandowych i wprowadzane w czyn przez centralnie opracowywane dekrety. W ten sposób fabryka, czy każde inne przedsiębiorstwo, otrzymuje nie tylu robotników i pracowników ilu potrzebuje do sprawnego funkcjonowania, lecz można zatrudnić zgodnie z planem. W związku z tym, w komunistycznych biurach zawsze siedzi ogromny tłum ludzi, których jedynym zadaniem jest zaklejanie koperty zaadresowanej uprzednio przez kogoś innego kto ją otrzymał przez specjalnego posłańca od tego kto napisał list. Oczywiście, każdy z tych pracowników dostaje pensję nie dającą żadnych możliwości wyżycia — na przykład 1000 złotych miesięcznie w kraju, gdzie liche ubranie kosztuje 800 zł — przeto osiąga szczyty artyzmu w obojętności wobec swej pracy i wykonuje ją z podziwu godną niedbałością; toteż gdy rzeczony list, w drodze z jednego biurka na drugie, spada na podłogę, nikt nigdy nie schyli się, żeby go podnieść. To powoduje konieczność zatrudnienia nowych sił roboczych, których zadaniem będzie podnoszenie spadłych na podłogę listów i ewentualne (lecz nie definitywne, bo zrodzić się mogą nowe nieprzewidziane trudności) przekazywanie ich dalej — i taki proces mnożenia sił gospodarczych nazywa się pączkowaniem.

Ma on tę zaletę, że pozwala na zatrudnienie każdej ilości ludzi dostarczanych na rynek pracy, nie pobierając żadnych zobowiązań co do zapewnienia im utrzymania. Poprawnie rozumując, eliminuje to zjawisko bezrobocia, lecz poprawnie rozumowanie nigdy jeszcze nie zaprowadziło nikogo do nikąd w komunizmie. Liczba posad, z których nie można się utrzymać, jest tak wielka, że ludzie ich unikają, woląc nic nie robić, niż robić coś za co po miesiącu — odliczając wyżywienie, komorne i komunikację — nawet trzech kosztów kupić ni można. Ponadto, w każdym społeczeństwie komunistycznym istnieje pewna ilość obywateli, których „się nie zatrudnia”. Za czasów stalinowskich przyczyny niezatrudniania były wyłącznie polityczne: wystarczyło, aby ktoś walczył przeciw Niemcom w niekomunistycznej partyzantce, albo pochodził z rodziny eksploatującej robotników przed wojną (mętność tego sformułowania pozwalała stosować je do każdego kto się nie podobał nowym władzom, nawet do samych robotników), aby nie móc otrzymać żadnej pracy. Po upadku stalinizmu kryterium polityczne straciło na znaczeniu, ale pozostały względy społeczne: dajmy na to, że ktoś protestował zbyt głośno przeciw złym warunkom pracy i nędznej zapłacie, lub przeciw samowoli partyjnych zwierzchników, za co został usunięty z posady — opinia „antyspołecznego rozrabiacza” idzie za nim wszędzie, nie pozwalając na zdobycie nowej pracy. Nie ma instancji zdolnej do anulowania takiej opinii, nawet gdyby była ona najbardziej niesprawiedliwa, albowiem związki zawodowe są instytucją fikcyjną jeśli chodzi o obronę praw pracujących: są one kierowane przez zaufanych członków partii i policji politycznej i zasadą działania jest nieugięta obrona państwowego pracodawcy.

Kilkunastoletni człowiek, opuszczający szkołę ma więc w tych warunkach, kilka dróg do wyboru. Może starać się o dopuszczenie na studia wyższe. Nie jest łatwo dostać się na uniwersytet, ale rzecz jest warta każdego wysiłku.

O ile ma uzdolnienia techniczne, może przejść do szkoły zawodowej. Specjalizacja jest w cenie i zapewnia lepsze warunki pracy i płacy. Szkoły zawodowe nie wymagają ukończenia pełnej szkoły średniej, przyjmują wcześniej, dają dalsze możliwości kształcenia, aż do stopnia inżyniera. Przemysł jest ciągle jeszcze najlepiej płatną gałęzią gospodarki, ale i .specjalizacja w pionie usługowym, mimo że prowadzi w odmet chaosu, którego rozmiarów nikt na Zachodzie nie jest sobie w stanie wyobrazić (linię lotniczą w komunizmie można tylko

przyrównać do koszmaru sennego, dławiącego pracownika linii lotniczej w Ameryce), może jednak stać się źródłem względnego powodzenia. Oczywiście, młody człowiek może po prostu pójść do pracy jako zwykły robotnik), w przemyśle, gdzie będzie zarabiał dobrze w proporcji do wkładu pracy i bezwzględnie lepiej, niż w innych zawodach. Socjalizm bowiem, jak wykazała praktyka, wbrew zapewnieniom teoretyków, doszedłszy do władzy zwraca się przeciw interesom robotników, wobec tego boi się ich tak samo jak kapitalizm i stara się zachować z nimi możliwie poprawne stosunki. Ale młody człowiek tego nie robi. Społeczeństwa socjalistyczne są dziś najbardziej hierarchicznymi strukturami klasowymi w świecie współczesnym. Pozycja społeczna, oderwana od jakichkolwiek determinant ekonomicznych, ma w nich dziś jeszcze takie same znaczenie jak w feudalizmie. Robotnikiem być nie wypada i ktokolwiek może nim nie być, nie jest nim. Tym najlepiej tłumaczy się nieustanna podaż indywidualnych talentów do adresowania listów lub innego, choćby najbardziej jałowego zajęcia jakie nazwać można niefizycznym, lecz pseudoumysłowym, nawet jeśli z pracy takiej zarobić nie można na trzy posiłki dziennie. Mimo to nawet dziurkowanie kart indeksowych w biurze uważane jest ciągle za punkt wyjęcia do „jakichś” lepszych losów, podczas gdy praca fizyczna, o ile nie jest czystym snobizmem żadnego upokorzeń młodego pisarza, stanowi beznadziejny, rozpaczliwy koniec drogi skąd nie ma powrotu.

Istnieje jednak jeszcze jedna możliwość, która zależy wyłącznie od ludzkiej cechy zwanej przedsiębiorczością. Wbrew rozpowszechnionym poza komunizmem mitom, których źródłem jest marksistowska etyka teoretyczna, pieniądź ciągle jeszcze należy do podstawowych regulatorów życia w komunistycznym społeczeństwie. Posiadanie go nie gwarantuje wszelkich osiągnięć, lecz zapewnia wszelkie możliwe do uzyskania awantaże. Wszystko zatem sprowadza się do sposobów zdobywania pieniędzy możliwych do zastosowania w otaczającej rzeczywistości. Opuszczający szkołę młody człowiek widzi dobrze ubranych i odżywionych ludzi, nie obciążonych troskami materialnymi, osiągających z zastanawiającą łatwością samochód czy wyjazd zagranicę — szczyty powodzenia, niedosiężne marzenia milionów. Gdy zgodnie ze wpojonymi przez szkołę wyobrażeniami pyta, coż tak ważnego i pożytecznego dla społeczeństwa robią ci ludzie, że otrzymują aż tak wyjątkowe wynagrodzenie, nikt nie potrafi im tego dokładnie wyjaśnić. Sam fakt ich wyniesienia staje się równie niewytłumaczalny jak naturalny, albowiem kontrast społeczny, ów element komunalnego współżycia, który marksiści i komuniści przyrzekli wyeliminować z obrazu ich społeczeństwa, stał się w praktyce najbardziej wstrząsającym znamieniem ich społeczeństwa. Stopień wyniesienia jest rzeczą względną: tam, gdzie jeden samochód przypada na kilkanaście tysięcy mieszkańców, posiadanie Volkswagena równa się posiadaniu Rolls-Royce’a gdzie indziej. Dla młodego człowieka, obdarzonego tym co zwie się duchem przedsiębiorczości, rzeczą zasadniczą jest tedy odkrycie zakresu dozwolonego manewru. Należy go szukać, rzecz jasna, tam gdzie rozciąga się tzw. pograniczne legalności.

W demokracjach pojęcie legalności jest ściśle sprecyzowane, a zarazem bardzo szerokie. Człowiekowi i obywatelowi wolno jest wszystko co nie jest przestępstwem i nie popada w kolizję z prawem. W komunizmie to jest legalne, co partia komunistyczna uznaje za legalne, całkiem niezależnie od oficjalnie skodyfikowanych i obowiązujących praw. Partia zaś ma zwyczaj nieustannych zmian swych zasad legalności, ciągłego stwarzania i mnożenia nowych praw i przepisów, najczęściej popadających w sprzeczności i konflikty z już istniejącymi, których zniesieniem czy unieważnieniem nikt się nie kłopocze. I tak jednego roku wychodzi zakaz posiadania domów wyższych niż dwa piętra, następnego roku zostaje on zmodyfikowany do trzech pięter, wobec czego ludzi się jeszcze karze za przestępstwa wobec przepisu zeszłorocznego, który już jest nieważny, po to aby w roku następnym wrócić do zasady sprzed trzech lat, co sprawia, że w tym chaosie oskarżonym i ukaranym może być każdy, nawet właściciel jednoosobowego namiotu. W rezultacie, człowiekowi w komunizmie

nic prawie nie wolno, a to co dozwolone tonie we mgle dwuznaczności i dowolności interpretacji, z których każdy urzędnik i każdy milicjant może robić najdogodniejszy dla siebie użytek. Brak dowodu osobistego, który się zapomniało w domu, może być uznany za ciężkie przestępstwo przez złe usposobionego przedstawiciela władzy, podczas gdy kradzież kilku maszyn z państwowej fabryki może być wyinterpretowana jako usprawnienie produkcji. Wprawdzie konstytucje komunistyczne stwierdzają dumnie, że praca jest przywilejem, nigdzie nie jest powiedziane, że próżnowanie jest zakazane, lecz gdy ktoś kto nie jest emerytem lub chorym, nie pracuje, otacza go atmosfera nielegalności. Zresztą nikt nigdy nie przyznałby się do tego, że nie pracuje, i każdy szuler czy sutener ma w kieszeni formalne zaświadczenie, zaopatrzone w niezliczone urzędowe pieczęcie, że jest hydraulikiem bądź sprzedawcą w państwowym sklepie wózków dzieciennych Kawiarnie w stolicach komunistycznych pełne są zawsze ludzie w sile wieku i zdrowia w godzinach, gdy reszta kraju tętni gorączkową pracą, ale należy przypuszczać, że każdy z rozpartych leniwie przy stoliku obywateli ma w kieszeni odpowiedni dokument, zaświadczaający jego udział w wysiłku produkcyjnym narodu.

Rzecz jasna, że ci lokalni playboye i epikurejczycy, ubrani w zachodnią odzież i popijający zachodnie trunki, muszą skądś zdobywać na to środki. Zdobywają je z umiejętnej eksploatacji pogranicza legalności. Posiadanie tzw. stosunków jest metodą najprostszą. W komunizmie wszyscy nieustająco czegoś potrzebują: przydziału mieszkania, zdobycia łóżka w szpitalu dla chorej matki, paszportu zagranicznego, pomocy w walce z oszalałą biurokracją, protekcji dla syna w zdobyciu posady lub wstępu na uniwersytet. Wszystko to można osiągnąć przy pomocy przekupstwa i łapówek, a specjalistami od bezszmerowego, łatwego i sprawnego załatwiania są właśnie ludzie z kawiarni, doskonale ubrani i równie dobrze zabezpieczeni przed ewentualnymi prześladowaniami ze strony prawa. Od chwili gdy pierwsze, porewolucyjne społeczeństwo podzieliło się na *pays legal* i *pays réel*, co stało się natychmiast po dokonanej rewolucji czy po narzuceniu jej z zewnątrz, w każdym kraju komunistycznym rozpoczęły cyrkulację dwie waluty. Jedna, otoczoną powszechną nieufnością i pogardą, jest oficjalna waluta państwowa — rubel, złoty, forint, korona itd. — drugą, cieszącą się mistycznym uwielbieniem i bezgranicznym zaufaniem jest amerykański dolar. Dolar jest symbolem dostatku i solidności, jedynym łącznikiem pomiędzy światem nędzy i niepewności jutra, a światem ustalonych i zabezpieczonych wartości, pewne przedmioty i usługi otrzymać można wyłącznie za dolary. To wszystko sprawia, że posiadanie dolarów jest zakazane, zaś obrót nimi surowo karany. Ale od czego ludzie z kawiarni. Biorą na siebie brzemień handlu i prześladowań, wobec tego wynagrodzenie ich musi pozostawać w proporcji do ich ryzyka. Zresztą samo ryzyko można wydatnie zredukować poprzez zdolność do moralnych kompromisów, która wydaje się być ich kwalifikacją zawodową, czasem nawet prawdziwą naturą. Ich prześladowcą jest milicja i policja polityczna, cóż więc prostszego jak postarać się o poprawne stosunki z prześladowcami, którzy są zawsze zgłodniałymi informacjami o poddanych swej pieczy obywatelach. Najprostszy schemat zatem wygląda tak: policja doskonale wie kto handluje walutą, oczekując drobnych usług od handlującego w zamian za powstrzymanie się od doraźnych prześladowań; ten zaś nie waha się przed zawieraniem policji najdroższych tajemnic swojego zawodu; poza zabezpieczeniem sobie wolności osobistej liczy także nie bez słuszności, na to, że policjant, a zwłaszcza wyższy oficer, to też człowiek łaknący zabezpieczeń materialnych, a więc może i on coś od niego kupić. Niezależnie od transakcji indywidualnych, policja polityczna dokonuje czasem zakupów masowych na finansowanie swych agentów na kapitalistycznym Zachodzie, co raz jeszcze potwierdza jak dobrą ze wszech miar i korzystny rzeczą jest być w przyjaznych stosunkach z policją.

Na kapitalistycznym Zachodzie trzeba się grubo namęczyć i wykazać mnóstwo błyskotliwej pomysłowości aby być aferzystą: w grę wchodzi wyłącznie kombinacje pieniężno-prawne. Komunizm jest rajem dla aferzystów. W komunizmie oszust i niebieski

ptak ma przed sobą cudowne pole działalności ułatwionej, o jakiej jego kolega z Zachodu nawet marzyć nie może. Wystarczy kilka sloganów o proletariacie, imperialistach i walce klas by wzbudzać postrach, wymuszać zaufanie, terroryzować i zabierać łup. Dżungla zawężonej do minimum legalności jest rezerwatem nieprzebranych bogactw. Oszust w komunizmie nie sprzedaje cudownego leku na wszystkie choroby ludziom na głębokiej prowincji, ani nie sprzedaje fałszywych brylantów ciemnym wieśniakom, lecz wygłasza do nich grzmiące przemówienia o podżegaczach wojennych i zarządza zbiórkę na Wietkong i ofiary amerykańskiego militarizmu. Szalbierz w kapitalizmie boi się oszukiwanych i policji, w komunizmie oszukiwani i policja boją się szalbierza — za jego kłamstwami stoi wszechmocny i przenajświętszy autorytet Wiary i Ideologii. Komunizm roi się od Gogolowskich Rewizorów. Zamiast udawać szlachcica czy dygnitarza, udaje się idealistę. To przebranie otwiera wprost nieograniczone możliwości. Można na przykład pisać poematy o słońcu socjalizmu, w którym grzeje się ludzkość. Można, jak to uczynił pewien młody człowiek w Rumunii, napisać do jednej ze stołecznych gazet z prośbą o legitymację korespondenta terenowego. Otrzymał on ją bez trudności, komunistyczna prasa korzysta bowiem namiętnie z pomocy tysięcy bezpłatnych korespondentów, których zadaniem jest informować centralę o tym, że w lokalnym miejskim parku postawiono trzy nowe ławki dla uczczenia urodzin Lenina. Z legitymacją udał się na zapadłą wieś, gdzie zgłosił się do gminnej rady narodowej, w której przedstawił się jako dziennikarz ze stolicy. Nazajutrz wypadało święto państwowe, więc tak wybitny gość zaproszony został do prezydium uroczystej akademii, gdzie wygłosił grzmiące przemówienie o urokach socjalizmu i wielkości partii. Wieśniacy, oszołomieni rozmiarami jego dewocji i pryncypialności, doszli do wniosku, że musi on być człowiekiem potężnym i wpływowym, toteż w ciągu następnych dni młody człowiek wrywany był sobie przez miejscowych notabli, spijał ich najstarsze trunki i kochał ich córki. Początkowo odmawiał przyjmowania drobnych podarunków, ale gdy go niemal na klęczkach błagali ażeby pomógł ludowi pracującemu, zdecydował się uciszyć w sobie głos idealistycznego sumienia i przyjął okazałą sumę pieniężną dla dokonania zakupu nawozów sztucznych, o które chłopci daremnie walczyli od lat. Po czym, żegnany czule, zniknął. Zgubił go sentymentalizm: w kilka tygodni potem napisał do swych dobroczyńców o tym jak ceni ich ducha solidarności z nieposiadającymi, dzięki któremu przemienił się w posiadającego, zaś zamiast nawozów sztucznych, o które trudno tak samo w stolicy jak na prowincji, przesyła im komplet dzieł Józefa Stalina. To wystarczyło by policja wkrótce zapukała do jego drzwi w wytwornym hotelu jednego z nadmorskich uzdrowisk. Nie wszyscy współcześni Rewizorowie rządzą się jednak odruchami serca, zapewnia im to bezkarność i długotrwałe powodzenie. Niektórzy z nich noszą tytuły prezesów Komitetów Obrońców Pokoju i nigdy nie uciekają z miejsc, gdzie wyłudniają pieniądze od naiwnych. Są na oficjalnych państwowych posadach.

Zresztą pomysłowość ludzka w służbie przedsiębiorczości jest niewyczerpana, a kraj, w którym niczego nie ma w dostatecznej ilości, jest Eldoradem. Wystarczy stanąć rano przed kasą kina wyświetlającego atrakcyjny film i kupić 10 biletów, by wieczorem sprzedać je przed tą samą kasą z 500% zyskiem. Metafizyka i surrealizm gospodarki komunistycznej otwiera zupełnie nieograniczone możliwości przed człowiekiem chętnym do wysiłku. Nieprawdopodobna wprost prostota w przeciwieństwie do zachodniego wyrafinowania, tak dobrze znanego z brytyjskich filmów o kombinatorach, jest w komunizmie źródłem najwspanialszych sukcesów. Szczyt w tej dziedzinie osiągnął niegdyś pewien Polak, który przeczytał ogłoszenie o nadzwyczajnej akcji skupu butelek w związku z niedoborem tego przedmiotu w planie gospodarczym i na rynku. Udał się zatem do najbliższego sklepu spożywczego, gdzie stwierdził, że cena butelki z pewnym płynem, określanym jako zupa, jest niższa od ceny płaconej za butelkę przez władze gospodarcze. Nie wahając się tedy przed inwestycjami, wykupił ów produkt ze sklepów całego miasta i okolicy, zupę wylał do

rynsztoka, a butelki sprzedał państwu z imponującym zyskiem. Zważywszy, że zupa fabrykowana była przez państwowe przedsiębiorstwo, czyli że te butelki należały także do państwa przed sprzedażą ich państwu, przyznać trzeba, że młodzieniec ów przejawiał cechy geniuszu. Zamiast jednak ustanowić go ministrem handlu aresztowano go w imię zupełnie pozaekonomicznych kryteriów.

Słynna socjomoralna zasada, że „kto nie pracuje ten nie je”, na której marksizm oparł całą swoją potęgę potępienia kapitalizmu, uległa w komunizmie dziwnemu rozkładowi. Według tego jak sprawy stoją aktualnie, kto pracuje je w komunizmie mniej, zaś ten kto nie pracuje, ma więcej czasu na to ażeby załatwić sobie różne rzeczy, pozwalające mu jeść więcej i lepiej. Niemal każdy młody człowiek, opuszczający mury szkolne, wie o tym za dobrze. Nie wszyscy jednak umieją z wiedzy tej wyciągnąć odpowiednie wnioski. To ograniczenie umysłowe kieruje ich najczęściej w stronę uniwersytetu.

JAK PRZEJŚĆ PRZEZ UNIWERSYTET NIE STRACIWSZY WIARY W ŻYCIE

Jest to niemożliwe. Właśnie uniwersytet jest miejscem gdzie traci się wiarę w życie. Niektórzy sądzą, że jest on instytucją przeznaczona do tej funkcji zgodnie z utajonymi dyrektywami ideologii. Być może, że najwięksi spośród teoretyków, sięgając swą zwycięską myślą w otchłanne głębie rozumowania, postanowili przekształcić go w wielką akademię rozczarowania po to aby pomóc w przemianie dotychczasowego człowieka i zbudować nowego — człowieka socjalizmu. Oficjalne zapewnienia o humanistycznych celach uniwersytetu mogą być tylko kamuflażem, nieodzownym w epoce przejściowej, taktyczną koncesją dla uświęconych przez wieki przekonań. Uniwersytet i współżycie z nim studenta tak są skonstruowane, że zarówno młody idealista jak i młody konformista dowiadują się na nim o przydatności swoich postaw. Młody idealista uczy się szybko, że zarówno jego sposób myślenia i odczuwania, jak i jego zamiary, rozmiągają się z sensem życia przekazywanym mu przez wiedzę, z której uczelnia fest dystrybutorem. Młody konformista, który liczy na absolutyzm oświecony komunizmu i możliwości dialogu w ramach akceptacji zasad, uczy się pierwszych goryczy konformizmu. Szybko dowiaduje się, że zdrowy rozsądek oportunizm oraz inteligentny cynizm — czyli podstawy wielu udanych cywilizacji — nigdzie go w komunizmie nie zaprowadzą, że wymagane jest ślepe poddanie się dogmatom, zaś najlepszym tworzywem karier, nawet w nauce, jest czasem zwykła głupota. Naiwni obserwatorzy spoza zasięgu komunizmu wzruszają w tym momencie ramionami, uważając za niemożliwe, ażeby nonkonformizm, postawy moralne, oportunizm i głupota miały jakiś wpływ na osiągnięcia i powodzenie w matematyce, technologii, chemii, czy inżynierii lądowej. Ci, którzy żyli w komunizmie przez wiele lat, mieli możność przekonać się jak dziwne są koleje losów matematyków, chemików, technologów i inżynierów, i jak często ignorant i szarlatan zwyciężał z mądrzejszym i lepiej kwalifikowanym. Co nie znaczy, że sam był raz na zawsze zabezpieczony przed upadkiem; nie — lecz jeśli upadał, to nie przez ignorancję, szarlatanerię, ani za błędy wobec nauki, czy swego wyuczonego zawodu.

W ciągu 50 lat Zachód obserwuje ze zdumieniem zjawisko nieustannego exodusu z krajów opanowanych przez komunizm. Początkowo, w okresie rewolucji rosyjskiej i bezpośrednio po niej, uciekali ludzie określani jako wrogowie klasowi: bogacze, ziemianie, przemysłowcy, wojskowi, wysocy urzędnicy *ancien regime'u*. Uciekało także mnóstwo inteligencji — przedstawicieli specyficznej dla Europy centralnej i wschodniej klasy społecznej, która czerpie swe dochody i zawdzięcza swój wysoki status społeczny wykształceniu — ale nie określali oni charakteru pierwszej fali emigracji. W owym czasie lewica polityczna na Zachodzie miała łatwe zadanie w wyjaśnianiu i ocenie zjawiska: mówiło się po prostu, że ze wszech miar usprawiedliwiony przewrót wyrzuca pasożytnicze grupy społeczne na śmietnik historii. W tym czasie Lenin ogłosił jednak, że państwo robotników i chłopów widzi w owej części inteligencji, która skłonna jest uznać przywództwo i nienaruszalny prymat komunizmu i partii, swego najdroższego sojusznika i brata. Taka inteligencja miała się odtąd stać nieodzowna dla budowy i ostatecznego zwycięstwa socjalizmu i nazywać się pracującą inteligencją — jakby dotąd inteligencja nie pracowała, nie stworzyła marksizmu, nie dokonała rewolucji i nic była kolebką rodzinną samego Lenina.

Dumny z precyzji swej terminologii leninizm nie potrafił też już nigdy wytłumaczyć dlaczego antykomunistyczny pisarz, żeby nawet całe swe życie pracował jak mrówka i napisał 100 tomów, jest niepracującym inteligentem. Wkrótce też wytworzyła się sytuacja paradoksalna: tej części inteligencji, która połąkła komunistyczną świętą komunę ochoczo i bez symptomów mdłości, zaczęło powodzić się doskonale, nieporównanie lepiej niż

robotnikom i chłopom, których własnością państwo socjalistyczne miało być w założeniu. Konsekwencje tego zjawiska wprawiły klasyków w osłupienie: okazało się, że w krajach gdzie sprawują władzę partie komunistyczne, zawierają przygniatająco większy procent biurokratów i pracowników aparatu, niż robotników i chłopów — fakt skrzętnie skrywany w oficjalnych statystykach. Zaś urzędnicy od dawna uważani są w krajach Europy wschodniej i Rosji za przedstawicieli inteligencji, albowiem już średnie wykształcenie w tych krajach, czego symbolem jest tzw. matura, kwalifikuje zwyczajowo do tytułu inteligenta.

Paradoksy zresztą pogłębiały się nieustająco. Wraz ze wzrostem społecznego znaczenia inteligencji szła w parze jej bezbronność, słabość, dwuznaczność jej pozycji wobec proletariacko-partyjnej władzy. Pozycja robotnika jest jednoznaczna, determinuje ją nienaruszalny fakt wykonywanej pracy. Pozycja chłopu w układzie nowego społeczeństwa, mimo że bardziej złożona, została dokładnie opracowana przez klasyków. Inteligencja opatrzona została owym chytrym, przewrotnym przymiotnikiem — o tym jednak, czy jej indywidualny przedstawiciel należy do pracującej inteligencji orzeka doraźnie władza, bez możliwości odwołania się do świętych zasad kanonu. Nieposłuszny lekarz, profesor uniwersytetu, czy nauczyciel okazuje się natychmiast reliktem kapitalizmu, chłepczącym krew proletariatu i tuczącym się wyzyskiem, nawet gdyby zachorował z przepracowania. Unieszkodliwienie go w imię interesów ludu pracującego, czyli wyrzucenie z pracy i pozbawienie środków do życia, jest fraszką, nie pociąga żadnych przeciwdziałania bezprawiu, czy protestu, nawet jeśli potępiony byłby Emsteinem.

Ten stan rzeczy zrodził nowe zjawisko, na które lewica polityczna na Zachodzie patrzy z zakłopotaniem, niczego nie rozumiejąc, ani nie potrafiąc wyjaśnić — mianowicie exodus inteligencji. Od długich dziesiątków lat uciekający z komunizmu to przede wszystkim inteligenci: inżynierowie, architekci, lekarze, prawnicy, ekonomiści, artyści, intelektualiści, profesorowie wyższych uczelni. Narzucenie komunizmu krajom Europy wschodniej, daleko głębiej związanych z losem Europy niż sama Rosja, zwielokrotnił ten proces do rozmiarów dramatycznych, wstrząsających, nieznanych światu sprzed II wojny światowej. Same Niemcy Wschodnie, dopóki nie wybudowały muru w Berlinie, straciły około 20% ludności w wyniku ucieczek indywidualnych, łatwiejszych ze względów geograficznych, niż ucieczki z innych krajów. Utało się tam, że młody Niemiec po ukończeniu szkoły średniej czy uniwersytetu, jeśli chce dalej żyć i rozwijać się normalnie, powinien uciekać do Niemiec Zachodnich. Tym samym, młodzi Niemcy, pozbawieni prawa głosu w swych miejscach rodzinnych, głosowali przy pomocy nóg, w wyniku czego dzisiejsze Niemcy Wschodnie są jakby krajem wyludnionym, co łatwo dostrzega każdy podróżny. Względne polepszenie się stosunków polityczno-społecznych w Polsce i na Węgrzech po 1956 roku, a w parę lat później w Czechosłowacji, które umożliwiło swobodniejsze podróżowanie zagranicę poddanym tych krajów, przyniosło ze sobą zdumiewającą falę niemal masowych ucieczek. Wśród tych, którzy „wybierali wolność”, prosili o azyl, odmawiali powrotu do swych komunistycznych ojczyzn przygniatającą większość stanowiła inteligencja pracująca. Czy znaczy to, że inteligencja i chłopu czują się lepiej w komunizmie? Raczej znaczy to, że inteligencja, której indywidualni reprezentanci odznaczają się *per definitio* większą ruchliwością umysłową, czy łatwością decyzji, trudniej godzi się ze swoim losem i usilniej poszukuje dróg wyjścia, nawet za cenę życiowego ryzyka. Ale zjawisko to jest głównie pochodną tragicznej i absurdałnej walki na śmierć i życie w jaką inteligencja uwiękła jest przez komunizm, a która przypomina apokaliptyczno-groteskowe *perpetuum mobile*. Walka ta, bez szans na zwycięstwo żadnej ze stron, rodzi wśród inteligencji nastroje katastrofizmu, świadome lub podświadome poczucie nieuchronnej zagłady tych wszystkich treści i wartości intelektualno-moralnych, które stanowią o samym istnieniu inteligencji jako grupy społecznej, bądź, idąc głębiej, określają substancję i istotę wszelkiej działalności umysłowej człowieka. Mówiąc prościej: wydaje się, że ideałem komunistów byłoby posiadanie inteligencji, która by nie myślała. Albowiem każdy

kto żyje w komunizmie przekonywa się w krótkim czasie, że za najzacieklejszego swego wroga komunizm uważa nie faszyzm, ani bombę wodorową w rękach imperialistów, ani agenta CIA, lecz zwykłej myśli ludzkiej, nawet nie najwyższego lotu, potrafiącej jedynie poddać krytyce bezsensowne twierdzenia o mocy dogmatu. Że zaś nie myśleć, chcąc jednocześnie uprawiać zawód zależny od pracy mózgu, nie można, przeto konflikt jest nieunikniony i fatalny. Komunizm wie o tym dobrze, ale przeciętny młody człowiek dowiaduje się o tym dopiero na uniwersytecie.

Lenin i Stalin, dorzynając resztki opornej inteligencji rosyjskiej przy pomocy masowych egzekucji lub skazując je na wymarcie w syberyjskich obozach koncentracyjnych, powtarzali uparcie, że Stworzą i wychowają nową, socjalistyczną inteligencję — synów i córki prawowiernych proletariuszy i chłopów. Komunistyczni wielkorządcy, przejmujący władzę nad Europą wschodnią z rąk generałów Czerwonej Armii i NKWD, zawierali obłudne pakt z inteligencją tych krajów, przyrzekając przywileje i szacunek. Polska, czeska czy węgierska inteligencja nie przeszła przez piekło rewolucji i stanowiła wówczas zwarte i silne grupy o ogromnych wpływach społecznych, a w krajach gdzie robotnicy i chłopowie nienawidzili i bali się nowych porządków i nowych władców, przedstawiała jedyny rezerwuare potencjalnych sojuszników. Niemniej traktowane były z nieufnością i komuniści bynajmniej nie ukrywali, że od razu przystąpią do wychowywania własnej inteligencji, a gdy tylko wychować, pozbędą się z ulgą starych.

Uniwersytety więc stały się otworem przede wszystkim przed dziećmi partyjnej elity i partyjnego aparatu, a także przed potomstwem tzw. upośledzonych dotąd klas społecznych, któremu — jak sądzono — zdołano zaszczepić tzw. świadomość klasową w szkole średniej i w politycznych organizacjach młodzieżowych. Sądzono także, zgodnie z marksistowskim pojęciem psychologii, że nieważny jest wrogi (albo, jak go oficjalnie nazywano: nieświadomiony) stosunek robotniczej czy chłopskiej rodziny do komunizmu, albowiem świadomość klasowa jest elementem organicznym, i dziecko robotnika, nawet z nierozbudzoną świadomością, będzie zawsze reagowało prawidłowo na impulsy ideologii, zgodnie ze swą klasową przynależnością. Miało to tyle wspólnego z psychologią, co wyganianie diabła ze schizofrenika przy pomocy egzorcyzmów. Rezultaty okazały się identyczne w Rosji jak i w reszcie Europy wschodniej, mimo różnicy metod. Nowa inteligencja, pokolenie dzieci komunistów u władzy i mitologicznie pojętego Robotnika i Chłopa, wypełniła wkrótce łagry na Syberii, opróżnione nieco po śmierci Stalina, zrodziła powstanie na Węgrzech, zainicjowała reformę czechosłowacką i wywołała wielką wojnę studentów polskich przeciw komunizmowi. W ostatnim czasie polscy komuniści rozpoczęli prześladowanie i wypędzanie Żydów na skalę nieznaną od czasów Hitlera. Żydzi stanowili pokaźny procent inteligencji tego kraju i akcja ta symbolizuje poniekąd dążenia i marzenia wszystkich rządzących komunizmem: odciąć inteligencję, ów wieczny rozsądnik myśli, aspiracji i idei, od żywego ciała społeczeństwa, skłócić ją ze społeczeństwem, unicestwić poprzez uwięzienie, wygłodzenie lub wypędzenie z kraju, niwecząc jednocześnie sympatie dla niej wśród szerokich mas — co tak łatwo udało się z Żydami w antysemickim otoczeniu. Zaś na jej miejsce ulepić Nową Inteligencję, bez reszty posłuszną, przydatną dla celów doktryny, polityki, władzy. Mają tego dokonać nieustannie reorganizowane uniwersytety, wypełnione ciągle nowymi profesorami, których lojalność badana jest skrupulatniej niż atomowe reaktory. W ten sposób produkuje się ciągle nowe pokolenia nowej inteligencji, które nieodmiennie i ciągle tak samo pytają, dlaczego jest tak jak jest — po czym zwracają się przeciw komunizmowi. I będzie tak zawsze, dopóki komuniści nie zrozumieją, że żaden system władzy w historii człowieka nie odniósł zwycięstwa nad myślą człowieka, która zawsze zwracać się będzie przeciw pseudoprawdą, bezbronną wobec rozumu i dlatego chronioną przez policję.

Komunizm twierdzi, że jego celem ostatecznym jest przeobrażenie stosunków ludzkich w duchu równości i sprawiedliwości, że wrogiem jego jest wyzysk i krzywda. Są to piękne i dalekosiężne cele. Nawet mając własne zdanie co do ich osiągalności, każdy wstępujący na studia wyższe skłonny jest je zaakceptować i współdziałać w ich urzeczywistnieniu. Szybko jednak przekonuje się, że uniwersytet wyrusza nie na krucjatę przeobrażenia świata, lecz ogranicza się do wysiłku przeobrażenia jego samego i to w sposób zasadniczo różny od tych zasad wychowania i edukacji, które legły u podłoża cywilizacji i kultury. Student nie otrzymuje więc prawa do indywidualnego rozwoju i konsekwentnie zeń wynikających przemian umysłowych. Jego profesor nie interpretuje przekazywanej wiedzy obiektywnie, lecz ogłasza ustalone nie przez siebie samego formuły. Argumenty przeciwnego poglądu nie są podawane do wiadomości, wnioski nie są dyskutowane. Jednostronność uważana jest za triumf właściwego światopoglądu, filozofii, teorii, metodologii. W bibliotekach nie ma książek traktujących o całokształcie zagadnień — brak tych, które mogą dostarczyć argumentacji nieprzychylnej dla oficjalnego poglądu nazywa się rozgromieniem fałszywych twierdzeń.

Na Zachodzie wie się mało, albo i nic, o fakcie że każda rządząca partia komunistyczna dochodząc do władzy sporządza czarną listę książek zakazanych — zupełnie jak Święta Inkwizycja i Hitler. Książki są tropione jak przestępcy, usuwane z bibliotek, palone masowo na stosach i w piecach. Są też zamykane w więzieniach. Każda biblioteka ma tzw. dział prohibitów, czyli takich książek, które student czy pracownik naukowy otrzymać może tylko za specjalnym pozwoleniem partyjnych rządców uczelni. Kto jest w takich więzieniach? Bardzo różni przestępcy — od Epikura, poprzez św. Tomasza z Akwinu, do Dostojewskiego, Bakunina i Einsteina — zależnie od kaprysów ideologicznych lokalnych nadzorców umysłów.

W ten sposób student zaczyna być przeobrażany i przebudowywany na wzór teoretycznie wykoncypowanego modelu człowieka. Model ten, z kolei, nie jest fundamentalnie opracowany, jego logiczne i etyczne założenia są zaledwie szkicowo i pobieżnie zarysowane przez klasyków. W swych najbardziej strukturalnych i funkcjonalnych złączach i spójniach jest on determinowany doraźnie przez polityczne konieczności grupy rządzącej. I tak, zależnie od sytuacji, wymagane jest od studenta kardynalne potępienie biologii jako nauki niezgodnej z socjalistycznym światopoglądem, uznanie psychologii za relikwiny średniowiecznej ciemnoty umysłowej, lub bezapelacyjne zaakceptowanie twierdzenia, że Tito był agentem Intelligence Service. Nie znaczy to wcale, że za rok twierdzenia te nie zostaną anulowane i student nie zostanie wezwany do usilnych studiów nad biologią, rdzeniem materializmu filozoficznego, pouczony o tym, że propedeutyka psychologii zawarta jest w dziełach Lenina i Stalina, Freud zaś sfałszował ją na użytek kapitalistów, oraz że Tito jest starym, wypróbowanym bohaterem rewolucji. Student więc musi się zgodzić na to, że będzie zmieniany wiele razy w okresie studiów w całkiem sprzeczne z sobą wzorce człowieka i obywatela i kształtowany bez udziału własnej władzy sądenia. To zasadnicze naruszenie prawa do indywidualnego rozwoju, kamienia węgielnego europejskiej cywilizacji, z którego wyrosła cała jej chwała z marksizmem włącznie, jest dogłębne, lecz zrazu trudno zauważalne. Odmowa przywileju do własnego doświadczenia umysłowego jest bolesnym okaleczeniem jednostki, lecz dopiero z naturalnego odruchu niezgody na nią wynikają rzeczy fatalne.

Abstrahując od prześladowań konkretnych, jak usunięcie z uczelni, pozbawianie stypendiów, przymusowe wcielenie do wojska na wiele lat, ruina zamiarów na przyszłość — niezgoda na proponowane przez komunistów widzenie świata wiąże się z obezwładniającym poczuciem wymuszonej alienacji, osamotnienia, bezsilności. Jednym z najskuteczniejszych narzędzi konstrukcji nowego człowieka jest zakorzenienie w nim przekonania o bezskuteczności jakiegokolwiek oporu. Fałszowanie historii może budzić gniew lub szyderstwo, lecz przeświadczenie, że nie sposób jest fałszerstwa sprostować pogrąża studenta

w nastrojach frustracji, która — pomnożona przez liczbę studiujących — staje się zjawiskiem społecznym, niebezpieczeństwem godzącym w ostatecznym rozrachunku w samych komunistów.

Komuniści znają siłę oporu, instynktownego i podświadomego, wobec swych zamierzeń i praktyk, wypracowują więc skomplikowane przeciwdziałania, których główną osnową jest skrupulatnie przemyślany zamęt pojęć, bezbłędnie wykoncypowane przeinaczenie, zasób wiadomości tak odwrotnych, sfalszowanych, błędnych i zniekształconych, że walka o ich sprostowanie staje się niemożliwa bez zasadniczego buntu przeciw wszystkim kryteriom. Ta technika pozwala z kolei przedstawić nieświadomą zgodę jako świadomy wybór, dezorientację jako koherentną syntezę faktów i przekonań, brak wiedzy — jako samą wiedzę. Ktoś, kto nie żył w komunizmie, nie ma i nie może mieć pojęcia o tym jak tam się nie żyje. Jak bardzo, jak daleko, jak głęboko. Jak cały gigantyczny aparat do zaciemnień, do zasłondymnych, do produkcji niewiedzy pracuje tam na pełnych obrotach przez całą dobę. Bardzo inteligentny student nie ma tam na ogół zielonego pojęcia o czasie historycznym swoich rodziców: każdy odcinek historii, wiedzy o społeczeństwie, kultury bieżącej zostaje natychmiast zdekatyzowany na doraźny chwilowy użytek, wymielony i rozgnieciony tak, ażeby nie przylegał w jakikolwiek sposób do prawdy w świadomości studenta. Niesamowity transformator prawd, wynaleziony przez Lenina, a udoskonalony mistrzowsko przez Stalina, pracuje dzień i noc nad tym procesem odcinania, wykreślenia, wywabiania plamoznikiem, zabijania milczeniem, zadeptywania ludzi i faktów skazanych na niebyt. Sukcesy osiągnięte po 50 latach są fantastyczne. Konstrukcja społeczeństw, w których wiedza o życiu i świecie odcięta od przeszłości i historii, zaczyna się wraz z początkiem świadomości każdego człowieka, jest dokonaniem, wobec którego Orwell wydaje się zeszytowym science-fiction. Osiągnięcia przeciwników zawsze przedstawiane są jako ich klęska, nawet jeśli gwałci to podstawy zdrowego sensu. Ciekawe, co powiedziałby student amerykański, gdyby profesor usiłował go przekonać, że George Washington był komunistą, któremu tylko dystans w czasie przeszkodził w zapisaniu się do partii: prawdopodobnie zechciałby tę sprawę przedyskutować. Student czeski czy polski może się tylko uśmiechnąć.

Nieomyślność jest właściwością podejrzaną i odpychającą, pachnącą fideizmem, dla którego nie ma dziś miejsca na współczesnym uniwersytecie. Nauka i wiedza dokonały w zachodniej cywilizacji oszałamiającej kariery właśnie na prostowaniu omyłek; reguła według której do najślusznieszych wniosków i sądów dochodzi się poprzez spór z najnieslusznieszymi twierdzeniami zaakceptowana została w głębokiej starożytności. Prawo do błędu, niekaranego inaczej niż przez udowodnienie go, stanowi jedno z najcenniejszych narzędzi postępu, nieodłączne od podstawowych zasad poszukiwania prawdy. Wszystkie światopoglądy i religie zaczynały swój upadek, bądź dekadencję, od proklamowania własnej nieomyślności i odmowy prawa do omyślności innym. Komunizm uważa się za najwspółczesniejszy światopogląd naukowy, popada więc w niesłychane kłopoty i gubi się w sprzecznościach stając przed zagadnieniem nieomyślności. Jako ideologia totalitarna i monopolistyczna musi on walczyć na dwa fronty: nie może sobie pozwolić ani na przyznanie się do własnych błędów, ani na nazwanie ich błędami, i musi karać błędy innych, nawet, jeżeli polegają one wyłącznie na dostrzeganiu błędów komunizmu. Niewiara w komunizm jest największym błędem i nikt do niej nie ma prawa, nawet jeśli błędy komunizmu ją ze wszech miar usprawiedliwiają. Ale błąd jest błędem wtedy tylko, jak to zauważył pewien polski pisarz, gdy można go publicznie wytknąć; gdy nie można, nie ma też błędu, a Zaczyna się nieomyślność komunizmu — to znaczy istnienie błędu, o którym wszyscy wiedza, że jest, lecz o którym nikt nie ma prawa mówić. W takim klimacie rola i znaczenie uniwersytetu sprowadzają się do stwierdzania, że człowiek oddycha, ziemia zaś przyciąga, co nie grozi żadną omyłką. Aby nie popaść w zupełną śmieszność, komunizm zasłania swą nieomyślność nienaruszalnością praw historii i walki klas, której mieni się jedynym obowiązującym

odkrywcą i interpretatorem. Wynika z tego sytuacja paradoksalna: zabsolutyzowana przez marksizm historia rejestruje pomyłki partyjnej doktryny — jak wybuch pierwszej rewolucji proletariackiej w kraju rolniczym, lub niezliczone katastrofy gospodarcze w ZSRR — ale w pojęciu partii stanowi nienaruszalny instrument nieomyłnej wiedzy o przyszłości, wyznaczający losy społeczeństw, jednostek, pojęć intelektualnych i moralnych, nauki i wiedzy. ¹ Ponieważ historia się nie myli teraz, lecz zawsze kiedyś, j przeto Partia, jej Wielki Plenipotent nie myli się nigdy bieżąco, aktualnie, teraz i tu, natomiast ma dyskretne prawo do niezliczonych i fatalnych omyłek w przeszłości, zwolniona jest jednak przy tym tak z konsekwencji tych omyłek, jak i z naturalnego obowiązku skromności jaki wydawałby się zrozumiały u kogoś kto mylił się tak często, tak obficie i tak głęboko. Partia sama sobie udziela absolucji i sama siebie rozgrzesza, co sprawia, że błąd jest tylko wtedy obiektywnym błędem, czyli że ma się do niego prawo, gdy partia go za taki uzna.

Skutki tego stanu rzeczy dla nauki, wiedzy, uniwersytetów, nauczania i studiujących są przerażające. Łatwo jest je prześledzić na klasycznym przykładzie linii prostej. Linia prosta, jak to powszechnie wiadomo, służy najkrótszemu połączeniu dwóch punktów w przestrzeni. Z tej funkcji wynika jej utylitaryzm matematyczny, filozoficzny, poznawczy, cywilizacyjny, kulturowy, społeczny. W komunizmie linia prosta służy przede wszystkim dobru komunizmu. A zatem dobru partii i jej kierownictwa. Jej następnym zadaniem jest wykazywanie wyższości ustroju komunistycznego nad każdym innym. Następnie — służba wyzwolonemu z więzów ludowi, ale nie jego wrogom. Wreszcie — służy także połączeniu dwóch punktów w przestrzeni. Powyższe zasady mają moc uniwersalną, lecz w żadnej dziedzinie życia nie występują z taką wyrazistością i nie kreują większego chaosu niż na uniwersytecie. Ich dialektyczny schemat, przeniesiony na studia farmaceutyki, literatury czy fizyki teoretycznej pozwala zrozumieć co myśli i czuje student w komunizmie. Jeden z nich wypowiedział kiedyś słowa godne głębokiej uwagi: „Często zastanawiam się, czy Karol Marx był filozofem czy uczonym. Wydaje mi się jednak, że filozofem. Gdyby był uczonym, wypróbowałby swój system wpierw na zwierzętach...”

JAK KORZYSTAĆ Z WYNALAZKU TELEFONU

Pewien Czech powiedział: „tylko w komunizmie telefon jest naprawdę publiczną instytucją. Każdy kto rozmawia przez telefon może być pewny, że rozmowa jego nie należy tylko do niego, lecz staje się własnością społeczeństwa” W słowach tych zawiera się szereg mądrości; najgroźniejsza z nich jest ta, która wskazuje na przedziwną współzależność pomiędzy marzeniem a rzeczywistością w życiu duchowym teoretyków późnego marksizmu. Marzą oni tkliwie o tym, ażeby społeczeństwo kochało policję polityczną i inne organy bezpieczeństwa i uważało je za swój najdroższy skarb. Z punktu widzenia tych marzeń podsłuchiwanie rozmów prywatnych i utrwalanie je na taśmach magnetofonowych służy podsłuchiwanym i chroni ich przed pokusami intymności, a zatem pomnaża dorobek społeczny. Tradycje tych marzeń są odległe i sięgają starorusyjskich masochizmów z czasów Iwana Groźnego, który uczył swoich poddanych, że nie ma nic rozkoszniejszego niż być kopanym w twarz przez swego cara, który — przyznać tu trzeba — doszedł do pewnych rezultatów w zakorzenieniu takich uczuć w duszach Rosjan Ale we wschodniej Europie rozbieżność interesów społeczeństwa z interesami komunistów rzuca się w oczy już noworodkowi po opuszczeniu łona matki, a otwarty konflikt ludzi z policją, które; głównym zadaniem jest wymuszanie ich posłuszeństwa dla komunistów, stanowi rodzaj tlenu, którym oddychają wszyscy wokół.

W Ameryce dyskutuje się publicznie wątpliwości moralne podsłuchiwania przestępców i kryminalistów, których antyludzka i antyspołeczna postawa jest dla wszystkich oczywistością. Znaczna część społeczeństwa amerykańskiego uważa, że podsłuchiwanie nawet w dobrej sprawie jest etycznie nie do przyjęcia i walczy się z tą praktyką. W komunizmie podsłuchuje się każdego co do kogo istnieje najbliższe podejrzenie, że nie lubi komunistów, czyli — w praktyce — około 90% posiadaczy aparatów telefonicznych, albowiem taki jest na oko procent ludzi mających coś przeciw komunistom w całym społeczeństwie, ale nikt tego nigdy nie mógł wymierzyć dokładnie ze względu na brak wolnych wyborów. Podsłuchuje się także z uwagą tych, którzy lubią komunizm, a nawet go kochają, bo nigdy nie ma pewności co do tego czy naprawdę kochają, czy może tylko udają że kochają — i tylko umiętny podsłuch może takie wątpliwości rozwiązać. Z drugiej strony, jak to wszyscy dobrze wiedzą, uczucia ludzkie są niestałe — jednego dnia się kocha, a drugiego dnia nie — i wiedzę o tym też lepiej sobie zapewnić poprzez dyskretną kontrolę aparatu telefonicznego nawet najwyżej postawionych osobistości.

Oczywiście, jakakolwiek publiczna dyskusja na ten lemat nie wchodzi w rachubę, gdyż podsłuchiwanie jest z natury rzeczy działalnością potajemną i oficjalnie go nie ma, wobec tego najmniejsza wzmianka na ten temat w prasie zostałaby skonfiskowana przez cenzurę, a wypowiedziane publicznie na ten temat wątpliwości mogłyby przynieść nieostrożnemu ładnych parę lat więzienia. Orgia podsłuchiwania szaleje zwłaszcza w Rosji, gdzie nauczono się wyrabiać masowo elektroniczne narzędzia inwigilacji, zaś władze traktują ich produkcję jako artykuł pierwszej potrzeby, ważniejszy od płatków owsianych dla dzieci. W tej chwili jest już rzeczą powszechnie wiadomą, że elektroniki używa się tam dla kontroli każdego kroku każdego człowieka, który zapisany zostaje w kartotekach policji politycznej jako „interesujący”, że zaś zainteresowania policji politycznej są w komunizmie niezmiernie szerokie, przyjąć trzeba, że procent inwigilowanych przekracza najbardziej pesymistyczne prognozy.

Inne kraje komunistyczne ustępują. Rosji w tych osiągnięciach, niemniej aparatura podsłuchowa oplata tam wszystkie ważniejsze instytucje polityczne, społeczne i gospodarcze oraz niezliczona, ilość prywatnych aparatów tych wszystkich, którzy coś znaczą w życiu narodu, a więc i samych najważniejszych komunistów. Ludzie, ze swą niezłomną inwencją w

pokonywaniu parszywości życia, nauczyli się nawet pewnej koegzystencji z tym stanem rzeczy, a nawet doszli do metod pozytywnego wykorzystywania jego nieprzewidzianych właściwości. Pewien polski inżynier, który nie mógł przez długi czas nikogo zainteresować projektem jakichś ulepszeń, zaczął w rozmowach telefonicznych rozpowiadać szczegóły swego wynalazku; ponieważ w komunizmie nawet drobne usprawnienie w pracy młynka do kawy uważane jest za tajemnicę państwową, więc facet został natychmiast aresztowany i dzięki temu dostał się do właściwych ludzi, którzy zainteresowali się głęboko jego ideami. Skoro publiczna i dogłębna wymiana poglądów jest; niemożliwa ze względu na cenzurę, niektórzy dygnitarze, podsłuchiwanie przez innych, wyższych dygnitarzy, używają, rozmowy telefonicznej z własną ciotką jako środka przekazywania swych opinii, które inaczej, nigdy nie dotarłyby do najwyższej uplasowanych osobistości. Wystarczy oświadczyć w tubkę telefonu, że pierwszy sekretarz partii lub premier rządu są ostatnimi idiotami zaniedbując ten czy ów problem, aby w kilka dni później zostać albo uwięzionym albo zaproszonym na poważną rozmowę, z której wyjść można nawet z awansem na wyższe stanowisko w partii czy administracji. Ryzyko jest duże, bo istnieje i trzecia ewentualność, że zostaje się uwięzionym, podczas gdy proponowane przez telefon myśli, rozwiązania i interpretacje wprowadza w życie ów opluty premier czy sekretarz, dyskontując całą chwałę za ich genialność dla siebie — i to właśnie zdarza się najczęściej.

Powszedniość podsłuchu telefonicznego sprawia, że jeśli w czasie rozmowy następują tzw. zakłócenia techniczne i przerywania, rozmawiający wymieniają takie uwagi o podsłuchującym funkcjonariuszu jak: „Jeszcze się dobrze nie zainstalował, nie możemy mówić...”, albo apostrofy wprost do podsłuchującego: „Panie kochany, włącz pan już ten swój podsłuch, i daj ludziom spokojnie porozmawiać ...” Ten stosunek wynika zarówno z prawidłowego rozeznania rzeczywistości, jak i z pewnej skłonności do antropomorfizacji każdego zjawiska w komunizmie. Na ogół, prawidłowy podsłuch powinien być zautomatyzowany. Tam jednak, gdzie człowiek i jego praca tańsze są od nawet najbardziej masowo produkowanej taśmy magnetofonowej, rolę tego urządzenia przejmuje żywa istota, której zimno zimą, gorąco latem, a czasem się i odbija na skutek nieomogów trawienia. Znane są tam przeto wypadki ostentacyjnych ziewnięć, gdy rozmowa się niepotrzebnie przedłuża, lub tłumionego kaszlu w sezonie grypy; idzie to nawet tak daleko, że podsłuchiwanie udzielają porad lekarskich podsłuchującym, powodowani prostą ludzką solidarnością. Tym samym socjalizm, którego najszczytniej głoszoną ideą jest międzyludzka solidarność, osiąga w podsłuchu telefonicznym swe jeszcze jedno apogeum.

Rola tak rozpowszechnionego podsłuchu telefonicznego w formowaniu psychiki ludzkiej jest ogromna i zgodna z immanentnymi przykazaniami komunizmu jako wszechobejmującego i spoistego światopoglądu. Naczelną kierunkową dzisiejszego komunizmu jest już nie likwidacja prywatnych środków produkcji, lecz nieskończenie ważniejsza walka z prywatnością jako pojęciem. Anihilacja prawa do prywatności i oddzielności jest następnym, logicznym krokiem po ograniczeniu prawa do własności materialnej. U końca drogi jest pozbawienie ludzi ich własnego życia w imię życia wykoncypowanego teoretycznie. Usunięcie elementu intymności z rozmowy telefonicznej prowadzi do uwiadu sensu intymności w ludzkiej świadomości. I to zgadza się z ideałem władców w komunizmie, dążą oni do tego w sposób jasny dla każdego bezstronnego obserwatora, acz zakamuflowany piramida frazesów, zwanych nową moralnością. Naiwnością jest tedy sądzić, że zasadniczym celem podsłuchu jest zbieranie informacji — czyli jego funkcja doraźna i bezpośrednio utylitarna.

Celem podsłuchu jest rozprzestrzenienie przeświadczenia, że człowiek nie należy do samego siebie. Im szerzej i głębiej przeświadczenie to przenika w masy społeczeństwa, tym bliżej jest komunizm swego absolutu, czyli bezwzględnego rządu nad psychiką, człowieka, rządu dusz.

Tyle religii, filozofii, ruchów społecznych starało się jednak w historii bezskutecznie o to samo, że perspektywy komunizmu w tej dziedzinie nie są zbyt różowe. Dodatkowy pociechę stanowi produkcyjne niedołęstwo komunizmu: jeszcze dzisiaj telefon jest tam przedmiotem niezwykle luksusy. Czasami upływa kilka lat od chwili zgłoszenia do przedsiębiorstwa telefonicznego prośby o założenie telefonu, aż do chwili zjawienia się w mieszkaniu czarnego pudełka łączącego jakoby jego posiadacza z resztą świata. Telefon jest znakiem uprzywilejowania, ustosunkowania, lub nieprzeciętnej zamożności. Sam fakt oficjalnego przydziału telefonu, nie poparty odpowiednią ilością łapówek dla instalatorów, którzy nigdy nie mają wystarczającej ilości drutu, nie znaczy wiele. Dopiero umiejętne postępowanie finansowe z ludźmi pracy fizycznej pozwala się w końcu cieszyć zdobyczami cywilizacji. Dla zamożnych przedstawicieli inicjatywy prywatnej, mieszkających z dala od miast, którzy są w stanie wyrażać swą wdzięczność przy pomocy gotówki, znajdują się czasem całe urządzenia wojskowo-polowe. Jak to się dzieje, pozostanie na zawsze tajemnicą ludu pracującego, który przecież też musi jakoś żyć w komunizmie.

JAK POSŁUGIWAĆ SIĘ POCZTĄ

Gdyby ktoś napisał list i postanowił powierzyć go pocztom, na ogół wychodzi z domu i udaje się na ulicę w poszukiwaniu skrzynki pocztowej. Nieco inaczej w komunizmie. Tam człowiek z listem w ręku mija obojętnie pierwszą napotkaną skrzynkę pocztową, przechodzi bez zainteresowania obok drugiej, trzeciej i czwartej. Czego szuka? Szuka urzędu pocztowego. Niektórzy wszak natykają się w swych poszukiwaniach na urzędy pocztowe, ale mijają je i z westchnieniem wędrują dalej. Dokąd dążą? Dążą na pocztę główną, centralny urząd pocztowy, ośrodek i źródło pocztowej władzy i maszynierii w danym mieście. Ten hipnotyczny pęd tłumaczy zatem trudno zrozumiały dla cudzoziemców fakt, że pocztom główne są we wszystkich komunistycznych miastach zawsze nieludzko zatłoczone ludźmi, ustawionymi w zawile poskręcane ogonki, w których czeka się godzinami na dotarcie do okienka dla ewentualnego załatwienia swej sprawy.

Jest to nieznaczący detal istnienia o znacznej sile eksplikacyjno-poznawczej.

O ile w krajach demokratycznych do najstarszych tradycji społecznego utyskiwania należy wieczny żal, że poczta nie funkcjonuje należycie, przetrzymuje przesyłki i nie dba o ich terminowe doręczenie, o tyle każdy mieszkaniec komunizmu zakłada, że poczta nie funkcjonuje w ogóle, tylko działa na zasadzie jakichś niewykrytych konieczności, materializujących się od czasu do czasu w serii indeterministycznych przypadków. Znaczący to, że urzędy, gmachy i skrzynki pocztowe ora mundury listonoszy są symbolami czegoś, co może istnieć lecz nie jest sprawdzalne przy pomocy ogólnospołecznych kryteriów. Fakt otrzymania listu, przesyłki czy gazety przez pocztę jeszcze niczego nie dowodzi, albowiem jako reguły przyjmuje się, że powinniśmy byli otrzymać drugie tyle przesyłek, listów i gazet, chociaż nigdy się nie dowiemy ile powinno było być. Jest tylko znakiem, że jakieś nieokreślone siły, nie podlegające kontroli rozumu i doświadczenia, akurat zostawiły dany list w czyjejś skrzynce, co wcale nie oznacza, że odpowiedź na tenże list spotka się z takim samym losem i znajdzie się w skrzynce adresata. Polityczna konieczność — bo jakże dziś może być państwo bez poczty? — jedyny racjonalny element ewentualnego funkcjonowania, polega na twardym fakcie egzystencji policji politycznej, która zawsze jest w stanie wkroczyć w przesadne zaniedbania i aresztować i uwięzić znaczne ilości pocztowców, nie tyle winnych niedopatrzeń i opóźnień, ile najłatwiejszych do oskarżeń o niedopatrzenia i opóźnienia, i najlepiej widocznych dla oczu społeczeństwa jako tzw. kozły ofiarne. Ponieważ zaś ośrodki dyspozycyjne i organizmy centralne są najwidoczniejsze i najlepiej nadają się do karnych operacji, przeto działalność ich jest nieco sprawniejsza od reszty instytucji. Stąd mądrość życia w komunizmie uczy, że list, o ile chcemy dać mu większą szansę jako listowi, należy zawsze nadawać na najgłówniejszej pocztom.

Skrzynka pocztowa stanowi zaś najniższą instancję pocztom. Ogólne rozeznanie w panoramie komunizmu łatwo ustala, że najniższe instancje czegokolwiek nie żyją w ogóle, a o ile żyją, to w stanie kompletnego letargu i niemocy. W świadomości mieszkańca komunizmu zakorzenione jest głęboko irracjonalne przekonanie, że wrzuconego do skrzynki listu nikt nigdy stamtąd nie wyjmie. Irracjonalne, bo każdy widzi codziennie rozlicznych funkcjonariuszy opróżniających uliczne skrzynki pocztowe. Mimo to nie wierzy, aby jego list został wyjęty i włączony w normalny, przewidziany rozumem krwiobieg postępowania pocztowego. Właśnie dlatego, że skrzynka stoi na rogu w celu wrzucania listów i przekazywania ich dalej, oraz że zdobna jest w godło państwowe i urzędowo oficjalny napis, każdy wie aż za dobrze, że coś jest tu nie w porządku. Wydaje mu się to nazbyt proste. Każdy krok dostarcza mu dowodów na to, że wszystko jest niezmiernie skomplikowane, przy czym złożoność nie gwarantuje żadnej efektywności, ale motywuje lepiej dla czego niczego nie można załatwić, osiągnąć, dokonać. Życie poucza go na każdym kroku, że władza

państwowa nie chce mu niczego dać, a chce od niego wziąć wszystko, poczynając od podatków, a skończywszy na jego czasie i sympatiach, dlaczego więc miałaby mu przenieść list w pożądane miejsce? Pojęcie kontraktu społecznego nie istnieje, zaś fundamentalna zasada współżycia z bliźnimi w komunizmie „Ty mnie — ja tobie” jest w tym wypadku bezsilna, bo jak tu przekupić całą pocztę? Komu dać łapówkę, aby list osiągnął adresata?

Powszechny kryzys zaufania do wszystkiego, do produktu w sklepie, który jeśli jest chlebem zawiera więcej sztucznych przymieszek niż mąki, do słowa w gazecie, które mówi mu, że żyje w najszcześniejszym ze wszystkich społeczeństw, sprawia że człowiek musi polegać wyłącznie na własnych siłach, zaś poczucie przynależności do jakiegokolwiek funkcjonującego mechanizmu społecznego ulatnia się bez reszty. Skoro list ze skrzynki powinien zostać przetransportowany przez pracownika poczty do urzędu pocztowego, a stamtąd na pocztę główną do centralnej sortowni, a my wszyscy wiemy, że ten pracownik zarabia tyle, że nie zależy mu zupełnie na jego pracy i nie obawia się jej utraty, przeto przyjąć trzeba, że człowiekowi temu w równym stopniu nie zależy na uruchomieniu naszego listu, o co nawet trudno doń mieć pretensję. Tylko jego dobra wola, dobry humor, kaprys czy inna przypadkowa okoliczność decyduje o tym, że nasz list pójdzie w świat. Czyż nie lepiej przeto wyeliminować przypadkowość z losów naszego listu i samemu donieść go do możliwie najdalszego miejsca, zanim wymknie się on naszym wpływom? To samo rozumowanie skłania na przykład do nadawania każdej błahostki, nawet pozdrowień dla brata, jako listu poleconego. W Polsce poczta musiała kiedyś apelować do publiczności przy pomocy prasy, aby nie nadawała tylu listów poleconych, bo dezorganizuje to pracę poczty, jakby poczta polska mogła jeszcze ulec dezorganizacji. Oczywiście, sam? fakt użycia prasy jako pośrednika sprawił, że wszyscy zaczęli nadawać listy polecone ze zdwojona energią, rozeszła się bowiem plotka, że zwykłe listy są od razu wyrzucane na śmietnik.

O ile poczta w komunizmie jest symbolem niemocy społecznej, o tyle list jest symbolem niemoty jednostki. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że tajemnica korespondencji nie istnieje — co zresztą nie wzbudza szczególnego zdziwienia wśród ludzi, dla których pojęcie prywatności ulega stopniowej atrofii. Konsekwencją tego jest okoliczność, że ludzie uczą się pisać po raz drugi w życiu: raz uczyli się w szkole podstaw owej, drugi w wieku dojrzałym, gdy muszą instynktownie chronić się za dwuznaczność. Natomiast fakt, że wszystkie listy przychodzące z zagranicy, są brutalnie rozcięte, po czym zaklejane *scotch-type* i opatrzone niechlujną pieczęcią: „Uszkodzony w drodze”, budzi uczucia zawstydzenia. Intymność i prywatność należą do najostrej zwalczanych elementów cywilizacji w komunizmie: istnieje bogata egzegeza i jeszcze bogatszy system racjonalizacji udowadniający ich antysocjalistyczną i antyspołeczną treść. Wszystkie myśli, odruchy, uczucia, a tym bardziej rozmowy i korespondencja winny teoretycznie należeć do państwa i do kolektywu, ich jawność jest znamię lojalności, ich szczerość jest synonimem miłości do partii, ustroju, ojczyzny. Tam, gdzie najgłębiej pojęty interes każdego człowieka ma być równoznaczny z interesem zbiorowości, nie ma miejsca na zahamowania, wstydlivość, takt i to czego się nie mówi, bo powiedzieć nie wypada. Bezceremonialne rozerwanie czyjegoś listu jest bolesne właśnie przez ową bezceremonialność. Prawdziwa sztuka gwałtu obca jest komunizmowi, nie doszedł on jeszcze do wniosku, że drobne uprzejmości i dyskrecja odbierają czasem gwałtowi charakter gwałtu; ileż kobiet w dziejach ludzkości odczuwało niepewność czy aby są gwałcone, gdy gwałcący zapewniał kurtuazyjnie, że jest to tylko burza zmysłów. Kto wie, czy opanowawszy tę finezję, komunizm nie umocniłby swej władzy na tyle, aby poczuć się silnym bez stosowania gwałtu.

Zresztą można na to spojrzeć jeszcze inaczej i pewien czeski reżyser filmowy rzekł raz: „W gruncie rzeczy mamy najbardziej ludzką pocztę świata: ostatecznie każdy, nawet najbardziej samotny człowiek może być pewny, że w końcu ktoś czyta jego listy ...”

JAK BYĆ KOBIETĄ

Uważając się za światopogląd odzwierciedlający, ducha współczesności, socjalizm zrównał kobietę w prawach i obowiązkach z mężczyzną. Jak utrzymuje jego wyznawcy — po raz pierwszy w dziejach dał kobiecie pełne równouprawnienie. Jest to twierdzenie słuszne i nic nie może go podważyć „

Kłopoty pojawiają się wraz z bezkompromisowym naciskiem na przymiotnik pełne.

Wiek XX, jego moralno-uczuciowe przemieszczenia, nowa mozaika męsko-kobiecych współzależności i ogólna tendencja do przewartościowania wszelkich wartości, postawił przed ludzkością zagadnienie równouprawnienia w sposób radykalny, bez żadnych zahamowań i osłonek. Nie ulegało wątpliwości, że w skali problematyki współczesności pozycja i rola kobiety dziewiętnastowiecznej są nie do utrzymania. Ograniczenia społeczne, obyczajowe i ekonomiczne, jakimi zakreślona była sytuacja kobiety przez wieki upadły po pierwszej wojnie światowej. Od tego czasu tak status jak i natura życia kobiety uległy jeszcze głębszym przemianom. Po drugiej wojnie następuje inwazja kobiet we wszystkie dziedziny gospodarki i życia społecznego. Zasadnicze i chyba nieodwracalne zmiany w psychice zbiorowości, kształtowanej przez *mass-media*, zmieniające się wymiary życia ludzkiego, eksplozja demograficzna i jej konsekwencje w stosunkach indywidualnych, przesuwanie się granic młodości i starości wyznaczające nowe granice partycypacji w życiu, rewolucja obyczajowo-seksualna, technologia na usługach ciała ludzkiego — to wszystko powoduje erozję dotychczasowych ideałów, wyobrażeń, pojęć i norm. Instytucja małżeństwa, cel życia kobiety w ciągu ostatnich 10.000 lat cywilizacji, poddana zostaje zupełnie nowym uwarunkowaniom i przeobrażeniom i prawdopodobnie nigdy już nie odzyska dawnego sensu i charakteru. W świetle tych danych, zrównanie w prawach z mężczyzną wydaje się pożądaną i nieodpartą koniecznością.

Ale czy pełne? Egzekwowane z żelazną konsekwencją aż do jego ostatecznych skutków?

W krajach gdzie lewica społeczna nie osiągnęła władzy totalitarnej w drodze rewolucji, lecz oddziaływała na opinię publiczną, bądź sprawowała rządy w ramach systemu parlamentarnego, jej wpływ na losy kobiety był pozytywny. Nazywał się ogólnie biorąc, postępowością, lub walką z przesądem i uprzedzeniem. Występował nieugięcie przeciw hańbie prostytutki, różnym pośrednim hańbom pod postacią tzw. małżeństwa z rozsądku, zwanym przez co zapalczywszych krytyków, jak G. B. Shaw, „legalnym handlem ludzkim ciałem”. Zwalczał zakłamanie, pruderię i bigoterię w obyczajach seksualnych, brał stronę kobiet skrzywdzonych przez różne nieostrożności i pułapki życia, niszczył aberracje towarzyskiego konwenansu, przyczynę indywidualnych nieszczęść i dramatów. Ekstremistyczne teorie „wolnej miłości”, lub kolektywnej „wspólnoty kobiet” w komunistycznym społeczeństwie przyszłości miały swoich zwolenników (i zwolenniczki), nie kojarzyły się jednak naówczas zbyt wyraźnie z groźbami zawartymi w pełnym równouprawnieniu. Zresztą pierwszy okres po rewolucji w Rosji nawiązał obyczajowo do tych teorii: „wolna miłość” stanowiła hasło chwili; dziewczę, które wzdragало się obdarzać swymi wdziękami więcej niż jednego rewolucjonistę ryzykowało oskarżenie o kontrewolucję. Nie trwało to jednak długo, zarówno instynkt samozachowawczy społeczeństwa, jak i odgórne nakazy władzy, która dość wcześnie dostrzegła w owych praktykach anarchiczno-rozkładowe elementy, przywróciły autorytet bardziej tradycyjnym wartościom. Była to jakby pierwsza i ostateczna kieska ideowa romantycznego komunizmu: rodzina, instytucja oskarżana o reakcyjność i ostro krytykowana przez ekstremistycznych teoretyków marksizmu za konserwację instynktu posiadania w swojej najtrudniejszej do zwalczania formie, uosabiająca najbardziej zachowawczy wzór stosunków międzyludzkich, okazała się komórką społeczną nieodzowną do budowy nowego, najbardziej postępowego

społeczeństwa. Usiłowano wprowadzić przeciwstawić rodzinę burżuazyjną rodzinie proletariackiej. Twierdzono, że pierwsza jest mikrokosmosem swego reakcyjnego społeczeństwa, rozdziera ją konflikt interesów, toczy ją zgnilizna, zakłamanie, wzajemna nienawiść ukryta w obłudnych konwencjach, podczas gdy druga stanowi wzór idyllicznej prostoty, szlachetnych uczuć i cichego szczęścia. Brak było jednak jakichkolwiek dowodów dla poparcia tej tezy, a niekończące się fakty wymordowywania swych rodzin siekierą przez pijanych ze szczęścia proletariuszy, już nie uwarunkowanych zwierzęcością życia w kapitalizmie, wydawały się nie potwierdzać teorii. Utarło się w końcu, w prasie, literaturze i w życiu codziennym, że każda niedobra i niezgodna rodzina nosi na sobie piętno reakcyjności, podczas gdy jej przeciwstawienie ma szansę na medale przeznaczone dla Bohaterów Rewolucji, co w jakiś sposób prawidłowo honoruje istotne trudy i pułapki małżeństwa, jednakże we wszystkich ustrojach gdzie ludzie chodzą na dwóch nogach i budzą się co rano z tą samą osobą w łóżku.

Spór o polityczno-ideową kwalifikację małżeństwa, choć sam w sobie był koncesją na rzecz pojęć odrzuconych, nie anulował pełnego zrównania kobiety z mężczyzną. Przesadny egalitaryzm zawsze prowadzi do nieprzewidywanych tyranii; w dziedzinie, o której mowa, wiódł ku jeszcze bardziej zagadkowym klęskom. Różnica pomiędzy mężczyzną a kobietą jest z natury rzeczy znaczna, a nawet uchwytne gołym okiem dla nieuprzedzonych. Jest zatem więcej niż wątpliwe czy uda się ją pokonać kiedykolwiek w pełni. Komunizm rozwiązał ten dylemat w sposób prosty: pełne równouprawnienie sprowadzało się do obdarowania kobiety możliwością podjęcia każdej, choćby fizycznie najbardziej wyczerpującej, pracy. Przyznać trzeba że w dzisiejszych społeczeństwach socjalistycznych widzi się więcej kobiet na eksponowanych i odpowiedzialnych stanowiskach w polityce, administracji i gospodarce. Zarazem jednak pojawił się na ulicach komunistycznych miast dziwny stwór, o którym mówi się, że jest kobietą pracującą. Widać ją na dźwigach i transporterach, przy najcięższych pracach budowlanych i w kolejnictwie, przy robotach drogowych, w kopalniach. Mieszka ona przeważnie w specjalnych budynkach przypominających koszary, ale nazywających się hotelami robotniczymi, których mnóstwo jest we wszystkich miastach potrzebujących dopływu sił roboczych. Zatraca ona powoli fizyczne cechy kobiecości, lecz bynajmniej nie na tej samej zasadzie, o jakiej rozprawia się na Zachodzie wśród projektantów mody, głoszących zacieranie się różnic między płciami w stroju i obyczaju seksualnym. Tracąc cechy kobiece traci ona również w jakiś sposób cechy ludzkie i staje się istotą fizyczną, której przeznaczeniem jest wykonanie określonej ilości pracy w określonym czasie. Jej kobiecość nie kojarzy się z żadnym — ani homo ani heteroseksualnym popędem.

Co skłania kobietę do zaakceptowania tego procesu degradacji? W pierwszym rzędzie nędza. W komunizmie nie istnieje system zasiłków społecznych dla ubogich, zaś dochód ogromnego segmentu społeczeństwa zawsze kwalifikuje się grubo poniżej najskromniejszych kosztów utrzymania. Ciężka praca fizyczna jest natomiast dobrze płatna, o ile się ją dostanie. W każdym społeczeństwie istnieje duża ilość kobiet skrzywdzonych przez życie, odtrąconych, niechcianych przez nikogo, z nieślubnym dzieckiem, i tym właśnie kobietom komunizm proponuje konkretne wyjście. Zachwianie proporcji celów pod ciśnieniem propagandy następuje łatwo, silna fizycznie kobieta idzie do ciężkiej pracy, zarabia nieźle, i — jeśli wierzyć literaturze realizmu socjalistycznego — zdobywa nową godność i nowe, nieznane jej dotąd szczęście. Tylko, że po pewnym czasie przestaje być kobietą, tak fizycznie jak i psychicznie, ale właśnie tym aspektem zagadnienia ani literatura, ani socjologia, ani psychologia się już nie zajmuje. Prasa komunistyczna, ów niezmordowany i ogłupiały od nadmiernego wysiłku apologeta komunistycznego wzorca życia, uważa ten nowy stan psychofizjologiczny kobiety za niezwykle i chwalebne osiągnięcie. Jej ulubionym, szeroko reklamowanym i fotografowanym tematem jest fakt sprawowania przez kilka kobiet funkcji kapitanów wielkiej żeglugi, czyli dowódców statków handlowych na pełnym morzu. Jak

wiadomo, życie marynarzy, pozbawionych przez długie tygodnie towarzystwa kobiet, nosi zupełnie specjalny, dogłębnie omówiony w piśmiennictwie charakter. Stąd sytuacja samotnej, lecz obdarzonej władzą, kobiety w tych warunkach odznacza się pewną specyfiką, którą trudno jest rozważać w kategoriach naukowego chłodu i bezstronności. Logicznie rzecz biorąc, kobieta, która chce spełniać ten zawód, powinna zaliczyć do swych najwyższych kwalifikacji odpychającą brzydotę, czyli być antykobietą. Tylko taka postawa gwarantuje jakąś uczciwość zamiarów i ewentualnie potwierdza jednoznaczność intencji przy wyborze zawodu; każde inne nastawienie oznaczać może tylko niehumanistyczne złośliwości i hipokryzję, albo zwykłą głupotę. Postawienie zaś przed kobietą własnej brzydoty jako ostatecznego celu w życiu budzi podejrzenia, że coś jest tu nie w porządku z fundamentalnymi prawami natury. Trzeba to jednak powiedzieć stanowczo, że ogromna większość kobiet broni w komunizmie desperacko swej kobiecości. Bylibyśmy również niesprawiedliwi twierdząc, że w swym założeniu i praktyce socjalizm dąży świadomie do produkcji antykobiety. Przyjąć raczej trzeba, że usiłując zaprzeczyć doświadczeniom tysiącleci w sposób nieprzemyślany popada on w żenujące pływizmy. Cechuje go w tym względzie brak teoretycznego rozpoznania, oraz sumaryczna i powierzchowna pobieżność w traktowaniu tego 'co ze swej istoty jest tak skomplikowane i złożone, że żadna religia czy filozofia w historii ludzkości nie potrafiła sobie z tym dać rady. Pełne równouprawnienie jest w gruncie rzeczy wulgarnym banałem, tandetnym, oklepanym frazesem, który nic nie znaczy, niczego

nie rozwiązuje, ani nie załatwia. Mimo wszelkich zmian i innowacji w cywilizacji i kulturze, pod nawet najgrubszą powłoką przeobrażeń i obyczajowo-społecznych *sophistications*, ciągle jeszcze natrafiamy na niezmienny, rudymenatny wzór teleologiczny: mężczyzna chce wielu rzeczy w życiu, kobieta chce tylko jednej — mężczyzny jako towarzysza życia. Mimo pochopnych przyrzeczeń socjalizm niewiele zmienił w tym układzie; aczkolwiek ograniczając potencjał możliwości ludzkich w ogóle, trafił tym dotkliwiej w mężczyznę niż w kobietę. Mimo, że epokę naszą śmiało nazwać można epoką, antymażeńską, małżeństwo wydaje się ciągle najbardziej pożądaną formą związku między dwojgiem ludzi, zwłaszcza między mężczyzną a kobietą. I kobieta w komunizmie, mimo wszelkich dróg stojących przed nią otworem, najbardziej i najpowszechniej pragnie małżeństwa.

Tu dochodzimy do momentu subtelного, na ogół rzadko i skąpo omawianego w komunistycznej literaturze i socjologii. Małżeństwo w komunizmie jest dla kobiety imprezą bardziej uciążliwą niż w demokracjach. Chroniczny niż materialnej sfery bytu sprawia, że obie strony pracują zarobkowo, ale kobieta musi jeszcze dbać o dom i dzieci. Życie kobiety w takich warunkach staje się katogą wczesnego wstawania, całodziennnej pracy w biurze lub w fabryce, wystawiania w ogonkach” po produkty żywnościowe w każdej wolnej chwili, sprzątanía gdy jest się najbardziej zmęczoną, po powrocie z pracy, przygotowania posiłków dla męża i dzieci w chwilach paraliżującego wyczerpania. Jak w tych warunkach znaleźć czas na inne funkcje małżeńskie oraz na utrzymywanie się w odpowiedniej dla nich formie przy pomocy fryzjera czy ubioru, to pozostaje tajemnicą kobiet w komunizmie. Natomiast dla nikogo nie jest tajemnicą ich przedwczesne zmęczenie, starzenie się, obojętność na wdzięki życia, choroby. Wszyscy tam przyznają, że w przeciwieństwie do mądrości wieków najlepszym gwarantem powodzenia małżeństwa jest zdrowa i silna teściowa: problem sprowadza się jedynie do tego, gdzie teściową trzymać, skoro przeciętna rodzina, złożona z czterech osób mieszka zazwyczaj w dwóch małych pokój ach. A przecież mimo tych cieni i udręk małżeńskich, instytucja, ta nabrała w komunizmie jakby nowego blasku i znaczenia. Stała się rodzajem duchowego schronu dla ludzi, otoczonych zewsząd bezwzględna surowością, obojętnością i okrucieństwem i warunków społecznych i stosunków międzyludzkich. W świecie tępiącym wszelką intymność i prywatność, gardzącym

człowiekiem jako jednostką, pryncypialnie zwróconym przeciw własności czyjegoś życia, dialektycznie i biurokratycznie duszącym indywidualne prawo do własnego losu człowieka, małżeństwo przedstawia jedyną społecznie zaakceptowaną opcję na rzecz tych wartości, jedyną szansę na dozwoloną prywatność, jedyną ewentualność bezinteresowności między ludźmi. Tak samo jest jedynym dostępnym, autentycznym luksusem w rzeczywistości, w której wszystko jest liche, marne, w złym gatunku, poczynawszy od wzajemnych lojalności, a skończywszy na materiałach ubraniowych. Jakość małżeństwa ciągle pozostaje sprawą indywidualnego szczęścia i indywidualnego wysiłku, jest ono chyba ostatnim rezerwatem lepszych, niecodziennych, uszlachetniających uczuć, poczucia wzniosłości i poświęcenia, dręczącej potrzeby oddania i solidarności z kimś drugim — tych wszystkich odruchów dobra w człowieku, z których tkanka życiowa komunizmu jest doszczętnie wyprana, albowiem nie ma dla nich zastosowania w ustroju, który zastrzega sobie prerogatywy uniwersalnej Matki i uniwersalnej Żony. Jest jednym z ostatnich ogniw łączących ze światem tradycji i innych, lepszych egzystencji, pamiętanych podświadomie i instynktownie przechowywanych w zbiorowej pamięci. Ale jest też druga strona i małżeństwo w komunizmie podatniejsze jest częściej niż gdzie indziej na odpychające wulgaryzacje. Staje się terenem nieznosnie upokarzających, wręcz upodlających doświadczeń, o jakich nie istnieje wyobrażenie w innych systemach społecznego współżycia. W panoramie społecznych współzależności, gdzie jeden pokój z kuchnią stanowi życiowy dorobek i osiągnięcie, równe milionerskim fortunom, nieudane małżeństwo przeobraża się w spektakl przerażający swą trywialnością, bezwstydną płaskością i nikczemną, małostkowością. Walka o mieszkanie w komunizmie czeka jeszcze na swojego Balzaca, jej niekończące się konsekwencje dla jednego ludzkiego życia, asortyment pasji i namiętności z niej zrodzony i ją determinujący, jej moralne konsekwencje i wynikające z niej upadki mogą być ukazane światu w całej swej złożoności i głębi tylko przez literaturę. Poświęcenie, psychiczne tortury, obłęd, prostytutka i wszelkie odcienie hańby stanowią tworzywo tych codziennych i najpowszechniejszych tragedii, aczkolwiek nikomu nie przychodzi do głowy oceniać je w kategoriach tragedii pod obmierzłym ciężarem codzienności. Człowiek w komunizmie popada w choroby umysłowe przez mieszkanie, popełnia samobójstwa przez mieszkanie, jest więc rzeczą oczywistą, że żeni się dla mieszkania i łamie sobie życie przez mieszkanie.

Jest wszak i miejsce na autentyczną tragedię w myśl zasad klasycznych. Nie rodzi jej ani niszcząca potęga miłości, ani występna zdrada, ani piekło zazdrości — odwieczne zaczyny i treści małżeńskich tragedii, które ulotniły się jakby z bytu ludzi dwudziestowiecznych. Jak wszędzie gdzie indziej, cudzołóstwo, wiarołomstwo i deptanie uczuć są w komunizmie już tylko okazją do pseudofilozoficznych rozważań nad kieliszkiem alkoholu. Nikt dziś nie strzela ani nie dusi z ich powodów, bezbrzeżność ich udręk dotyczy już tylko trudności rozwodowych. Ale i bez nich jest dość ponurych, wstrząsających tragedii, których podłożem jest sama natura komunizmu. Komunizm wyznaje prawo odpowiedzialności zbiorowej, tak samo jak hitlerizm i człowiek jaskiniowy. Gdy ktoś oskarżony jest o niesprzyjanie komunizmowi, jego żona jest automatycznie winna tego samego, nawet jeśli poświęciła swe życie partii i jej ideałom. Ileż razy w ciągu ostatnich 50 lat kochające żony podpisywać musiały najfałszywsze oskarżenia przeciw swym mężom, wymuszone szantażem bądź fizycznymi torturami, aby ocalić chociaż dzieci przed obozem koncentracyjnym, z którego nie ma powrotu. Ileż razy niewinnie więziony mąż dowiadywał się od sędziego śledczego, że żona jego wystąpiła o rozwód ze względów patriotyczno-ideowych, nie chcąc żyć z faszystowskim zdrajcą ludu pracującego. Bez względu na to czy list o takiej treści, napisany ręką żony, był wynikiem mistyfikacji, czy faktycznego odstępstwa, jego efekt był zawsze druzgoczący i dawał pełne zwycięstwo policji politycznej — zmaltretowany człowiek przyznawał się do niepopołnionej winy, bądź załamywał się psychicznie i popadał w obłęd. Żona zaś zmuszana do spania ze zwierchnikiem w fabryce czy wszechpotężnym sekretarzem

partii, dla odkupienia nadużyć, których najczęstszą przyczyną bywa zwykła nędza, czy konieczność uzyskania łóżka w szpitalu dla chorego dziecka, są tak oczywistym składnikiem komunistycznego melodramatu, jak były nim w niewolniczym feudalizmie i zwierzęcym kapitalizmie.

Jedną z cennych treści życia kobiety było i jest stwarzanie samej siebie poprzez skomplikowaną, bogatą w tradycję organizację własnego wyglądu, własnej zewnętrżności. Ubóstwo komunistycznej gospodarki sprawia, że praktycznie biorąc nie ma w komunizmie niczego czego kobieta potrzebuje, a to co jest — jest w tak złym gatunku i guście, że budzi tylko uczucia bezradności, odrazy, frustracji. Zbyt proste byłoby jednak zwać ten brak wszystkiego na klęskę gospodarki. W latach trzydziestych Stalin wyprowadził konsekwentne wnioski ze swej wszechobejmującej zasady industrializacji za wszelką cenę, czyli za cenę doszczętnej ruiny życia kilku pokoleń w imię zbudowania ciężkiego przemysłu socjalistycznego. Ich następstwem były nowe normy życia i obyczaju, których zadaniem było złuzować romantyczną spartańskość i ortodoksyjne wyrzeczenia pierwszego okresu postrewolucyjnego, nie dając społeczeństwu nic w zamian. Obóz wojenny i mistyka elektryfikacji ustąpić miały społeczeństwu ustabilizowanemu w imię katechizmu pracy i posłuszeństwa. Trudno jednak stabilizować życie społeczne bez elementu konsumpcji, wobec tego to, co Stalin wymyślił, nazwać można bez błędu neopurytaniem. Wszelka uroda życia skazana została na wygnanie, domaganie się czegokolwiek od życia uznane zostało za zbrodnię ideologiczną, radość, sensualizm, najostrożniejsze przesłanki humanizmu uznane zostały za burżuazyjną zgniliznę, zepsucie i degenerację. Szminka do ust i jedwabne pończochy stały się narzędziem szatana, tym razem portretowanego w prasie jako obleśny kapitalista we fraku i cylindrze, gruby i sprośny. Płeć stała się wyłącznie elementem przysparzania dzieci idealnemu społeczeństwu przyszłości, uczucia miłości zarezerwowane były przede wszystkim dla Stalina i partii, a tylko ściśle określona ich część miała prawo mężczyźnie lub dzieciom. Kobieta, o której krążyły plotki, że popełnia cudzołóstwo, szła pod sąd komórki partyjnej, którego wyroki nie różniły się niczym od praktyk znanych jako polowanie na czarownice z tradycji Nowej Anglii. Dziewczyna, której ktokolwiek zarzucił rozwiązłość obyczajów w fabryce, transportowana była na resztę życia do obozów koncentracyjnych na Syberii. Kobieta pielęgnująca swą kobiecość, a więc przede wszystkim wygląd, była wrogiem światopoglądowym.

Znane były wypadki, gdy podczas niewinnych żartów w grupie ludzi kobieta powiedziała, że kocha jakiegoś Iwana czy Griszę mocniej niż cokolwiek na świecie; bywała wkrótce aresztowana i skazywana na lata więzienia, bo słowa jej doniósł przygodny agent policji politycznej, ta zaś uznała je za wrogię Stalinowi i partii; przy okazji aresztowano także owego Iwana czy Griszę, aby wyeliminować potencjalnego rywala Stalina.

Neopurytанизm nie przyjął się nigdy w Europie wschodniej, mimo biurokratycznych i politycznych metod nacisku. W Rosji zresztą też uległ rozkładowi w ciągu ostatnich 10 lat. Błędem byłoby uważać, że wyparował z rzeczywistości komunistycznej doszczętnie, albowiem brak podstawowych towarów musi być nieustannie pokrywany frazesem i tu zmodyfikowany do aktualnych wymagań neopurytанизm ciągle oddaje usługi. Frazeologia komunistyczna przedstawia życie jako zbiorową, zorganizowaną przez partię walkę o coś: o plan gospodarczy, o pokój, o tegoroczne zbiory kukurydzy, o uprzątnięcie zaśmieconej ulicy. Mobilizacja jest pojęciem równym dobremu samopoczuciu. Słowa widoczne na każdej stronie gazet: „Czy jesteśmy zmobilizowani?” mają w rojeniach komunistycznych przywódców o rządzonych przez nich społeczeństwach takie samo znaczenie jak „Jak pan się dziś czuje?” w demokracjach. Ideał mobilizacji jest z natury rzeczy antykobiecy, plasuje ją wyłącznie przy maszynie, przy kuchni lub przy armacie, wzmagając jej nieodłączne poczucie znużenia, obozowości, zaniedbania. Tylko demobilizacja zezwala jej na to aby być kobietą, stąd sens życia kobiety w komunizmie polega na przełamywaniu tych uczuć i walki o samą siebie

z otaczającym ją światem. Może ona bowiem zgodzić się na wiele, zrezygnować z wielu rzeczy i oddać mnóstwo, aż do poświęcenia włącznie — nie może tylko przestać być kobietą.

Wobec tego warunki przystosowują ją do siebie, byt określa świadomość, nowe cechy i kwalifikacje rodzą się w kobiecie. Drapieżność i agresywność od wieków stanowiły wyposażenie kobiety do walki ze światem; w komunizmie cechy te nabierają nowych blasków, przekształcają się skutecznie w przedsiębiorczość, pomysłowość, wytrwałość, wynalazczość. Tam gdzie nie można w sklepach dostać dobrego proszku do prania czy zmywania naczyń, shampoonu czy kremu do twarzy, „Kleenex” zaś jest dostępny tylko najmocniejszym, którzy otrzymują go w specjalnych przesyłkach z Zachodu — to wszystko trzeba jakoś zdobyć albo zastąpić produktem własnym lub własną, ulepszoną metodą. Oczywiście, produkty te, a także wszystkie akcesoria mody są w specjalnych sklepach, sprowadzane z krajów kapitalistycznych, lecz ich koszt wyklucza nabywanie ich przez 99% społeczeństwa. W takiej sytuacji, gdy we wczesnych latach 1950 Włochy lansowały modę prostych, czarnych pantofli na płaskim obcasie, zwanych podówczas „ballerinas”, dziewczęta w Warszawie kupowały tanie tenisówki, wycinały ich wierzch w pożądany kształt i farbowały je na czarno. Nie były to dobre włoskie „ballerinas” i każdy widział to na pierwszy rzut oka, ale dawały one warszawskim dziewczętom poczucie, że o coś walczą, że się nie dają, a ich zwycięstwo jest wspaniałą nagrodą za trudy. Na ulicach Nowego Jorku czy Paryża, trudno jest zauważyć dobrze ubraną, promieniejącą swą zorganizowaną kobiecością kobietę: wszystkie niemal są zadbane i dobrze ubrane, trzeba więc być rzeczywiście kimś zupełnie wyjątkowym aby przyciągnąć wzrok. Na szarych, wypełnionych ponurym tłumem ulicach Moskwy, Bukaresztu i Sofii kobieta, która walczy z komunizmem o samą siebie, zakwita jak kolorowy, radosny kwiat, krzepiący serce i oko swym niepokonanym człowieczeństwem. Wyróżnia się z ogólnego kontekstu życia. Cóż zaś może być wspanialszą nagrodą dla kobiety, niż to, że jest jedna, jedyna, wyjątkowa — i czyta o tym w spojrzeniach innych ludzi.

DLACZEGO PASTA DO ZĘBÓW NIE CZYŚCI

W kapitalizmie, gdy ktoś kupiwszy pastę do zębów wyciska ją rano z tubki i czyści nią zęby, nie przychodzi mu do głowy myśl, że jest sprawcą i świadkiem czegoś osobliwego. Fakt, że pasta do zębów pieni się w ustach i czyści zęby, nie uszkadzając ich, a raczej służąc im i chroniąc je przed zepsuciem, nie wydaje się nikomu godnym szczególnej uwagi. Jeśli jednak coś takiego przydarzy się mieszkańcowi komunizmu, który zakupił komunistyczną pastę w komunistycznym sklepie, człowiek ten czuje się jak w obliczu cudu. Jego radość i fascynacja nie mają granic. Jego dzień upływa pod znakiem tego zjawiska, informuje o nim kolegów w pracy i dalszych znajomych, dyskutuje je. Albowiem dla każdego, kto żyje w komunizmie i chce przetrwać we właściwych, ukształtowanych przez rozum i doświadczenie proporcjach istnienia, jest rzeczą oczywistą, że pasta do zębów nie czyści zębów i dlatego jest właśnie pastą do zębów. Znaczy to także, iż ta sama pasta, użyta przypadkowo do czyszczenia łyżek, czy umywalni, okazać się może niezwykle skuteczna. Takie uszeregowanie faktów i wynikających z nich konsekwencji nazywane jest w komunizmie prawidłowością. Nikt się już dawno nie dziwi i każdy wie, że wszystko jest w zupełnej zgodzie z obowiązującym porządkiem rzeczy i pojęć. Rozpoznawszy raz właściwości jego mechanizmu można w nim żyć nawet bez poczucia stałego zagrożenia.

Gdy na Zachodzie pojawia się nowy lub ulepszony produkt — trzymajmy się tu przykładu pasty do zębów — przedstawiciele komunistycznego przemysłu zakupują tubkę w drogerii i przywożą do swojego kraju. Nie ma to nic wspólnego ze szpiegostwem przemysłowym i oparte jest o zasadę, że kraje komunistyczne nie honorują żadnych zobowiązań patentowych. Patenty są honorowane tylko w tych wyjątkowych wypadkach, gdy produkt — maszyna lub preparat — zależne są od stałych dostaw części wymiennych czy składników z Zachodu. W innych wypadkach uważa się, że dla dobra własnego ludu pracującego wolno jest okradać, w zgodzie z socjalistycznym sumieniem, pracujących na Zachodzie z ich pomysłów i ulepszeń. Francuska, włoska czy holenderska pasta do zębów wędruje więc do komunistycznego laboratorium, gdzie poddana zostaje analizie. Brak odpowiednich wyjaśnień nieodzownych w każdym współczesnym procesie technologicznym sprawia, że nawet pracując usilnie, komunistyczni specjaliści zawsze czegoś nie wiedzą, coś im brakuje w formule lub receptce, czegoś nie potrafią ustalić. Nie mogą się jednak podzielić swoimi niepowodzeniami i troską ze swoimi przełożonymi, poskarżyć na zły los, lub choćby tylko przedyskutować zagadnienie z fachowego punktu widzenia. Ich przełożeni nie są bowiem żadnymi fachowcami czy specjalistami, lecz bonzami partyjnymi, którzy jeszcze wczoraj zarządzali przedsiębiorstwem komunikacji miejskiej, prowadzili sklep z nasionami rolniczymi, lub po prostu zostali przeniesieni za finansowe nadużycia z policji politycznej, w której dosłużyli się stopnia porucznika, na stanowisko dyrektora fabryki pasty do zębów, albowiem wierny członek partii jest jej najdroższym skarbem bez względu na to co przeskrobie, co ukradnie, lub kogo zgwałci. Jest więc rzeczą oczywistą, że nie mają zielonego pojęcia o chemii i kosmetyce, ale za to wiedzą doskonale, że najlepszą metodą dla pokrycia własnej ignorancji jest oskarżenie fachowców i techników o nieudolność, bądź sabotaż, o marnotrawstwo zdobytych za bezcenne dewizy zagraniczne preparatów. Rzecz w tym, że technicy wiedzą o tym równie dobrze, wolą więc skłamać, że wszystko bezbłędnie przeanalizowali i rozszyfrowali i że już wszystko na pewno doskonale wiedzą. Wiedzą też iż za umiejętne kłamstwo dostaną premię do miesięcznej pensji — co w jakiś sposób rozgrzesza każde kłamstwo i nadaje mu cechy wybornego żartu, albowiem system ludzkich współzależności, w którym za prawdę. I się karze, zaś za kłamstwo nagradza, nie może wymagać aby być traktowanym poważnie. Ten stan rzeczy przesądza natomiast nieodwołalnie jakość przyszłego produktu, ale dalsze, ewentualne niepowodzenia i klęski zwalić zawsze można na niezliczone zasadzki i

niebezpieczeństwa jakie czyhają na produkt zanim jeszcze ukaże się w swej ostatecznej postaci. W ten sposób wadliwa recepta udaje się do produkcji, jakby nie bacząc na prawdę ustaloną już dawno przez starych Greków, że nikomu jeszcze nie udało się wyprowadzić słusznego wniosku z wadliwej przesłanki i chyba nigdy się nie uda:

W procesie produkcyjnym okazuje się, że ów składnik, przy którego pomocy Włosi lub Holendrzy uczynili ze zwykłej pasty do zębów znakomitą pastę, jest zupełnie nie do uzyskania na lokalnym rynku, a składnik zastępczy, sugerowany przez techników, zupełnie się do niczego nie nadaje. Technicy wiedzą o tym doskonale, że się nie nadaje, coś trzeba jednak napisać w receptcie aby nie przerwać tak udanego cyklu niekończących się mistyfikacji. Właściwie, najrozsądniejsze byłoby przerwanie produkcji w ogóle, lecz właśnie coś takiego nie wchodzi w rachubę. Nowy typ pasty do zębów figuruje już w globalnych, ogólnopństwowych planach gospodarczych, w niezliczonych statystykach produkcji i spożycia, w sprawozdaniach o już dokonanych osiągnięciach wielkich zjednoczeń przemysłu chemicznego, którym podlega dana fabryka, w podsumowanych obrotach sklepów, które będą ją sprzedawać i z góry wiedzą ile jej sprzedadzą, w prasowych artykułach wynoszących pod niebo troskę wodzów proletariatu o zęby proletariatu, lub w przemówieniach działaczy gospodarczych i aktywistów partyjnych, sławiących pastę jako niezwykle dokonanie lokalnego przemysłu i partyjnego kierownictwa przemysłem. Pozostają więc dwa rozwiązania.

Pierwsze: produkować pastę bez owego składnika, twierdząc rzecz jasna, że pasta go zawiera. Jest to rozwiązanie na ogół proste i efektowne, nie wymaga żadnych szczególnych zabiegów i nie grozi żadnymi ewentualnościami protestu czy skarg ze strony społeczeństwa, albowiem żaden zdrowo myślący konsument nie liczy na to, że pasta tak choć w najodleglejszy sposób przypomni swój zachodni pierwowzór i będzie ją zawsze traktował jak każdą uprzednio wyprodukowaną w jego kraju pastę, czyli jako właściwie nie nadającą się do użycia i kupowaną dlatego tylko, że nie ma żadnej innej. Niebezpieczeństwo tego rozwiązania leży w zupełnie innej płaszczyźnie. Trzeba bowiem założyć, że każdy dyrektor każdej fabryki ma wiernych, oddanych, cierpliwie czyhających na jego zgubę wrogów, którzy całe lata czatują na jego najmniejsze potknięcie, błąd, nieostrożność. Toteż gdy tylko pasta ukaże się w sprzedaży, na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej, czyli komunistycznej komórki, kierującej fabryką, wstanie zastępca dyrektora i w długim, usianym cytatami z Marxa i Engelsa przemówieniu oskarży dyrektora o oszukiwanie ludu pracującego i rujnowanie higieny szerokich mas, nawet jeśli zastępca był właśnie tym towarzyszem, który pół roku temu zaproponował produkcję pasty bez owego decydującego składnika, a partyjna organizacja plenarnie tę propozycję zatwierdziła, motywując ten krok względami oszczędnościowymi — argumentem zawsze wszędzie dobrze widzianym. Dyrektor będzie próbował zwać winę na techników i spowoduje wyrzucenie ich z pracy, ale mu to niewiele pomoże, sam również zostanie karnie przesunięty na inne stanowisko, a czasami i usunięty z partii. Jego miejsce zajmie wicedyrektor, zaś nikt wokoło nie dojrzy w postępowaniu tym niczego niewłaściwego, albowiem jest to powszechnie przyjęta metoda awansowania w komunizmie.

W drugim wypadku, gdy dyrektor uważa produkcję danej pasty za zadanie niezwykle prestiżowe, oraz posiada dostateczną ilość odwagi, zapału i poświęcenia się sprawie aby zapuścić się na bezdroża biurokratyzmu, wtedy może spróbować sprowadzić brakujący składnik z zagranicy. Operacja ta ma szansę powodzenia tylko wtedy gdy, dodatkowo do wyżej wymienionych zalet charakteru, dyrektor ów dysponuje odpowiednimi stosunkami i protekcją w gąszczu monstrualnych instytucji bankowo-dewizowych, które decydują o wydatkowaniu każdego dolara zagranicą. Owoce takich wysiłków i trudów będą jednak nader nikłe. Założywszy, że po pokonaniu niezliczonych przeszkód, składnik ten znajdzie się wreszcie w fabryce — w gotowym produkcie pojawi się on jednak w przerażająco drobnym

procencie, a najpewniej to i w ogóle nie. Reszta zostanie ukradziona. Gdy tylko chodzi o rzadkie,« trudne do zdobycia składniki, robotnicy w komunizmie dysponują wiedzą najbardziej wykształconych technologów, a ich niemrawa apatyczność i niechęć do pracy przeobraża, się błyskawicznie w gorączkową sprawność; gdy tylko najlżejsza możliwość ubocznych dochodów pojawia się na horyzoncie robotnik przeistacza się z dumnego proletariusza w wyrafinowanego handlowca. W ten sposób ów cenny składnik znajdzie się wkrótce na czarnym rynku, zaś na rynku oficjalnym pojawi się nieco później, w skromnym opakowaniu kosmetycznej spółdzielni pracy (wyjaśnienie terminu w oddzielnym rozdziale) imienia babki Lenina, coś co odległe będzie przypominało dobrą pastę do zębów i odznaczać się będzie nieco wyższą ceną, niż produkt państwowy. Zaś państwowa fabryka wypuści produkt, który dumnie się nazywać będzie najnowszą, ulepszoną według specjalnych wzorów pastą do zębów, który po pewnym czasie uznany zostanie za sukces i zacznie gwałtownie znikać z rynku, bo okaże się, zupełnie niespodziewanie, że stanowi ulubiony przysmak domowego ptactwa i jest masowo wykupywany przez kurze farmy jako tucznik. Dyrektor, nowy, lub stary jeśli się utrzyma, dostanie Order Rewolucji za osiągnięcia na polu produkcji past do zębów, a gazety zamieszczą ogromne artykuły o dościganiu i przeganianiu Zachodu w dziedzinie chemii, ze szczególnym uwzględnieniem socjalistycznej troski o zdrowie szerokich mas i nikt nie dostrzeże w tym nic niestosownego, albowiem każdy wie, że dziennikarze też muszą z czegoś żyć.

CO TO JEST SPÓŁDZIELNIA PRACY

Spółdzielnię pracy trudno jest odnaleźć u klasyków marksizmu. Jest to forma stworzona przez życie. Twory żyda rodzą się w prostej i odwiecznej zależności od warunków życia — czego nie przewidzieli klasycy, mimo że pojęcie uwarunkowania gra tak ogromną rolę w ich filozofii.

Spółdzielnia poczęta została z potrzeby wymieszanej ze wstrętem. Jest to ten rodzaj płodzenia potomstwa, na które nikt nie ma ochoty i pomiędzy partnerami, którzy nie mają na siebie wzajemnie ochoty. Komunizm wiedział co robić z ziemią uprawną i z fabrykami po rewolucji, zostało to dość drobiazgowo ustalone przez Ojców Zakonu. Ale życie nie żywi się wyłącznie produktami fabryk i gleby, ktoś zaś musi robić koszyki i rękawiczki, dopasowywać klucze do zamków w miejsce zgubionych, żelować buty, wprawiać stłuczone szyby, czyścić i reperować urządzenia sanitarne, nawet w najbardziej bezklasowym i sprawiedliwym społeczeństwie. Przed zwycięstwem socjalizmu robili to rzemieślnicy, lecz status społeczny rzemieślnika był zawsze doktrynalnie podejrzany. Klasycy sądzili, że stanowi on relikt średniowiecza, skazany na zagładę przez zindustrializowaną historię. Ci, którzy mieli nauki klasyków wprowadzać w życie, patrzyli na rzemieślnika z wyraźną odrazą, widzieli w nim małostkową duszę drobno—mieszczanina, chciwą zysku i pełną światopoglądowych zabobonów, i uważali go za źródło dokuczliwych kłopotów.

Rzemieślnik, zostawiony sam sobie, w dodatku zapobiegliwy i pracowity, w mgnieniu oka przeobraża się w parszywego, małego kapitalistę. Sam fakt, że chce pracować sam z dala od prawomyślnego wysiłku kolektywów, już jest oburzający i groźny. To, że indywidualizm jest generatorem różnych obmierzłych sprawności — jak dotrzymywanie terminów, solidność wykonywanej pracy, taniość kosztów produkcji — sprawia wrażenie prowokacji. Z drugiej strony, aczkolwiek rozwój uprzemysłowienia poza komunizmem osiągnął rozmiary jakich nie przewidywała nawet apokaliptyczna wyobraźnia klasyków, przecież nie zlikwidował rzemieślnika, lecz obdarzył go nową rolą w gospodarczym postępie. Przeobraził go niejako w pion usługowy (*service trade*), który dokonał w demokratycznym kapitalizmie oszołamiającej kariery, zagarniając przeważający procent dochodu społecznego i rozszerzając swe prerogatywy na całkiem nowe, bujnie rozkwitające dziedziny gospodarki jak konserwacja telewizorów, biura podróży, wyświetlanie filmów, fotografia i garaże, w których mechanik jest naturalnym spadkobiercą duchowym śpiewaków Norymberskich, czy szekspirowskich rzemieślników z ateńskiego lasku, a więc bywa bohaterem powieści i dramatu. To jest dla komunizmu cios, brudny numer, uderzenie poniżej pasa: nie dość, że element społeczno—gospodarczy, któremu klasycy przepowiedzieli zagładę z rąk krwiożerczych monopolii koncentrujących kapitał na zgubę słabszych, przeżył i rozkwitł w samym, kapitalizmie, ośmieszając zdolność analizy klasyków, ale pojawił się jeszcze jako tzw. zagadnienie w porządku postrewolucyjnym, gdzie został autorytatywnie nieprzewidziany i miało go w ogóle nie być. Sfrustrowani menażerowie rewolucji zorientowali się wkrótce o ile łatwiej jest budować kombinaty metalurgiczne, niż zgodzić się na produkcję kołder, szelek i dzwonków elektrycznych przez małe warsztaty wytwórcze, oraz ustalić kto ma prasować spodnie. Ale że w końcu ktoś musiał zająć się chociażby zatkanymi kłozetami, przeto zrodziła się koncepcja spółdzielni pracy, czyli zrzeszenia drobnych wytwórców, pracujących równie szczęśliwie jak ich bracia robotnicy na chwałę socjalizmu, tylko w niewielkich pomieszczeniach, a nie w wielkich halach fabrycznych. W ten sposób spółdzielnia pracy stała się koncesją wzniosłej doktryny na rzecz przyziemności i tego wszystkiego co nie daje się załatwić teorią.

Jak każde dziecko garbate, zezowate, niekochane i krzywdzone od najwcześniejszych lat, spółdzielnia odpląca się swym rodzicom chytrze skrywaną nienawiścią i głęboką skłonnością do najnikczemniejszych nadużyć gdy nikt nie widzi. Zysk spółdzielni pomyślany był

początkowo jako własność spółdzielców, ale gdy socjalistyczne państwo i komunistyczna partia zorientowały się, że spółdzielcy pracując dla siebie tylko zdolni są przy pomocy własnych paznokci i najprostszego młotka zrobić sto razy tyle co upaństwowiony robotnik przy pomocy najwymyślniejszych obrabiarek i automatyzacji, ideologia wkroczyła w tę nierówność i przy pomocy śruby podatkowej zaczęła wyciskać z nich ostatnie soki, nie dając żadnych możliwości wzrostu. Należało więc przeciwdziałać i chronić swe prawo do jako takiego życia. Zaczęto od deklaratywności. Frazeologia nazw jest rzeczą dość widoczną w całym życiu gospodarczym komunizmu, ale dopiero spółdzielnie pokazały czego można naprawdę dokonać w tej dziedzinie. Wytwórnice piłek ping-pongowych imienia Karola Marxa, płynu na odciski imienia Rewolucji Październikowej, lub punkty skupu pomidorów imienia Komuny Paryskiej już nie dziwią nikogo. Po półwieczu istnienia komunizmu spółdzielcy udoskonalili swoje chwytaki i coraz częściej sięgają do nazw mających wyrażać ich afirmację życia i ustroju przez subtelniejsze aluzje, na przykład: „Spółdzielnia dekatyzy materiałów Szczęście Ludu”, lub „Wytwórnia drewnianych guzików Radosna Przyszłość”, ewentualnie dobrze widziany patriotyzm jak „Spółdzielnia piekarska imienia Bitwy Stalingradzkiej”, lub „Wytwórnia mydelniczek plastikowych imienia Pogromców Faszyzmu”. Kiedyś, na Węgrzech, spółdzielcy zajmujący się produkcją gumowych środków antykoncepcyjnych, równie ważnych z punktu widzenia interesów społeczeństwa jak nafta, postanowili nazwać swe przedsiębiorstwo imieniem Róży Luksemburg, lecz odpowiednie władze odniosły się raczej niechętnie do tego projektu i spółdzielnia zadowolić się musiała tytułem „Solidarność Robotników”.

Każde komunistyczne przedsiębiorstwo ma dyrektora. Spółdzielnia ma prezesa. Możliwości zarobkowe dyrektora są raczej sztywne i ustalone z góry, ich ewentualne uelastycznienie wymaga oddzielnych rozważań. W porównaniu z dyrektorem prezes dysponuje dużo bogatszą skalą manewru, toteż liczba prezesów zaludniających więzienia w komunizmie jest nieporównanie wyższa od cyfry dyrektorów. Weźmy na przykład produkcję jakiegoś aparatu pomiarowego, składającego się z kilkunastu precyzyjnych części. Wystarczy że zaprzyjaźnione spółdzielnie zawiążą rodzaj małego, nielegalnego trustu do wzajemnego zaopatrywania się w potrzebne elementy, aby powstało wymarzone pole do przekupstw, nadużyć i podwójnej buchalterii. Z kolei doskonałe zarobki na rynku chronicznie wysuszonym z jakichkolwiek produktów dają łatwą kumulację kapitału w spółdzielniach, z czym komuniści walczą na śmierć i życie ze względów ideologicznych. O ile więc prezes i wszyscy inni pod nim, zręcznie nie ukradną, państwo zabierze pieniądze przy pomocy podatków. Zbyt gwałtowne zabieranie rodzi jednak wśród spółdzielców apatię i niechęć do pracy, a nawet najpotężniejszy dygnitarz partyjny musi od czasu do czasu oddać płaszcz zimowy do *dry cleaning*. Powstaje zatem sytuacja bez wyjścia, w której ustąpić mogą jedynie i w końcu muszą klasycy. Zresztą swoboda w interpretacji klasyków okazuje się raz jeszcze rzeczą nieocenioną i po pewnym czasie nikt już naprawdę nie wie czy Marx i Lenin uczyli, że zepsute żelazko do prasowania naprawiać należy kolektywnie czy indywidualnie.

CO TO JEST INICJATYWA PRYWATNA

Podróżny w Polsce, na Węgrzech i w Niemczech wschodnich widzi tu i ówdzie sklep lub warsztat szewski, rzadziej małą piekarnię, a bardzo rzadko małą jadłodajnię, zdobną w szyld z nazwiskiem właściciela. Jest to relikty epoki gdy komuniści, obejmując władzę w wyniku podbojów Czerwonej Armii, stojąc oko w oko z zacieklą wrogością ujarzmionych społeczeństw, uciekali się do kokieteryjnych pseudokoncesji i deklaracji. Sloganem owych lat, tuż po ostatniej wojnie, była tzw. ludowa demokracja, czyli ustrój, w którym komuniści przyrzekali utrzymać wszystkie swobody polityczne i gospodarcze zwykłej demokracji o ile lud zgodzi się na użycie jego imienia w tytule. Ówczesna moda polityczna wymagała także, ażeby żadna partia komunistyczna nie nazywała się komunistyczną, lecz robotniczą lub partią pracujących, a słowo komunizm, w odniesieniu do nowych rządów czy porządków, ulegało konfiskacie o ile jakiś naiwny dziennikarz chciał nazwać rzecz po imieniu. Nacjonalizacja dotyczyła tylko ciężkiego, przemysłu, reformy rolne dawały chłopom ziemię, a nie zabierały jej jeszcze pod płaszczykiem kolektywizacji rolnictwa, kupcy zaś i rzemieślnicy mieli prawo otwierać własne przedsiębiorstwa zwane w żargonie polityczno-ekonomicznym inicjatywą prywatną. W drobno przemysłowych warsztatach prywatnych wolno było zatrudniać do 50 pracowników.

Początkowo więc miasta polskie, wschodnioniemieckie węgierskie miały ulice pełne sklepów prywatnych, później sklepy te zaczęto koncentrować na specjalnych ulicach w specjalnych dzielnicach. Sprawiało to wrażenie getta, gdyby nie niezwykle bujna i pulsująca działalność handlowa tych obszarów. Powstało bowiem dziwne zjawisko: sklepy te, prawdziwa wylęgarnia tandety i najgorszych drobnomieszczańskich gustów w konfekcji ubraniowej, sztucznej biżuterii, drobnych akcesoriach meblarskich i innych pospolitych przedmiotach codziennego użytku, stały się istną Mekką wyzwolonego proletariatu i niższych eszelonów partyjnych, które — wraz ze stabilizacją egzystencji — uznały zawarte w nich towary za szczyty konsumpcyjnej kultury, materialnych ambicji, a także najlepszy dowód ich społecznego awansu i życiowego powodzenia.

Ten oczywisty boom miał jednak swoją drugą stronę. Przez długie lata właściciele tych sklepów wiedli żywot pierwszych męczenników chrześcijańskich, rzucanych co kwartał na arenę urzędów skarbowych pełną dzikich zwierząt przebranych za urzędników podatkowych. Komuniści nigdy nie myśleli traktować na serio swoich przyrzeczeń z miodowych miesięcy okresu ludowej demokracji i szybko zdecydowali się na likwidację tej wywieszki, zgodnie z nakazami ideologii uwolnionej z więzów taktyki. Jednocześnie ekonomiści i planiści komunistyczni, gnębieni chroniczną inflacją i chaotycznym nadmiarem papierowego pieniądza na rynku w wyniku bezsensownej polityki zatrudnienia i płac, zorientowali się szybko jak wspaniałe usługi w drenowaniu rynku oddać im może umiejętnie gnębiona inicjatywa prywatna. Posuwając się ku socjalizmowi, komuniści coraz zażarciej likwidowali owe instytucje polityczne i społeczne, które klasycy przyrzekali zatrzymać i rozwijać, zachowywali zaś to, co klasycy przekleli na samym początku i zalecali wykorzeń bezlitośnie. Odtąd więc kupcy prywatni mieli prawo wznosić swe obroty, podczas gdy śruba podatkowa zabierała im niemal wszystko. Każdy urząd podatkowy może sobie najzupełniej dowolnie, bez żadnych aktów ustawodawczych, wymierzać sumy należne do zapłacenia przez posiadacza sklepu czy warsztatu z zupełną pogardą dla obowiązujących przepisów i norm. Ponieważ z punktu widzenia teorii materializmu dialektycznego właściciel sklepu czy warsztatu jest reliktem szczątkowym z okresu pokonanego kapitalizmu, moralnie zasługuje wyłącznie na nienawiść i szyderstwo, a politycznie i ideowo jest potencjalnym wrogiem i żywą sprzecznością z obowiązującym układem społecznym — przeto nie może on liczyć na żadną ochronę prawną i żaden sąd nie przyjmie jego skargi, nawet gdy urząd podatkowy

oskalpuje jego, jego żonę i dzieci w celu ściągnięcia irracjonalnie wymierzonych stawek podatkowych.

Rola prywatnych warsztatów wytwórczych w wysiłku gospodarczym np. Polski była początkowo znaczna. Zaopatrywały one społeczeństwo w wiele artykułów, zwłaszcza wymagających troskliwego wykończenia fachowego. W początkach komunizmu szpitale polskie zaopatrywały się w narzędzia chirurgiczne niemal wyłącznie przy pomocy inicjatywy prywatnej. Produkcja wody sodowej przez państwo, zajęte akurat budowaniem gigantycznych kombinatów metalurgicznych, wydaje się nieporozumieniem, toteż nic dziwnego, że początkowo nikt nie miał nic przeciw przejęciu jej przez inicjatywę prywatną. Wkrótce jednak okazywało się, że podczas gdy kombinaty metalurgiczne pozostawały ciągle na projektowych kalkach państwowych przedsiębiorstw konstrukcyjnych, przedsiębiorca prywatny był w stanie rozbudowywać swe przedsiębiorstwo w postępie geometrycznym, pomnożyć je o produkcję syfonów, a gdyby mu pozwolono — wkrótce zorganizowałby fabryki samochodów do rozwożenia jego syfonów, wypełnionych jego wodą sodową. Tym samym należało go zdusić jako niebezpieczeństwo dla doktryny i w imię interesów klasowych, chociaż jego pożytek dla społeczeństwa wiecznie uganiającego się za wodą sodową, syfonami i samochodami nie ulegał dla nikogo wątpliwości.

W latach sześćdziesiątych inicjatywa prywatna dogorywa, chociaż proces dogorywania charakteryzuje jej istnienie od samego początku. Stosunkowo najmocniej trzyma się zieleniarstwo, czyli prywatna uprawa jarzyn w niewielkiej odległości od miasta, zaopatrując miasto w świeże warzywa i owoce. Doktrynalna dyspensa dla zieleniarstwa sięga nawet Rosji gdzie członkowie kołchozów mają prawo do uprawiania prywatnych ogrodów warzywnych i sprzedawania swych produktów w mieście. W Europie wschodniej, prywatni zieleniarz« są milionerami. Fakt ten tłumaczy się tylko metafizyka, która sprawia, że socjalizm jest w stanie wyprodukować każda, ilość czołgów i łodzi podwodnych, ale jest organicznie niezdolny do wyprodukowania sałaty i dostarczenia jej do sklepów spożywczych.

Pozostaje pytanie: dlaczego ludzie tak udręczeni jak właściciele sklepów i warsztatów nie rzucają ich i nie uciekają w inne rejony bytu, lecz trwają od 25 lat na stanowiskach, a nawet całkiem nieźle prosperują? Odpowiedź jest zarazem bardzo prosta i bardzo skomplikowana. Znakomity polski, aktor dramatyczny powiedział kiedyś: „Kapitalizmu nikt nie wymyślił, zrodziło go życie, zwane przez niektórych historia.: człowieka na ziemi. Natomiast socjalizm został wymyślony przy biurku. Nic dziwnego, że popada w nieustające konflikty z życiem”. Nie umiając swoich trudności wytłumaczyć socjalizm nazywa je niewygasłą walką klas. Ale, choć istnienie klas jest łatwo zauważalne, sama walka klas jest rzeczą nader wątpliwą; klasy ze sobą nie walczą tylko wzajemnie sobie zazdroszczą i wzajemnie się naśladują. Ów urzędnik podatkowy, odgrywający w życiu kupca czy zieleniarza, rolę niesytego krwi tygrysa, zarabia zazwyczaj 1000 złotych w systemie gospodarczym, w którym para butów kosztuje 500. Nieludzkim koncepcjom i prawom przeciwstawić można skutecznie tylko prawa życia. Dlaczego jego syn ma chodzić boso do szkoły? Reszta jest milczeniem, wyjaśniającym dlaczego inicjatywa prywatna nie wymiera, aczkolwiek nie może żyć.

JAK CZYTAĆ NAPISY W MIEJSCACH PUBLICZNYCH

Kiedy na dużej stacji autobusowej szukamy autobusu mającego nas zabrać w określonym kierunku, rzeczą najbardziej wskazaną jest nie czytać żadnych napisów. Jak wszędzie na całym świecie komunistyczne stacje autobusowe zaopatrzone są także w pewną liczbę napisów, których teoretycznym zadaniem jest informowanie. Różnica jednak pomiędzy napisem ze stacji Greyhounda, a tymi z komunistycznego dworca jest prosta: na pierwszym napisy coś znaczą, na drugim napisy nie znaczą nic a nic. W licznych zaś wypadkach znaczą coś wręcz przeciwnego niż głoszą.

Korzenie tego stanu rzeczy tkwią w doktrynie. Już bardzo wcześnie Lenin i jego współpracownicy doszli do wniosku, że współzależność pomiędzy słowem pisanym a prawdą lub choćby tylko sprawdzalnością zawartych w piśmie treści, jest zupełnie nieistotna, jeśli nie wręcz szkodliwa dla dobra grupy ludzi dzierżących władzę w imię realizacji komunizmu. Nikt nigdy nie miał żadnego pożytku z wiarogodności w polityce, Lenin rozumiał to doskonale, i w konsekwencji dało to początek temu, co dziś nazywa się propagandą, a co w komunizmie zastępuje wiedzę, naukę, literaturę i wszelkie *communication media* do kupy wzięte. Gdy na paradzie pierwszomajowej widać powielony w nieskończoność i niesiony przez tysiące paradyjących transparent z napisem: „Niech żyje władza ludu!” — nikt dokoła, łącznie z mężami stanu na trybunie honorowej, nie czyta go, nie uzyskuje zeń ani inspiracji ani informacji, po prostu go nie dostrzega. Każdy wie dobrze, że w komunizmie lud nie ma żadnej władzy, więc pobłażliwą nie zwracanie uwagi na treść transparentu jest jedynym prądem widłowym doń stosunkiem. Nie od rzeczy jest spytać tego, kto go nosi, czy transparent jest ciężki i wyrazić radość gdy zapytany powie, że można wytrzymać, lecz słowa na transparencie i ich znaczenie po prostu nie istnieją dla nikogo. Jeśli na transparencie widnieje słowa: „Wszyscy do walki o wypełnienie planu gospodarczego!” — każdy wie, że zalecenie takie należy po prostu uprzejmie zignorować, albowiem plan jest czystą, bzdurą, za którą, jego autorzy pójdą za parę lat do więzienia, nigdy nie zostanie wypełniony, nie ma nic wspólnego z gospodarką, a wszyscy będą robili wszystko, żeby nie mieć z nim nic wspólnego, za co komuniści będą ich okrutnie prześladować.

Jest więc rzeczą logiczną i oczywistą dla każdego, kto pożył w komunizmie choćby parę dni oraz potrafi kojarzyć doświadczenia i wyciągać z nich wnioski, że to co napisane i na widoku publicznym, łącznie z napisami na dworcu autobusowym, ma taką samą wartość jak polityczne hasło na transparencie. Ta zasada życia nie zawiodła jeszcze nikogo w komunizmie, a jej stosowanie ciągnie się bardzo daleko, bo aż do napisów z nazwami ulic. Jeśli w ogromnym Nowym Jorku jest tylko jedna ulica, której oficjalna denominacja nie zgadza się z nazwą powszechnie używaną przez ludność, to w każdym komunistycznym mieście jest ich dziesiątki. Jedynym wyjściem z sytuacji jest przeto pytać się ludzi o coś na każdym kroku. Stąd — jedyną, najbliższą informacją w kraju komunistycznym jest, mimo wszelkich ułomności natury ludzkiej, informacja przekazywana z ust do ust. Czyli dość sędziwa metoda, która już na ateńskiej agorze budziła daleko idące zastrzeżenia co do swej precyzji.

Toteż przemierzając polski dworzec autobusowy w poszukiwaniu — dajmy na to — autobusu do Warszawy, zmyleni zaś różnymi wskazówkami natykamy się w końcu, przez czysty przypadek, na autobus: „Do Warszawy”, najprostsze doświadczenie uczy nas, żeby nie wsiadać. Instynkt mówi nam, że informacja ta może odpowiadać prawdzie, a może i nie, zaś szansę na obydwa rozwiązania są idealnie zrównoważone. Należy się przeto zapytać, i to kilka razy, a także bardzo wyraźnie akcentując słowa. Pytać należy najróżniejszych ludzi, unikając starannie osobników o wyglądzie szoferów, konduktorów, oraz innych odzianych w mundury służby ruchu. Pytanie ludzi podejrzanych o jakikolwiek stosunek służbowy z

autobusami jest bezcelowe, bo z natury rzeczy niczego nie wiedzą, ani nie mogą wiedzieć, ani nie chcą wiedzieć. Nawet jeśli są życzliwi i opanowani chęcią niesienia pomocy, ich dobra wola anulowana jest przez ich kompletną dezorientację — przyrodzony stan umysłowy każdego zatrudnionego w komunistycznej instytucji. Istnieje jednak ewentualność gorsza, a mianowicie, że pytający zostanie zupełnie mylnie poinformowany, a to z czterech możliwych powodów:

- z głupoty — mistyka munduru w krajach zuniformizowanych sprawia, że człowiek w mundurze uważa się za coś o wiele lepszego od każdego człowieka w cywilnym ubraniu, woli przeto udzielić krańcowo błędnej informacji, niż przyznać się, że czegoś nie wie i poniżyć siebie i mundur;

- ze zmęczenia — ludziom pracującym bez wytchnienia w ciężkich warunkach wszystko ciągle się myli, nie ponoszą, oni żadnej odpowiedzialności za swą ignorancję i trudno jest mieć o nią do nich pretensję;

- z rozgoryczenia — niewolnicza praca bez prawa protestu sprawia, że ludzie opanowani są rozpaczliwą chęcią robienia na złość innym ludziom i upatrują ulgę w bezmyślnym dręczeniu bliźnich;

- z braku czasu — śmiesznie niskie zarobki, nie wystarczające na zaspokojenie pierwszych potrzeb, sprawiają że ludzie obarczeni nawet niezwykle odpowiedzialnymi funkcjami ciągle zajęci są czymś zgoła innym — np. sprzedają wódki, wypłataniem koszyków, lub kradzieżą tych części wyposażenia, które można sprzedać na wolnym rynku — i nie znoszą, żeby im przeszkadzano głupimi pytaniami.

Stąd, pytając kogo nie należy, niezmiernie łatwo jest znaleźć się w autobusie idącym w zupełnie odwrotnym kierunku i odkryć to dopiero po przejechaniu 200 mil. Natomiast pytanie zadane nawet najbardziej oderwanemu od swych zajęć funkcjonariuszowi w mundurze, ale poparte jakąś manifestacją człowieczeństwa — na przykład wręczeniem paczki papierosów lub szalika doraźnie zdjętego z szyi i ofiarowanego serdecznym gestem mającym oznaczać wszechludzką solidarność proletariatu — przynieść mogą nader pozytywne rezultaty. Funkcjonariusz natychmiast opuści swoją placówkę bez względu na wagę i doniosłość wykonywanych właśnie funkcji! (kontrola biletów, przegląd motoru itd.), uda się w sobie tylko wiadomym kierunku aby porozmawiać z sobie tylko znanymi ludźmi, po czym wróci z dokładną informacją. Niemniej i wtedy należy natrętnie, z naciskiem i kilka razy powtórzyć: „Ale czy jest pan na pewno pewien, że ten właśnie oto autobus jedzie do Warszawy?” — i dopiero gdy funkcjonariusz z rozżaleniem uderzy się w piersi i głosem nabrzmiałym łzami zawoła: „Panie kochany! Czyż tak kryształowo uczciwy człowiek jak ja mógłby oszukać tak przyzwoitego człowieka jak pan? Daję panu osobiste słowo honoru, że ten autobus jedzie do Warszawy! Jest to słowo honoru prawego człowieka, a nie jakiejś tam państwowej instytucji...” W takim wypadku, nie dostrzegając żadnych oznak pijaństwa u rozmówcy można z zaufaniem wsiąść do autobusu.

Pozostaje pytanie: dlaczego autobus nosi napis „Do Warszawy” skoro wcale tam nie jedzie, tylko w zupełnie inne miejsce? Najprostsza odpowiedzią jest: niedbalstwo personelu, a przyczyn niedbalstwa jest nigdy niekończąca się ilość. Ale istnieją i głębsze uzasadnienia. Z jakichś sobie tylko wiadomych powodów naczelnik stacji czy kierownik ruchu uważa, iż autobus z napisem „Warszawa” powinien stać na oznaczonym miejscu, mimo że wcale do Warszawy nie pojedzie. Więc autobus zostaje podstawiony. Nikt z podwładnych nie będzie się dopytywał dlaczego, ani tym mniej spierał z decyzją naczelnika czy kierownika, wszyscy od dawna przyzwyczajeni są do bezsensownych rozporządzeń, zaś nawet najbardziej surrealistyczne zlecenie przyjmowane jest z rezygnacją i nikogo nie dziwi. Więc autobus stoi. W tym czasie powody decyzji naczelnika od dawna straciły znaczenie, albo on sam o nich zapomniał. Ale autobus stoi, bo im wyższy i ważniejszy kierownik komunistycznego przedsiębiorstwa tym mniejsze ma on pojęcie co się w jego przedsiębiorstwie dzieje. A im

mniejsze ma on o tym pojęcie, tym bardziej działanie jego oparte jest o autorytet partii i policji politycznej, co sprawia, że wszyscy się go śmiertelnie boją i tym mniej skłonni będą kwestionować jego decyzje, on zaś boi się wszystkich, siedzi w swym biurze odizolowany szczelnie od swego kolektywu i nigdy nie przysłoby mu do głowy dokonywać jakichś inspekcji na powierzonym sobie terenie. W ten sposób autobus nie jadący nigdzie, ale opatrzony w napis ze stacją docelową, zostaje jakoś zinstytucjonalizowany — nie służy niczemu, ale też i nie przeszkadza nikomu, więc nikomu nic do tego. Bywa, że ten kto wydał rozkaz, czy zlecenie, naczelnik czy kierownik, od dawna już jest wyrzucony z pijacy albo siedzi w więzieniu, ale ustanowiony przez niego, całkiem irracjonalny stan rzeczy trwa i żyje życiem własnym.

Napisy mają byt twardy, zwłaszcza wśród ludzi, którzy w ogóle na nie nie zwracają uwagi. Fakt, że nad jakimś sklepem wisi napis: „Materiały piśmienne” bynajmniej nie oznacza, że sprzedaje się w nim rzeczy służące do napisania. Ponieważ kraje komunistyczne żyją w permanentnym kryzysie gospodarczym i wszystkiego jest zawsze brak, przeto napis taki oznacza po prostu miejsce, w którym nie ma papieru, atramentu, piór, ołówków, kopert itd. Zachodzi tedy pytanie: co w nim jest? Otóż czasami można w nim dostać żarówki elektryczne, bo w komisji planowania ktoś doszedł do wniosku, że skoro pisać nie można po ciemku, więc żarówka jest materiałem piśmiennym. Oczywiście, na tej samej zasadzie trudno jest znaleźć żarówkę w sklepach elektrotechnicznych, gdzie jest za to maść przeciw oparzeniom, bo, jak wiadomo, można się porazić prądem elektrycznym, jest w tym zresztą jakaś potężna antylogika, którą człowiek uczy się w końcu posługiwać i którą ozdabia drobnymi uprzejmościami. Jak w owej historii o lekko niedowidzącej staruszce w Pradze, która weszła do sklepu z mięsem i spytała czy jest masło. „Tu nie ma mięsa, szanowna pani”, odparł z wyszukaną grzecznością sprzedawca. Po czym dodał, wskazując na drugą stronę ulicy: „Masła nie ma w tamtym sklepie”.

JAK PRZECIWSZTAWIAĆ SIĘ

A) W MŁODYM WIEKU

Młody wiek jest wspaniałym czasem przeciwstawiania się. Upojenia i rozkosze oporu płyną wtedy z głęboko przeżywanego przekonania, że świat może, a nawet musi być zmieniany. Wprawdzie w komunizmie młody człowiek przekonywa się szybko o tym jak ciężko i niebezpiecznie jest być tym, który zabiera się do zmieniania świata, lecz uroki buntu pozostają niezatarte. Od zarania świadomie sformułowanej myśli i uświadomionej chęci jej wypowiedzenia człowiek w komunizmie staje wobec dręczącego dylematu, którego jednym członem jest imperatyw sprzeciwu, drugim zaś — świadomość jałowości sprzeciwu. Dzieciństwo, szkoła, pierwsze lata dojrzałości uczą, że nie ma sensu przeciwstawiać się, gdyż każdy opór skazany jest z góry na klęskę. Tradycje oporu nie istnieją, w nauce historii nie ma o nich najdrobniejszej wzmianki, głucho o nich w prasie, w literaturze, w kinie. W rodzinie czy wśród przyjaciół wspomina się o nich czasem, lecz tylko jako o katastrofach osobistych, egzystencjach zaprzepaszczonych w więzieniach lub w krańcowej nędzy. Pokolenia odcięte są od innych pokoleń, nawet bezpośrednio je poprzedzających. Patrzenie wstecz niczego nie daje, zróżnicowanie stylowe epok i generacji nie istnieje, lata dwudzieste niczym nie różnią się od trzydziestych, a też od pięćdziesiątych — nie odróżnia ich ani piosenka, ani rodzaj spódnicy, ani architektura. Jeśli w pokoleniu poprzednim buntowano się, pokolenie następne nic o tym nie wie, nigdzie nie ma śladu o wydarzeniach, drukowana informacja o nich nie istnieje, publicznie nie wolno o tym wspominać. Literatura nie jest w stanie przenieść znaków buntu, ani pamięci o buncie, zabójcza efektywność komunistycznej cenzury unicestwi najogólniejszą aluzję. Najgłębsze i najodważniejsze książki, napisane w komunizmie, nie rejestrują, innych objawów oporu niż psychiczno—moralny sprzeciw jednostki w ramach własnej duszy. Najbardziej prawi i wolni w swym piśmarstwie pisarze, nawet pisząc bez nadziei na publikację swych dzieł, są tak zafascynowani niemożliwością przeciwstawiania się, że nawet rozważając los człowieka w komunizmie, czy dostrzegając zło w najprostszym ludzkim doświadczeniu, ostrożnie eliminują jakąkolwiek rejestrację drgnień oporu w otaczającej ich rzeczywistości.

W krajach Europy wschodniej tradycja buntów przeciw przemocy jest bogata i uważana za wspaniały dorobek historyczny narodów. Toteż w początkach ery komunistycznej, gdy kłamstwo i nędza komunizmu objawiły się wschodnim Europejczykom w swym całym majestacie, brak skonkretyzowanego społeczeństwa, ciągle obecnego oporu w Rosji wydawał się ludziom rzeczą niezrozumiałą. Niedawne wspomnienia zacieklej walki przeciw hitlerowskiej tyranii w której żadne okrucieństwa najeźdźców nie potrafiły wykorzenić wciąż narastającego oporu, zdawały się wskazywać drogę. Wystarczyło jednak parę lat zaledwie, by społeczeństwa wschodnioeuropejskie uświadomiły sobie, że władza w rękach komunistów stanowi groźniejsze niebezpieczeństwo od hitleryzmu, że cele i praktyka komunizmu są bardziej ludobójcze niż eksterminacyjne szaleństwo nazistów. Mimo to, a może właśnie dlatego, nie powstał żaden ruch oporu choćby odległe przypominający antyhitlerowską koncentrację zbiorowego wysiłku.

Rozciągając swą władzę nad Europą wschodnią Rosjanie likwidowali z zimną zaciętością wszystkie ośrodki walki przeciw Hitlerowi, oskarżając ludzi, którzy przez 6 lat walczyli po bohatersku z Niemcami lub gnili w obozach koncentracyjnych, o to, że w gruncie rzeczy byli oni niemieckimi agentami przeznaczonymi do walki z komunizmem. Był to prosty chwyt, oparty o brutalną zasadę dialektyczną, według której każdy uzbrojony niekomunista musi być z natury rzeczy antykomunistą, każdy zaś antykomunista *eo ipso* faszystowskim bandytą.

Okazało się wkrótce, że tam gdzie w sądzie i w redakcji gazety siedzi funkcjonariusz tej samej policji politycznej, która wysłuchiwała i aresztowała, wymiar sprawiedliwości przeradza się w tragiczną parodię. Zdumione społeczeństwa oglądały więc w *mass-media* przedziwne procesy ludzi, którzy przez całą wojnę dawali dowody bezprzykładnego heroizmu i ofiarności, a teraz siedzieli nagle skuleni ze strachu na ławach oskarżonych, przyznając się do najbezsensowniejszych zarzutów, recytując groteskowo śmieszne litanie swych absurdalnych win i przestępstw, wysłuchujących bez słowa protestu karykaturalnych uzasadnień wyroków. Ludzie czytali w gazetach o księżach, którzy spędzili nieskazitelne życie w służbie Bożej, teraz zaś na ławie oskarżonych przyznawali się do zamordowania podrzutka płci żeńskiej; lub słuchali w radio głosów sławnych profesorów fizyki samooskarżających się w Warszawie, Pradze i Budapeszcie, że przez całe życie byli agentami wojskowego wywiadu Hondurasu. Po czym ludzie ci znikali, ich trupy wywożone były nocą z piwnic polskiej, czeskiej, czy węgierskiej policji politycznej, i nikt poza ich rodzinami nigdy już o nich nie wspominał.

Wtedy też społeczeństwa zrozumiały instynktownie dlaczego przez 20 lat z Rosji nie dochodziły żadne wieści o społecznie sprawdzalnym oporze, mimo że opór psychiczny przeciw komunizmowi stanowi tam taki sam tlen istnienia jak wszędzie gdzie zapanował komunizm. Do świadomości społeczeństw przeniknęło paraliżujące rozeznanie komunistycznej technologii władzy, która sformułowała i zastosowała TAK nieludzkie odczynniki rozkładu ludzkiej woli, wynalazła TAK nowe metody narkotyzowania całych narodów strachem i poczuciem jałowości egzystencji i bezsensowności życiowych funkcji, że powoli, jakby przy pomocy jakiejś potwornej antyczłowieczej chemii, wywabiła z duszy ludzkiej odruch protestu, a więc intencję oporu — unicestwiając tym samym w załączku ewentualny akt oporu. Bezbrzeżna pogarda dla prawdy i prawdy, podobieństwa przynosiła owoce: absurd, wygnany bezlitośnie z literatury i sztuki, stawał się w rękach filozoficznych monistów, przekonanych święcie o teologicznych wartościach budowanego przez nich świata, najskuteczniejszym narzędziem władzy nad ustępującymi, obezwładnionymi umysłami. Wschodni Europejczycy pojęli na czym polega przerażająca wyższość skrajnej lewicy, która zdobyła władzę i stosuje terror dla jej utrzymania, nad skrajną prawicą, która dla utrzymania się przy władzy tylko masowo zabija. Powolne, metodyczne unicestwianie człowieczeństwa przez zwycięską lewicę powoduje paraliż heroizmu w służbie przeciwstawiania się ideom, moralności politycznej i systemom rządzenia, nieznany dotąd ludzkości.

A przecież ciągle czytamy w gazetach o tym, że ktoś się przeciwstawia. Nieustająco natykamy się na dowody istnienia oporu. Tu i ówdzie izolowane grupki intelektualistów i studentów protestują, opierają się. Zjawisk tych nie należy mieszać ze spontanicznymi eksplozjami otwartego buntu, jakie miały miejsce doraźnie w Berlinie, Poznaniu, Budapeszcie w ciągu ostatnich 25 lat. Erupcje te uświadomiły światu, że społeczeństwa nie zgadzają się na komunizm, miały one doniosłe znaczenie, ich skutki były różne i niezbyt doniosłe. W Polsce przyniosły 2 lata łagodniejszego klimatu politycznego. W Berlinie spowodowały rzucenie na rynek znacznej ilości towarów konsumpcyjnych. Na Węgrzech, po krwawej hekatombie, przyniosły względną stabilizację gospodarczą bezładnych koncesji politycznych. Komunizm nie boi się buntów zbrojnych, ani powstań — wie że zawsze sobie z nimi poradzi, otwarta rewolta jest niemożliwa przeciw współczesnej technologii w służbie współczesnego totalizmu, a demokratyczny Zachód w kilka miesięcy zapomni o najkrwawszych represjach.

Naprawdę komunizm boi się tylko pisarzy, studentów i izolowanych, skazanych na zagładę liberałów. Wie, że są oni tym depozytem niezależnej myśli, po który nie można sięgnąć, myśl zaś jest ową przestrzenią, na której rozegra się ostateczna walka. Myśl można ukryć głęboko i przechować długo, jest to terytorium, nad którym nie można rozciągać kontroli — a brak kontroli oznacza klęskę komunizmu. Stąd celem najzawziętszych ataków, planowanych przez najbezwzględniejsze sztaby, jest myśl człowieka. Od zacieklego i okrutnego gwałcenia, zniewalania i obezwładniania myśli komunizm nie odstąpi nigdy. Użyje każdego środka by ją

sobie podporządkować, nawet jeśli droga do tego prowadzi poprzez zbrodnicze wyjałowienie, sproszkowanie i absurdałne odczłowieczenie myśli. Komunizm boi się nie tylko myśli sformułowanej, boi się także jej bardziej rudymenatarnych postaci jak impuls, skłonność czy upodobanie. „Gdy pokazywałem reprodukcję obrazu Braque’a dzieciom, które nigdy w życiu nie widziały niczego innego poza Leninem z gipsu, portretami Stalina czy malowidłami socrealistycznych malarzy, tylko jeden chłopczyk powiedział: „To ładne!”, aczkolwiek nie potrafił uzasadnić dlaczego to mu się podoba. Ale jeden był...” — opowiadał kiedyś pewien polski historyk sztuki. Komunizm ustawił sam siebie w sytuacji moralno-ideowej, której logika uczy go, że aby utrzymać się u władzy, musi on albo wykorzenić z tego chłopca to co mu się zaledwie podoba, albo go zabić. Inaczej chłopiec będzie rozsądkiem antykomunizmu. Więc komunizm wybiera drugie rozwiązanie, wnioskując poprawnie, że nie sposób dowiedzieć się o impulsach i upodobaniach wszystkich poddanych. Ponieważ jednak nie można wymordować wszystkich swych poddanych, więc poddaje ich ciśnieniom psychicznym o intensywności i wszechobecności nieznanej dotąd w historii społeczeństw. W ten sposób stara się zabić ich myśl. Czyli ich człowieczeństwo.

Stara się, lecz bezskutecznie, gdyż można fizycznie roztrzaskać aparat myślenia, lecz myśli zabić nie można. Wysnuć stąd można optymistyczną konkluzję, że — w perspektywie historii — komunizm skazany jest na nieuchronną klęskę.

Człowiek demokratycznego Zachodu nie jest w stanie wyobrazić sobie rzeczywistości, w której nie można czegoś wypowiedzieć, stwierdzić publicznie czy ogłosić. Tymczasem tuż obok niego, w świecie skurczonym do rozmiarów parugodzinnego lotu z Waszyngtonu do Moskwy, żyją ludzie odlegli od niego o czasoprzestrzeń jaka dzieli wczesne średniowiecze od wolnych wyborów burmistrza Nowego Jorku. Nie tylko nie mogą oni mówić co uważają za właściwe do powiedzenia, ale nie wolno im także myśleć inaczej niż mają to przepisane przez polityczny kanon rządzący ich życiem. W tym miejscu wolny, oczyszczony z narośli wielowiekowych zahamowań, obciążeń i konwenansów człowiek demokratycznego Zachodu powie: „To nonsens! Jak można stworzyć warunki, w, których człowiek nie może pomyśleć co chce? Przecież myślenie nie jest procesem społecznym, lecz psychicznym. Człowiek myśli co chce, mówi zaś co uważa za stosowne w danej sytuacji. Jeśli nie chce czegoś powiedzieć, to tego nie mówi”. Tym samym, człowiek Zachodu zakłada wolny wybór wypowiedzenia tego co chce jako nienaruszalny aksjomat. Wyklucza on istnienie rzeczywistości, w której taki wolny wybór nie istnieje. Niemniej, taka rzeczywistość jest faktem, takim samym jak jego niezdolność pojęcia tego faktu. Jeśli słowo jest naturalny konsekwencją myśli, to w komunizmie następuje zasadnicze załamanie się tej współzależności, co w oczywisty i całkiem nowy sposób determinuje i myśl i słowo. Może najdobitniej ujął to zjawisko w słowa wybitny pisarz rosyjski po swej ucieczce na Zachód; pisał on:

„Najbardziej normalne, najbardziej naturalne, najbardziej istotne ze wszystkich pragnień: mówienie prawdy, lub tego co się myśli — jest w Rosji Sowieckiej zapomnianym i nierealnym snem. Podczas całego swojego świadomego życia człowiek w komunizmie żyje w strachu aby nie powiedzieć czegoś, czego nie należy głośno wypowiedzieć ...”

To, że są rzeczy jakich nie należy głośno mówić stanowi o niewoli myśli w większym stopniu, niż to, że są rzeczy, których nie wolno głośno mówić. Strach przed samym sobą przeistacza się w wewnętrzną samokontrolę, odczłowieczającą człowieka w stopniu groźniejszym niż polityczny zakaz wypowiadania niedozwolonych poglądów. Wolność myśli może być problemem psychologicznym, ale jako zasada społeczna zakłada możliwość, a nawet konieczność wolnej wypowiedzi. Gdy pierwsi Amerykanie deklarowali wolność sumienia jako naczelną wartość, dla której opuszczali swe kraje rodzinne w Europie i z której zamierzali uczynić kamień węgielny życia w Nowym Świecie — mieli oni na myśli możliwość otwartego przyznania się do tego, że są purytanami, kwakrami, nonkonformistami. W

komunizmie koło cofnięte zostało o 400 lat wstecz: wolność sumienia uchodzi *ex officio* za psychiczny trąd. Sumienie człowieka nie należy do niego, lecz do klasy społecznej przed rewolucją, i ma być sztucznie prefabrykowane po rewolucji w coś, co wzniosie nazywa się przynależnością społeczną, faktycznie zaś stanowi sztucznie wykoncypowany przez teoretyków, polityków i administratorów przepis na człowieka. Jest więc rzeczą naturalną, że myśli człowieka — tak jak jego zachowanie, prawa, obowiązki, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość — podlegają ścisłej kodyfikacji i nieustającemu kształtowaniu, człowiek w komunizmie nie rozwija się sam, nie formuje go życie, nie określają go drudzy, bliscy mu ludzie. Człowieka w komunizmie stwarza przepis, recepta, kartka papieru przepisywana codziennie przez specjalnie przeznaczonych do tego zadania planistów, którzy pojęcia nie mają o kształcie nosa faktycznego człowieka, kolorze jego oczu, bólach brzucha, nastrojach smutku i trapiących go troskach. Wiedza ta zresztą nie należy do ich obowiązków i fakty nic ich nie obchodzą, ale zastrzegają oni sobie absolutną władzę nad regulowaniem wszystkiego co człowieka dotyczy, nawet kształtu jego nosa, jeśli to uznają za stosowne.

Zrewoltowane młode pokolenia chronią się zawsze za coś czego nie dostają od życia, czego nie mogą dostać w danej chwili, czego im właśnie nie wolno. Zakaz stanowi dla nich tarczę, którą trzymają przed sobą posuwając się do przodu w bunt. Gdyby nie było zakazu, nie byłoby potrzeby buntu, stąd zakaz jest równie ważki i cenny jak sam bunt. Właściwością zakazu w demokracjach jest zazwyczaj jego chwiejność, połowiczność, pokonywalność. Istnieje instytucjonalnie założona możliwość przełamывania zakazu. Ta możliwość sprawia, że bunt młodych na Zachodzie zawiera w sobie równie wiele waloru moralnego, jak i niezbyt czystych chwytów, bądź zwykłego nadużycia istniejących swobód i samowoli przedstawianej jako cnota. Jeśli na przykład jakaś grupa społeczna ma prawne i faktyczne możliwości postępu i realizowania swych celów, lecz jej poszczególni członkowie nie uzyskują odpowiednich — w ich własnym przekonaniu — osiągnięć na skutek, najczęściej, indywidualnych mankamentów, jednostki te łączą się w ruch. Ten szerszy związek jednostek z kolei proklamuje, że grupie coś jest odmówione i przedstawia jednostkowe, często prywatne niedobory i klęski jako błędy systemu społeczno—politycznego, bądź zwała winę na inne grupy społeczne, oskarżając je o często zmitologizowane prześladowania. Niemniej, tak spreparowane pretensje otrzymują w prawidłowo funkcjonujących demokracjach dostateczną ilość uwagi, rozgłosu i reklamy aby przekształcić się w tzw. problem społeczny, badany i rozwiązywany w ramach ogólnospołecznych konieczności i priorytetów. W ten sposób ruchy społeczne — większe, mniejsze i całkiem małe, słuszne, niesłuszne i wręcz karykaturalne — rodzą się w demokracjach na zasadzie niezniszczalnej *perpetuum mobile* i stanowią o niedoskonałej doskonałości demokracji, o jej wiecznej młodości i dynamizmie, nie zawsze racjonalnym, lecz na ogół zawsze pchającym świat do przodu.

Ten stan rzeczy jest nie do pomyślenia w komunizmie. Jeśli w demokracjach wolność wypowiedzi nie jest równoznaczna z osiągnięciem politycznego czy społecznego celu, nie oznacza automatycznej realizacji postulatu, to przecież zawsze stanowi konkretny punkt wyjścia dla przeobrażeń. Przecistawianie się tedy, w warunkach demokratycznych, jest pojęciem sprecyzowanym. Tam, gdzie nie ma wolności wyrażania przekonań, zakaz wkracza w metafizykę, a przeciwstawianie się nabiera nieskończoności mętnych, niejasnych znaczeń. Tam, gdzie istnieje niepodważalna, w pojęciu władców, zasada tego co ludziom wolno, a czego nie wolno, gdzie władza nad umysłem ludzkim uzurpuje sobie przywilej nawet do ustanawiania przepisu na przeciwstawianie się tej władzy, rzeczywisty opór zasłonięty jest często pozornym oporem, ilość odcieni oporu jest nie do ustalenia, a sam akt oporu zostaje beznadziejnie skorumpowany i zdekomponowany. W okresie stalinizmu chłopiec noszący na głowie *crew cut*, a nie stalinowską fryzurę „na jeża”, lub dziewczyna z końskim ogonem, uchodzili na uniwersytetach za heroicznych nonkonformistów, bez względu na to w co wierzyli i jakie wygłaszali opinie. Ich uczesanie było aktem przeciwstawiania się, lecz

interpretacja tego aktu mogła być różnorodna. Można w nim było widzieć opór przeciw zasadom i kryteriom, można też było dostrzec w nim kamuflaż dla propagowania komunizmu w atrakcyjniejszej postaci. Pomiędzy obydwoma przypuszczeniami zawierała się nieskończoność możliwych odcieni, dogmat w komunizmie jest bowiem tak wymienny jak filter w samochodzie — gdy się zużyje, wyrzuca się go i zastępuje nowym dogmatem. Stąd, jeśli w pewnych sytuacjach historycznych i politycznych komunizm potrzebuje zjawisk oporu, manifestacji oporu, wtedy organizuje sobie opór pod ścisłą kontrolą. Cel stwarzania pozorów oporu jest dwojaki: albo trzeba się wykazać tolerancją dla oporu wobec niekomunistycznego świata, albo istnieje potrzeba prowokacji — czyli sztucznego stworzenia ogniska oporu dla wdrożenia okrutnych represji w celach pedagogicznych czy dydaktycznych. Te schematy nasuwają pytanie równie zasadnicze jak dla zachodniodemokratycznej umysłowości niezrozumiałe, a mianowicie: co opierającym się i przeciwstawiającym młodym ludziom w komunizmie wolno, a czego im nie wolno?

Odpowiedź jest prosta: nie wolno im niczego, natomiast wolno im nie zagrażać istniejącemu porządkowi. Ich ewentualny opór, jeśli zajdzie jego potrzeba, ma być określany szczegółowo przez powołane do tego organy kontroli jak aparat partyjny i policja bezpieczeństwa. Minimalne przekroczenie wyznaczonych granic powoduje represje, których perfidii, cynizmu i bezwzględności człowiek Zachodu nie potrafi sobie wyobrazić ani zrozumieć. Męty społeczne, alfonsi i kryminaliści, przebrani pod troskliwym okiem policji politycznej za „robotników”, wdzierają do audytoriów uniwersyteckich, w których studenci rzekomo dyskutuje problemy nie dozwolony do dyskusji, i biją wszystkich obecnych — studentów i profesorów — do utraty przytomności, aż do wypadków całowiciowego kalectwa. Nazywa się to spontanicznym gniewem ludu w obronie swojej partii i jej ideałów. W marcu 1968 roku, gdy polscy studenci protestowali przeciw bezprawnemu aresztowaniu swoich kolegów, „robotnicy” zabili ciężarną studentkę, tratując ją butami na śmierć, na bruku ulicy. Gazety warszawskie zgodnie opisały ten incydent jako „unieszkodliwienie agenta CIA przez oburzonych prowokacją robotników”. Długoletnie wyroki więzienia i zesłanie do obozów koncentracyjnych są zwykłą odpowiedzią komunizmu studentom, którzy pragną zadać pytania władzy politycznej i reprezentowanemu przezeń światopoglądowi. Najłżejszą karą jest relegacja z uczelni, oznaczająca przekreślenie raz na zawsze wszelkich ambicji życiowych, albowiem wszystkie uniwersytety należą do państwa, czyli do rządu, i usunięcie z jednego powoduje automatycznie nieprzyjmowanie „winnego” przez inne. Równie popularną karą jest przymusowe wcielanie do wojska na okres nieoznaczony, przeciągający się w praktyce do 5–7 lat, bo tylko wojsko, a nie ustawy, czy przepisy, decyduje kiedy zwolnić tak zwerbowanego żołnierza.

Młody buntownik na Zachodzie, występując przeciw kapitalistycznej demokracji, czuje się poza jej systemem wraz z momentem przyjęcia komunii swego buntu. Żyje w nim walcząc z nim każdą swą myślą, każdym słowem, a częstokroć każdym czynem. Uważa się za szturmującego z zewnątrz jakąś potężną fortecę, której wewnętrzne prawa moralne i racjonalne nie obowiązują go. Jest to zadziwiająca specyfika demokracji, że można w niej żyć przeciw niej, odrzucając wszystko co jej, a mimo to prosperować, korzystać z jej przywilejów, nie czuć się zagrożonym ani jako osoba, ani jako obywatel. W przedziwny sposób demokracje gwarantują całą potęgę i skuteczność nienawidzenia tym, którzy ich nienawidzą i pragną zniszczyć. Są to stany i uczucia nieznane sprzeciwiającemu się komunizmowi w komunizmie. Czując rozpaczliwie swój sprzeciw i swą nienawiść do komunizmu, czuje się on jednak zawsze otoczony, obezwładniony i wchłonięty przez system. Szybko też dochodzi do wniosku, że jeżeli uda mu się kiedykolwiek coś zmienić, będzie to zmiana w ramach systemu — i taką ewentualność zaczyna uważać za maksymalnie możliwe osiągnięcie. Wniosek taki prowadzi go do postawy rewizjonisty. Co to jest rewizjonizm wymaga jednak oddzielnego omówienia.

Ciekawa rola przypada w takim układzie organizacjom młodzieżowym. Gdyby w ramach jakiejś powieściowej fantazji udało się amerykańskiemu studentowi wkraść na zebranie organu partyjnego decydującego o działalności organizacji młodzieżowych w komunizmie, przeżyłby on szok, z którego nie otrząsnąłby się już nigdy. Gdyby próbował o tym opowiadać kolegom na amerykańskim kampusie — zabiliby go lub wpakowali do szpitala wariatów. Organizacja szkolna, czy studencka w kraju komunistycznym jest tylko jedna i ma zupełny monopol we wszystkich szkołach i na wszystkich uniwersytetach. Próby organizowania innych organizacji są zakazane, nielegalne i karane długoletnim więzieniem bez względu na wiek oskarżonego: w Polsce i na Węgrzech skazywano 15-lletnich chłopców na 10-letnie więzienie za zbieranie się w prywatnych domach i słuchanie amerykańskich płyt jazzowych, co za czasów stalinowskich określane było przez policję polityczną jako działalność wywrotowa. Z kolei niezawisłość czy nawet autonomia oficjalnej organizacji młodzieżowej — mimo, że proklamowana na każdym kroku w oficjalnych deklaracjach — jest zupełną fikcją. Organizacja taka nie jest przez młodzież stworzona, przeciwnie, jest tworem ludzi starszych, często całkiem starych, jest przez nich wymyślona, zaplanowana, zaopatrzona w ideologię, cele, zadania, politykę, taktykę a nawet ideały codziennego życia i wzory postępowania. Nie należy ona do młodzieży, lecz młodzież należy do niej. Pojęcia tak potoczne w demokracjach, jak rozdzźwięk między pokoleniami czy odrębny interes młodzieży, nie mają w niej prawa bytu, są zakazane jej aktywistom w publicznych rozważaniach pod groźbą surowych kar. Partia komunistyczna uważa się za jedynego reprezentanta wszystkich bez wyjątku, więc młodzieży i dzieci, aż do noworodków włącznie. Stąd konflikt międzypokoleniowy jest w jej pojęciu wymysłem i podstępem burżuazyjnych ideologów usiłujących rozładować solidarność klasową w imię wyimaginowanych, kontrewolucyjnych podziałów. Według Partii doskonała zbieżność interesów istnieje pomiędzy studentem pierwszego roku biologii, a rezydentem domu starców, o ile tylko obaj bezgranicznie kochają Partię. Szkolną organizacją młodzieżową rządzi więc w sposób dyktatorski dzielnicowy komitet Partii, któremu podlega dana szkoła, jej zebrania prowadzone są przez dorosłych, często starszawych instruktorów, którzy przychodzą w organizacyjnych mundurach, czerwonych krawatach itd. Są to płatni pracownicy aparatu Partii, tzw. agitatorzy, odkomenderowani do „pracy z młodzieżą”. Ich tępota, łysiny, pseudo—dziarskość sposobu bycia, wzorowana na wojskowo—koszarowych zasadach i wartościach i uważana za ideał postawy życiowej, ich bezduszenie recytowane formułki polityczne harmonizują groteskowo z atmosferą pseudozapalu i nibyoddania sprawie jaka panuje obowiązkowo na takich zebraniach. Ślepe posłuszeństwo aktywistów nabiera w końcu charakteru bezbłędnie zorganizowanego imbecylizmu. Jeśli wierzyć w to co mówią i deklarują na zebraniach, wynika z tego, że wierzą i akceptują przekonania i zasady 70-lletnich przywódców partyjnych, którzy widzą i oceniają dzisiejszy świat według jego problemów i możliwości sprzed 50 lat. Sekretarze partyjni ze sklerozą i reumatyzmem decydują o tym, co dzisiejsi *teen-agers* mają krzyczeć na ulicznych manifestacjach i jakiej muzyki mają słuchać. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że posada aktywisty młodzieżowego jest doskonale płatna i każdy kto zgadza się być tzw. przywódcą młodzieży i wygłaszać przemówienia na publicznych mityngach i zjazdach „reprezentantów” polskiej, czeskiej czy rosyjskiej młodzieży otrzymuje specjalne premie za każdy okrzyk wzniesiony przeciw amerykańskiemu „imperializmowi”.

I tylko jednego młody buntujący się Amerykanin zazdrościć może młodemu przeciwstawiającemu się rówieśnikowi w komunizmie. Ten drugi tęskni za konkretną wolnością i domyśli się jej smaku. Pierwszy posiada ją, czego rezultatem jest przesyt, utrata smaku i trudnych rozkoszy zdobywania wolności. Na Zachodzie młodzież ma już tylko sex i politykę. Na Wschodzie młodzież walczy jeszcze o chleb swobód, przy którym sex i polityka są jak ciastka, które nie nasycą nikogo. Stąd ów rozpaczliwy okrzyk studenta Columbia University podczas jednego z radykalno—rewolucyjnych zebrań: *We'll never have a*

revolution in this country. Too many people are too happy!” Niestety, rozpacz, krzywda jako amunicji do przewrotów nigdy w komunizmie nie zabraknie. Ich nadmiar zaś powoduje, że ludzie są tak bezbrzeżnie i ostatecznie nieszczęśliwi, iż niezdolni są do myśli o oporze, do walki i wyzwolenia samych siebie od komunizmu. Ale czy będzie tak zawsze? Słowa „Międzynarodówki”, komunistycznego hymnu: „Bój to będzie ostatni...” brzmią właśnie najfałszywiej w krajach opanowanych przez komunizm. Nawet jeśli przeciwstawianie się tam jest dziś irracjonalną, a nawet surrealistyczną postawą duchową, to wszyscy jednak tam wiedzą, że Księga Rodzaju nie została jeszcze zamknięta i jakieś boje będą.

B) W WIEKU DOJRZAŁYM

Komunista, o ile jest prawidłowo zorientowany we własnym systemie wierzeń, spytany o przyczynę i sedno rzeczy, odpowie: historia. Marksizm zapożyczył od Hegla pojęcie ducha dziejów i jakoby uzasadnił go naukowo. Pewni przeciwnicy Hegla dowodzili, że koncepcja ducha historii jest tylko i wyłącznie dowodem wstydlivej, wady charakteru niemieckiego filozofa—idealisty, a mianowicie jego nieposkromionego lenistwa. Będąc sam chorobliwie niezdolny nawet do posmarowania sobie chleba marmoladą, Wilhelm Friedrich Hegel obarczył historię całą, konieczną do wykonania robotą. W półtora stulecia później, w komunizmie praktykowanym codziennie na ogromnych przestrzeniach od Pacyfiku do Berlina, zasada ta stanowi główny przyczynę rozkładu społeczeństw, zbudowanych przez marksistów. Skoro historia reguluje się samoczynnie, jak najnowszy zegarek szwajcarski nie i wymagający nakręcania, wszystko jest więc zdeterminowane przez nieodwracalny proces, a pojęcie takie jak moralna odpowiedzialność — jednostkowa czy społeczna — nadają się na złom. Wolną wolę jednostki można wyrzucić na śmietnik, energia zaś i pilność w wykonywaniu zadań, i ewentualne korzyści osobiste z nich płynące, pachną podejrzenie i są rodzajem— drobnomieszczańskiej szpetoty, którą należy zwalczać. Poprawne zatem wyciąganie wniosków z Hegla dało, po 50 latach, zupełną niemożność wyprodukowania potrzebnej ilości masła na głowę ludności, czy zorganizowania komunikacji miejskiej.

Spółeczeństwa komunistyczne spowite są szczelnie we wszech—przenikający nastrój abnegacji. Komunistyczne *mass-media* czynią gorączkowy wysiłek by rozproszyć go tandetnie spreparowanym pseudoenluzjazmem, czy pseudodynamiką, lecz jego beznadziejność i daremność rzuca się w oczy nawet najtępszemu lub najbardziej życzliwemu obserwatorowi. W języku polskim atmosfera ta zrodziła neologizm na określenie postawy życiowej — brzmi on: tumiwizizm i precyzuje, przy pomocy obscenicznej metafory bezwładnego zwisania, jedyny właściwy stosunek do wszechogarniającej rzeczywistości. Jest więc rzeczą naturalną, że przeciwstawianie się komunizmowi ludzi dojrzałych, wprzęgniętych w rutynę codzienności, ulega takim samym uwarunkowaniom jak reszta egzystencji. Daje to komunizmowi zupełnie nieoczekiwany awantaż, albowiem na pytanie: jak przeciwstawiać się w wieku dojrzałym? Jedyna rozsądna odpowiedź brzmi: a czy warto? Czy ma to jakiś sens?

W każdym ustroju jedną i podstawowych różnic pomiędzy młodością a dojrzałością jest poczucie tego co niemożliwe. O ile jednak w demokracjach absolut czy świadomość nieosiągalności ideałów są zagadnieniami filozoficznymi, prowadzącymi najczęściej do różnorodnych interpretacji kompromisu, o tyle w komunizmie problemy te łądają w zakresie patologii indywidualnej i społecznej. Stąd dojrzewanie, które w demokratycznych, zhumanizowanych społecznościach jest głównie rozwojem w kierunku umiarkowanych sądów i nadziei, przemienia się w komunizmie w rozwój otepiającej rezygnacji. Komunizm nie zna pojęcia kompromisu z niczym ani z nikim — ani z ideą, ani ze społeczeństwem, ani z jednostką — albowiem rozsądek, rdzeń kompromisu, stanowi śmiertelne zagrożenie doktryny. Stąd ludziom w komunizmie dana jest tylko i wyłącznie możliwość kapitulacji.

Rezygnacja i kapitulacja wymuszane są na ludziach w sposób brutalny i przy akompaniamencie poniżających naigrzań ze zdrowego sensu. Człowiek w komunizmie czyta codziennie w gazetach, że żyje w najwolniejszym ustroju polityczno—społecznym świata, wiedząc aż za dobrze, że nie ma prawa wolnego wyboru swych władz, ani nawet prawa napisania listu do redakcji w tej sprawie. Odbiera to człowiekowi godność poprzez wstrętny przymus akceptacji kłamstw rażąco sprzecznych z jego normalną percepcją rzeczywistości. I to właśnie rodzi więcej głuchej, rozpaczliwej nienawiści, niż młodzieńczy gniew płynący z nagłych olśnień. Młodzież, nawet najbardziej rozgoryczona, nie traci nadziei. Człowiek w średnim wieku podaje w wątpliwość nadzieję, co niszczy go psychicznie,

bowiem trudno jest żyć w pełni sił bez nadziei. Człowiek stary żyje bez nadziei i nie pozostaje mu już nic innego prócz nienawiści. Nikt więc nie nienawidzi tak straszliwie komunizmu jak starzy ludzie. Ich dzieci i wnuki, o ile połknęły komunistyczną hostię, albo chcą chociażby żyć w ramach swego czasu nie żywiąc się tylko negacją, zarzucają im, że zbyt łatwo zapomnieli o udrękach ubiegłej epoki, że ją idealizują we wspomnieniach, że nie rozumieją nowej. Jest to oczywistym spłyceciem zjawiska, uproszczeniem czegoś czego właśnie starzy ludzie nie potrafią wyjaśnić, a ta niezdolność wyjaśnienia wzmacnia tylko ich zapiekłą wrogość. Albowiem wiedzą oni coś czego młodzi wiedzieć nie mogą, posiadają perspektywę kłamstwa i nadużycia, którą tak trudno sformułować i przekazać młodszemu, która wymyka się słowom jak każde doświadczenie całego życia. Znają ból porównania i mękę prawidłowego wniosku, który nie sposób oblec w słowa, albowiem tak jest bogaty w doświadczenie — czyli w prawdę dana i objawiona samym trudem istnienia, a więc niemożliwą do nazwania.

Jedyną dostępną formą skutecznego przeciwstawiania się pozostaje zatem prosta uczciwość. Pozostając tylko sobą, człowiek w komunizmie ocala siebie w sposób nieskomplikowany i przynoszący psychiczną ulgę. Jest to jednak najtrudniejsze w rzeczywistości, której najpotężniejsze moce rozpętane zostały właśnie w celu zniekształcenia człowieka. Walczyć przeciw nim można wtedy tylko, gdy ktoś zgadza się na własną zagładę, o czym decyduje głupota lub heroizm, niewielu zaś ludzi w średnim i starszym wieku skłonnych jest do samobójczego heroizmu w życiu codziennym, bez okoliczności szczególnych. Wymknąć się mocom tym nie można, ale można je oszukać, wyprowadzić w pole i to właśnie ogromna większość ludzi w komunizmie stara się robić.

Osiąga się to najwygodniej poprzez poddanie się, zwane potocznie sprzedaniem się. Właśnie akt zaprzędania siebie i swego sumienia otwiera całkiem nieprzewidziane ewentualności oporu. W ten sposób coś co uznane może być w sposób prosty za niegodziwość, staje się częstokroć punktem wyjścia dla zwykłej, ludzkiej przyzwoitości.

Można więc sprzedać się szczerze, rezygnując z życia wewnętrznego, władzy sądenia, własnej myśli i godności. Powoduje to śmierć duchową i odarcie się — z człowieczeństwa oraz zapewnia spokój psychicznej martwoty i komfort znieczulonego sumienia, ale bynajmniej nie gwarantuje zabezpieczenia interesów; nie ma bowiem takiej lojalności, której Partia, w chwili doraźnej potrzeby, nie byłaby w stanie przedstawić jako zbrodniczą nielojalność i stracić delikwenta ze szczytów powodzenia na dno upadku. Można jednak sprzedać się pozornie — tzn. przyjąć sakramenta jak Żydzi—Marrani — pozostając wiernym starej wierze, czyli, w tym wypadku — samemu sobie. Zachodzi wtedy zjawisko nieoczekiwane, a mianowicie element walki i przeciwstawiania się, w imię uniknięcia którego nastąpił akt zaprzędania się, pojawia się nagle w nowym, fascynującym wymiarze. Nieustanna obsesja sabotażu, nie schodząca z łamów prasy komunistycznej, jest w gruncie rzeczy propagandowym środkiem terroryzowania mas, lecz zdarzenia, w których pozornie oddany Partii manager, uczony, wojskowy czy inżynier czeka lata całe na sposobność aby dać ujście swej stężalej, głęboko skrytej nienawiści nie należą do rzadkości. Nie wszystko zresztą odbywa się w ramach makiawelicznej *sophistication*: ogromna liczba sekretarzy partyjnych na wschodnioeuropejskiej prowincji, którzy biorą potajemnie lub pół jawnie śluby kościelne, chrzczą nowonarodzone dzieci i obchodzą święta religijne, stanowią istotną część procesu przeciwstawiania się, aczkolwiek o nieco groteskowym zacięciu. Można sprzedawać się otwarcie, głosząc natrętnie i krzykliwie swą lojalność i oddanie Partii, a w duchu życzyć jej najgorszych klęsk i przeklinać ją namiętnie. Można sprzedać się skrycie, deklarując na każdym kroku i każdemu wokoło swą nieufność do reżymu, zaś donosić jednocześnie swoim zwierzchnikom o tym jak inni pluja na reżym — i robić karierę na donosicielstwie. Można, jednym słowem, wiele rzeczy, a między innymi można nie mieszać się do niczego i po prostu pozostać uczciwym człowiekiem. Giociaz to jest, jak już powiedziałem, właśnie najtrudniejsze.

Niektórym pomaga religia, przeżywająca renesans w komunizmie. Nie jest to odrodzenie jednoznaczne, ani erupcja nowych sił, co najlepiej ilustruje następująca historia: w czasie mszy w jednym z warszawskich kościołów, gdy modlący się klękają nabożnie, jeden tylko człowiek pozostaje w postawie stojącej. „Proszę pana ... — szepcze ktoś obok — dlaczego pan nie klęka?”. „Bo ja nie jestem wierzący — pada odpowiedź. — Ja jestem przeciw rządowi”.

Przeciwstawianie się w wieku dojrzałym redukowane jest najskuteczniej przez jeden z genialniejszych pomysłów komunistów, zupełnie wyjątkowe osiągnięcie komunistycznej techniki rządzenia, nieprzenikalne dla obserwatorów z zewnątrz. Jest to misterny i skomplikowany mechanizm nasycania społeczeństw manifestacjami pseudoniezależności, a nawet rodzajem pseudbopozycji.

W oficjalnej nomenklaturze politycznej społeczeństwo komunistyczne składa się z komunistów i bezpartyjnych. W dziwnym przedsięwzięciu, które komuniści nazywają wyborami do ciał ustawodawczych i samorządowych lista, na którą musi się głosować nosi zazwyczaj nazwę Frontu Narodowego, lub Bloku Wyborczego, lub Koalicji Komunistów i Bezpartyjnych, co daje pożądane wrażenie zjednoczenia i solidarności całego społeczeństwa wokół komunistycznego programu. Nominalnie więc biorąc, bezpartyjni kandydaci na posłów czy działacze społecznych powinni być wyłonieni przez tę część społeczeństwa, która nie jest komunistyczna, aby ją reprezentować. To byłoby jednak zbyt proste, zbyt zgodne z logiką i ze zwykłym poczuciem przyzwoitości wobec zwykłej prawdy. Aby tych zgodności uniknąć, działacze bezpartyjni są wyłącznie mianowani przez Partię. Są to przeważnie przekonani i oddani sprawie komuniści, bądź zwykli karierowicze zdecydowani «na każde łajdactwo, bądź bezwolne, zastraszone kreatury, zmuszone do służalstwa i ślepego posłuszeństwa przez policję polityczną. Ludzie ci najchętniej wstąpiliby do Partii i wykonywali potulnie cokolwiek Partia od nich zażąda czy rozkaże, gdyby nie fakt, że Partia właśnie rozkazała im aby nie wstępować lecz głosili jej ewangelię i akceptowali każde jej świństwo demonstrując natrętnie wszem i wobec brak swej partyjnej przynależności. Takich ludzi nazywa się w Europie wschodniej zawodowymi niekomunistami. Dzielą się oni na dwie kategorie: zawodowi bezpartyjni i zawodowi opozycjoniści.

Zasada ich istnienia jest równie prosta jak genialna w swej użyteczności. W krajach gdzie 90% społeczeństwa żyje w ostrej opozycji, jeśli nie wręcz w głębokiej nienawiści, do swych władców — władcy starać się muszą o odrobinę choćby relaksu psychicznego dla tak ogromnej masy ludzi. Ponieważ masom tym nie można dać tego czego chcą — jest to założenie ideologiczne, albowiem komunizm polega na nie dawaniu ludziom tego czego chcą — przeto należy im dać złudzenie, że to dostają. Nikt nie jest przy tym taki głupi — ani komuniści, ani ich poddani — aby nie rozeznac nader szybko, że dawanie jest pozorem, a złudzenie tylko złudzeniem, lecz pośród okrutnej egzystencji i brutalnego zabierania ludziom wszystkiego, nawet rozeznane złudzenie nabierać zaczyna jakiejś wartości i w ten sposób komuniści stwarzają wokół siebie glorię takich, którzy coś dają. Po czym konwencja zostaje przyjęta przez obie strony i już nie liczy się to, że daje się nic, ale liczy się fakt dawania niczego. W ten sposób ludzie, którzy są jakoby tacy sami jak inni ludzie, i nie należą do elity rządzącej, dostają jakoby prawo głosu aby mówić to co rządzeni chcą by było powiedziane. Jest to wszystko razem iluzoryczną grą odbić zręcznie ustawionych luster, dających w sumie tak fałszywy obraz rzeczywistości, że aż rozładujący gniew i stanowiący niewyczerpaną pożywkę dowcipów. Lecz komunistom nie przeszkadza to wcale — ustawiwszy raz na zawsze jakiegoś faceta na pozycji rzecznika bezpartyjnych mas nie troszczą się już więcej o to, czy ktoś wierzy lub wątpi w jego reprezentatywność. Wątpliwości nie można głosić publicznie, pogardy i demaskowania nie ma gdzie opublikować i w ten sposób iluzja instytucjonalizuje się lub nawet sanktyfikuje, i wszystkie kraje komunistyczne pełne są „czcigodnych”, „nieskazitelnych”, „niezależnych” uczonych, pisarzy i działaczy społecznych,

którzy codziennie rano przychodzą po instrukcje do odpowiedniego biura policji politycznej czy aparatu Partii w sprawie tego co mają dziś właśnie powiedzieć w radio, telewizji, czy w wywiadzie prasowym — o czym wszyscy słuchacze i czytelnicy doskonale wiedzą. Ale pozór pozostaje i o to tylko komunistom chodzi.

Technologia produkcji zawodowych bezpartyjnych jest równie wyrafinowana jak sam pomysł. Jak w każdym przetargu, momentem decydującym jest rentowność przedsięwzięcia. W kraju gdzie 90% ludności jest antykomunistyczna można doskonale żyć z tego, że się nie jest komunistą, trzeba tylko na to otrzymać koncesję, koncesję zaś wydają komuniści. Aby ją dostać trzeba komunistom coś dać w zamian. Może to być stare arystokratyczne nazwisko, osobista opinia wybitnej jednostki lub talent. Duchowni wszelkich wyznań są bardzo mile widziani. Tak samo byli skrajni prawicowcy, a nawet otwarci faszyci, którzy ulegli cudownym przeobrażeniom po zdobyciu władzy przez komunistów i skłonni byli oddać tym ostatnim swą starą, sławę w zamian za wygodne mieszkania i nową sławę nawróconego. Zawodowy bezpartyjny składa więc odpowiednie deklaracje w prasie, radio i telewizji oraz przy specjalnych okazjach jak wybory, międzynarodowe kongresy, akademie uroczyste z okazji świąt państwowych i narodowych, wiece protestacyjne przeciw amerykańskim inwazjom i agresjom. W oparciu o swe historyczno—arystokratyczne nazwisko, strój kapłana i teologiczne wykształcenie, osiągnięcia na polu fizyki molekularnej lub sławę poety — zawodowy bezpartyjny stwierdza stanowczo, że Partia wie lepiej od papieża co dobre dla Kościoła katolickiego, że kłamstwo jest prawdą a prawda głupota, że dwa razy dwa jest pięć o ile Partia uzna to za stosowne, bowiem nie ma arytmetyki obiektywnej, lecz tylko taka, która służy albo robotnikom albo kapitalistom, że słońce kręci się wokół ziemi o ile tylko jest to z korzyścią dla Partii i proletariatu, że małe dzieci umierają z głodu na Wall Street, a Stalin jest genialniejszym fizykiem od Einsteina. W zamian za to otrzymują premie pieniężne, paszporty zagraniczne, prawo leczenia się w luksusowych klinikach oraz złudne poczucie własnej ważności. Złudne, bo ich ważność wyznacza i określa wyłącznie Partia i tylko od jej kaprysu zależy czy i kiedy kariera zawodowego bezpartyjnego ma ciąg dalszy, jakie ma przybrać rozmiary i jaki *public image* przewidziany jest dla danego zawodowego bezpartyjnego.

Klasycznym przykładem tego typu kariery są koleje życia pewnego prezesa Związku Pisarzy Polskich. Człowiek ten, o nazwisku szlacheckim i talencie lirycznego poety rozmiłowanego w urokach sensualizmu, wzenił się przed wojną i przed komunizmem w bogatą rodzinę i otrzymał w posagu posiadłość ziemską. Gdy komuniści opanowali Polskę, poeta postanówił i uniknąć nędzy i wywłaszczenia bez względu na cenę jaką miałby ewentualnie zapłacić, za co w 10 lat potem otrzymał najwyższe odznaczenie państwowe od komunistów i dożyłotnią posadę bezpartyjnego reprezentanta polskiej literatury. W tym czasie do obowiązków jego należało powtarzać publicznie, że cokolwiek komuniści robią w Polsce i na świecie jest mądre, słuszne, cenne i stanowi błogosławieństwo dla narodu polskiego i reszty ludzkości, na co on — poeta, szlachcic i dobry Polak — daje słowo honoru człowieka nie mającego nic wspólnego z Partią. W ten sposób podpisywał swym nazwiskiem każdą zbrodnię i każde kłamstwo komunistów, a że był przy tym człowiekiem potężnego wzrostu i o profilu starogreckiego Zeusa z pamiątek turystycznych, przeto komuniści zaczęli wysyłać go na międzynarodowe zjazdy i kongresy poświęcone sprawom pokoju, gdzie prezes przysięgał żarliwie, że rosyjskie czołgi są instrumentem pokoju, zaś amerykańskie — wojny. Te wystąpienia przyniosły mu mnóstwo uznania i przyjaźni ze strony amerykańskich i zachodnioeuropejskich intelektualistów, którzy popadli w zachwyt dla faktu, że tak niekomunistycznie wyglądającemu gentlemanowi i estecie powodzi się tak cudownie wśród komunistów, którzy proszą go aby przemawiał w ich imieniu, mimo że zupełnie nie należy do Partii. Poczęli go odwiedzać w jego ocalonym przed wywłaszczeniem domu, delektować się obiadami podawanymi przez sprawnych służących w sercu komunistycznego kraju, a ich zachwyt dla komunizmu rósł proporcjonalnie do tego, czego o komunizmie nie wiedzieli. To

czego nie wiedzieli, między innymi, był fakt, że poeta–prezes codziennie meldował każdy szczegół ich pobytu w policji bezpieczeństwa i otrzymywał ściśle instrukcje do jakich wypowiedzi skłonić swych niekomunistycznych, liberalnych, postępowych gości, tak aby oświadczenia ich można było wykorzystywać w kampaniach propagandowych. Należało to do jego obowiązków jako licencjonowanego bezpartyjnego.

Obok zawodowych niekomunistów istnieją w komunizmie zawodowi opozycjoniści. Jest to na ogół bardzo drobna, ściśle wyselekcjonowana i dobrana grupka niezwykle zaufanych ludzi, których wierność Partii została precyzyjnie sprawdzona i nie ulega wątpliwości, ale którzy od czasu do czasu popadają w nieposłuszeństwo i nonkonformistyczne szaleństwa. Partia zdaje sobie doskonale sprawę z tego jakie korzyści może wyciągnąć z ich nieszkodliwych zrywów buntu i pozwala na nie. Zawodowy opozycjonista polega na tym, że ażeby nie wiadomo w jakie popadał konflikty z Partią i jak monstrualne głosił herezje — nigdy mu się nic złego nie staje. Jeśli nawet jest krótko i łagodnie prześladowany — odsunięty od szczytów i stanowisk, albo pozbawiony możliwości druku będąc pisarzem czy publicystą, lub katedry jeśli jest profesorem i intelektualistą — to prześladowany jest w taki sposób jaki w ostatecznym rezultacie przynosi mu korzyści, chociażby szeroko rozgłoszoną przez *the word of month* opinię człowieka prześladowanego, co automatycznie jedna mu popularność i sympatię społeczeństwa. Zjawisko zawodowych opozycjonistów jest daleko delikatniejsze, bardziej złożone i wieloznaczne niż zawodowi bezpartyjni. Jego substancją jest oszałamiająco skomplikowana siatka współzależności pomiędzy Partią, jej bezwzględnie egzekwowaną racją stanu i samym zawodowym opozycjonistą. Przypomina to trochę fakturę szpiegowskich powieści sensacyjnych swą niekończącą się grą w „ty nie wiesz, że ja wiem, że ty nie wiesz co ja wiem”. Zawodowy opozycjonista uzyskuje swój status po skrupulatnym *security check* policji politycznej, która wydaje mu specjalną *security clearance*, ale bynajmniej nie jemu do ręki, lecz na użytek tajemniczych manipulatorów w odmetach ciemnych gabinetów policyjnych i partyjnych. Odtąd gdzieś zostaje powiedziane, że nawet jeśli dokona on jakiegoś aktu nieposłuszeństwa czy odstępstwa, należy go ukarać, lecz nie za ostro, skarcić, ale nie zniszczyć. W ten sposób zawodowy opozycjonista często nie wie, że został nim mianowany, że ma zielone światło dla różnych wybryków, i z początku myśli, że działa w dobrej wierze oraz przygotowany jest na ponoszenie konsekwencji. O ile nie jest jednak człowiekiem bardzo głupim, co zdarza się nierzadko, szybko orientuje się, że działa na warunkach specjalnych, jeśli zaś jest wyrachowanym i sprytnym oportunistą, udającym jedynie impulsywność i szlachetny odruch oburzenia, co zdarza się najczęściej, wtedy zaczyna wymierzać swe wystąpienia bardzo precyzyjnie, aby nie wprowadzić Partię w zakłopotanie i nie zmusić ją do jakichś twardych reakcji. Wie co mu wolno aby utrzymać swą licencję na opozycjonizm, i wie, że Partia wie o tym, że on wie, wobec czego nie zada mu prawdziwego ciosu, lecz tylko zamarkuje uderzenie by podtrzymać opinię jego krnąbrności. W gruncie rzeczy nie chce on szkodzić Partii, która jest jego najbardziej pewnym i ostatecznym podtrzymaniem. Toteż Partia udaje gniew i zaskoczenie jego słowami czy akcją, ale jednocześnie odwraca oblicze by ukryć uśmiech zadowolenia, że wszystko funkcjonuje jak należy, a zawodowy opozycjonista wymachuje ostentacyjnie pięścią w stronę Partii. Po czym otrzymuje brawa od tłumu za swą licencjonowaną odwagę, premie zaś od Partii za to, że nie przekroczył miary i nie zmusił jej do represji. Publicznie zaś zostaje przez Partię skarcony, ale niezbyt groźnie, za co tłum współczuje mu, chwali jego uczciwość i niezależność, a nawet stwierdza, że może ta Partia nie taka zupełnie zła skoro okazuje tyle pobłażania i wyrozumiałości. I o to tylko Partii chodzi: wykazała się fałszywą tolerancją, w gruncie rzeczy nie tolerując niczego czego sobie nie życzy i otworzyła wentyl bezpieczeństwa dla ludzi, którym można pozwolić na odruch protestu czy oporu, wiedząc że będzie on niegroźny. Pozwoli jej to okrutnie i brutalnie stłumić opór prawdziwych, bezkompromisowych i ideowych opozycjonistów, topiąc ich jednocześnie w powodzi

hipokryzji i faryzejskich dowodów na swój liberalizm w postępowaniu z zawodowym opozycjonistą.

Jest zresztą i trzecia strona w tym widowisku, a mianowicie demokratyczny Zachód, który nie umie pojąć, że nawet opozycjoniści mogą być zaplanowani i który na widok miotającego się, zawodowego nonkonformisty popada w zachwyt dla jego odwagi, a także dla nadzwyczajnej ewolucji komunizmu ku lepszym formom, czasom i prawdziwej wolności. Naiwność Zachodu jest więc czynnikiem solidnie wkalkulowanym w planowanie oporu, jak i koncesji na opozycję. Naiwność ta jest ważką podniętą w opracowywaniu coraz przemysłniejszych wersji pseudooporu, gdyby zaś nie istniała, komuniści zmuszeni byłiby do likwidacji całej specyficznej gałęzi fabrykowania kłamstw o własnej rzeczywistości. Łatwowierność Zachodu przyczyniła się do kreowania pozycji i statusu dwóch najbardziej osławionych zawodowych nonkonformistów w historii komunizmu: Erenburga i Jewtuszenki.

Człowiek żyjący w komunizmie i osiągnąwszy wiek dojrzały zna owe subtelne złącza pomiędzy moralnością, tak jednostkową jak i społeczną, a przeciwstawianiem się komunizmowi. W tej wiedzy kryje się źródło jego przerażającej frustracji, apatii, inercji i alienacji, tylokrotnie omawianej przez uczonych i pisarzy, którym udało się uciec z komunizmu. Gdy rozważa jej nagromadzone w ciągu choćby jednego życia koszmary, ogarnia go nieuchronnie ta sama, gorzka refleksja: czy warto?

CO TO JEST PLAN

W komunizmie plan nie jest ani słowem, ani pojęciem, lecz zaklęciem. Idea planu miała, według klasyków, stać się źródłem zwycięstw i sukcesów wprowadzanego w życie socjalizmu, magiczną formułą otwierającą Sezam powszechnego szczęścia ludzkości, kluczem do utopii, której obowiązkiem było przeobrazić się w konkret raju na ziemi przy pomocy planu. Miłość do planu jest uczuciem XIX-wiecznym, wywodzącym się z czasów gdy świat mieszczańskiego kapitalizmu — tak jak go widział Marx i jego wyznawcy — nurzał się w ohydny grzech bezplanowości i „lesseferyzmu”, kreując w ten sposób chaos i indeterminizm, zbrodniczy wyzysk i powszechną nędzę na tej planecie. Wcześni apologety marksizmu skłonni byli widzieć w planie czynnik wyłącznie ekonomiczno-społeczny, wierząc wtedy jeszcze, że ekonomia jest duszą marksizmu. Stąd w światopoglądzie ortodoksyjnego marksisty, słowo plan uruchomiło stany duchowe porównywalne jedynie ze stanem łaski w duszy chrześcijanina. Zadaniem planu było — w jego rozumieniu — stać się najwyższym regulatorem całego życia społecznego, od produkcji i dystrybucji aż po przyrost demograficzny i popędy decydujące o tym ostatnim. Miał być wprowadzeniem ładu w chaos, a zatem — w ostatecznym rozrachunku — działaniem moralnym. Najszczytniejszą konsekwencją planu miało być uszczęśliwianie ludzi — wszystkich razem i każdego z osobna. Jak każde wspaniałe uosobienie Wiary, Nadziei i Miłości — przeznaczeniem planu była żałosna, parszywa degrengolada w rzeczywistości wyśniewanej przez proroków i zrealizowanej przez zawodowych rewolucjonistów. W XX wieku okazało się, że apokaliptyczny rozwój środków produkcji i multiplikacja wszelkich funkcji społecznych, wprowadził plan i planowanie w każdy system polityczny i gospodarczy stojący nieco wyżej od wspólnot myśliwsko—pasterskich. Z triumfu marksistowskiej myśli, plan stał się zatem drugorzędym elementem codzienności nawet w Paragwaju i na Borneo. Demokratyczny kapitalizm z połowy naszego stulecia pozbawił go wszelkiej charyzmy, lecz za to zastosował do każdej dziedziny, upowszechnił, uprościł i rozwinął w ramach maksymalnej użyteczności społecznej. Jawność życia publicznego w demokracjach, rozkwit statystyki i nauk społecznych, badania wolne od uwarunkowań politycznej mistyfikacji, *market research* i planowanie komunalne — wszystko to wprzęgło pojęcie planu w życie codzienne bez ideologicznej hysterii. Jedynie w komunizmie, gdy doszedł on do władzy, plan stanął na piedestale wartości nienaruszalnych, co przesądziło o jego krańcowym i ostatecznym upadku. Stał się źródłem chaosu jakiego ludzkość dotąd nie знаła. Zrodził rozgardiasz nie do pokonania, bo zaplanowany. W imię ładu, sensu i wydajności stworzył nieład, bezsens i indolencję na skalę niespotykaną w dziejach człowieka. Jak każdy zamiar zawładnięcia całokształtem życia, dał w wyniku parodię życia.

Komunizm uczynił z planu wartość centralną, tajemniczą i niepodważalną. Miał on odtąd być dziełem jednego urzędu. Znaczy to, że tylko ten urząd wie o nim wszystko, co sprawia że nikt poza tym urzędem nie może planu kwestionować teoretycznie, ani, tym mniej, praktycznie. Stąd prosta myśl ażeby przedtem przemyśleć coś co się ma wykonać, nabiera prerogatyw projektowania całego wszechbogactwa bytu, co — jak wiadomo filozofom — jeszcze nikomu ze śmiertelnych dotąd się nie udało. Ponieważ zaś bezdenne klęski komunistycznych planów nigdy nie są ujawniane, nic przeto nie wskazuje na to, że bałwochwalstwo i nietykalność planu skończą się w komunizmie kiedykolwiek. Tym samym odpada jakakolwiek szansa postępu ekonomicznego i społecznego, w imię której idea planu zakwita w intelektach klasyków.

Zamiast żeglować po zdradliwych toniach teoretycznych rozważań i analiz posłużmy się przykładem z życia. Na pewnej rzece w komunistycznej Polsce potrzebny był most. Jeśli każda śrubka i każda zabawka muszą być uprzednio centralnie zaplanowane, łatwo sobie

wyobrazić jak bardzo zaplanowany musi być cały most. Że zaś państwa komunistyczne planują tak śrubki jak i zabawki na 5–6 lat z góry, planowanie takie nazywa się oficjalnie Pięcio– lub Sześcioletnim Planem Rozwoju lub Postępu. Most więc zaistniał w planie centralnym w oparciu o mapy terenu, które okazały się nie dość dokładne. Ponieważ planowanie centralne jest zawsze i z reguły zajęciem teoretycznym, przeto przez parę lat wszystko co dotyczyło mostu miało w sobie nie tylko błąd w zarodku, lecz ‘także zarodek fatalizmu, czyli takiego rozwiązania spraw, które z góry skazane było na błąd. Tak więc lata upływały na przygotowaniach, projektowaniu, kreśleniach, organizowaniu zamówień materiałów w firmach i fabrykach, które oczywiście także podlegają centralnemu planowi i produkcja ich planowana jest w tym samym miejscu co most. Gdy zaś budowniczowie przybyli wreszcie na miejsce budowy okazało się, że zgodnie z planem most ów będzie łączył dwa brzegi rzeki pod kątem ostrym i rozwartym, a nie prostym, jak to się zazwyczaj robi z mostami. To odstępstwo od wypróbowanych od początku świata metod stanowiło zupełną rewelację, jako że most ów nie spinał dwóch brzegów prostopadle do nich, lecz jakby wydłużał się w dal wraz z rzeką, czyniąc z przeprawy przez nią rodzaj nie kończącej się wędrówki wraz z jej prądem. Atrakcja ta zaczęła ściągać tłumy okolicznych włościan, którzy usiłowali wytłumaczyć budowniczym, że chyba zwariowali, na co główny inżynier, odpowiedzialny za budowę, odpowiadał, że on ma do wyboru albo wykonać bez—sensowny most według planu, za co dostanie swą pensję, a może nawet i nagrodę za sumienność, albo skorygować go na własną rękę, omijając plan, za co pójdzie do więzienia. Jeśli zaś rzeka nie zgadza się z planem, to jest to sprawa centralnego urzędu planowania w stolicy, a nie jego, i on się o to z nikim kłócić nie będzie. Chłopi poszli dokądś na skargę, w której wyniku na miejsce budowy przyjechała komisja urzędu planowania. Jak to zawsze jednak bywa z komisjami, przyjechała ona gdy most stał już gotowy i zgodnie z planem Komisja lojalnie stwierdziła niebywały skandal, władze bezpieczeństwa aresztowały inżynierów, a także, przy okazji, kilku chłopów z lokalnej rady narodowej, tych ostatnich pod zarzutem, że pozwolili wariatom bądź sabotażystom budować most na ojczystej rzece, drogiej sercu każdego patrioty. Komisja zaleciła także generalną korekturę mostu i rewizję planów Wkrótce więc przybyła nowa ekipa budowlana, która w oparciu o nowe plany, osiągnęła tyle, że nadała przebudowanemu mostowi kształt paragrafu, czyniąc zeń osobliwość na światową miarę Na domiar złego, na skutek niewłaściwego stosowania przedziału zaplanowanych uprzednio surowców, w moście o tak niezwykłym kształcie wystąpiły nieprzewidziane komplikacje. Między innymi przewody elektryczne uległy powikłaniom, co sprawia, że most jest pod naoięcfem i ktokolwiek nań wchodzi, pada porażony prądem. Najprostszym wyjściem byłoby zatem most ten rozebrać, zlikwidować, zbombardować, unicestwić — lecz właśnie to rozwiązanie nie wchodzi w rachubę. Most był w planie — w świętym i nienaruszalnym planie, w ostatecznym *tabernaculum* komunistycznego pojęcia sukcesu, osiągnięcia, dokonania, ulepszania świata. Kariery, posady, a nawet zwykła wolność osobista zbyt wielu ludzi — od niskiego szczebla owej okolicy aż do najwyższych stanowisk w polskiej gospodarce — zależały od tego aby most stał. Więc most stoi. Znalazło się nawet rozwiązanie dla nieprzewidzianych trudności. Okazało się, że w planie owego regionu przewidziana jest specjalna pomoc lekarska dla obiektów znajdujących się pod niebezpiecznym napięciem elektrycznym. Przy moście postawiono więc karetkę pogotowia, która dyżuruje tam dzień i noc. Ktokolwiek wkracza na most i ulega porażeniu, jest od razu i sprawnie odwożony do szpitala. Co stanowi jasne i zrozumiałe zwycięstwo Planu nad człowiekiem.

JAK KUPOWAĆ

Zasadą numer jeden wszelkiego kupowania jest, że kupuje się nic to co się potrzebuje ani to co się chce, lecz to co właśnie teraz, już, tuż obok i w tej chwili jest do kupienia.

Wędrowiec z krain od komunizmu dalekich przystaje ze zdumieniem w oku na widok następującego obrazu: na ulicach ludnego miasta, pośród pięknej architektury kościołów i pałaców, z których każdy jest chluba, europejskiego baroku i świadectwem wspaniałych tradycji chrześcijańskiej cywilizacji, biegnie garstka ludzi o twarzach pełnych szczęścia i uniesienia, obładowana naręczami toaletowego papieru. Łatwo jest w gronie tym ujawnić poważne zróżnicowanie, społeczne. Oto stary profesor, naukowiec i intelektualista, dźwiga oburącz z trudem, lecz i z uśmiechem dumy, kilkanaście rolek. Oto krzepki robotnik o nabrzmiałych mięśniach ugina się pod ogromną paką; najwidoczniej pomyślał nie tylko o swojej rodzinie, lecz także o sąsiadach, przyjaciółach, a może i swoich przełożonych w fabryce, dla których nie sposób jest wymyśleć lepszego prezentu. Oto oficer wojsk pancernych, niepomny na surową godność munduru, kroczy obwieszony rolkami papieru toaletowego jak zdobytymi na polu chwały orderami. Oto gospodyni domowa w kunsztownej girlandzie na szyi, jakby wracała z wycieczki na Hawaje, za nią uczniowie i urzędnicy, po których widać, że rzucili swe szkolne ławki i biurka w urzędach na wieść, że w okolicznym sklepie pojawił się papier toaletowy. Wędrowiec, zafascynowany podnieceniem tłumu, szuka gorączkowo wyjaśnienia tego zjawiska, pyta — cóż ono znaczy? Czyżby podczas jego podróży, z dala od domu, TV i gazety, odkryto nowe właściwości papieru toaletowego, o których on jeszcze nie wie? Czyżby poranne wiadomości radiowe podały rewelację o jego nowym zastosowaniu? — Czy ujawniono w nim dotąd nieznaną a ważną witaminę? Nie — odpowiedź jest inna, lecz ani łatwa ani prosta. Tych oto biegnących ludzi spotkało niezwykle wyróżnienie. Los sprawił, że znaleźli się w okolicy sklepu, do którego akurat przywieziono transport toaletowego papieru. Cykali cierpliwie, może nawet godzinami, na jego rozpakowanie i oddzielenie znacznej jego części na prywatne potrzeby sprzedawców; przeczekali czas, gdy sprzedawcy zmęczeni nadmiarem pracy, zawiesili swą działalność dla zjedzenia obiadu, picia kawy, niekończących się pogawędek ludzi, którym się do niczego nie śpieszy. I doczekali się rozpoczęcia regularnej sprzedaży. Po czym nakupili tyle ile tylko byli w stanie unieść własnymi siłami. Ci, którzy mieszkają niedaleko, pobiegli po pomoc, zawiadamiając wszystkich po drodze o radosnej nowinie. Szczęście spada na ludzi nieoczekiwanie, stąd entuzjazm w ich spojrzeniach, zaś zdobycie papieru toaletowego zalicza się do najszcześniejszych okoliczności życia w komunizmie.

Dlaczego kraje komunistyczne, zdolne do produkcji elektrowni atomowych i pojazdów kosmicznych, nie są w stanie wyprodukować dostatecznej ilości papieru toaletowego dla swych mieszkańców, pozostaje zagadką, z której rozwiązania zrezygnowały już najśmielsze i najtęższe umysły epoki. Mój komentarz w tej mierze ma więc niewiele szans na rozjaśnienie mroków. Skłonny jestem upatrywać ewentualność jej zrozumienia w metafizyce, aczkolwiek jest to instrument zbyt modny ostatnio, aby być przydatnym w rozjaśnianiu tajemnic bytu. Stosunkowo najprostszym i powszechnie przyjętym wytłumaczeniem jest, że w planowanej gospodarce komunistycznej rządzi zasada ważności, a nie potrzeby. Papier toaletowy jest ludziom potrzebny, nie jest jednak dość ważny według ekonomicznych teorii. Hierarchię ważności ustala zaś ciągle teoria, trudno się więc dziwić, że mnóstwo atrybutów najprostszego człowieczeństwa nie osiąga odpowiedniego szczebla ważności.

Przybysz z krajów komunistycznych na kapitalistyczny Zachód przechodzi, z kolei, przez stan duchowego podniecenia, który nazwać można wstępną obsesją parówek. Dziwny i niewytłumaczalny fakt, że na każdym rogu ulicy otrzymać można za niewielką opłatą gorącą parówkę wydaje mu się zjawiskiem z pogranicza czarnej magii lub osiągnięciem na miarę

budowy Piramid. Czy znaczy to, że w komunizmie nie znają epokowego wynalazku parówki? Parówki znane są w komunizmie, tylko nigdy i nigdzie nie można ich dostać, zwłaszcza gdy ma się na nie ochotę. Gdy się nie ma ochoty, lub gdy się zapomniało doszczętnie o ich istnieniu — kształt ich nagle pojawia się w oknie wystawowym jakiegoś sklepu, dokąd wchodzi się po to tylko, aby znaleźć w nim skręcony wielokrotnie ogonek do lady, oznaczający całe godziny czekania zanim się otrzyma parówkę. Od czasu do czasu wózki z parówkami, jak błędne ogniki na bagnach, pojawiają się na ulicach komunistycznych miast, lecz ich egzystencja nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek prawidłowością. Ich operatorzy otrzymują ze swego państwowego przedsiębiorstwa sztywną pensję i uniezależnieni są od obrotu towarami, ich *profit incentives* są minimalne, sprzedaż mało ich interesuje. To ostatnie stwierdzenie nie odpowiada całej prawdzie, albowiem interesuje ich sprzedaż, ale nie prawowitemu, spragnionemu parówek konsumentowi po urzędowej cenie. Wolą oni sprzedać od ręki cały codzienny przydział nielegalnym przedsiębiorcom z czarnego rynku, co jest przedsięwzięciem niebezpiecznym, lecz sownie opłacalnym, po czym urzędować oparci wygodnie o swe wózki przez przepisowe 8 godzin, z założonymi rękami, informując głodnych — zgodnie z prawdą — że cały towar już wyprzedany. W ten sposób amator parówek odpowiedź taką otrzymać może z samego rana, natychmiast po pojawieniu się wózka w punkcie sprzedaży. Sprzedawca o czulszym sercu lub wrodzonej uprzejmości skłonny jest czasem powiadomić rozczarowanego amatora gdzie może otrzymać upragniony parówkę, co zazwyczaj jest bardzo daleko i po o wiele wyższej od urzędowej cenie. Takie manifestacje człowieczeństwa zdarzają się jednak rzadko, bowiem sprzedawca, o ile nie jest kompletnym idiotą, wie że świat roi się od prowokatorów, tajnych policjantów i inspektorów przedsiębiorstwa, którego jest on dumą i podporą i od którego otrzymuje premie za sprawnie i szybko sprzedawany towar. Zdarzają się jednak sprzedawcy nieskorumpowani, lecz rzetelni członkowie partii komunistycznej, posłuszni jej wezwaniom, lub choćby tylko ożywieni duchem misji niesienia parówek tym, którzy ich potrzebują. Wtedy wysiłki ich krzyżowane są przez planowanie. Powiedzmy że w planie przedsiębiorstwa rozprowadzającego parówki ustalony został punkt sprzedaży w okolicy wielkiej budowy, na której pracują tysiące robotników, albo przy przystanku autobusowym, na którym wysiadają tysiące pracowników. Pomiędzy planem a jego realizacją istnieje w komunizmie zawsze oszołamiąca rozbieżność, dochodząca czasem, do wielu lat różnicy. Toteż gdy sprzedawca przybywa ze swym wózkiem, okazuje się, że budowa dawno została ukończona i już się wali, przystanek zaś dawno został przeniesiony gdzie indziej, wokół rozciąga się puste pole, zaś najbliższego przechodnia widać na horyzoncie. Komunistycznemu sprzedawcy nie wolno jest jednak opuścić posterunku, wobec tego stoi on tam przez pełne 8 godzin, nie sprzedając ani jednej parówki. Jego sugestie aby zmienić lokację przyjmowane są życzliwie przez jego bezpośrednich zwierzchników, lecz decyzja zmiany musi przejść przez tyle instancji, planów, uzgodnień i zwierzchników jego zwierzchników, że mijają długie miesiące, w czasie których sprzedawca wraca codziennie z niesprzedanymi parówkami. Z braku odpowiednich urządzeń chłodniczych wyrzuca się je więc na śmietnik, gdzie okoliczne psy grymaszą nad nimi z przejedzenia.

Inne rozwiązanie problemu, lub tzw. pomysłowa inicjatywa, nie wchodzi w grę albowiem handel w komunizmie nie kieruje się ani zasadą zysku ani zasadą obdarzenia głodnych nadwyżką produkcyjną, lecz tzw. socjalistycznymi normami pracy, które wykluczają poniżanie godności ludzkiej przez filantropię, natomiast dbają o to, aby najmniejszy ślad przedsiębiorczości zwany oficjalnie korupcją, nie wcisnął się w dusze proletariatu. Toteż o ile znieprawieni koledzy i oszuści nie poinformują idealistycznego sprzedawcę o tym, że lepiej sprzedać z grubym zyskiem na czarnym rynku — zgłodniałym parówek ludzie nie mają szans na ich zdobycie; o ile zaś sprzedawca wejdzie na drogę zła, przestępstwa i ryzyka, jego materialne powodzenie wzrośnie, a jego potrzeba służby społecznej zostanie zaspokojona. Co

prawda, państwo komunistyczne uzna go za spekulanta ale ludzie będą mieli parówki. Na tle tych danych nie trudno jest zrozumieć dlaczego przybysz z komunizmu, dostrzegający z okna swego hotelu w Nowym Jorku wózek z parówkami na rogu ulicy, a przy nim sprzedawcę chętnego ułatwić mu nabycie parówki o każdej porze dnia i nocy — uważa zjawisko to za *fata morgana*, złudzenie zmysłów lub czarnoksiężską sztuczkę niewytłumaczalną rozumem I tylko inteligentny komunista, wierny swej wszechwyjaśniającej ideologii, wie że wózki te zostały umyślnie postawione wokół jego okien w celach propagandowych, aby dać mu fałszywy obraz Ameryki, zaś sprzedawcy są agentami CIA.

Ogonek jest symbolem komunizmu, jak sierp i młot, ale jest także i jego najbardziej immanentną właściwością, określającą w nim ludzkie istnienie, czym ani sierp ani młot nie są. Człowiek w komunizmie spędza swe życie w ogonku. Tragizm ogonka zanalizować możemy na przykładzie szynki. Ktoś — powiedzmy: komunistyczny Everyman — kto wędruje przez sklep z wędlinami widzi, że przy jednym ze stoisk sprzedają szynkę — piękną szynkę, chudą i różową, szynkę-marzenie, o jakiej ludzie w komunizmie śnią po nocach. Rzecz jasna, do stoiska z szynką ciągnie się ogromny ogonek. Everyman wzdycha ciężko, wie że ogonek taki oznacza bardzo długie stanie, lecz szynka pachnie, woła, kusi, nęci. Rodzina Everymana nie zaznała smaku szynki od wielu tygodni, może miesięcy, zatem strata czasu, zaniedbanie w pracy, czy pominięte ważne spotkanie nie wydają się ceną zbyt wygórowaną za rozkosze szynki. Everyman staje więc w ogonku i wolno, wolniutko posuwa się do przodu. W miarę jak się posuwa, świadomość jego — wypełniona mirażem szynki i wołą jej zdobywania — zaczyna rejestrować pewne elementy sytuacji nie uwzględnione uprzednio albo nieprzewidziane, jak wszystko co ulega przeobrażeniom w ludzkim *esse* zgodnie z prawem Heraklita. Po pierwsze — szynka znika w przerażającym tempie i szybka ocena odległości od szynki, skalkulowana według jej ilości, wydaje się wskazywać na to, że gdy Everyman dojdzie do lady, szynki już nie będzie. Dla każdego kupującego w sklepie kapitalistycznym ewentualność taka wydaje się absurdem, bo sklepy w kapitalizmie rzadko kiedy nie są zdolne zaspokoić ilościowych potrzeb swoich klientów, a już czystym surrealizmem wydaje się fakt aby mogło im nie wystarczyć szynki w czasie pokoju i bez żywiołowej katastrofy trzęsienia ziemi w najbliższym sąsiedztwie; ponadto jeśli nawet z niewiadomych i bezsensownych przyczyn zaistniałby stan takiego braku, klient przyszedłby po prostu nazajutrz i tarzał się w monstrualnych zwałach szynki przytransportowanej błyskawicznie przez sklep, który wyczułby nagłe i niespodziewane zapotrzebowanie na szynkę wśród swoich klientów. Ale w komunizmie, jak to Everyman wie, sklep otrzymuje przydział towaru zgodnie z planem, a nie z zapotrzebowaniem, toteż gdy przydział się wyczerpie, żadna siła nie jest w stanie zaspokoić popytu. Zaś przydziały szynki, od czasu zwycięstwa rewolucji, są mikroskopijne i pozostają w fatalnie odwrotnej proporcji do zapewnień komunistycznej prasy o niebotycznej wyższości komunistycznej gospodarki rolniczo-hodowlanej nad gnijącą kapitalistyczną. Na tym jednak nie kończą się egzystencjalne kłopoty Everymana: zbliżając się do szynki popada on w rozterki wynikające z problematyki jakości. Cudowna, mięsista, różowa szynka zmienia się z każdą chwilą i z każdym przebytem przez Everymana jardem przestrzeni w tłustą, nieapetyczną, pełną żył szynkę, jakże daleką od jej obrazu sprzed pół godziny, gdy zdecydował się on na zajęcie miejsca w ogonku. Oczywiście, egzystencjalizm ma już Everymana w swoich szponach i w drodze wolnego wyboru może on ogonek opuścić, lecz właśnie ten wybór własnego losu jest sprawą najbardziej skomplikowaną. Wpływają nań bodźce i uwarunkowania z zewnątrz, jak na przykład nieustająca dyskusja tocząca się między stojącymi w ogonku na temat różnych zagadnień związanych z szynką w aspekcie historii i chwili bieżącej. Ktoś wysłany na rekonesans z połowy drogi przyniósł właśnie wiadomość, że obok sprzedawczyni leży następny, świeży, nienapoczęty połącz z zapasu przeznaczony do dzisiejszej sprzedaży. Ta informacja zmienia kardynalnie obliczenia. Jest szansa, że ludzie przed Everymanem wykupią

brzydką i tłustą szynkę, a na niego przypadnie świeżo napoczęta i soczysta. Warto więc stać następne pół godziny, chociaż jest to kalkulacja obosieczna, bo ludzie z przodu już się buntują, odmawiają kupna i kłócą się ze sprzedawczynią, głosząc swą gorycz i rozczarowanie zawiedzionych i oszukanych. W istocie, w kapitalizmie każdy klient wysmiałby sprzedawczynię, która zechciałaby mu coś takiego sprzedać jako szynkę, komunizm jednak polega na dyscyplinie i dekrete — tak więc to co zostało oficjalnie przez państwowy sklep uznane za szynkę, nie może być podane w wątpliwość przez kupującego. Sprzedawczyni ma więc klientów w głębokiej pogardzie, kroi wstrętną szynkę z obojętnością greckiej mojry i tylko myśli o tym jakby potem protestującym zrobić na złość. Niemniej optymistyczne obliczenia Everymana zdają się być tym razem słuszne, dobra gwiazda przyświeca jego żarliwym kombinacjom i osiąga on ładę właśnie gdy zła szynka kończy się i ekspedientka zrzuca nieprzydatne już resztki z maszyny. Everyman czeka z zaufaniem aż nałoży ona nową i zacznie kroić, lecz to właśnie nie następuje. Ekspedientka oświadcza, że nie ma więcej szynki, że koniec z szynką na dzisiaj.

Wzburzony Everyman i tłum za nim wskazują na ogromny i nienapoczęty blok świeżej szynki, lecz ekspedientka mówi zimno, że jest to przydział na jutro i chowa ją pod ładę. Zaczynają się awantury, ludzie krzyczą na sprzedawczynię, ta wymyśla ludziom, powołuje się na przepisy, walczy zjadale lecz z pogardą, pewna swej nienaruszalności. Jest pracownica, państwa na urzędzie, stoi za nią racja polityczna, autorytet władzy ludowej, potęga komunizmu, Marx, Lenin i plan sprzedaży. Zaś Everyman i ludzie za nim są podmiotem na z góry przegranej pozycji, o swe prawo do szynki muszą się kłócić z państwowym sklepem, czyli z państwem, czyli z oficjalną doktryną społeczną, czyli z Marxem i Leninem. Ponadto sprzedawczyni ma swe poważne *vested interests* w nowej szynce: musi zabrać jej najlepszą warstwę dla siebie do domu, potem dla swej dalszej rodziny, która już dała jej pieniądze na to, potem dla kierownika sklepu, bo trzeba być dobrze z przełożonymi, i dla koleżanek z innych działów, które w zamian dadzą jej lepsze masło i niedostępne dla tłumu owoce z importu. Pograżony w klęsce Everyman odchodzi z opuszczoną głową i obolałymi nogami. Przechodząc obok stoiska z serem widzi, że właśnie napoczęto ogromną gomulę sera, jakże rzadkiego w tym sklepie, w tym mieście, w tym kraju. Już formuje się długa kolejka do sera. Everyman waha się gorączkowo w nowym egzystencjalnym niepokoju. Stanać, czy nie? Ogarnia go rozpacz, w domu rodzina chce jeść. Chyba stanie.

Gdy — w ekonomice kapitalistycznej — nowy produkt pojawia się na rynku, losy jego łatwe są na ogół do przewidzenia. Jeśli jest wartościowy i zdobędzie powodzenie, dostarczany będzie na rynek w odpowiednich ilościach do popytu nań i każdy będzie go mógł nabyć. Jeśli odniesie duży sukces, jego producenci rzucą go wkrótce do sklepów w nowych, ciągle ulepszanych wersjach, podnosząc jego gatunek dla wzmożenia nim zainteresowania i mnożenia zysku. Im lepszy produkt tym pewniejszym być można, że rynek zaopatrzony weń będzie w coraz większych ilościach, nikt nie musi się śpieszyć, dla każdego starczy. Konieczność szybkiego zakupu następuje wraz z brakiem powodzenia produktu: zostaje on wtedy rzucony na *sales*, gdzie zostaje prędko wykupiony dla swojej taniości.

Diametralnie różna technika działa w komunizmie. Gdy nowy, poszukiwany produkt znajdzie się na rynku, a zainteresowany nim konsument dowie się o tym fakcie w sposób nadprzyrodzony — proroczy sen, szczęśliwe przecucie, telefon w środku nocy — albowiem reklama w sensie informacyjnym nie istnieje (albo ma właściwości literatury klasycznej, tzn. informuje o zjawisku w kilka stuleci po jego usunięciu się w cień historii) — wtedy należy rzucić wszystko i biec tam gdzie można go ewentualnie kupić. Natychmiastowość akcji jest warunkiem jej powodzenia i rozumieć ją należy dosłownie. Uczniowie wybiegają wtedy ze szkół z podekscytowanymi nauczycielami na czele, policjant opuszcza regulowanie ruchu, maszynista zatrzymuje lokomotywę i porzuca ją, chirurg zdiera z siebie fartuch podczas operacji, a kobiety w bólach porodowych przestają krzyczeć i pytają trzeźwym głosem czy

nie można by czegoś zrobić, żeby i one mogły natychmiast stanąć w ogonku. Rzecz jasna, tak oczekiwany produkt znika ze sklepów wraz z jego pojawieniem się tamże, a czasem jeszcze i zanim tam dotrze, rozkradziony przez personel sklepowy dla celów spekulacyjnych przed publiczną sprzedażą. To co zostaje, rzucone zostaje na pastwę szturmującego tłumu, również pełnego spekulantów, czyhających na produkt dla dalszego, już nielegalnego nim obrotu, powiadomionych wcześniej i za odpowiednim wynagrodzeniem przez personel. Rzecz jasna, już wkrótce produkt ten znajdzie się na czarnym rynku, gdzie na nabycie go pozwolić sobie będą mogli tylko bardzo nieliczni. Dla fanatyka legalności, któremu nie udało się go od razu i zgodnie z prawem zdobyć, przestał on istnieć raz na zawsze, a to głównie z dwóch powodów:

- 1) albo fabryka, która go wyprodukowała, przestanie go produkować;
- 2) albo, jeśli będzie go produkować nadal, produkt będzie coraz gorszy, w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do swego sukcesu.

Ten przedziwny i nagły upadek czegoś (przedmiot, instytucja społeczna, usługa), co odniosło zasłużone powodzenie i sukces stanowi otchłanną zagadkę komunistycznej gospodarki. Jej wytłumaczenia szukać należy w przepaściach ideologii i jej terminologii, określającej każde zjawisko w kategoriach rozumowania wymyślonych przez sztab bolszewickiej rewolucji w Rosji 50 lat temu, lecz ciągle uważanego przez komunistów za najwłaściwszy sposób porozumiewania się z rządzonymi masami. W kapitalizmie, nowy produkt szukający zbytu przy pomocy reklamy podkreśla swa nowość, inność, bądź wyższość nad już istniejącymi na rynku, bądź odwołuje się do swej użyteczności w ułatwianiu życia, bądź apeluje do intymnych potrzeb i snobizmów. W komunizmie, w ramach owej zastanawiającej semantyki, każda zwykła pasta do podłóg, nowy środek przeczyszczający czy najzwyklejsza instalacja projekcyjna w nowo zbudowanym kinie są określane w prasie, radio i telewizji jako wspaniałe zwycięstwo socjalizmu, gigantyczny krok naprzód światowej rewolucji lub śmiertelny cios w imperialistyczny spisek przeciw władzy, ludowej. Tak piszą o nich gazety, podkreślając namiętnie, że te dobra wyprodukowane zostały przez Partię, dzięki Partii, z pomocą Partii i dla Partii. W ciągu ostatnich 15 lat reżymy komunistyczne w Europie wschodniej stonowały nieco tę nomenklaturę i zezwoliły na akcenty otrzeźwiającego samokrytycyzmu. Znaczy to, że nie pisze się już tam o muszlach klozetowych jako o triumfie proletariatu, ale zbudowanie większego od innych domu mieszkalnego, produkcja wind szybkościowych, czy spuszczenie na wodę rybackiego trawlera ciągle uchodzi tam za imponujące zwycięstwo czegoś nad czymś. Ciągle też jeszcze można tam wejść do sklepu, dajmy na to z guzikami, gdzie nie będzie ani jednego guzika do kupienia, natomiast wszystkie ściany obwieszane będą tablicami z wykresami statystycznymi, demonstrującymi dane o 10-krotnym wzroście produkcji guzików w stosunku do wskaźników sprzed komunizmu. Źródła tej bombastyki tkwią w entuzjazmie i frenetce rewolucyjnej zacofanych gospodarczo krajów, lecz ich kontynuacja przez 50 lat nie tylko spycha życie w karykaturę, lecz daje także podstawy do katastrof i tortur psychicznych ludzi starających się kupić trochę szynki czy papier toaletowy. Jeśli wypuszczenie na rynek jako tako działającej lodówki jest olśniewającym zwycięstwem ideologii, zaś — jak to każdemu wiadomo — olśniewających zwycięstw nie odnosi się codziennie, przychodzą one rzadko i muszą starczyć na długo, przeto niemożność powtórzenia zwycięstwa staje się zrozumiała, usprawiedliwiona i wybaczalna. Fabryka, odniósłszy zwycięstwo swym produktem, zażywa jego słodczy i spoczywa na laurach, czyli nie produkuje, nie kontynuuje, nie ulepsza. Ideologia zaliczyła sobie punkt, zwyciężyła w lodówkach, i teraz maszeruje ku nowym zwycięstwom na pełnych przyszłej chwały polach bitew o mydło do golenia, traktory, suwaki do spódnic, rowery i fasolkę w puszcze. Komunistyczna Kuba nazywa zwykły zbiór trzciny cukrowej zwycięstwem, zaś jej przywódcy skarżą się, że nie mogą zebrać odpowiedniej ilości zniw dla pokrycia swych zapotrzebowań; przed komunizmem nikt nie mówił na Kubie o zwycięstwie w walce ze trzcina cukrową, zbiory zaś daleko przewyższały potrzeby. Stylizacja osiągnięcia

gospodarczego czy produkcyjnego dokonania, na zwycięstwo może mieć dalekosiężne i głębokie perspektywy. Zwycięstwa odnoszone są nad czymś, wt imię czegoś, przy pomocy czegoś, lub wbrew czemuś. Pomijając imbecylny bełkot o rewolucji i imperializmie w zestawieniu z szynką i papierem toaletowym, a także idiotyczne roszczenia komunizmu do wyższości nad czymkolwiek, w terminologii ujawnia się w pełni jałowość dialektycznego wysiłku marksistów. Czego naprawdę chcą? Co próbują? Czy nie chodzi im czasem o próbę przełamania i przeobrażenia natury ludzkiej, ale w oparciu o fałszywe przesłanki moralne i psychologiczne? Ich eksperyment zżera egzystencje całych społeczeństw, unicestwia żywoty i losy milionów jednostek ludzkich, im dłużej trwa, tym więcej przynosi klęsk i rozczarowań, wbrew trąbom grzmiącym o triumfach i zwycięstwach. Klasycy i teoretycy postawili tezę, że w zmienionych warunkach społecznych zakwitną idealizm i altruizm, natura ludzka przekształci się w instrument dobra i sprawiedliwości. Warunki zostały zmienione, lecz natura ludzka nie zmieniła się we wskazanym i zaplanowanym kierunku, co gorsza zaś — nic nie wskazuje na to, że zacznie się zmieniać w nadchodzącej przyszłości. Jeszcze nigdy w historii ludzkiego rodzaju warunki społeczne nie skumulowały tylu najgorszych cech natury ludzkiej — tyle wzajemnej nienawiści, zorganizowanej zbrodni, skondensowanego przymusu i morderczej obojętności człowieka dla człowieka, jak to łatwo jest zaobserwować w komunizmie. Jeszcze nigdy zasada *homo homini lupus* nie sięgnęła tak głęboko we wspólnotę ludzką i nie dotarła do wzajemnego stosunku człowieka sprzedającego szynkę z człowiekiem chcącym kupić szynkę. W doszczętnie zmaterializowanym, antyidealistycznym i odczłowieczonym (według komunistów) kapitalizmie amerykańskim, słynnym ze swego pogardliwego pomiatania (według komunistów) człowiekiem pracy, praca ludzka stała się najkosztowniejszym dobrem gospodarczo-społecznym. Rezultatem jest to, że każdy kto chce kupić szynkę otrzyma każdą jej ilość z uprzejmym uśmiechem sprzedawcy, papier toaletowy jest niegodnym uwagi szczegółem codzienności, budowanie ogromnych domów, mostów, statków nazywa się zwykłą działalnością gospodarczą. W komunizmie, który wznosił w swej literaturze filozoficznej i pięknej gigantyczny pomnik pojęciu pracy i kanonizował pracę jako najwyższą wartość — praca ludzka stała się najtańszą, najmniej pożywną, najbardziej frustrującą stroną ludzkiej egzystencji. W komunizmie praca nie jest opłacana, lecz motywowana, zaś motywacje pochodzą z lichej, odczłowieczonej, tandetnej, nikomu nie potrzebnej pseudoewangelii politycznej. Praca w komunizmie nie ma trwałej, konkretnej, zachęcającej ceny — ma tylko uzasadnienia, które nikogo nie obchodzą, a wszystkich drażnią. Kubański wódz komunistyczny usiłuje zapłacić Kubańczykom za ich pracę zwycięstwem, i tu właśnie ukazuje się osobliwe rozszczepienie sensu tego słowa: dla kubańskiego robotnika rolnego jest ono zwykłym oszustwem, jego zdrowa natura ludzka opiera się sprzedawaniu swego potu za nędzne grosze politycznej, propagandy. Dla kubańskiego wodza zaś słowo to oznacza zapowiedziany przez klasyków i proroków triumf nad naturą człowieka, która w końcu, kiedyś, zmuszona zostanie do pracy w zamian za słowa.

Jak dotąd jednak nic nie wskazuje na to zwycięstwo, nie ma najmniejszej jego zapowiedzi w komunizmie, który znamy. Przeciwnie — trzeźwe i nieuprzedzone oko poucza nas, że ludzka natura nie zmieniła się w nim, ani nie zmienia — a jeśli już tak, to na gorsze. Na całym świecie, w krajach niekomunistycznych, młodzi utopistyczni lewicowcy wierzą, że gdy dojdą do władzy i uwolnią swe społeczeństwa od kapitalistycznego zysku — czyli zmienią warunki — społeczeństwa te zaczną produkować dla samej miłości produkcji i ludzie otrzymają bezpieczniejsze samochody, lepsze malarstwo, higieniczniejszą kielbasę. Ileż pokoleń przed nimi wierzyło w to samo! Komunizm, w ciągu 50 lat swego istnienia, wykazał, że dzieje się wręcz przeciwnie.

Akt kupna i sprzedaży, czyli akt wymiany, jest stary jak ludzkość: jego sens polega na wzajemnym uzgodnieniu równowartości ofiarowanych sobie wzajemnie dóbr. Ta podstawowa zasada ulega całkowitemu rozkładowi w komunizmie. Cena produktu w

komunizmie nie ma nic wspólnego z jego wartością, jest wyłącznie symbolem w rozliczeniu ogólnogospodarczych planów. W ten sposób akt handlowej wymiany traci swe ekonomiczne uzasadnienie i przesuwa się do innej kategorii. Staje się aktem moralnym.

Transmutację tę najłatwiej jest prześledzić na przykładzie kupowania spodni. Załóżmy, że Everyman znajduje się akurat w potrzebie nabycia spodni i w tym celu udaje się do sklepu. Wchodząc, zauważy pewne ilości spodni na półkach i na wieszakach. Zbliżywszy się do nich stwierdzi, że wszystkie pary spodni w zasięgu jego ręki i wzroku są w identycznie tym samym kolorze, kroju i rozmiarze — o dziesięć numerów za duże albo za małe dla niego. Zgodnie z rozsądkiem, zwróci się do stojącego obojętnie pod ścianą lub gwarzącego bez troski z kolegą sprzedawcy z prośbą o informacje i wskazówki. Sprzedawca najprawdopodobniej w ogóle na jego pytanie nie odpowie, a jeśli odpowie, to tylko aby szorstko Everymana powiadomić, że innych spodni nie ma, klient zaś może wziąć te jakie są, albo pójść sobie do cholery. Zdarzy się, że zdegustowany niepowodzeniami Everyman przeciwstawi się równie szorstko sprzedawcy. Ten jakby tylko na to czekał — z niekłamany satysfakcja obrzuci on Everymana stekiem wyzwisk, mszcząc na nim wszystkie swoje, z kolei niepowodzenia; na kimże bowiem może on lepiej ulżyć sobie i skwitować gorycze swej ciężkiej i źle płatnej pracy, jak nie na swojej żonie i swoich klientach. Nie jest on zainteresowany w sprzedawaniu, swą marną pensję otrzyma zawsze, o swoją premię od sprzedaży, czyli tzw. bodziec ekonomiczny, troszczy się niewiele ze względu na jego minimalność, jest pracownikiem państwowego sklepu, który nie zostanie zlikwidowany nawet jak nie sprzeda ani jednej pary spodni w ciągu całego Planu Pięcioletniego. Ponadto — co może jest najistotniejsze — ma on zupełną rację: innych spodni po prostu nie ma, a jeśli nawet są, to muszą czekać swojej kolejki dopóki bieżący zapas nie zostanie sprzedany, aby nie mącić klientom w głowie tym co w zdeprawowanym kapitalizmie nazywa się wyborem. Rzecz jasna, Everyman wychodzi bez spodni. Aczkolwiek może nastąpić rzecz następująca: sprzedawca poczuje przypływ idealizmu, ocknie się w nim chęć służby własnemu narodowi, bądź zatli się w nim nagła sympatia osobista dla Everymana lub zwykłe ludzkie współczucie na widok jego rozpacz. Wtedy uda się na zaplecze sklepu i przyniesie interesującą parę spodni odpowiadających skromnym wymogom Everymana. Fakt, że jedna nogawka okaże się krótsza i węższa od drugiej jest już bez znaczenia. Everyman zobowiązany takim dowodem człowieczeństwa nie będzie grymasił. Everyman płaci, otrzymuje spodnie niemal nie nadające się do noszenia, ale duszę jego wypełnia uczucie błogości. Nabył spodnie i zetknął się z Człowiekiem, który go zrozumiał i wyciągnął do niego rękę aby mu pomóc w jego niedoli. Człowiek zaś może wytrzymać komunizm, komunistyczny sklep i handel, i komunistyczną mękę kupowania, jeśli wśród tych mroków błysnie mu czasem nikły płomyk człowieczeństwa.

JAK BYĆ OSZUKIWANYM PRZEZ PAŃSTWO

Tytuł niniejszego rozdziału sformułowany jest mało precyzyjnie. Oszukiwanie obywateli przez państwo jest tak stare jak samo istnienie instytucji państwa, nie ma w tym nic nowego i komunistyczne państwo nie ma bynajmniej monopolu na działalność tego typu. Rzecz w tym, że w tradycji państwowości leży oszustwo na wielką skalę: obywateli okłamuje się, co nazywa się oficjalnie informacją, lub kontaktem z masami narodu, inne państwa wprowadza się w błąd, co znane jest pod nazwą polityki zagranicznej bądź dyplomacji, co słabsze narody zmusza się brutalnie do kupowania lub sprzedawania po szalbierczych cenach, co zwie się także ożywioną wymianą handlową lub wolnością mórz. Państwo komunistyczne, o ile ma po temu warunki, stosuje identycznie te same metody w gromadzeniu i konserwowaniu własnej potęgi państwowej, mnożąc jedynie ich brutalność przez totalitarny system zasad ideologicznych stanowiących podstawę jego działań. Nowością w jego praktykach jest natomiast notoryczna skłonność do okradania swych obywateli, i to nawet najuboższych, z sum minimalnych, groszowych, których powstydziliby się co przyzwoitszy złodziej kieszonkowy. O ile możemy sobie mniej lub więcej słusznie wyobrazić obrabowanie jakiegoś kraju z bogatych złóż naftowych przez potężną demokrację zachodnią, to przecież nawet amerykańska *International Revenue Service*, znana ze swej drobiazgowej zachłanności, nie dostarcza przykładów zabierania obywatelom gwałtem pieniędzy jakie się jej nie należą i do rutyny zaliczyć można fakty zwrotu pieniędzy, które wpłacone zostały przez pomyłkę. Jeśli opowiedzieć mieszkańcowi komunizmu, że w Ameryce można się sprzeczać z władzami podatkowymi o sumę do zapłacenia, a także wykazać owym władzom, że w czymś nie mają racji, mieszkaniac zawoła karetkę pogotowia dla odwiezienia opowiadającego do szpitala wariatów. Albowiem wie on, że w komunizmie, o ile władze podatkowe zażądają i zainkasują od niego dwa razy tyle ile w rzeczywistości winien jest zapłacić, zostanie on zmuszony zaraz potem do zapłacenia prawidłowej sumy, ukarany grzywną za wprowadzenie władz w błąd, podczas gdy pierwszych wpłaconych pieniędzy nie ujrzy on już nigdy w życiu. Jeśli zaś zechce dochodzić swej słuszności na drodze prawnej, pójdzie do więzienia za oszczerczą propagandę przeciw władzy ludowej i jej urzędowi podatkowym.

Oszukańcze manipulacje podatkowe wobec własnych obywateli wydają się jednak operacjami na wielką skalę w porównaniu z innymi źródłami dochodu komunistycznego państwa. Każdy człowiek w komunizmie wie, że najlepszy poziom usług otrzymać można wyłącznie zaraz po uruchomieniu czy otwarciu nowego przedsiębiorstwa i jest on ściśle ograniczony czasem. Znaczy to, że na przykład dobre posiłki otrzymać można w nowo otwartej restauracji jedynie przez kilka wstępnych dni jej istnienia. Otwarcie zostało, rzecz jasna, przedstawione w prasie jako niebywałe zwycięstwo socjalizmu, a podawane w niej zupy i kotlety uznane zostały za triumf marksizmu, biorąc pod uwagę ich rozmiar w stosunku do niskości ich ceny. Ten stan rzeczy odpowiada prawdzie przez tydzień, po czym kotlet w tej samej cenie okaże się o jedną trzecią mniejszy. Jak to się dzieje? Nader prosto — kierownictwo restauracji widząc, że nie daje ona zaplanowanego dochodu, co może fatalnie wpłynąć na dalszą karierę kierownictwa, zwraca się do swych zwierzchnich władz w państwowym koncernie, do którego należy restauracja, z propozycją ograniczenia ilości mięsa w pojedynczym daniu. Odpowiedź otrzymuje z reguły pozytywną, bowiem koncern walczy z trudnościami w zdobyciu dostatecznej ilości mięsa od wiecznie niedomagającego ministerstwa rolnictwa. O zmianie ceny nikt nie wspomina, byłoby to nietaktem wobec ustalonego raz na zawsze ogólnopaństwowego planu gospodarczego, w którym restauracja figuruje na swoim miejscu. W ten sposób konsument zostaje lekko okradziony na kilka centów. Ale państwo ma współników, z którymi musi się dzielić. Jest nim w pierwszym rzędzie kucharz, który nie mogąc wyżyć z pensji musi wykroić dla siebie coś z kotleta, ale nie

może tego uczynić dość efektywnie o ile nie odpali coś dyrektorowi. Tak więc państwo, aby okraść konsumenta z jednej trzeciej kotleta, musi się zgodzić, że dwaj jego współnicy zabiorą jedną trzecią — i tak konsument, po miesiącu, płaci tę samą cenę za połowę tego samego kotleta, który jeszcze tak niedawno był chlubą restauracji i socjalizmu.

Pomysłowość komunistycznego państwa w dziedzinie wyrywania nędznych groszy z kieszeni swych poddanych jest zdumiewająca. Na jednym z odległych przedmieść Budapesztu kończyła się linia autobusowa. Droga do śródmieścia była długa i uciążliwa, nic więc dziwnego, że mieszkańcy przedmieścia ze wzruszeniem ujrzeni pewnego ranka, obok normalnego autobusu, autobus z napisem „Express”, obwieszony licznymi transparentami głoszącymi, że w rocznicę Rewolucji Październikowej i w dowód dbałości o zdrowie mieszkańców państwowe przedsiębiorstwo transportowe wprowadza tę oto epokową innowację. „Express” miał łączyć bezpośrednio przedmieście ze śródmieściem, bez ani jednego przystanku po drodze, skracając czas przejazdu o połowę. W zamian za to opłata za przejazd miała być czterokrotnie wyższa, ale też i jego wyposażenie było lepsze niż zwykłego autobusu, podłoga czystsza i siedzenia wygodniejsze. Wielu ludzi przyjęło to usprawnienie z entuzjazmem, ale wielu, biedniejszych, wiedząc że jedyną rzeczą jakiej w gospodarce planowej zaplanować nie można jest budżet ubogiej rodziny, korzystało nadal z usług gorszego i wolniejszego autobusu. Po pewnym czasie zauważyli oni, że liczba tańszych autobusów zmniejsza się i odchodzą one coraz rzadziej z końcowego przystanku, podczas gdy liczba droższych i luksusowych powiększa się. Utrudniło to im życie w pewnej mierze, ale prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero, gdy pewnego ranka przeczytali na przystanku obwieszczenie, że tańszy autobus zostaje zlikwidowany całkowicie, zaś liczba droższych ulegnie zwiększeniu, tak że wypełnia one potrzeby społeczeństwa. Co się też stało, pozostawiając uboższym pasażerom, jako jedyną, możliwość uniknięcia zbyt kosztownej opłaty długiej, pieszej marszu do odległego przystanku tramwajowego. Przez kilka tygodni autobus „Express” funkcjonował zgodnie ze swoim regulaminem, dopóki pewnego dnia jego użytkownicy nie przeczytali nowego obwieszczenia, głoszącego że ze względu na rosnące potrzeby ludności zostaje wprowadzony jeden przystanek na jego trasie, pomiędzy przedmieściem a śródmieściem. Po jakimś czasie przystanków tych było więcej, a niebawem, zgodnie z potrzebami ludzi pracy po drodze, przystawał już na każdym z przystanków, na których przystawał uprzednio tańszy autobus. Wkrótce też siedzenia jego podarły się, podłoga zrobiła się coraz brudniejsza, napis „Express” znikł. Jedyną rzeczą, jaka nie wróciła do dawnego stanu rzeczy była cena przejazdu. Ktoś napisał w tej sprawie list do redakcji miejscowej gazety. Odpowiedziano mu artykułem wstępnym, w którym piętnowano jego postawę drobnomieszczańskiego egoizmu i wygodnictwa oraz oskarżono go o brak klasowej solidarności z tymi wszystkimi, którzy też chcą jechać do pracy dla chwały komunizmu. O cenie nie wspomniano.

Ojcowie Zakonu, którzy wymyślili socjalizm i komunizm w imię najświętszych pryncypiów etycznych, zdumieliby się bardzo, a może nawet głęboko zasmucili, gdyby stwierdzili, że najpotężniejszą dźwignią stosunków międzyludzkich w społeczeństwie przez nich wykoncypowanym jest prastara, prymitywna, niemal jaskiniowa zasada „ja tobie — ty mnie”.

W Rosji, zaraz po rewolucji, karano śmiercią za próbę sprzedaży dwóch jajek na wolnym rynku: mimo to instytucja bazaru przetrwała, nic jej nie zdołało unicestwić, ani obozy koncentracyjne, ani nawet brak towaru do handlowania. W okresie bezdennej nędzy pierwszego Planu Pięcioletniego w ZSRR jedna para butów mogła zmienić kilkudziesięciu właścicieli — odbywało się to zawsze na obskurnych placzkach za miastem, gdzie ludzie, wbrew wszelkim prześladowaniom, oddawali się wrodzonemu instynktowi wzajemnej wymiany. Po jakimś czasie komuniści doszedłszy do wniosku, że instynktu tego nie wykorzenią z dusz ludzkich, postanowili się go nauczyć. Sukces przeszedł wszystkie

oczekiwania i już wkrótce państwo komunistyczne stało się Szachrajem–Gigantem na skalę nieznana w historii oszustwa, matactwa, szalbierstwa. Jedyne w dziejach, z którym nie można się sprzeczać, ani targować, ani zawołać policji na pomoc gdy obrabuje, oszuka, okradnie. W krajach Europy wschodniej kwitnie instytucja „komisu”, czyli przedsiębiorstwa państwowego zajmującego się skupem artykułów luksusowych, biżuterii, darów z zagranicy od krewnych, tak poszukiwanych w niedożywionych i nieodziaanych społeczeństwach, po czym sprzedawania ich konsumentom jakby na wolnym rynku zorganizowanym i kontrolowanym przez to samo państwo, które wolny rynek bezlitośnie tępi. Rzecz jasna, te państwowe przedsiębiorstwa wyciskają ostatni pot i grosz zarówno ze sprzedającego im, jak i tego który od nich kupuje. Wyzysk obojga dochodzi do maksimum, lichwiarstwo państwowych urzędników osiąga rozmiary wobec których Shylock zarumieniłby się ze wstydu. I komu się tu poskarżyć? Gdy ktoś wprowadza się do nowego domu, w którym nie działa instalacja hydrauliczna, ale który został wybudowany przez państwo i jest własnością państwa, jego ewentualny protest musi być odpowiednio ostrożny: sprawa o zepsutą kanalizację w klozecie jest między nim a rządem, ustrojem, teorią marksizmu.

Zasada „ty mnie — ja tobie” rozciąga się daleko i szeroko. Mieszkaniec komunizmu stoi w niemym zdumieniu wobec tak niewytłumaczalnego zjawiska jak „*Welfare State*” w demokratycznym kapitalizmie, gdzie ludziom daje się różne rzeczy w zamian za nic, albo gdzie stypendia, fundacje i donacje ofiarowane są profesorom, pisarzom i studentom proklamującym otwarcie chęć zniszczenia tych, którzy im je dają. Gdy ktoś w komunizmie chce czegoś od państwa, w zamian dać musi przynajmniej bezgraniczne uwielbienie i ślepe posłuszeństwo. Stosunkowo najbardziej zbliżył się do kapitalizmu pewien polski premier: mianowicie sprzedaje samochody. Brzmi to dość nieprawdopodobnie, aby premier dużego komunistycznego państwa zajmował się sprzedażą samochodów, ale tak jest. W Polsce odbywają się co roku prestiżowe targi międzynarodowe, których zasadą jest, że wystawione na nich eksponaty pozostają po targach do dyspozycji rządu polskiego. W ten sposób zostaje w Polsce corocznie trochę samochodów dobrych marek zachodnich, które w kraju komunistycznym stanowią szczyt marzeń najwyższej postawionej osobistości, luminarzy nauki, tytanów literatury i sztuki. Wobec tego premier je sprzedaje. Oczywiście, jego ceny są spekulanko wyższe od cen oficjalnych, a samochody mają braki i defekty trudne do naprawienia — kto jednak będzie się targował z premierem, albo reklamował cokolwiek?

CO TO JEST PRACA SPOŁECZNA

To wszystko co powinno być zrobione wokół człowieka i dla człowieka za pieniądze wpłacone przez niego w formie podatków na rzecz państwa — a co zrobione nie jest i wymaga zrobienia — komuniści nazywają czynem społecznym, lub pracą społeczną. Znaczy to, że o ile dopiero co oddana do użytku dzielnica mieszkaniowa zaczyna się rozpadać — ściany się rysują, instalacje — nie działają, bruk uliczny pęka, wszędzie leżą zwały śmieci, woda nie dochodzi na piętra — mieszkańcy tej dzielnicy, którzy uprzednio zapłacili za mieszkania, oraz którzy płacą podatki na utrzymanie ulic i zakładów użyteczności publicznej, wzywani są do naprawy tej katastrofy w ramach akcji społecznej. Zaznaczyć przy tym trzeba, że praca społeczna jest zupełnie bezpłatna, honorowa i dobrowolna, nikt do niej nie jest zmuszony, ale niestawienie się w określonym czasie w określonym miejscu pociąga za sobą mnóstwo przykrości i daje tzw. aspołeczną, czyli złą, opinię. Praca społeczna nie odbywa się nigdy w imię naprawy, uporządkowania, czy usprawnienia czegoś, lecz zawsze w imię urodzin Lenina, śmierci Lenina, na rzecz światowego pokoju, lub w imię solidarności z bojownikami Wietkongu. To wszystko więc, co gdzie indziej wykonuje skromnie wynagradzany fachowiec w sposób rzeczowy i skuteczny, w komunizmie starają się dokonać ludzie nie mający o danej pracy zielonego pojęcia, zmęczeni całodniową pracą we własnym zawodzie i nienawidzący się wzajemnie za swe niezasłużone upokorzenia i marnowane chwile życia:

Jedyną pociechą jest to, że każdy czyn społeczny ma w sobie cechy niezamierzonego samobójstwa. Pouczająca w tym względzie jest następująca historia. Na otwarcie nowej linii lotniczej w Polsce przybyła liczna ekipa komunistycznych dygnitarzy. Wsiedli oni do nowiutkiego, ślicznie pomalowanego samolotu i wzbili się w przestworza. Po kilku minutach lotu drzwiczki od kabiny pilotów otworzyły się i ukazał się w nich rozpromieniony młodzieniec w koszuli Komunistycznego Związku Młodzieży, który oświadczył ze wzruszeniem: „Towarzysze! Ten lot jest wielkim świętem naszych państwowych linii lotniczych. Inaugurujemy nową linię, która połączy miasta i wzniesie dumnie sztandar socjalizmu na podniebnych szlakach! Dodatkowym zwycięstwem naszej młodej brygady lotników-komunistów jest fakt, że samolot, którym lecimy przeznaczony był na złom. Nie nadaje się on już do użytku od długich lat, lecz my, młodzi komuniści, postanowiliśmy wyremontować go w ramach czynu społecznego, w godzinach wolnych od pracy. Nasze kierownictwo wyrażało wątpliwości czy nam to się uda, ale nasza płomienna wola pokonała wszelkie trudności i wahania kierownictwa ...”

Młody komunista nie ukończył przemówienia. W kabinie zapanowała panika. Różni ministrowie, wśród lamentów i okrzyków grozy, zażądali natychmiastowego lądowania. Linia nie została zainaugurowana tym lotem. Podobno wielu dygnitarzy zmarnowało potem swe kariery na skutek ich niewytłumaczalnej rezerwy wobec idei pracy społecznej.

O METAFIZYCE I ETYCE NA CO DZIEŃ

Dlaczego istnieje zło na świecie? Nieliczni filozofowie, jak również i ludzie prości, zadawali sobie i innym to pytanie. Liczni apologeci i egzegeci licznych religii zawsze dawali wykrętne odpowiedzi. Jedną z popularniejszych była teza, że bez zła nie byłoby dobra. Dobro poznajemy poprzez zło, zaś nadmiar dobra obraca się na ogół w zło. Niektórzy twierdzą też, że nadmiar zła obraca się w końcu w dobro, lecz na to jest mniej dowodów i nikt nie jest tego zbyt pewien.

Komunizm rozświetlił wiele mroków w tej dziedzinie i wniósł nieco niezachwianej prawdy i nienaruszalnych aksjomatów tam gdzie dotąd dominowała chwiejność relatywizmu. Jednego jesteśmy pewni w komunizmie: bez względu na to ile produkuje on zła — zło to nigdy nie przechodzi w dobro. Pewien pieski dziennikarz skonkretyzował niegdyś płynność filozofii w tej mierze mówiąc: „Czasami mam wrażenie, że nasz rząd istnieje tylko po to aby nam utrudniać życie”. Ta prosta na ogół obserwacja kryje w sobie godne szacunku głębie.

Brak wolności i sprawiedliwości, dwa najbardziej rzucające się w oczy elementy życia w komunizmie, nie stanowią tam jednak głównych determinant losu człowieka. Los ten jest określony przez brak możliwości rozwoju człowieka jako jednostki w społeczeństwie, oraz możliwości rozwoju jego człowieczeństwa w nim samym. Bez tych dwóch komponent swego losu homo nie potrafi ani tworzyć, ani pchać naprzód ani siebie, ani swego społeczeństwa — jak tu więc mówić o przemyśle, literaturze i szkolnictwie. Czy można obejść jakoś nieludzkość tego układu? Wszak wiemy z historii rodzaju ludzkiego, że człowiek potrafił wyswobadzać się z każdego pęt lub chociażby przechytrzyć najgorszego ciemnizy. Komunizm, najnowocześniejsze z jarzm, wchłonawszy w siebie doświadczenia stuleci, jest na to przygotowany. Rozwój jednostki jest ewentualnie dobrem wynajmowanym jednostce pod najsurowszą kontrolą. I to za straszliwą cenę, za cenę służalczości, upokorzeń i poniżeń wobec których bizantyńsko-feudalne wzory sadyzmu władzy wydają się komiczną ekspresyjnością niemego filmu. Służalczość wobec doktryny, reprezentowanej przez dyrektora państwowego urzędu czy partyjnego dygnitarza kryje w sobie rozpacz i upadki nieznane fizycznym poniżeniom wobec przemocy. Deptanie godności ludzkiej to coś innego niż zupełny zanik godności w poddaniu się ideologii dla zdobycia prawa do rozwoju, Zachodni komunista czy rewolucjonista nie jest w stanie tego zrozumieć, że poryw zamieniony w codzienność, zrodzić może tylko tyranie, której jedynym środkiem władzy jest łamanie charakterów, stoi to w kardynalnej sprzeczności z jego wyobrażeniami o świecie postrewolucyjnym, o który walczy. Lecz nie tu miejsce na rozważania o różnicach pomiędzy wyobrażeniem a sprawdzalnością. Sens upodlenia ludzkiego w komunizmie nierozłączny jest od bezdenności bezprawia, przedstawianego jako prawo na co dzień i w każdej tkance życia — od centrum władzy po sklep z ogórkami. Tyranie wschodu, feudalizm i stare autokracje używały bezprawia w szczególnych wypadkach większej wagi, a ze skrupulatną wytwornością nalegały na rzędy prawa w sprawach drobnych. Dlatego, mimo ich zbrodni i okrucieństw, można w nich było żyć, a nawet rozwijać się jak jednostka kształtująca swe własne człowieczeństwo. Przeciwwstawiając się im, człowiek wzbogacał się. Walcząc z komunizmem, człowiek redukuje się do aktów szaleństwa i rozpacz.

Stąd — życie w komunizmie jest piekłem, ale nie dla wszystkich. Jest piekłem dla ludzi dobrej woli. Dla uczciwych. Dla rozsądnych. Dla chcących pracować z pożytkiem dla siebie i dla innych. Dla przedsiębiorczych. Dla tych, którzy chcą coś zrobić lepiej, wydajniej, ładniej. Dla tych, którzy chcą rozwijać, wzbogacać, pomnażać. Dla wrażliwych. Dla prostolinijnych i skromnych. Natomiast dobrze prosperują w komunizmie głupcy nie dostrzegający własnej marności i śmieszności. Doskonale powodzi się służalcem, oportunistom i konformistom; wiedzie im się tym lepiej, że z czystym rumieniem mogą nic robić nic, albowiem i tak nie

sądzą, że należy coś robić w zamian za serwilizm — czują się zwolnieni z wszelkiej odpowiedzialności co wzmacnia ich znakomite samopoczucie.

Brak poczucia odpowiedzialności jest najogólniej biorąc, warunkiem powodzenia w komunizmie: im bardziej ktoś jest nieodpowiedzialny i umie nieodpowiedzialnością manipulować, tym większą robi karierę. Wspaniale powodzi się tchórzom i leniom, którzy nie robiąc niczego nie narażają się na błędy, a nie popełniając błędów otrzymują nagrody za inercję. Ale prawdziwym rajem jest komunizm dla oszustów, naciągaczy, niebieskich ptaków i hochsztaplerów: o ile mniej muszą się wysilać niż w kapitalizmie aby zdobywać łupy — wystarczy głosić tylko, że się jest wiernym, oddanym komunistą by otrzymać bogactwa i zaszczyty.

Cztery miliardy ludzi na ziemi każą nam widzieć wiele rzeczy inaczej, niż dotąd. Zmieniają się pod tym ciężarem pojęcia dobra i zła. Ingerencja państwa w życie jednostki, planowanie społeczne i gospodarcze i priorytet interesu zbiorowości inaczej wyglądają w tej perspektywie. Komunizm proponuje je od dawna — i trudno się z nim w tym względzie nie zgodzić — ale nie potrafi je oczyścić z przemocy i zepsucia. Jakby dotknięciem swym zamieniał je w kłamstwo i krzywdę. Ci, którzy powołują się na nieudolność gospodarczą i organizacyjną komunizmu jako na dowód jego niższości, popełniają błąd. Wierzę, iż przy wszystkich swych klęskach i całym swym obskurantyzmie komunizm zapewni w końcu wszystkim swym mieszkańcom talerze, a nawet da każdemu domek z ogródkiem, choć w lichym gatunku. Pączkowanie współczesnej technologii i środków wytwórczych już się o to postara, nawet kneblowane i partaczone przez doktrynę. Nędza i dobrobyt przestały być czerwonym i czarnym rulety, w którą gra dzisiejszy świat. Ale co z tego? Dobrobyt nie zlikwiduje metafizyki krzywdy w komunizmie, nie da sprawiedliwości jednostkowej ani społecznej, nie stworzy perspektyw rozwoju jednostce, inaczej, niż za cenę moralnych koncesji — czyli nie zlikwiduje immanentnego zła ustroju.

Rozbestwione kłamstwo jakim komunizm wypełnił swój świat i zainfekował nasz świat anuluje wszelkie normy rozsądku. Nikt, kto skłonny jest walczyć o godność własną i chce pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, nie zgodzi się na to, żeby nazywać dzień nocą, ciemnotę kulturą, zbrodnię przyzwoitością, brak towarów obfitością towarów, niewolę wolnością — na mocy dekretu komunistycznych władców. „Poprzez kłamstwo komunizm staje się wszechobecny, przeobraża się we właściwość bytu, partnera istnienia, element panteistyczny, z którym nawet ścinanie paznokci ma coś wspólnego. Groza kryjąca się w tym stanie rzeczy jest nie do pojęcia dla ludzi demokratycznego Zachodu.

Czy, żyjąc w komunizmie, można więc kiedykolwiek osiągnąć równowagę ducha — cel człowieka rozumnego i dobrej woli? Chyba tak, ale tylko za cenę moralnej kapitulacji. Na przykład: akceptując zło i niesprawiedliwość jako immanentny element bytu. Komuniści rozwiązują to zagadnienie z podejrzaną łatwością. Obecna niesprawiedliwość — mówi? — jeśli istnieje, to służy przyszłej sprawiedliwości, które; nadejście jest nieuchronne, gwarantuje je nasza słuszna i niepodważalna teoria. Pewien polski filozof zaś zauważa: „Okropność i korupcja będąca owocem doktryny roszczącej sobie całkowitą i nieomylną wiedzę o przyszłości, przekracza najśmielsze przewidywania. Z doktryny tej wynika bowiem, że moralnym problemem jednostki nie jest bynajmniej przykładanie do wydarzeń historycznych własnej miary sprawiedliwości, ale dostosowywanie własnego poczucia sprawiedliwości do nakazów konieczności historycznej — uosobionej w praktyce przez partię, jej kierownictwo i jej bieżące czyny”. Wiara komunisty w przyszłą sprawiedliwość może być znamieniem uczciwości i idealizmu, ale jak to wytłumaczyć staruszce-emerytce, która otrzymawszy przesyłkę ze starymi ubraniami od krewnych z kapitalistycznej zagranicy, zostaje opodatkowana przez państwo jako spekulant i wróg ludu. Jak to wytłumaczyć rzemieślnikowi, który jest specjalistą od rzadkiego rodzaju protez, na które czekają Hani chorzy jak na zbawienie, a któremu państwo — nie zajmujące się produkcją takich protez —

zabrania ich wyrobu i sprzedaży, oskarżając go o chęć restauracji kapitalizmu. I jak to wreszcie wytłumaczyć chorem czekającym na protezy, których komunistyczne państwo nie potrafi im dostarczyć.

Wiele zostało napisane na temat komunizmu jako religii nienawiści. Zarzut ten jest istotny, lecz często spływany. Proklamacja nienawiści nie jest sama w sobie kwalifikacją moralną — dobry chrześcijanin też nienawidził grzechu i wszelkie równania etyczne są w tym względzie możliwe. Rzecz w tym, że komunizm podnosi nienawiść do rangi miłości, nie wartościuje odrębnie tych uczuć, identyfikuje ich walor dla zdrowia moralnego człowieka, różnicując jedynie ich kolor, kierunek, symbolikę. Kochając proletariat i partię, dobry komunista zobowiązany jest do nienawidzenia tych wszystkich, którzy nie kochają proletariatu i partii — taka jest ostateczna logika moralnych dyspozycji i rządzących nimi uczuć. W końcu wrogiem zasługującym na nienawiść staje się każdy inny, którego trzeba zniweczyć po to aby samemu istnieć. W aspekcie rozwoju rodzaju ludzkiego jest to regres do najprymitywniejszych kodów etycznych. W praktyce codzienności daje to efekt komiczny, przeobraża się w ponurą groteskę. Najbardziej kurczowym wysiłkiem komunistów jest próba wmówienia całemu światu, a także i sobie samym, jednoznaczności interesów partii, państwa i społeczeństwa. Tymczasem życie na każdym kroku ujawnia trójstronną, przepastną rozbieżność tych interesów. Ktokolwiek żyje w komunizmie ma świadomość męki jaka towarzyszy każdej próbie pojednawczości czy uzgodnienia tego co sam chce czy zamierza, z tym co od niego wymaga partia i państwo. Rezultatem jest wieczna połowiczność wszystkiego, niemożność pogodzenia się z tym co człowieka otacza. W demokratycznym kapitalizmie wystarczy ażeby interesy jednostki nie kolidowały z interesami społeczeństwa czy innych jednostek, aby zostawić człowieka w spokoju i pozwolić mu robić co uważa za stosowne. W komunizmie malarz, który chce namalować obraz, musi wziąć pod uwagę czym jego obraz będzie dla partii, rządu, państwa, związków zawodowych, dzieci szkolnych, nadchodzącej rocznicy narodzin Lenina, oraz ministerstwa przemysłu — o ile chce namalować hutę — zaś ministerstwa rolnictwa, o ile ma zamiar namalować truskawkę. Każdy też nosi w sobie instynktowne przeświadczenie, że cokolwiek by się w komunizmie zmieniło, czy jaki humanitarny socjalizm z ludzką twarzą nie zastąpiłby obecnego, totalitarnego komunizmu — ta — właściwość zrealizowanego społecznie marksizmu pozostanie determinacją życia w nim. Komunizm zawsze będzie dążył i domagał się tego samego mandatu od rzeczywistości, zaś jakkolwiek próbę oporu nazwie wrogością i wezwie swych zwolenników do nienawidzenia jej. Stąd filozofia władzy w komunizmie jest prosta: zakłada ona, że każdy w państwie ma coś do ukrycia i pierwszą zasadą rządzenia jest wykrywanie tego co ukrywający chcą ukryć. Ogół podniesiony do absolutu sprawia, że jako wartość najwyższa ma prawo do wszystkiego. A ponieważ ogół jest prawem historii reprezentowany przez partię, trudno się więc oprzeć podejrzeniu, że XX-wieczny przywódca komunistyczny uważa, że ma pełne prawo do każdego strzępu myśli, uczuć i biologicznego bytu swych poddanych.

Studia nad alienacją w komunizmie utrudnione są przez pewną nieścisłość, ogólnie uważaną za apogeum myśli teoretycznego marksizmu i powszechnie poważaną wszędzie gdzie indziej jako wspaniały dorobek ducha badań europejskiej cywilizacji. Dla kogoś, kto przeżył komunizm i patrzy nań z perspektywy lat siedemdziesiątych naszego stulecia, podstawowa teza Marxa o walce klas wydaje się jakimś nieporozumieniem. Nie ma w naszym obrazie świata czegoś takiego jak walka klas, natomiast jest walka poszczególnych ludzi występujących w imieniu klas. Same klasy społeczne posiadają jeszcze niezupełnie zbadaną zdolność wzajemnego współżycia, wzajemnego przenikania się, wzajemnej imitacji i przybierania wzajemnie swych najgorszych cech. Człowiek wyalienowany w komunizmie jest jednocześnie człowiekiem wessanym, oplecionym bez reszty przez funkcje i serwituty, które — paradoksalnie — przesadzają jego wyobcowanie. Jest gnojony przez nadmiar uspołecznienia i ciągle czeka na swojego Kafkę, który ukazałby jak w komunizmie zabija

relacja, a nie nieuchwytność relacji. Sam fakt pochwycenia człowieka w tryby maszyny nie przesądza władzy nad jego duszą. Obserwator z Zachodu nie może pojąć dlaczego człowiek w uchwycie tak stałowych zależności i związków społecznych tak mało się nimi interesuje. Zaś ludzi w komunizmie nie obchodzi nic poza ich bezpośrednią strefą odczuwania i oddziaływania, bowiem nic poza kataklizmem na miarę historii nie może zmienić ich losu, poprawić go. Na wszelkie pogorszenia są znieczuleni, ich jedyną bronią jest rezygnacja. Duża ich większość źle życzy własnemu krajowi i społeczeństwu, cieszy się w ukryciu z jego niepowodzeń i klęsk, tęskni do katastrof jak wojny, załamania gospodarcze, klęski żywiołowe, wyznając zasadą, że im gorzej, tym lepiej, albo kojąc w ten sposób własne rozgoryczenia i rozpacz. Na Zachodzie inflacja, powódź, nieurodzaj, katastrofa lotnicza — lub odwrotnie: nowy rewelacyjny produkt, sukces medycyny — jakoś dotyczy wszystkich. W komunizmie klęska społeczna uderza w wielu, ale nie dotyczy nikogo, żaden zaś, nawet najbardziej spektakularny sukces nie przynosi nikomu korzyści.

Komunizm przyszedł do ludzkości z propozycją, że jeśli odda mu ona władzę nad sobą, on da jej lepsze życie. W krajach, gdzie tę władzę otrzymał, ludzie żyją gorzej niż kiedykolwiek w historii tych krajów. Poczucie gorszego życia jest tam łak dojmujące, że jest główną przyczyną samobójstw. Zachód nie jest w stanie pojąć tego typu polaryzacji, jest bezradny wobec jej przejawów. Zagadnienie gorszości etycznej, tak wyraźne dla ludzi stamtąd, gmatwa się w oczach Zachodu beznadziejnie i prowadzi Zachód ku sądom wzbudzającym tam melancholijną rozpacz. Jeśli dwóch poetów uderza w nutę krytycyzmu w swych poematach, ale tylko jeden z nich siedzi za to w więzieniu, znaczy to, że tylko jeden z nich jest porządnym człowiekiem, drugi zaś zwykłą kanalią. Dla Zachodu obaj są bojownikami o wolność twórczą — i to proste nieporozumienie stanowi o bolesnej słabości Zachodu wobec komunizmu.

KOMUNIZM — HITLERYZM — KRÓTKIE STUDIUM KOMPARATYWNE

Snucie refleksji na ten temat uważane jest na ogół za wulgarne, za coś czego się nie robi. Dlaczego? Tego nikt właściwie dobrze nie wie. Jest to terror konwencji. Zbyt wielu przyzwoitych później ludzi deklarowało się kiedyś w życiu jako komuniści. Ci jednak, którzy przeżyli jedno i drugie, nie wyrażając swej zgody, ani chęci udziału, ani w jednym, ani w drugim, nie znają się na takich subtelnościach. W Europie wschodniej jest ich miliony i uświęcona przez intelektualistów reguła, że komunizm i hitleryzm to NIE to samo jakoś do nich nie trafia. Bowiem myśląc bez wstydlivosti, bezlitośnie i aż do końca aż nazbyt łatwo jest stwierdzić ich jednakowość.

Komunizm — taki jakim go znamy — jest wynalazcą, teoretykiem, praktykiem, inżynierem i technologiem zbrodni o jakich hitleryzm — taki jakim go zdołaliśmy gruntownie poznać — może i marzył, ale nie starczyło mu na nie sił. Zbrodnicość hitleryzmu polegała na planowym mordowaniu ludzi w przerażających ilościach, w przerażające sposoby i przerażającą szybkością. W ostatecznym rozrachunku było to jednak tylko mordowanie. Przysłówek tylko jest w tym wypadku kwintesencją okrucieństwa, a jednak kryje się w nim wyjaśnienie. Niezmywalny grzech mordowania wśród tortur, z zagipsowanymi ustami, w męce duszenia gazem cyklonem, pozostanie na zawsze z hitleryzmem i z tymi, którzy w jego imię mordowali. Przekleństwo ludzi naszego stulecia nigdy nie oderwie się od nazwy, symbolów i nazwisk z nią związanych, aż po ostatnie westchnienie tych, którzy przeżyli i raz jeszcze przeklną owych zbrodniarzy i ich zbrodnie. Hitleryzm mordował tępo, krwawo, nurzając się w rozdartych wnętrznościach, bądź antyseptycznie, bezmyślnie, nowocześnie, zawsze z maniackim uśmiechem sadysty, lecz także i kretyna, bestialskiego prostaka i chama, przebierającego się w nienaganną parę mundurów i chirurgiczne akcesoria cywilizacji. Te zaś, choćby najwspanialsze, nie zastąpią jednak geniusza zła, nie stworzą go z niczego tam gdzie go nie ma. Nawet w sceneriach najponętniejszych ze swych mitologii hitleryzm pozostawał zawsze i tylko precyzyjnie pomyślaną, zorganizowaną i wyposażoną, jatką; unicestwiał w imię kryteriów nikczemnych, lecz przejrzyście prostych — za to, że się było Życiem, Polakiem czy partyzantem. Ale mordując i depcząc na śmierć całe narody i miliony oddzielnych ludzi, nie zabierał im rzeczy może nie najważniejszej, lecz jedynej jaką im w owej eschatologicznej chwili pozostawała — nie zabierał im godności śmierci, klarownej jasności własnej ofiary z własnego życia zabieranego właśnie przez historię, przez czyjaś ponurą moc, przez bestialstwo innych, złych ludzi. W hitleryzmie można było umierać godnie, nawet z dumą, nie zapierając się samego siebie, jeśli ktoś umiał, nie gubiąc duszy (jak mawiają Rosjanie, nawet materialści), nie tracąc siebie — czyli tej ostatniej cząsteczki człowieczeństwa, której isierka tli się na dnie najstraszliwszej nawet rozpacz. Hitleryzm miażdżył ciała i paraliżował śmiertelną trwogą serca, nurzał słabych w gnoju ich własnej słabości, wydierał im męczarniami uczciwość i honor, ale gdy ktoś miał dość siły aby obronić swe człowieczeństwo, hitleryzm stawał się zwierzęco nieporadny wobec tego co w człowieku silniejsze od biologu. Mógł tylko miażdżyć dalej, aż do rozpląnięcia się materii, nie mógł ani nie umiał unicestwić pojęć i postaw moralnych. Rozstrzeliwani, katowani, wieszani, duszeni, zakopywani żywcem umierali potwornie, lecz wielu z nich trzymało zapewne w sobie, aż po skurcz ostateczny, jakąś świadomość, że coś uratowali, że umierają i wiedzą dlaczego, że nie przegrali, że ich bezsilny teraz, w tej chwili, gniew, klątwa i nienawiść mają jakiś czysty, oślepiający sens.

Gwałtowna śmierć z ręki drugiego człowieka jest zapewne zawsze i wszędzie taka sama w swej ohydnej psychofizycznej esencji, wydaje mi się jednak, że śmierć Żyda-komunisty, wydanej przez sowieckie NKWD w ręce Gestapo, jest najstraszliwszą ze śmierci. Jest wydarciem człowieka z jego własnego istnienia bez pozostawienia mu strzępu świadomości

sensu tegoż istnienia. Hitlerowcy nazywali bandytami i zabijali ludzi, którzy im się opierali, ale nie umieli ich obedrzeć z uczuć tych, którzy pozostawali przy życiu. Komuniści potrafili i to — umieli zabrać ludziom wszystko, nawet ich identyczność, nawet ich cień jak w owej staroniemieckiej bajce, nawet ich przeszłość i przyszłość. Hitleryzm umiał wyhodować dżunglę życia, w której nie można było ufać ulicom, domom, a nade wszystko drugiemu człowiekowi. Komunizm poszedł o krok dalej w wielu kierunkach: nawożąc glebę życia myślami Lenina i Stalina rozsiał wokół człowieka gąszcz, w którym nie mógł on już zaufać nawet samemu sobie, a ponadto kształtom, kolorom, zapachom, powietrzu. Komunizm uczynił samo życie swoim narzędziem ucisku, produktem swego systemu, czyli samego siebie. Potrafił związać kata z ofiarą współzależnością tak otchłannych, wzajemnych upodlen, że aż wszystko roztopiło się w niewypowiedzianej mazi, a człowiek wpłynął na koszmarną rafę, na której zginąć musi jako człowiek, zaś odrodzić się może już tylko jako coś innego. Co — tego nie wiem. Może jako subkółko w fantasmagorycznej nadmaszynie, może jako sprzączka u buta superwszechwładcy podistnienia, którym w końcu stanie się jakieś robaczywe, wielonożne Politbiuro. Jeśli komunizm i hitleryzm są śmiertelnymi parchami XX-wiecznej ludzkości, to tym co je różni jest wyłącznie technika zżerania tkanki organizmów, metoda procesu wrzodzenia i przesycania gnilną ropą materii żyda. Hitleryzm zrobił wiele dla zadeptywania istoty ludzkiej, ale niestety nie umie] pochwalić się takimi dokonaniem jakie opisane zostały w; książkach tych, którzy uciekli spod komunizmu lub choćby zdołali przekazać światu o nim swoją wiedzę. Hitleryzm mordował za kształt nosa i to stwarzało przymus walki aż do końca, bez możliwości porozumienia się, aż do wykorzeniania zła za każdą cenę jaką ludzkość musiałaby zapłacić. Komunizm stwarza POZORY możliwych porozumień z człowiekiem, po czym człowieka, który uwierzył, już bezbronnego, unicestwia za to co w nim dobre, za niezależność myśli, za poczucie godności, za sprzeciw kłamstwu. Pomoc bliźniemu w komunizmie to taki sam wybór moralny jak za Hitlera — kara za odruch międzyludzkiej solidarności jest nieunikniona. Tylko czasem czeka się na nią latami i dlatego świat jej nie zauważa.

CO TO ZNACZY: CHCIEĆ DOBRZE

Jest to kategoria moralna stworzona nie przez komunizm, lecz przez życie w komunizmie. Użyta w czasie przeszłym — on chciał dobrze — zmienia się w normę moralnej oceny człowieka, jego życia, jego czynów.

Życie w komunizmie polega na nieustannej walce z kimś głupszym i gorszym, kto ma możliwość decyzji o wszystkim co człowiek chce zrobić i kim chce być. Każdy wie, że .wynik tej walki jest czystą metafizyką: nikt nie jest w stanie obliczyć, przewidzieć, zaplanować, ocenić ani jej przebiegu ani je) rezultatów. Stąd Kierunek i jakość tej walki ustawia ją jako w hierarchii wartości etycznych i znaczenia moralnego. Na horyzoncie problematyki moralnej człowieka XX wieku pojawia się raz jeszcze intencja jako na pół anielska, a na poły demoniczna, przesłanka myśli, uczuć i działań — czyli psychomoralna kategoria, o której myśleliśmy, że pogrzebana została wraz z literaturą wiktoriańską. W ogólnej niemożności dokonania czegokolwiek pozytywnego, słusznego, mądrego,, pożytecznego dla siebie i społeczeństwa — sama intencja zaczyna liczyć się jako wartość integralna i autonomiczna. Czyli coś za co można już cenić człowieka.

Prawdopodobnie zastosowano ją po raz pierwszy do samego Marxa i Engelsa, kiedy okazało się jaka przepaść otwiera się pomiędzy tym czego chcieli, a pomiędzy tym co w imię ich chęci zmajstrowano. „On chce dobrze” — mówiono o Leninie, gdy można było sobie myć ręce we krwi wokół kwater głównych, sowieckiej policji politycznej w Moskwie i w Leningradzie. To samo mówili ogłupiali z fanatyzmu intelektualistów w latach trzydziestych o Stalinie, gdy ten dorzynał swoich najdroższych giermków, którzy przedtem z jego rozkazu zarzynali innych giermków. Wycieńczone wojną i hitlerowską okupacją społeczeństwa Europy wschodniej chciały wierzyć w dobra, wolę kogokolwiek i z początku skłonne były dać kredyt komunistom i ich syrenim śpiewom o nowym raj na ziemi jaki władza ich przyniesie tym krajom. Już wkrótce okazało się, że po prostu nie sposób jest dojść do tego czy komuniści chcą dobrze czy źle, ale faktem bijącym w oczy każdego jest, że czegokolwiek by nie chcieli, rezultat jest fatalny. Politycy na urzędach odznaczają się specyficzną długowiecznością w komunizmie, albowiem o ich karierze decydują nie ich obiektywne dokonania lecz łaska partii: polityk może powodować katastrofę za katastrofą i rujnować najbardziej kwitnące dziedziny powierzone jego pieczy, o ile partia uważa go za wiernego syna nigdy nic mu się nie stanie i jego awanse będą zapewnione. Rekordy długowieczności pobił jednak polski premier, który spełniał tę funkcję przeszło 20 lat. Cieszył się on nawet pewną popularnością w społeczeństwie dzięki niezwykle perfidnej taktyce propagandowej: jego totumfaccy, którym zapewniał on lukratywne posady, głosili wszędzie jak bardzo dobrze on chce dla ludu i jak mu inni koledzy—komuniści, rządzący Polską, nie pozwalają robić tego co on chce. W odpowiedzi słyszeli często, że dekada za dekadą mija i mimo, że on chce dobrze, jest coraz gorzej. Na co z kolei odpowiadali, że bez niego byłoby o wiele gorzej, czego — rzecz jasna — sprawdzić nie można, bo Polska od 20 lat nie była bez niego i tylko wiedziała, jak jest z nim. Inni komunistyczni mężowie stanu fundują wielkie kariery na tzw. .mruganiu okiem do Społeczeństwa czy do ewentualnych popleczników w łonie partii, które to mruganie jest jakoby dowodem na to, że oni już wiedzą co zrobić żeby było dobrze i natychmiast to uczynią jak tylko będą mogli, wobec czego trzeba ich poprzeć, podtrzymać, ułatwić im drogę do władzy. Technika mrugania okiem prowadzi czasem w autentyczne tragedie.

Czasem komunistyczny polityk chce naprawdę dobrze, chce złagodzić cenzurę, rzucić więcej towarów konsumpcyjnych na rynek, rozluźnić uchwyt policji politycznej. Wdaje się wtedy w targi z nadzorcami z ramienia ortodoksji, lub po prostu z Rosjanami, bez których zgody nic w krajach satelickich nie nastąpi. Jeśli w owych zaciekłych walkach uzyska jakieś

minimum koncesji, wtedy zwraca się do swego społeczeństwa z propozycją: zaprzestańcie domagania się więcej, cieszcie się tym cośmy uzyskali, bo zdobycie tego nie było łatwe i wypruliśmy z siebie ostatnie siły żeby choć to dostać. Część społeczeństwa powie wtedy, że facet chce dobrze i będzie miała rację, część zaś powie, że facet chciał dobrze, ale się załamał i sprzedał — i też jakoś będzie miała rację, albowiem obrona minimum przy pomocy wszelkich środków — a więc represji, policji, przymusu itd. — jest kapitulacją wobec nieustępliwości generalnych nadzorców czystości komunizmu. I tak oto mamy tragedię tego który chciał dobrze. Karol Marx, zgodnie z tym co sam myślał o swym dziele, wystąpił dziełem tym w obronie człowieka dławionego przez układ społeczny. Po czym w imię Marxa inni ludzie zmontowali coś co uczyniło człowieka tak bezbronny jak nigdy dotąd w dziejach. I to nie tylko wobec przemocy obłądnych, biurokratycznych struktur, lecz także wobec ludzkiej szmatłowości i chytrości, przy których nadużycia kapitalistycznego „lesseferyzmu” wydają się życzliwą, prostacką sielanką. System wartości i mechanizm przeznaczeń premiuje w komunizmie małość i podłość, i wynosi je pod różnymi postaciami powodzenia, w stopniu nieznanym innym epokom. Każdy kto w nim żyje wie, że system jest zły, zgniły i deprawuje ludzi, którzy w nim stają się źli. Zaraża złem każdego kto go dotknie — a każdy niemal go dotyka w tej czy innej formie — dobrzy zaś muszą, zginąć w jego trybach. Każdy tam wie, że komunizm to ludzkość oszukana i że to co głosiły o nim pokolenia marzycieli, ideologów i pisarzy, zanim obłókl się w kształt, było zwykłym nadużyciem dobrej wiary publiczności. Jego czciciele przyrzekali, że będzie prawdą, przyniósł zaś uświęcenie kłamstwa w niespotykanym dotąd wymiarze Zapewniali, że będzie sprawiedliwością, a stał się gigantycznym inkubatorem wielkich i małych krzywd. Obwieszczali, że przyniesie prawdziwą wolność, a przyniósł najdoskonalej skonstruowaną niewolę każdego przejawu życia i każdej komórki społecznej w stopniu nieznanym najstarszym tyranom. Snuli publiczne marzenia wreszcie o tym, jak uszlachetni on wyzwolonego z więzów eksploatacji człowieka, a komunizm upodlił człowieka i uwikłał we władztwo głupoty, niskich instynktów, płaskości, przyziemności i we wzajemne wyniszczanie o nieznanym przedtem cechach wyrafinowania. Trudno się dziwić zatem, że intencja w tym świecie staje się rzadkim skarbem i synonimem cnoty.

Odmęt moralnych pułapek w komunizmie sprawia, że ten który chce dobrze, aby zapewnić sobie minimum skuteczności działania, musi długo i wydajnie czynić źle. Jest to jedyna droga do zdobycia dostatecznego autorytetu, w którego zbroi można przystąpić do siania dobra. Autorytet taki jest narzędziem dwuznacznym: może oznaczać niezachwiany wierność partii z pobudek idealistycznych, może też oznaczać bezgraniczną gotowość do każdego świństwa na zlecenie partii — ocena moralna samego autorytetu jest bez znaczenia, liczy się tylko jego skuteczność. W praktyce jednak dzieje się następująco: dla zdobycia należnego autorytetu do czynienia dobra zarówno idealista jak i cyniczny pragmatyk muszą nagromadzić w działaniu swoim tyle zła, że formuła on chce dobrze, w imię której człowiek rusza do walki, gubi się gdzieś po drodze i zaciera, wprzęgnięty zaś w rutynę życia amator dobra staje się na resztę swej egzystencji potulnym egzekutorem komunistycznej przemocy i bezprawia. Niemniej jednak postawa, którą możemy określić jako talleyrandyzm, jest wzorem postępowania moralnego przyciągającym wielu myślących ludzi dobrej woli w komunizmie.

Przypomnijmy pokrótce co to jest talleyrandyzm. Nazwa ta wywodzi się z historii życia i uczynków pana de Talleyrand, francuskiego arystokraty i dyplomaty, który służył po kolei Burbonom, Rewolucji Francuskiej, Dyktatoriatowi, Napoleonowi, oraz znowu Burbonom — popełniając wszelkie nikczemności i bezeceństwa na zlecenie każdego kolejnego władcy, wynikające z wpływowej pozycji politycznej i administracyjnej, która była przez cały ten czas jego udziałem. Jednocześnie, pytany o swe sumienie i samopoczucie, pan de Talleyrand zawsze oświadczał, że ma się za człowieka cnotliwego i przyzwoitego ponad wszelką miarę, albowiem całe swoje życie służy tylko i wyłącznie Francji, a nie jej władcom, nie

zapominając o poprawności zasad i pryncypiów najogólniej pojętego człowieczeństwa. Jego współcześni ponadto zaświadcniają, że zawsze odznaczał się świeżą cerą, doskonałym trawieniem i pogodną równowagą ducha właściwą ludziom przekonany o niezachwianie o swej uczciwości i żadne poczucie winy nie miało nigdy do niego dostępu. Od Talleyrandów, albo raczej mniej lub więcej udatnych jego imitatorów, roi się w komunizmie, co sprawia, że czasami o ludziach, którzy na oko są najzupełniej jednakowi w swym profilu egzystencjalnym — jednakowa przynależność partyjna, jednakowe łajdactwa popełniane w jej imię, jednakowa głupota i jednakowa, sprzedajność — mówi — się bardzo różnie, aż do śmiesznych polaryzacji opinii. Jest to po prostu wynikiem owego dziwnego zaplecza życia społecznego, gdzie liczą się tylko intencje i to czy jeden z nich chce, lub choćby kiedyś chciał dobrze i dał tego dowód, drugiemu zaś nigdy serce nie drgnęło w sposób tak widoczny, by bliźni mogli drgnięcie takie odnotować. W zachodniej demokracji odczynnik polityczno — moralny funkcjonuje od święta, przy specjalnych okazjach, i nikt nie będzie głosował na polityka w wyborach tylko dlatego, że załatwił on w banku pożyczkę dla zbankrutowanego kupca, który dzięki tej pożyczce odrodził się finansowo i stanął na nogi. W komunizmie lakmus ten działa na co dzień, codziennie ujawnia nowy wybór i nową konieczność wartościowania, w każdej sprawie i w każdej okoliczności inaczej, zawsze w perspektywie obyczajowej etyki i w odniesieniu do interesów innych ludzi. Stąd ogrom ambiwalencji i całkowita nieprzydatność zbiorczych etykietek. Ten jest dobry, kto jest dobry dziś, tu, teraz i w konkretnej sprawie. Polityk, który pomoże inwalidzie wojennemu w zdobyciu koncesji na kiosk z gazetami, o czym wieść rozejdzie się szeroko, zdobywa w społeczeństwie popularność i sławę tego co chce dobrze. Jego czyn jest brzemienny w skutki, czasem także i dla niego, albowiem jego wrogowie, pracując nad jego zgubą, zawsze są w stanie zarzucić mu, że inwalida stracił nogę w antykomunistycznej partyzantce, stracając w ten sposób inwalidę i jego dobroczyńcę na dno upadku, z drugiej strony wieść o dobrym czynie polityka nigdy nie rozejdzie się dostatecznie szeroko, ażeby zebrał on ze swej popularności nadzwyczajne korzyści w skali ogólnonarodowej, dlatego choćby, że sam polityk nie jest skłonny przesadnie reklamować swój czyn, będąc świadomym ewentualnych intryg i niebezpieczeństw. Wystarczy, że tu i ówdzie mówić się będzie o nim dobrze, a polityk w komunizmie nie odpowiada za swój program — z natury rzeczy dogmatycznie sztywny — tylko za swoją przyzwoitość na co dzień, która jest jego jedynym atutem i tytułem w oczach społeczeństwa. Ten dziwny paradoks zauważalny jest najlepiej w atmosferze wyborczej. Wybory stanowią w komunizmie farsę, lecz nie pozbawioną szerszych znaczeń. Głosuje się tylko i wyłącznie na jedną listę wyborczą, złożoną z pięciu lub sześciu nazwisk w każdym okręgu wyborczym. Nazwiska te należą do ludzi należących do partii lub takich, którzy nie należą, lecz których wierność i posłuszeństwo są poza wszelkim podejrzeniem. Wyborca nie ma więc żadnego wyboru, a jego prawo skreślenia każdego nazwiska jakie chce, nigdy nie wpłynie na zmianę ekipy, która zawsze zostanie wybrana do zasiadania w organach jakoby ustawodawczych. Niemniej ci, którzy pragną w nich zasiąść, wygłaszają przemówienia wyborcze i co sprytniejsi wiedzą o tym, że głosujący wyborca kieruje się w tym akcie wyborczym nadzieją, iż wybrany poseł nie będzie realizował tego co głosi w swym programie wyborczym. Co znaczy, że jest dostatecznie przyzwoity, aby programu, który głosi, nie wcielać w życie. Perspektywy talleyrandyzmu są więc bezkresne, aczkolwiek zwulgaryzowane, i na dobrą sprawę każdy sekretarz powiatowy partii chrzczący swe dziecko w kościele, uważa się w komunizmie za Talleyranda.

Komunistyczna psychologia, w której Freud, Adler i Jung są zgodnie zakazani, ma na swym koncie poważne osiągnięcia, całkiem nieznane na Zachodzie. Na przykład: bardzo drobiazgowo zbadała korelację pomiędzy czynem, słowem a myślą u tzw. prawdziwego człowieka. Prawdziwy człowiek oznacza w tym wypadku jednostkę ludzką, której sposób myślenia, zachowania, impulsy i reakcje zgodne są z tym czego partia komunistyczna od

niego się spodziewa. Okazało się bowiem, że prawda o człowieku nie pozostaje w spoistym i logicznym związku z jego czynami, słowami i myślami, a te, ponadto nie pozostają w odpowiedzialnej zależności względem siebie wzajemnie. To, że prawdy o człowieku nie mówią jego czyny, udowodnił już całkiem sumiennie Dostojewski, a także wielu pisarzy po nim. Także prawdy tej nie ujawniają słowa, albowiem wiadomo, że działacz polityczny przemawia z otulonej czerwonym sztandarem trybuny, nie wierząc ani w ćwierć słowa tego co sam mówi. Natomiast okoliczność, że można popełnić mnóstwo najbardziej karygodnych łajdactw, lecz jeśli popełniając je myślało się o nich, że są one łajdactwami, albo komunikowało się swe wątpliwości szeptem na ucho zaufanym przyjaciołom — ta okoliczność sprawiła, że łajdactwa nie są już łajdactwami. I tu dochodzimy do innego aspektu wyniesienia intencji na piedestał cnoty. W obowiązujących warunkach okoliczność, że ktoś chce dobrze przeobrazić się w moralną zasługę, jest to jednak zasługa śliska i niebezpieczna dla wszystkich. Wystarczy bowiem, że ktoś chciał dobrze, ale mu nie wyszło, „wobec tego popełnił czyn nikczemny, ale... W dekalogu moralnym praktyki życia w komunizmie znajdzie on rozgrzeszenie: sam fakt, że myślał o tym, że popełnia świństwo, że był jego świadomy, sprawia iż grzech się nie liczy. Nie ma możliwości walki ze złem, miliony ludzi żyją popełniając zło nieświadomie, jako ślepe narzędzia” systemu, stąd fakt świadomości i oceny zła jako zła jest już cnotą. Nawet ten nurt w tradycyjnej moralistyce chrześcijańskiej, który skłonny był rozgrzeszać nieświadomość (... on nie wiedział co robi...), w osłupieniu przyjąłby tezę, że ktoś jest niewinny, ponieważ miał pełną świadomość i dobrze wiedział co robi, a nawet w przypływie nadświadomości rozprawiał o swych zwątpieniach i sceptycyzmach ze znajomymi przy wódce. Na nieszczęście, te zasady moralne przeniknęły głęboko do społeczeństw rządzonych przez komunistów i najgorsze kanale i oportuniści wnoszą na nich gmachy własnych karier oraz różne konstrukcje destylacyjne do dyfuzji własnych nikczemności i matactw.

Chyba najbardziej patetyczną i doraźną manifestację zasady „on chce dobrze” przyszło mi oglądać kiedyś w Zagrzebiu, w Jugosławii. Główną ulicą kroczył dumnie i zadzierzyście pochód prawidłowo zorganizowanej młodzieży komunistycznej w czerwonych krawatach, z czerwonymi sztandarami. W morzu transparentów i pośród nieustająco wznoszonych okrzyków: „Pokój! Pokój! Castro! Tito!” Wszyscy trzymali się za ręce, za ramiona, obejmowali w pół, demonstrując ową fałszywą, sztuczną braterskość na pokaz, ostentacyjną miłość wszystkich dla wszystkich, tępe szczęście skandowania sloganów. Spośród publiczności na trotuarze wynurzył się radośnie pijak ogarnięty przypływem wszechludzkiej czułości. Był to stary, ubogo ubrany, wymięty całonocnym piciem alkoholik, lecz stopień jego uczuciowego zaangażowania w uniesienie chwilą nie ulegał żadnej wątpliwości, był wzruszająco szczery. Pijak też chciał bratać się, solidaryzować, wziąć udział — jednym słowem „chciał dobrze”. Krzyczał głośniejsze od innych, domagał się pokoju i zwycięstwa, popierał i dawał z siebie wszystko. Dwóch krzepkich młodzieńców w czerwonych krawatach wyrwało go brutalnie z szeregów i odepchnęło, aż zatoczył się i upadł na bruk. Po czym usiadł na krawężniku trotuaru, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

JAK KOCHAĆ

Miłość jest jedynym spośród pierwiastkowych elementów bytu, wobec którego komunizm jest bezradny. Na samym początku, zaraz po rewolucji, pojawiały się głosy o miłości jako o relikcie burżuazyjnej cywilizacji, ich bezsilna absurdalność kwalifikowała je jednak wyłącznie do panopticum rewolucyjnego zelanctwa. Sprawa jednak nie jest tak, prosta jakby się wydawało i nie sposób jej zbyć argumentem nonsensowności. Komunizm jest światopoglądem monistycznym, w którym nie ma miejsca na równorzędność: istnieje tylko zasada nadrzędna i wszystko należy się jej. Jeśli nawet rozsądek mówi komuniście, że człowiekowi trzeba zostawić w nim samym miejsce do kochania innych ludzi — kobiety, rodziców, dziecka — to w komuniście idealnym, skonstruowanym według przepisu na komunistyczny absolut, coś się buntuje przeciw takiemu rozwiązaniu. Partia jest najwyższą dawczynią wszelkiego dobra, „toteż wszelkie uczucia należą do partii. A przynajmniej uczucie bezwarunkowej wierności i bezgranicznego zaufania. Stąd już tylko krok do miłości i w przekonaniu absolutnego komunisty partia powinna być kochana ponad wszystko, i nie mają prawa istnienia więzy uczuciowe inne niż miłość do partii. Absolutnych komunistów lub takich komunistów, którzy proklamują swój absolut dla doraźnych korzyści, jest więcej niż by się komukolwiek wydawało, zaś najwięcej ich w policji politycznej, organizacji kapłańskiej, której zadaniem jest podtrzymywanie świętego ognia miłości dla partii w duszach obywateli.

Należy tu poczynić ważne rozróżnienie. Miłość chrześcijańska zakładała miłość do Boga, która napawa ludzi miłością, do ludzi, do bliźniego, którego należy kochać, aby zrealizować królestwo Boże na ziemi — czyli w perspektywie swej miała miłość drugiego człowieka dlatego, że jest człowiekiem. Miłość jaką głosili w latach sześćdziesiątych neoutopiści na Zachodzie, aczkolwiek wynikająca z chaotycznej hierarchii wartości, konkretyzuje jeszcze bardziej swój cel i sens: jest walorem samym w sobie, należy kochać dla samego kochania i to wszystko bez wyboru: ludzi, koty, niebo, kwiaty, muzykę. W porównaniu z tymi zasadami miłości postulat komunizmu jest przerażająco bezosobowy. Komunizm nakazuje wyłącznie miłość wiary i ideologii, jego katechizm nic nie wspomina o ludziach. Co ważne nie uznaje on ani za ludzi, ani tym mniej za bliźnich tych, którzy go nie wyznają; komunista akceptuje tylko takich samych jak on — innych należy zniszczyć.

Kochać winno się partię, produkcję, porządek ustanowiony przez komunistów, a także przywódców zmarłych i usanktyfikowanych. W stosunku do żywych uczucia mają być normowane przez bieżącą politykę partii. Kogo należy kochać, o tym decyduje partia, tak samo jak o tym kogo należy nienawidzić. Rzecz charakterystyczna, ale gdy chodzi o nienawiść jej symbolami są zawsze ludzie, a nie idee. Nienawidzić należy imperialistów, trockistów, socjaldemokratów, szpiegów, kapitalistów, liberałów, przedmiotem nienawiści winien być przede wszystkim papież, a nie katolicka anty-postępowość. Stalin, który identyfikował się z partią, wymagał dla siebie miłości. Instruktor szkolnej organizacji komunistycznej, który domagał się od jej członków aby donosili o czym rodzice mówią w domu, dodawał: „Przecież kochacie Stalina bardziej niż ojca i matkę...” i rzadko kiedy usłyszał zaprzeczenie. Sędzia śledczy w erze stalinowskich procesów, chcąc wymóc na badanym i torturowanym denuncjację ukochanej żony, pytał: „Cóż to, kochasz ją więcej niż Stalina?” i bardzo by się zdziwił gdyby usłyszał odpowiedź twierdzącą. Zachwiałyby to jakoś jego światopoglądem, nawet gdyby był cynicznym zbirem.

Uczucie w komunizmie jest schronieniem. Jest jedyną wartością istnienia, której nie określa uwarunkowanie i otoczenie, której gatunek wynika wyłącznie z cech indywidualnych człowieka. Miłość mężczyzny i kobiety w komunizmie może być tak piękna i tak obfitująca w brzydkie udręki, jak wszędzie gdzie indziej. Jej piękno jednak realizuje się wbrew komunizmowi, czyli pomimo ogólnej szarości, niewygód, szykan codzienności — czasami

wręcz je upiększając i zdobiąc wspomnieniem. Natomiast jej brzydota i udręki częstokroć są rezultatem komunizmu, wynikają z ogólnej nędzy, niemożności zdobycia ludzkich warunków bytu, gnieźdzenia się w jednopokojowych mieszkaniach dla całej rodziny, zupełnym braku oddzielności, intymności, prywatności — czyli takich warunków, w których miłość wędnie i nie ma prawa do rozwoju. W takim układzie, uczucia pochodne od miłości ulegają dziwnym przeobrażeniom i przyznać trzeba, że na tym polu komunizm poszczycić się może osobliwymi osiągnięciami. Znana była w Warszawie sprawa pewnego pisarza, który zdobył sławę, wysokie nakłady swoich książek, a nawet uznanie swych —kolegów pisarzy. Niezależnie od tych wspaniałości i darów życia, pisarz ów miał młodą, pełną wdzięku i rozlicznych talentów żonę, oraz piękne mieszkanie z oddzielną sypialnią, przedmiot zazdrości znajomych i przyjaciół, najdobitniejszy dowód jego powodzenia i doskonałych stosunków z władzami partyjnymi. A żona miała kochanka. Kochanek miał to wszystko, czego brakowało pisarzowi, a mianowicie młodość, urodę i niepożytą siłę, nie posiadał zaś jego zdolności zarobkowania ani stosunków. Był on także człowiekiem miłym, spokojnym i życzliwym, dalekim od chęci robienia jakiegokolwiek przykrości pisarzowi } skłonny do wszelkich kompromisów, że zaś pisarzowi chodziło bardzo o ukrycie owej skazy na obrazie szczęścia, przeto wraz z jego żoną, a swoją kochanką, unikał wszelkich ostentacji i w ten sposób wszyscy troje żyli w zgodzie i harmonii, ciesząc się własną dyskrecją, aczkolwiek cała Warszawa nie miała żadnych wątpliwości co do natury łączących ich stosunków wzajemnych, tak że po pewnym czasie wszystkim znudziło się nawet plotkowanie na ich temat. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, życie i literatura znają sytuacje takie od czasów pisma klinowego we wczesnym Sumerze, gdyby nie to, że pisarz naraził się jakoś władzom komunistycznym i te, w imię ukarania krnąbrności, uznały że pisarz zajmuje zbyt wielką przestrzeń mieszkalną i postanowiły dokwaterować mu obcą osobę, czyli zabrać mu sypialnię. Żona pisarza udała się przeto do urzędu kwaterunkowego, gdzie oświadczyła że w sypialni owej już ktoś mieszka i zażądała oficjalnego przydziału dla owego „lokatora”. I odtąd mieszkali we troje w owym mieszkaniu, gwałcąc co prawda tradycyjne pojęcie honoru i zazdrości, lecz ciesząc się ogólnym uznaniem i szacunkiem w zamian za nieugiętą postawę w walce z komunistycznym bezprawiem.

CO TO JEST URZĄD

Urząd jest to owo miejsce w państwie komunistycznym, w którym petent jest absolutnie pewien, że *nie* otrzyma tego po co przyszedł i co mu się słuszenie, albo zgodnie z prawem, należy. Wielkie dzieło Franza Kafki i jego wkład tak w literaturę współczesną, jak w naszą wiedzę o świecie i życiu, jest o komunistycznym urzędzie. Wizjonerstwo Kafki potwierdza codzienna praktyka życia w komunizmie na każdym kroku. Jeśli ktoś czegoś nie otrzymuje od urzędu, zaczyna szukać w samym sobie winy lub błędu — nawet będąc niewinnym jak noworodek i skrupulatnym jak maszyna do liczenia — albowiem komunistyczny urząd bytuje poza winą i błędem.

Skargi na biurokrację, które słyszy się w świecie zachodnim, mają swoje liczne uzasadnienia i odzwierciedlają głębokie zaniepokojenie postępującą naprzód reglamentacją, funkcji administracyjnych i ich depersonalizacją. Skargi te jednak przypominają niezadowolenie ze złej pogody. Biurokracja jest nieuniknioną konsekwencją ciągle postępującego naprzód, komplikującego się życia społecznego i organizacji społecznych. Im więcej nas będzie na ziemi, tym więcej trzeba będzie urzędów do sortowania i klasyfikowania zagadnień wynikających z naszej liczby. Kluczem do obłaskawienia potwora biurokracji i zmuszenia go do służenia człowiekowi jest wewnętrzna dyrektywa moralna, w imię której biurokracja rozwija się. Amerykańska biurokracja jak dotąd odpowiada na listy, czyli że reaguje na impulsy z zewnątrz — i to przesądza o jej zdrowiu mimo przerostów dehumanizacji i komputeryzacji. Jej wyższość nad biurokracją zachodnioeuropejską, a więc także demokratyczną i liberalną, polega na powszechnym przekonaniu, że jej urzędy nie są wymierzone *przeciw* ludziom. Mimo wszelkich jej braków i uciążliwości, których jest ona źródłem, nikt nie sądzi, że celem jej istnienia jest szkodenie obywatelom, przeciwnie, ludzie ciągle wierzą, że uzasadnieniem jej istnienia jest ogólny pożytek, przeznaczeniem zaś jej jest ułatwiać życie, mimo wszelkich głupstw i niedołęstwa jakie demonstruje na każdym kroku. Ta wiara udziela się samej biurokracji i nastrojom panującym w łonie jej urzędów, co łagodzi jej stosunek do obywatela i petenta. Francuz czy Niemiec nie ma już tego niezachwianego przekonania, że jego urząd nie istnieje zasadniczo przeciw niemu: w krajach tych trwa tradycja autonomii urzędu; uzasadnieniem jego istnienia jest on sam w sobie, a bez konieczności służenia ludziom, czy ułatwiania im życia Zachodnioeuropejski urząd jest ideą, której celem jest służba ideom, takim jak porządek, organizacja, prawidłowy podział tego co winno być dzielone, dozór nad prawidłowym funkcjonowaniem tego co powinno funkcjonować. Jest to jednak ciągle postawa niezwykle humanistyczna w porównaniu ze stanowiskiem urzędu w krajach komunistycznych i z pozycją jaką zajmuje on w świadomości mieszkańców tych krajów.

W komunizmie panuje powszechne przekonanie, że zadaniem urzędu jest ślepe i bezmyślne niszczenie każdego, kto wejdzie z nim w kontakt, w zasięg jego działania. Fundamentalne przyczyny obcowania z urzędem jak: potrzeba, konieczność, logika danej sprawy nie mają (u najmniejszego zastosowania). Wyobraźnia ludowa, szukając porównań do roli urzędu w życiu mas, sięga najchętniej do pradawnych w każdym folklorze legend o nienasyconym smoku domagającym się nieustannych ofiar i którego nikt nie mógł zabić. Jest to metafora niezwykle trafna, albowiem łatwo się jest przekonać przy bliższym wglądzie, że biurokracja komunistyczna żyje z *cierpień* swych petentów, ich *krzywdą* jest jej krwiobiegiem, jej napędem działania, jej racją istnienia. Petent skrzywdzony pisze odwołanie, protest, skargę, dla której rozpatrzenia potrzebni są nowi urzędnicy, nowe biura, nowe gmachy, nowa władza nad losem petenta — i w ten sposób urząd–Frankenstein, czy urząd — śmiercionośna, zepsuta maszyna rozrasta się jak straszliwy grzyb. Każda idea zrodzona nie z bezpośredniej potrzeby, lecz sztucznie wykoncypowana w urzędzie, biurokratyzuje się

fatalnie, zapominać zaś nie należy, że sam komunizm jest jednym wielkim urzędem, inkubatorem idei zrodzonych przy biurku, a nie zrodzonych przez życie. Nie darmo, a może symbolicznie, naczelny ośrodek i egzekutywa rządów komunistycznych nazywa się Politbiurem. Własność prywatna i kapitalizm powstały na polach, warsztatach, w sklepach i w fabrykach. Komunizm ujrzał światło dzienne na papierze, nic więc dziwnego, że prawo Parkinsona przybiera w komunizmie cechy filmowej kreskówki. Kapitalizm zhumanizował się od czasu gdy odkrył, że samoograniczenie nie niszczy go, lecz ujawnia w nim nieznane dotąd zalety. Powstaje w ten sposób *Welfare State*, instytucje skażona przez nieuchronność biurokratyzacji, ale antybiurokratyczna istota kapitalizmu nie zanika, nie ulega likwidacji, komunizm wie dobrze, że samoograniczanie oznacza dla niego uwięź i śmierć, stąd skazany jest tylko na ślepy pęd do przodu, unicestwianie wszystkiego po drodze i rozrastanie się biurokracji jak raka w organizmie.

Kanibalizm komunistycznego urzędu najłatwiej jest prześledzić w owej dziedzinie, gdzie człowiek dzisiejszy staje się istotą zaszeregowaną. W demokracji urzędy przeznaczone do wydania zaświadczeń — metryka urodzenia, prawo jazdy, paszport zagraniczny — istnieją zgodnie z logiką swego bytu w celu wydawania takich dokumentów. Rozliczne przeszkody i uciążliwości mogą w nich towarzyszyć petentowi z racji samej biurokracji, ale nikt nie neguje w nich ich właściwego przeznaczenia. W komunizmie urzędy te istnieją po to, aby temu kto zaświadczenia potrzebuje, nie wydać go. Porządek rozumowania odwraca się automatycznie: skoro człowiek czegoś potrzebuje i to coś należy mu się zgodnie z prawem, należy mu *tego* nie dać. Uzasadnienia dla tej pragmatyki są liczne, wymienimy tylko najważniejsze:

1) unicestwienie, gniesienie, gnojenie, redukovanie obywateli do stanu bezwolnej miazgi buduje w świadomości tak indywidualnej, jak i społecznej, specyficzną mistykę urzędu, co władze komunistyczne popierają i uważają za wartość dydaktyczną, wychowując człowieka komunizmu we właściwy sposób i we właściwym kierunku; pozostawiony wobec tajemniczej niepokonalności urzędu człowiek uświadamia sobie własną nicość i już się nie buntuje — a o to tylko chodzi;

2) wraz z wystąpieniem człowieka o coś i nie daniem mu tego, mimo że zgodnie z praworządnością powinien to otrzymać, zaczyna się tak zwana *jego sprawa*; zakłada się jego teczkę, wpływają do teczki papiery i pisma, zaświadczenia, potwierdzenia, dokumenty — urząd zaczyna żyć faktem istnienia człowieka i jego sprawy; podatek w komunizmie nie” ma na celu gromadzenia pieniędzy, bo pieniądź nie ma żadnej wartości i rząd może go sobie wydrukować tyle ile zechce, nie kontrolowany ani rynkiem, ani prawami ekonomii; ale ten sam podatek niezapłacony jest sprawą przeciw człowiekowi, prawdziwym zaś ideałem komunizmu jest mieć sprawę przeciw każdemu ze swych poddanych, bo w ten sposób ma ich bez reszty w swej władzy; niezapłacony rachunek, za elektryczność nie jest po prostu niezapłaconym rachunkiem, lecz elementem ewentualnego procesu sądowego, w którym prokurator dowodząc nikczemności politycznej oskarżonego zawsze może powołać się na jego brudne machinacje w obrabowywaniu państwa stanowiącego własność robotników i chłopów;

3) wreszcie — *last but no least* — odmowa tego co się człowiekowi urzędowo należy rodzi w nim często chęć kupienia tego czego dostać nie można za darmo i zgodnie z prawem; urzędnicy zaś też muszą z czegoś żyć; sprawia to, że korupcja, łapownictwo i przekupstwo w komunizmie osiągnęło rozmiary wobec których republiki południowoamerykańskie wydają się oazami purytanizmu i kryształowej czystości obyczajów; władze komunistyczne patrzą na to przez palce, gdyż w swym nieustającym zmaganiu z człowiekiem i człowieczeństwem wolą mieć urząd i jego groźną potęgę po swojej stronie; ich błąd polega na tym, że przekupność jest w końcu jakąś manifestacją człowieczeństwa, ale na to już nie ma rady i jak zawsze ze wszystkim co ludzkie, tak i w tym wypadku znajdujemy się w błędnym kole.

Czyli że w ramach urzędu, potwora apokaliptycznego, ostatnią nadzieją człowieka są stosunki z drugim człowiekiem. Litość i słabość, snobizm i chęć zysku przychodzą człowiekowi z pomocą. Bezbronny wobec ślepej żądzy ujarzmiania i upokarzania go — a wobec poniżeń jakie stosuje urząd komunistyczny zawodzą wszelkie pojęcia prawa i bezprawia, zasad i samowoli — jedyną obroną człowieka są pułapki człowieczeństwa. Dygnitarz zaś, władca urzędu, wobec którego obowiązuje pochlebne kłamstwo i pokorne przytaknięcie na wszystko, a niemożliwa jest obrona twierdzeń koper—nikańskich jeśli on tego dnia uważa, że słońce obraca się wokół ziemi, jest często tak nikczemny, że można go nazwać człowiekiem.

JAK BYĆ PLAYBOYEM

W swoim czasie krążyła po Warszawie następująca opowieść: na politechnice warszawskiej przeprowadzane były doświadczenia technologiczne wymagające dużego zapasu bardzo cienkiej gumy. Liczne starania aby konieczny materiał uzyskać z niezgłębionych odmętów komunistycznego przemysłu spełzły na niczym i jeden z profesorów wpadł na pomysł, ażeby po prostu zakupić dostateczną ilość prezerwatyw z importu, Które właśnie znajdowały się w państwowych aptekach. Jego asystent udał się przeto do największej w mieście apteki i zażądał prezerwatyw Sprzedawca spytał ile ich sobie życzy. Asystent rzekł, że tyle ile tylko można nabyć. Lekko zdziwiony sprzedawca przyniósł pakę liczącą kilka tysięcy sztuk, asystent zapłacił i zażądał rachunku. Sprzedawca zapytał na kogo ma być rachunek wystawiony, asystent odparł że na Politechnikę Warszawską. „O, aha... — rzekł sprzedawca z głębokim zrozumieniem. — Znaczy się jest wielki bal na politechnice w nadchodzącą sobotę?”.

Wniosek sprzedawcy oznaczałby przeto, że zdaje on sobie Sprawę z otchłani rozpusty w jakiej żyje społeczeństwo. Zachodzi więc pytanie: czy rozwiązłość płciowa jest istotną cechą społeczeństw komunistycznych? A także czy różni się ona zasadniczo od wolności obyczajów panującej aktualnie ca Zachodzie?

Odpowiedź na pytania te nie jest prosta. Wydaje się, że rozluźnienie obyczajów, nazywane przez jego ideologów wyzwaniem się człowieka z więzów fałszywej moralności bądź konwenansu i niewątpliwie stanowiące wynik postępującego naprzód równouprawnienia płci, stanowi zjawisko ogólnoświatowe, na miarę epoki. Wydaje się jednak również, że naseksualizowanie obyczajów w obu cywilizacjach, tak zachodniej jak i komunistycznej, ma w każdej z nich różne motywacje i cechy charakterystyczne. Na Zachodzie wiąże się ściśle z głęboką rewolucją pojęć, jest pochodną wstrząsów i przemian moralno—społecznych, wynika z radykalnych wyobrażeń o losie jednostki ludzkiej w dzisiejszym świecie. Jak zawsze w rozwiązaniach polegających na umasowieniu zagadnienia, ofiarą padają jakieś wartości i nie ulega wątpliwości, że naczelną cechą upowszechnienia życia seksualnego na Zachodzie jest jego dewaluacja, rozpad jego uświęconych przez wieki i przez ograniczenia walorów, jego upowszednienie i taniość. Jest coś paradoksalnego w fakcie, że właśnie kapitalistyczny Zachód zastosował do problematyki płciowej kryterium moralno—społeczne, podczas gdy komunizm, światopogląd zbudowany na uwarunkowaniach społecznych, przeżywa inflację seksualną w oparciu o przesłankę hedonistyczną. Na Zachodzie zalewowi seksualizmu towarzyszy racjonalizacja, niekończąca się dialektyka, nudnawe dyskusje na temat otwartości, szczerości, psychoanalizy, neo—niewinności dość teoretycznie wykoncypowanej. W komunizmie seks jest ucieczką, jedynym dostępnym skrawkiem epikureizmu, jedyną *prawdziwą* a zarazem ogólnie dostępną urodą życia, autentycznym wdziękiem istnienia, niekłamana wartością. Jest jedyną równorzędnością z Zachodem wreszcie, albowiem uroda dziewcząt i talent erotyczny są to elementy nie podlegające komunistycznej reglamentacji i komunistycznemu partactwu w gospodarce. O ile wszystko jest w komunizmie tak bardzo, tak dramatycznie gorsze niż w kapitalizmie, to ta jedna strona życia i właściwość używania życia wymyka się ogólnej stagnacji, szarości i kłęsce.

Nie należy jednak owej szarości i gorszości nie doceniać. Gorsze mydło, gorsze kosmetyki, gorsza bielizna dają w sumie atmosferę, w której wszystko, nawet miłosne uniesienie, staje się niechlujne i wytarte. Nieludzkie przemęczenie pracą dla minimum utrzymania usuwa z człowieka wszystkie” chęci poza chęcią wypoczynku. Nędza lub półnędza, czyli stan chronicznej wegetacji, w której pod koniec miesiąca, przed otrzymaniem pensji, nie ma już z czego żyć, sprzyja prostytucji i półprostytucji. Prostytucja jest oficjalnie zakazana, ale miasta komunistyczne lepiej są zaopatrzone w ten artykuł, niż wiele słynnych ze swych tradycji w tej

dziedzinie metropolii. Zawodowa prostytutka mimo że nielegalna, widoczna jest na każdym kroku, jej oblicze czysto fizyczne jest przerażające, wiek, wygląd i ogólny stan komunistycznych cór Koryntu budzi przerażenie w trzeźwych obywatelach, i trzeba stanu niezwykle zaślepienia zmysłów by korzystać z ich usług. Nie jest to jednak wcale 'konieczne, albowiem komunistyczne miasta pełne są dziewcząt reprezentujących specyficzną mieszkankę obyczajowo—moralną, w której komunistyczna retoryka o emancypacji, faktyczna niezależność zawodowa, wszechprzenikająca aura przyzwolenia i dręcząca chęć ucieczki z jednopokojowego mieszkania dzielonego najczęściej z liczną rodziną — składają się na łatwość, przystępność, okazję. Każdy cudzoziemiec z Zachodu wie jak niewiele z akcesoriów tzw. dobrego życia należy zainwestować w przelotną, łatwo nawiązaną znajomość, by otrzymać coś co w kapitalizmie kosztowałoby respektownie o wiele więcej.

Schemat obyczajowo—moralny, jakże wyeksploatowany przez dziewiętnastowieczny realizm i naturalizm w literaturze, w którym nikczemny kapitalista, posiadacz ziemski, burżuj i kołtun, obleśny i gruby, uwodzi i znieprawia młodą, śliczną dziewczynę, dziecko ludu, bynajmniej nie znikł z obrazu życia tych krajów. Kapitalistę i burżuja zastąpił dyrektor fabryki, naczelnik biura, sekretarz partyjny. Dziecko ludu pozostało, a nawet uległo znacznemu pomnożeniu statystycznemu: nadużyta służąca, guwernantkę czy ubogą krewną zluźował w funkcjach cały żeński personel fabryki lub biura. Nie darmo w krajach komunistycznych krąży powiedzenie, że stosunek płciowy jest najpierwotniejszą formą ucisku człowieka przez człowieka. Status seksualno—społeczny sekretarki dyrektora nie różni się niczym od jej statusu w kapitalizmie. Oczywiście, jak wszędzie gdzie indziej tak i w komunizmie znana jest stratyfikacja zawodowa: są zawody tradycyjnie bardziej naseksualizowane i będące naturalnym terytorium mężczyzny—playboya i kobiety ciekawej wszystkich stron życia. Teatr, film, uzdrowiska wypoczynkowo—wakacyjne są z natury rzeczami środowiskami i otoczeniami o barwniejszym charakterze i łatwiej jest być playboyem będąc np. aktorem niż górnikiem.

Oficjalny stosunek komunizmu do zabawy, użycia, alkoholu jest chytry, ostrożny i ambiwalentny. Najbardziej eksponowane są hierarchie cnót, które wzbudziłyby uznanie nawet w najpoprawniejszym mieszczańskim pozytywście ubiegłego stulecia. Seks w dekalogu komunistycznych wartości jest sprawą rodziny i reprodukcji, jest manifestacją głębokich uczuć. Traktowany inaczej staje się źródłem nieprzyzwoitości i niskich instynktów, odrywa człowieka i obywatela od jego celów społecznych, od pracy dla państwa i kolektywu. Cała libertyńska literatura rewolucjonistów i socjalistów z przełomu wieku, jakże zasłużona w przygotowaniu przewrotu i w walce o władzę, została wyrzucona na śmiecie po zdobyciu władzy. Prawdziwi i wolni mężczyźni i prawdziwe i wolne kobiety rosyjskiej literatury proletariackiej z okresu rewolucji przeobrazili się w partyjnych katechetów i partyjne gospodynie domowe. Ale od czasu do czasu, w momentach załamania i kryzysów władze partyjne rozluźniają uchwyt i z trybun akademii czy mityngów głoszą pożytek wypicia kieliszka i godziwej rozrywki. Nazywa się to kursem na człowieka lub humanizowaniem rzeczywistości. Głos ludu ma jednak inne określenie dla tego rodzaju wskazówek ideologicznych: mówi się, że o ile niegdyś synonimem użycia była kobieta, wino i śpiew, o tyle teraz, zgodnie z zaleceniem tego czy innego przywódcy partii, w wolnych chwilach” każdego obowiązuje wódka, dupa i harmonia. Trywialność tego ideologicznego nakazu manifestuje się najlepiej w pijackiej czkawce i w powiedzeniu „każdy jest przecież człowiekiem”, proklamowanym z trybun politycznych i będącym dialektycznie kanonizowanym usprawiedliwieniem czkawki. To niezwykle odkrywcze spostrzeżenie jest oficjalną formułą partyjnego epikureizmu.

Drobnomieszczański purytanizm i bigoteria komunistyczna znalazła swego najpotężniejszego sojusznika w biedzie i lichości bytu. Dały w końcu sytuację, w której podaż fizycznej miłości jest jedyną nadprodukcją komunizmu i pada ofiarą karygodnego

marnotrawstwa. Pytaniem numer jeden każdego zainteresowanego uprawianiem miłości w komunizmie jest: gdzie? Meldując się w hotelach komunistycznych, każdy jest zobowiązany do przedstawienia dowodu osobistego. W” licznych wypadkach recepcje hotelowe żądają przedstawienia świadectwa ślubu zanim zameldują parę, która wydaje im się nie taka jak trzeba. Hotele Rosji Sowieckiej posuwają swą gorliwość inwigilacji aż do nadzorców, którzy rezydują na każdym piętrze. Oczywiście, ta siatka ochronna przed grzechem ma swoje luki; pozycja, wpływy i pieniądze są Zawsze w stanie ją uelastyczyć. Dla ludzi dbałych o swą opinię, co równa się w komunizmie dbałości o karierę, stanowi jednak przeszkodę śliską, którą należy omijać, a nie forsować. Jak? To proste, trzeba znać kogoś kto ma mieszkanie czasami puste.

Ta strona życia w komunizmie ciągle jeszcze czeka na swojego Flauberta i Dostojewskiego, a także na swego Maupassanta i swojego Feydeau. Jej mechanizm i komplikacje są w stanie wypełnić życie bez reszty. Puste mieszkanie w komunizmie należy najczęściej do osoby samotnej i jest tylko wtedy puste, gdy jego gospodarza nie ma w domu. Czyli kiedy jest w pracy. Oznacza to takie organizowanie życia seksualnego, że jego upojenia dokonywać się muszą w czasie gdy reszta kraju tętni gorączkowym procesem produkcji. Misterna złożoność i cuda, synchronizacji tych konieczności są nie do przekazania w tym studium. Jak się to robi, że najpierw bierze się klucz od wypożyczającego, w jego biurze, tak żeby nie wzbudzić niczych podejrzeń w ciasnym, wypełnionym biurkami pokoju; następnie jedzie się po dziewczynę, która musi akurat na tę godzinę uzyskać zwolnienie z pracy; następnie zawozi się ją tam gdzie serce ciągnie ich oboje, po czym powtarza się wszystko od początku w celu zwrotu klucza — na wyjaśnienie takich zagadek bytu trzeba wielkiej literatury. Zaznaczyć trzeba, że komunikacja w tych krajach przypomina swą szybkością i sprawnością tramwaje konne z początków wieku w Nowym Jorku, i cały ten cykl, o ile nie ma się własnego samochodu, jest torturą. A o ile ma się własny samochód, problem rozwiązuje się niemal samoczynnie, jako że komunistyczne metropolie mają suburię w stanie embrionalnym i kończą się w pewnym miejscu w sposób jasny i zdecydowany. Przed spragnionymi samotności ciągną się więc pola i lasy, obdarzone licznymi zaletami i jedną wadą: że używane być mogą tylko przy sprzyjającej pogodzie. W wypadku zaś złej pogody nawet najciaśniejszy samochód wydaje się miejscem, stokroć przestronniejszym niż własny dom, pełen własnej żony i własnych dzieci.

Powikłania losu będące efektem odstępowania mieszkań zaimponowałyby nawet Sofoklesowi. W jednej ze stolic wschodnioeuropejskich zdarzyła się dziwna historia, pełna nieoczekiwanych rekompensat i ekspiacji. Policja polityczna w tym mieście korzystała z usług specjalisty od elektronowych aparatów podsłuchowych, który odznaczał się wysoką próbą ideową i fanatycznym oddaniem partii. Kiedyś otrzymał on zlecenie zainstalowania podsłuchu w mieszkaniu człowieka, który ocalał mu życie podczas wojny. Krótki konflikt sumienia rozstrzygnięty został przez specjalistę na rzecz niezachwianej wierności komunizmowi i zadanie zostało wykonane. Podsłuchiwany był spokojnym kawalerem i od czasu do czasu wypożyczał swoje mieszkanie przyjacielowi, który spółkował w nim z żoną specjalisty. Taśma, która dostała się w ręce eksperta, pełna była ich miłosnych dialogów i westchnień. Rzecz jasna, uległa zniszczeniu, którego to czynu specjalista nie potrafił wytłumaczyć swym przełożonym. Został więc oskarżony o współnictwo z podsłuchiwanym, któremu zarzucono jakieś głębokie antypatie w stosunku do komunistycznego systemu i rządu. Końca sprawy nie znam, lecz gdyby wziął się do niej Eurypides, wydaje mi się, że jeszcze w tysiąc lat później dzieci uczyłyby się o nie w szkołach.

POLICJA CZYLI SUMIENIE

Prawo miało zawsze dwa oblicza: jedno chroniące dany porządek rzeczy, drugie chroniące człowieka przed złem, gwałtem, przestępstwem. Policja została ustanowiona dla ochrony prawa. Ód początku swego istnienia była instytucja dwuznaczną i nigdy nie było dobrze wiadomo czego broni gorliwiej: porządku czy człowieka. Komunizm rozstrzygnął, raz na zawsze ten dylemat. W komunizmie człowiek nic policji nie obchodzi, po prostu dla niej nie istnieje. Jej jedynym zadaniem jest ochrona porządku, czyli systemu władzy. W ten sposób instytucja przeznaczona do pilnowania ludzi przed złem przeobraziła się w instytucję pilnującą zła przed ludźmi. Obrońca zmienił się w nadzorcę.

Komunizm nazywany jest ustrojem policyjnym, a państwo komunistyczne państwem policyjnym. Są to terminy mało precyzyjne w sensie ogólnospołecznym, mylące zasadę totalizmu polityczno-społecznego z zasadą policyjności. Bliższym prawdy jest się określając komunizm jako rzeczywistość, w której policja gra rolę sumienia. Sumienie, od czasu gdy ludzie zaczęli o nim rozprawiać, ciągle pozostaje najbardziej śliską i zawodną bronią, w walce człowieka z jego własną niedoskonałością. Chrześcijaństwo usiłowało uczynić z sumienia instrument naprawy świata o pierwszorzędym znaczeniu: nie bardzo się to udało i mało kto dziś dyskutuje zagadnienia sumienia pod kątem rozstrzygnięć moralnych. Komunizm w swej początkowej fazie istnienia usiłował reaktywować sumienie pod nazwą świadomości klasowej. Widząc jednak, że nic dobrego mu z tego nie przychodzi i władza jego jest równie niepewna pośród ludzi o rozbudzonej świadomości klasowej jak wśród tych co nie mają o niej zielonego pojęcia, wpadł na pomysł epokowy. Zabrał sumienie jednostce ludzkiej, zbudował dlań ogromne, ponure gmachy wyposażone we wszystko co współczesna technika oferuje do torturowania, ćwiartowania, wiwisekcji psychicznej i fizycznej człowieka, do najefektywniejszego i masowego unicestwiania go wreszcie, wychował i zorganizował ogromną armię do obsługi tych zakładów i umieścił w nich sumienie. Odtąd nazywało się ono sumieniem proletariackim, społecznym lub nawet ogólnoludzkim — zależnie od okoliczności — i surowo obowiązywało wszystkich. Odpadły indywidualne wahania i konflikty, spowiedź przestała być igraszkami z intymnością i stała się własnością kolektywu. Policja — polityczna, tajna, jawna, mundurowa, porządkowa, kryminalna i drogową — początkowo pojmowana jako obrona rewolucji i jej zdobyczy przed jej wrogami, stała się odtąd specjalistą od technologii sumienia. Czyli strażnikiem wartości tak pokracznej, iż jej prawdziwe oblicze nie jest znane nikomu, nawet jej panom i władcom.

Ta ultymatywna i niezgłębiona brzydota pojęcia i instytucji sprawia, że obrosła ona legendarnością pełną sprzeczności. Rozgorączkowni literaci, zwłaszcza antykomunistyczni, lub ci, którzy cierpieli z rąk komunizmu, widzą w niej tajemniczą potęgę demonicznego geniuszu, zorganizowaną i rządzoną przez obsesyjnych scholastyków zła o umysłach filozofów i o białych, wypielęgowanych rękach, których rozkoszą jest torturowanie ludzkości. Prokomunistyczni apologeti i panegiryci widzą w niej arcytwór logiki w operowaniu problemami, trudną służbę społeczną sprawowaną przez ludzi o wysublimowanym poczuciu honoru i poświęcenia. Ludzie ci uosabiają tak najwyższy geniusz dobra, że aż nie wahają się unurzać swych rąk we krwi i — być może — w okazyjnej krzywdzie, zwanej wyrokiem historii. Lud rządzony przez komunistów widzi w nich skretyniałych imbecyli i z uporem twierdzi, że jedyną kwalifikacją dla służby w komunistycznej policji jest absolutna tępota. Rozmawiałem raz z pewnym przyzwoitym, starym tramwajarzem, który miał trzech synów: jeden z nich był mechanikiem, drugi studiował medycynę, a trzeci został milicjantem, czyli zwykłym policjantem porządkowym. „Panie — mówił stary tramwajarz — jak go pytałem, dlaczego chce iść do milicji, odparł: „Widzi tato, ja lubię łowić ryby. A po co się męczyć. Jak jestem w mundurze to idę gdzie

łowią ryby, mówię że tu łowić nie wolno i zabieram im co złowili”. Panie, toż to aż strach słuchać... Zupełny idiota...”

Oczywiście, prawda leży gdzieś po środku. Po 50 latach komunizm wychował rodzaj ludzki zwany tam pracownikiem— bezpieczeństwa. Na niższych szczeblach jest to w istocie stwór zmechanizowany, wdrożony do automatycznego odbierania rozkazu i wykonywania go bez najmniejszego udziału funkcji psychicznych. Niezliczone dowcipy krążą na jego temat. Przykłady:

Komisja poborowa egzaminuje kandydatów.

Pytanie: Ile jest dwa razy dwa?

Odpowiedź: Trzy.

Pytanie: Ile jest dwa razy dwa?

Odpowiedź: Pięć.

Wynik egzaminu: Przyjęty. Umysł otwarty i skłonny do poszukiwań.

Pytanie: Ile jest dwa razy dwa?

Odpowiedź: Pięć.

Pytanie: Ile jest dwa razy dwa?

Odpowiedź: Pięć.

Wynik egzaminu: Przyjęty. Odnacza się dużą siłą charakteru.

Pytanie: Ile jest dwa razy dwa?

Odpowiedź: Cztery.

Pytanie: Ile jest dwa razy dwa?

Odpowiedź: Cztery.

Wynik egzaminu: Nie przyjmą. Uparty i przemądrzały.

Albo: wszędzie na świecie policjanci chodzą w patrolach dwuosobowych; w komunizmie patrole takie są zawsze trzyosobowe. Powód: albowiem jeden milicjant umie czytać, drugi umie pisać, a jeśli już dwóch intelektualistów jest razem, to ktoś musi ich pilnować żeby się nie zbuntowali.

Wyższe eszelony policji, czyli policja polityczna, czyli służba bezpieczeństwa, umie — rzecz jasna — dobrze czytać i pisać, a nawet posługiwać się najbardziej skomplikowanymi technikami organizacyjnymi i technologicznymi, które czynią z niej jedyną sprawnie funkcjonującą dziedzinę żyda w komunizmie. W rzeczywistości, w której dogmatyzm, niedołęstwo i niechęć wszystkich do wszystkiego zrodziły surrealistyczny chaos, jest to jedyna gałąź życia państwowego i społecznego funkcjonująca na zasadach współczesnych i koherentnych prawidłowości. Jest to przede wszystkim gałąź funkcjonująca wydajnie, celowo, zgodnie z powziętymi uprzednio założeniami, oparta o solidnie i bezbłędnie zbudowane schematy teoretyczne jakby wypracowane w najlepszych, amerykańskich instytucjach do nauki organizacji i efektywności. Obserwatorom z zewnątrz, lub ofiarom policji politycznej może się czasem wydawać, że niektóre z ich akcji czy pociągnięć są dziełem przypadku, bałaganu, niedopatrzenia lub pomyłki. Jest to wrażenie z gruntu błędne. We wczesnych latach dwudziestych kilka najtęższych mózgów rosyjskiej rewolucji opracowało plan policji politycznej, który aż do dziś jest najdoskonalszym — gdy chodzi o pomysłowość, funkcjonalność i przydatność — produktem komunizmu. Wszelkie właściwości epoki, wiecznej ludzkiej duszy, zawsze tego samego uczucia strachu i etniczno—geograficznych cech społeczeństwa rosyjskiego zostały skrupulatnie rozważone i zsyntetyzowane w dzieło monumentalne, nie mające odpowiednika w historii innych cywilizacji na tej planecie. Jego trwałość, zdolności adaptacyjne do nowych, a może i wszelkich warunków narodowo—społecznych i ciągle wzbogacana utylitarność nadały mu znamiona fundamentalizmu.

Różne dziedziny życia wykazują różne odchylenia od rosyjskiej normy w imperium sowieckim i w krajach komunistycznych poza nim, jedynie policja polityczna jest wszędzie

identycznie tak samo skonstruowana i działa w oparciu o te same zasady — tak w Chinach, jak i w Jugosławii i na Kubie — aczkolwiek zasięg i charakter jej działań zmienia się zależnie od zabarwienia politycznego miejsca i chwili. Ta solidność i racjonalność całej struktury sprawia, że tym co jakościowo wyróżnia policjanta z reszty społeczeństwa w komunizmie, to sensowność jego życia i pracy. Policjant jest w komunizmie jedynym człowiekiem normalnym, zdrowym psychicznie, działającym w oparciu o jasne, precyzyjne, logiczne i łatwo zrozumiałe przesłanki i normy moralne. Daje mu to poczucie sensu własnego życia i dokonań, a zatem równowagę ducha i poczucie niemarnowania czasu, czyli własnego istnienia — a więc zabiera odeń najbardziej dręczącą obsesję człowieka w komunizmie. Obecnie mu są kompleksy i frustracje, zaś czując się wyalienowanym ze społeczeństwa tłumaczy to sobie słuszością obranej przez siebie drogi i swych ideałów, o ile je posiada. Policjant jest tym rzadkim człowiekiem pomiędzy Władystokiem a Łabą, który rano rześko zrywa się na nogi, goli się pogwizdując radośnie, cieszy się słońcem i pogodą i ochoczo mknie do pracy, gdzie wie, że czeka go satysfakcja prawdziwej produktywności i sprawnego działania, mającego zawsze przyczynę i skutek, początek i koniec. Jak wiadomo, święta państwowe i rocznice wielkich mężów komunizmu czy historycznych wydarzeń święcone są przy pomocy tzw. wzmożonych czynów społecznych, a więc murarze kładą więcej cegieł na godzinę bez dodatkowej zapłaty, dokerzy wyładują więcej towarów, rolnicy dłużej koszą, doją i sieją. Policjanci też biorą udział w radosnym i wzmożonym wysiłku całego społeczeństwa i znane są — aczkolwiek nigdzie nie publikowane — historie, gdy personel śledczy zobowiązywał się do dodatkowego torturowania badanych dla uczczenia dnia 1 maja lub personel więzienny organizował zupełnie specjalne stanie godzinami na mrozie całych kolumn więźniów dla uczczenia urodzin Lenina. Ileż prostoduszności i jednolitości psychicznej, bez najmniejszych pęknięć i niepokojów, potrzeba dla tak genialnie krzepkiej interpretacji pojęć dobra, pożytku i obowiązku! Toteż jedyny żal do życia jaki policjant czuć może w komunizmie pochodzi stąd chyba, że jego wysiłek i pełna inwencji wierność nie są kwitowane odpowiednim rozgłosem i należną *publicity*.

Rola policji jako sumienia możliwa jest tylko wtedy, gdy pewne cechy istnienia, ukształtowane przez 5.000 lat judeo-chrześcijańskiej cywilizacji, jak na przykład personalizizm i indywidualizm lub prawo człowieka do siebie samego, czy idea człowieka jako autonomicznej całości psychofizycznej, skazane są na anihilację. Odwieczna relacja pomiędzy jawnością a tym co niewypowiedzialne i do czego człowiek ma wyłączne i nienaruszalne prawo własności, musi ulec całkowitemu rozkładowi by spełnić warunek poddaństwa, jaki wymaga policja dążąca do objęcia roli sumienia. Wszystko co wiemy o wolnej woli jednostki ludzkiej i jej atrybucie nieustannego wyboru nie zdaje się już na nic w życiu. Pewność i otwartość jakimi je chce policja są w praktyce niewykonalne i nieosiągalne, nawet przez najdoskonalszy i najprecyzyjniejszy aparat inwigilacji, stąd — od czasu do czasu — konieczność fabrykowania jawności i szczerości w zeznaniach ofiar policji. Fabrykacje te zazwyczaj uderzają swą prymitywnością i wulgarną pogardą dla inteligencji społeczeństwa, na użytek którego są preparowane. Tu tkwi pewna słabość całego cudownego aparatu i policja jest świadoma swej niemożności osiągnięcia absolutu tak jawności jak i doskonałości. Wobec tego walczy już nie o stan rzeczy, lecz o potrzebę stanu rzeczy, nie o ideał, lecz o swe prawo do walki o ideał. Jednym słowem, o atmosferę pośród której będzie ona mogła żądać wszystkiego, podczas gdy wszyscy, całe społeczeństwo, zgodzą się że *tak* powinno być.

Walce tej najlepiej służy takie zatrucie atmosfery społecznej, że każdy akt honoru, przyzwoitości, odwagi przekonań, heroizmu i nieprzekupności przedstawiony jest wręcz odwrotnie, jako kapitulacja, nikczemność, dwulicowość, konformizm, tchórzostwo, sprzedajność. Stwarza to sytuację w której im ktoś ostrzej walczy o swą niezależność, uczciwość i godność tym łatwiej popada w podejrzenie pośród 'swego własnego otoczenia. Im otwarciej ktoś głosi swój sprzeciw, tym łatwiej posądzić go o współpracę z policją.

Częstokroć źródłem plotek o człowieku jest sama policja i w tym przejawia się najlepiej obwód zamknięty totalizmu, wszystko tłumaczy się tak łatwo samo przez siebie. Wszystko staje się podejrzanе, nawet sama podejrzliwość. W takiej atmosferze można ukuć najbardziej nieprzytomne kłamstwo, nic nie wymaga uzasadnień innych poza jednym uzasadnieniem. Ludzie na Zachodzie dziwią się, że komunistyczni przywódcy używają tak mało wiarogodnych oskarżeń w rozgrywkach między sobą: Trocki — szpieg Gestapo, lub Tito — agent Intelligence Service, lecz żyjąc *tam* nikomu nie przychodzi do głowy, że wiarogodność może być jakimkolwiek czynnikiem w trójstronnym stosunku państwo — społeczeństwo — człowiek. Chyba najlepiej ilustruje ten stan rzeczy znany dowcip warszawski: w celi więziennej pojawia się nowy więzień; obecni pytają jaki dostał wyrok.

— Dziesięć lat — mówi nowy.

— Za co?

— Za nic.

— Kłamiesz. Za nic u nas dają najwyżej pięć lat.

Oczywiście policja jest nieomylna i ten rodzaj deifikacji uzyskuje przez różne drobne chwyt, nader innowacyjne wobec starych tradycji cywilizacji zachodniej. Na ogół jesteśmy przyzwyczajeni przez długie i bogate dzieje tych spraw, że bezkarność jest udziałem możliwych, podczas gdy mały płaci za nadużycia swych wielkich przełożonych. W komunizmie jest odwrotnie. Wielcy giną od czasu do czasu w zaciekłych walkach na szczycie o władzę, możni przepadają za grzech nadgorliwości lub za niedociągnięcia, które mogą być tolerowane w górnictwie i w dyplomacji, lecz nigdy w bezpieczeństwie. Natomiast mali siepacze cieszą się zupełną bezkarnością bez względu na pomyłkę, okrucieństwo i nadużycie władzy jakie popełnią. Ta solidarność najbardziej ordynarnych zbirów sprawia, że społeczeństwo pozostaje w stanie nieustającej hipnozy jak koliber wobec węży, metafizyka bezsilności przenika każdą komórkę społeczną i każdego człowieka z oddzielną Praworządność nadużyta nigdy nie jest naprawiona, nikt nie ma szans na kwestionowanie niesprawiedliwości, człowiek zabity przez pomyłkę przez funkcjonariusza bezpieczeństwa jest po prostu człowiekiem zabitym bez żadnego dalszego ciągu, a jeśli rodzina wniesie skargę, dowie się, że zabity był agentem CIA — nawet gdyby był głuchy, niemy i bez obu nóg od urodzenia, czy umarł w wieku lat sześciu. Ten zaś, który zabił otrzyma order za czujność w walce z wrogami ludu, albowiem żelazna zasada, że nadużywać praworządności należy przy pomocy ciągle intensywniejszego jej nadużycia. Nie ma takiego stanu jak niewinność — głosi podstawowa zasada filozofii komunistycznej policji — każdy człowiek jest czegoś winien i my o tym wiemy. Niewinne i czyste są tylko idee, jak na przykład idea ochrony komunizmu przed jego wrogami, my zaś jesteśmy strażnikami tej niewinności i posiadamy jedyną, charyzmatyczną, ezoteryczną wiedzę jak owej czystości bronić, wiedzę niepodzielną, podlegającą kontroli tych tylko, którym służymy. Prościej wyklada tę dialektykę znany dowcip o psie, który uciekł z Czechosłowacji do Niemiec Zachodnich, gdzie spotkał psa, który go spytał dlaczego opuścił ojczyznę.

— Bo tam mordują króliki — odparł czeski pies.

— Ale przecież ty jesteś pies.

— Ba... ale jak ja tego dowiodę? Oni wiedzą lepiej.

Wiedza o tym jak sublimować strach, jaką dysponuje komunistyczna policja, jest nieskończona. Można na przykład być aresztowanym bez aresztowania. Ktoś dostaje wezwanie do stawienia się w biurach policji w celu złożenia zeznań jako świadek wypadku samochodowego. Oczywiście, przychodzi punktualnie, przy wejściu do gmachu otrzymuje przepustkę, po czym udaje się do pokoju, w którym ma się stawić. Siedzący w nim funkcjonariusz bierze od niego przepustkę i każe mu poczekać na korytarzu. Na korytarzu stoi ławka. Człowiek siada na ławce. I czeka. Czeką pół godziny, czeka godzinę. Puka do drzwi pokoju, w którym miał złożyć parominutowe zeznanie. Gdy je otwiera, widzi ze zdumieniem,

że za biurkiem siedzi inny funkcjonariusz, który pyta go czego sobie życzy. Człowiek wyjaśnia. Ten drugi mówi uprzejmie, że kolega musiał wyjść w ważnej sprawie, ale zaraz wróci, żeby się nie niepokoić i spokojnie czekać. Człowiek wraca na swą ławkę. Mija znowu godzina. Wypalił wszystkie papierosy jakie miał ze sobą. Człowiek puka ponownie do drzwi. Nie ma żadnej odpowiedzi. Gdy naciska klamkę, okazuje się, że drzwi są zamknięte. Człowieka ogarnia panika. Nie może opuścić gmachu bo nie ma przepustki. Nigdzie nie ma telefonu, ażeby zadzwonić do domu czy do miejsca pracy. Siada więc na ławce, skulony, i czeka. Dręczą go straszliwe myśli, wyobrażenia, przywidzenia. Wie, że czeka go przykrość w miejscu pracy, gdzie powiedział, że wychodzi tylko na krótki czas aby złożyć zeznania w policji: posadzą go o wagary i może wyrzucą. W ciągu następnych dwóch godzin pojawia się pierwszy funkcjonariusz. Przeprasza za zwłokę. Wprowadza do pokoju, sadza na krześle. Zeznania w sprawie wypadku zajmują dziesięć minut. Człowiek mówi zająkliwie, że chciałby jakieś zaświadczenie dla swego miejsca pracy, gdzie spędził sześć godzin w ciągu dnia pracy. Funkcjonariusz mówi, że to żaden problem i daje mu odpowiedni druk. Po czym dodaje: „Aha, przy okazji, przyszło mi na myśl, że interesują nas pewne rzeczy związane z pańskim miejscem pracy i bylibyśmy bardzo ciekawi co pan o tym sądzi. Może by nas pan odwiedził od czasu do czasu...” Uśmiecha się miło i wręcza mu przepustkę uprawniającą do opuszczenia gmachu.

Ten prościutki scenariusz stanowi łatwe, wstępne ćwiczenie w podręczniku pracownika bezpieczeństwa. Ucząc się dalej dochodzi on do całego zapasu wiedzy o tym jak poczynać sobie ze społeczeństwem i jednostką. W gruncie rzeczy nie jest to wiedza zbyt skomplikowana i polega na podziale wszystkich ludzi na trzy kategorie — tych co siedzą w więzieniach, obozach koncentracyjnych, miejscach odosobnienia, czy obozach pracy, i na tych co już w nich siedzieli, i na tych co będą w nich siedzieć. Innych ludzi nie ma.

CO TO JEST KOMISJA

Jak świat światem znane jest przysłowie: co dwie głowy to nie jedna po to aby coś ważkiego zadecydować, kilku ludzi siadało do narady. Narada na ogół miała duże znaczenie i dotyczyła spraw ważnych Monarchowie, wodzowie i prezydenci, o ile odznaczali się mądrością? i umiarem, zasięgali rady innych. Decyzje podejmowano w sprawach pokoju i wojny, aktów władzy i sprawiedliwości Natomiast akt ugotowania zupy lub problem jakie należy nosić buty pozostawiano na ogół decyzjom poszczególnych obywateli.

W komunizmie wszystko decydowane jest kolegią, prócz aktów władzy i sprawiedliwości, które są najczęściej wynikiem telefonicznej rozmowy dwóch ludzi lub co najwyżej trzech. Natomiast sprawy zupy, butów, przepisów drogowych i opakowania na cukierki decydowane są przez liczne zgromadzenia, dochodzące do kilkunastu przedstawicieli różnych resortów życia publicznego, gospodarki, no i naturalnie władz partyjnych. Zastanawiające jest także jak ta wspaniała kariera zbiorowej rady mędrców przyczyniła się do kompletnego upadku i atrofii decyzji — czyli ostatecznego rezultatu narady. W niezliczonych wypadkach transcendentna tajemniczość i niezrozumiałość tego co dzieje się wokół człowieka w komunizmie tłumaczy się właśnie wszechwładza komisji, która nie może nic i nie jest w stanie uczynić cokolwiek. Wiąże się to w pierwszym rzędzie z problemem odpowiedzialności.

Jak wygląda pojęcie odpowiedzialności w komunizmie ilustruje z niezwykłą precyzją następująca historia. Na strzeżone miejsce do parkowania samochodów przed wielkim, reprezentacyjnym hotelem w Warszawie zajechał piękny, sportowy samochód z Zachodu, należący do gościa hotelowego. Z hotelu wyszedł umundurowany pracownik hotelowy i oświadczył gościowi, że tu parkować nie można. Gość przestawił wóz o pół bloku dalej, a gdy po pół godziny wyszedł z hotelu, stwierdził że do wozu włamano się i zrabowano zeń cenne aparaty filmowe. Gość pojechał na milicję, złożył meldunek, udał się do warsztatu w celu zreperowania szkód, po czym wrócił do hotelu i zajechał na hotelowy parking. Z hotelu wyszedł ten sam pracownik i oświadczył, że tu parkować nie wolno. Gość rzekł:

— Przecież tu wyraźnie pisze, że jest to parking dla gości hotelowych! Gdy parkowałem dalej, zostałem obrabowany!

— No, widzi pan — uśmiechnął się pracownik hotelu z dumą. — W ten sposób to jest pana sprawa. A gdyby pan parkował tutaj, ja byłbym za to odpowiedzialny.

Identycznie ten sam nastrój umysłów panuje na komisjach. Komisje decydują o wszystkim, a raczej nie decydują o niczym. Załóżmy, że fabryka margaryny wyprodukowała nowy gatunek tego pożywnego tłuszczu. Potrzebne jest opakowanie. Dyrekcja państwowego przedsiębiorstwa, do którego należy fabryka zwołuje więc komisję. Przybywają na nią reprezentanci fabryki, danej gałęzi przemysłu do którego należy fabryka, ministerstwa do którego należy przemysł, związku zawodowego do którego należą robotnicy, przedsiębiorstwa handlowego które będzie sprzedawało margarynę, związku artystów-plastyków, którego członkowie opakowanie namalują, drukarni która je wykona, komunistycznego związku kobiet — bowiem margarynę używa się do smażenia posiłków rodzinnych, cenzury — bowiem opakowanie ma mieć napis a to wymaga kontroli, no i oczywiście partii, bez której nic obyć się nie może. Już samo uzgodnienie czegokolwiek w tak liczonym gronie o tak sprzecznych interesach wzajemnych wydaje się zupełną niemożliwością, ale nie to jest najgorsze.

Najgorsze jest, że gdy wszystko już zbliży się ku jakiemuś konkretowi, ktoś powodowany owym sensem odpowiedzialności ukształtowanym przez życie w komunizmie i opisanymi poprzednio, nagle powie: „A ja to bym tego nie zatwierdził...” Wtedy śmiertelna cisza pokrywa zgromadzenie i każdy myśli sobie po cichu i gorączkowo: „On coś musi, wiedzieć!

Coś musi być w tym politycznie niepewnego. Ja tam się nie będę wychylał i bił o nie wiadomo co! Potem okaże się, że zatwierdziłem coś co jest nie takie jak należy ...” Zaczyna się głosowanie i każdy głosuje przeciw projektowi opakowania. Margaryna, nie będąca w stanie się opakować, leży przez kilka lat aż się zepsuje i zamiast na patelnii idzie na smar do kół wozów konnych na wsi. Po czym turyści z Zachodu dziwią się, że w komunizmie jest więcej koni niż traktorów.

CO TO JEST PASZPORT ZAGRANICZNY

Blisko 200 lat po rewolucji francuskiej i po konstytucji amerykańskiej, zaś ponad 50 lat po rewolucji komunistycznej, której jednym z wielkich celów była wolność wszystkich ludzi, chłop rosyjski, do którego jakoby należy kraj i państwo, jeśli chce odwiedzić brata w mieście[©] odległym o 50 mil musi otrzymać przepustkę od sekretarza kołchozu, w którym pracuje. Przepustka ta, wydana przez miejscowe władze policyjne do dyspozycji władz kołchozu, stanowi paszport bez którego chłop nie ma prawa poruszać się poza obrębem własnego obozu. Jeśli zatrzymany w mieście nie potrafi wylegitymować się przepustką, grozi mu kara więzienia lub obóz koncentracyjny. Przepustka taka często nazywa się delegacją służbową dla zakamuflowania jej natury. Jest to okoliczność mało znana zwolennikom komunizmu na Zachodzie i warta bliższego wglądu, jest to także ostatnia znana forma pańszczyzny czy półniewolnictwa na kontynencie europejskim i żadne kamuflaże nie są w stanie pokryć prawdy.

Nie wiem jak jest w Chinach, lecz nic takiego nie istnieje w krajach Europy wschodniej. Kraje satelickie, a nawet komuniści w nich, patrzą z pogardą na Rosję i mnóstwo jej praktyk, i czują się częścią Europy. Nie ma mowy więc, aby mieszkańiec tych krajów czuł się skrepowany w swych chęciach swobodnego poruszania się po własnym kraju — może jechać dokąd tylko zapragnie. Natomiast jeśli chce wyjechać poza granice swego kraju — to już jest coś innego i tutaj otwiera się pole do głębokich i skomplikowanych rozważań.

Władze komunistycznego kraju są z zasady przeciwne wyjazdom zagranicę swych obywateli, mieszkańców czy poddanych. Na całym świecie, gdy ktoś chce wyjechać z kraju swego urodzenia czy zamieszkania i nie popełnił żadnych przestępstw przeciw prawom danego kraju, udaje się do odpowiedniego urzędu, gdzie za odpowiednią opłatą uzyskuje dokument zaświadcający jego obywatelstwo i uprawniający go do udania się w pożądanym kierunku. W krajach komunistycznych o dokument taki, mimo że prawnie należy się on każdemu, trzeba składać specjalne podania i prośby, i też się go nie otrzymuje. Trzeba czekać latami na odpowiedź w sprawie prośb, której na ogół też się nie otrzymuje.

Spróbujmy prześledzić sposób rozumowania prowadzący do takiego stanu rzeczy. W najogólniejszym zarysie komunistyczny władca sądzi, że ludziom nie wolno jest robić to co chcą, czy na co mają ochotę, lecz rzeczą ich jest siedzieć na miejscu, pracować i chwalić władcę za to, że im to umożliwia. Już to przekonanie wystarcza do niewydawania paszportu zagranicznego nikomu, co łatwo też umotywować tzw. interesem państwa ludowego. Komunistyczny władca uważa ponadto komunizm za szczytowe osiągnięcie ludzkiego rodzaju, toteż gdy ktoś fizycznie znajduje się w komunizmie i chce zeń wyjechać, myśl taka wydaje się władcy najprzód nienaturalna, potem zaś godna potępienia. Oczywiście, władca musi przyjąć, że wyjeżdża się z kraju nie tylko dla jego opuszczenia, lecz także i dla innych przyczyn, oraz że są też inne komunistyczne kraje, dokąd ktoś może chcieć się udać, nie opuszczając tym samym komunizmu. Władca uważa jednak, że każdy z jego poddanych powinien najlepiej czuć się we własnym kraju i pod jego władzą. Jeśli ktoś tak nie czuje, coś jest z nim nie w porządku i lepiej na niego uważać.

Następny człon rozumowania jest w niejkiej sprzeczności z poprzednim. Władca, mimo iż, uważa komunizm za doskonałość, woli żeby o nim nie mówić na zewnątrz. Słusznie też zakłada, że ktoś kto udaje się poza komunizm nawet na krótki pobyt tylko, będzie pytany i to co ma on do powiedzenia właściwie nie nadaje się do rozmów z obcymi. Mogą zostać nieodpowiednio poinformowani, albowiem tylko informacja samego władcy nadaje się do rozprzestrzeniania poza komunizmem. Natomiast jest więcej niż pewne, że ten kto chce opuścić komunizm na dobre, na pewno nie będzie o nim głosić samych pochwał. Lepiej wobec tego zatrzymać go siłą niż ryzykować złą prasę, albowiem mniejszym grzechem jest

unicestwić ludzkie marzenia, zamiary i plany, a nawet uwięzić człowieka, lub miliony ludzi, niż narazić dobre imię komunizmu na szwank. W pewnym sensie władca ma zupełną rację. Wiedza o komunizmie zaczyna się wraz z tymi, którzy stamtąd przyjeżdżają, nie zaś z tymi, którzy tam jeżdżą ażeby zobaczyć jak tam jest. Przed wojną wschodnią, a więc granicząca z ZSRR, część Polski była najuboższa, a zarazem najbardziej antykomunistyczna: w każdej wiosce każdy miał krewnych po drugiej stronie granicy, którzy nagminnie uciekali do Polski, i ludzie wiedzieli *jak tam jest*.

Wreszcie — w każdym kraju komunistycznym istnieje liczba ludzi chcących po prostu opuścić komunizm, raz na zawsze. Nie znaczy to że ludzie ci są przeciwnikami komunizmu ale komunizm ich za takich uważa. Otwartych przeciwników komunizm trzyma w więzieniach, wobec czego każdy przeciwnik komunizmu stara się ukryć to, że jest przeciwnikiem, nawet gdy składa podanie o paszport zagraniczny. Lecz komunizm zamiast roztrząsać kto jest przeciwnikiem, a kto nie, świadom jak wielu ludzi go nie lubi, znalazł rozwiązanie proste i genialne: po prostu zamknął swe granice, czyniąc nawet z najpiękniejszego kraju wielkie więzienie dla tych wszystkich, którzy chcą zeń wyjechać. Każdy kto żył w kraju komunistycznym nie ma żadnych wątpliwości, że przynajmniej jedna trzecia jego mieszkańców gotowa jest do natychmiastowego wyjazdu, gdyby im na to zezwolono. Gdzie tylko istnieją możliwości ucieczki, ludzie po prostu uciekają. Uciekinierów z komunizmu, na przestrzeni 50 lat jego istnienia, liczyć można miliony: z samych Niemiec Wschodnich uciekło trzy i pół miliona ludzi, czyli blisko jedna czwarta ludności. Zaś *prawdziwa* wiedza o komunizmie nie może sobie pozwolić na rozprzestrzenianie jej o sobie. Stąd mury berlińskie, zaminowane granice, druty kolczaste ciągnące się setki tysięcy kilometrów, psy i gniazda karabinów maszynowych. W Polsce, w okresie umacniania władzy komunistycznej, wolno się było kąpać tylko na specjalnie wydzielonych plażach nad Morzem Bałtyckim, inne były zabronowane przez policję: miało to na celu utrudnienie ucieczek do Szwecji, albowiem ślady stóp na zabronowanym piasku pomagały policji we wszczęciu natychmiastowej pogoni jeśli jakiś śmiałek zdecydowałby się na ucieczkę tratwą lub może wpław...

W konsekwencji Rosja i Chiny, dwa największe kraje komunizmu, są społeczeństwami zamkniętymi. Wyjeżdżają z nich ludzie jedynie w celach podtrzymywania kontaktów z resztą oświata, które w wieku XX są nieuniknionym trybutem na rzecz ogólnoludzkiej cywilizacji. Są to wyłącznie ludzie godni zaufania, pracownicy dyplomacji lub handlu zagranicznego o wypróbowanej wierności, marynarze, lotnicy, ludzie, których trzeba od czasu do czasu gdzieś pokazać dla celów propagandowych — jak pianiści, sportowcy, matematycy — oraz tajni policjanci do ich pilnowania. Wyjeżdżający zostawiają z reguły swoje rodziny w kraju, co jest najbardziej zasadniczym warunkiem wydania im paszportu zagranicznego, albowiem komunistyczny władca mimo swej nowoczesności ciągle sprawuje swą władzę w oparciu o pradawne metody, jak w tym wypadku o wypróbowaną metodę zakładników.

Inaczej wygląda zagadnienie od strony krajów Europy wschodniej. Po niepokojach w okresie poststalinowskim pierwsza Polska zdecydowała się na wydawanie paszportów ludziom pragnącym odwiedzić swe rodziny zagranicą. Pod koniec lat pięćdziesiątych inne kraje poszły za jej przykładem. Rzecz jasna, było to jakby zaproszenie do exodusu.

Ogromny procent ludzi udających się na Zachód bądź dla wizyt u krewnych, bądź dla celów turystycznych, odmawiał powrotu do swych ojczyzn komunistycznych, te jednak jakby przestały się tym przejmować. Bywało, że ze statków wiozących wycieczki z Rumunii do Włoch uciekało 80% wycieczkowiczów. Dla czego reżymy Europy wschodniej uznały za stosowne odstąpić od jednego z najświętszych kanonów wychowania społeczeństwa w duchu komunizmu, nie jest zbyt jasne. Można przypuszczać, że permanentne katastrofy ekonomiczne każą im patrzeć na ewentualny ubytek ludności przychylnym okiem. Być może uważają one ten odpływ za czynnik rozładowywania politycznej wrogości, dla którego warto

nawet ryzykować uchylenie kurtyny i uszczerbki zagranicznej propagandy. Natomiast nowy ten układ zmienił zasadniczo rolę paszportu w życiu mieszkańców komunistycznej Europy wschodniej. Policja polityczna, w której gestii leży wydawanie go lub odmawianie, doszła do wniosku, że w zmodyfikowanych warunkach stanowi on potężną broń przeciw ludziom, ich prawom i ich psychicznej równowadze. Odtąd przestał on być konstytucyjnie gwarantowanym dokumentem, stał się zaś przedmiotem nagrody lub kary. Wyglądało to już inaczej niż za stalinizmu, masowość obrotu była nieporównanie większa, lecz dziwnym trafem najłatwiej otrzymywali paszport ci, którzy mogli go otrzymać i za Stalina, zaś najtrudniej, albo w ogóle nie, ci, którym wtedy nie wolno nawet było o nim marzyć. Rzecz jasna, żadna praworządność nie reguluje procesu wydawania czy odmowy; w wypadku tej ostatniej nieszczęsny petent otrzymuje szarawy druczek informujący go, że odpowiednie władze — czyli policja polityczna — postanowiły nie wydać mu paszportu zagranicznego uzasadniając swą decyzję paragrafem nr 4 ustawy o paszportach; paragraf 4 zaś, o ile ktoś chce go sprawdzić w odpowiednim dekreście urzędowym, wyjaśnia, że odpowiednie władze mają prawo do nie wydania o ile uznają o za wskazane. Na tym się rzecz kończy, o nic pytać już więcej nie wolno i żadna odpowiedź nie istnieje.

Od stuleci przywykliśmy nazywać tragedią pewne rozwiązania eschatologiczne, toteż fakt że ktoś nie może wyjechać zagranicę jakoś do pojęcia tragedii nie przylega. Lecz elementy tragedii poddane są historycznym przewartościowaniom i nowa nieuchronność katastrof, supersoniczna zemsta losu, czy cybernetyczny fatalizm mogą wstrząsać charakterami i łamać moralność nie gorzej od moiry Edypa. Można sobie tedy bez trudu wyobrazić tragedię o mieszkańcu komunistycznego kraju, w której odmowa wydania paszportu prowadzi do wydarzeń równie krwawych i nieodwracalnych jak u Szekspira. Z chwilą gdy paszport stał się dowodem oceny człowieka przez państwo, wymiarem jego sytuacji w ramach systemu, w którym aprobata lub potępienie staje się naczelnym elementem ludzkiego przeznaczenia, sprawa paszportu urasta do rozmiaru pierwiastkowych zagadnień bytu. Jest wyrokiem wydanym bez sądu, bez oskarżenia, bez możliwości obrony, bez dowodów winy, bez świadków. Jedyne pytanie jakie zadać sobie człowiek może po otrzymaniu odmowy, jest: dlaczego? Na pytanie to nigdy nie otrzyma odpowiedzi, albowiem decyzje policji politycznej są tajemnicą państwową, nawet jak dotyczą 2-letniego dziecka czy 90-letniego starca.

Ludzie o wypróbowanej postawie wrogów komunizmu — a zdarzają się tacy w środowiskach intelektualnoliteracko-artystycznych — wiedzą przynajmniej dlaczego nie otrzymują paszportu, co czyni ich życie na pewno jakoś bardziej sensowne o ile chcą wyjechać i nie mogą. Lecz zwykły zjadacz chleba, bez ambicji przeciwstawiania się komunizmowi, chcący przeżyć swe życie w maksymalnej separacji od zagadnień bytu społecznego, otrzymawszy odmowę popada w rodzaj paranoi. Jest wyzbyty uczuć innych poza dręczącym pytaniem: dlaczego? Nie wie on nic o swej winie, bo nikt go o nic nie oskarżył, ani mu żadnej winy nie dowiódł. Mimo to jest czegoś winny bo nie otrzymał paszportu. Nie wie o co jest oskarżony, co stwarza nieskończoność możliwych oskarżeń, także fałszywych, lecz jak bronić się przed nimi skoro nie wie się za co się odpowiada? Powoli w umyśle jego rodzi się przekonanie, że sam fakt iż swej winy nie zna, nie stanowi o tym, że jej nie ma, lecz tylko jego votum nieufności dla tych, którzy o jego winie wyrokuje. Stąd jest już tylko krok do tego, aby poczuć się winnym bowiem oni uznali kogoś za winnego. Kto są oni i co jest wina pozostaje zasłonięte kafkowskim murem tajemniczej niewiedzy, której lepiej nie zgłębiać, nie rozpraszać, nie przenikać. Nikt kto tego stanu uczuć i umysłu nie przeżył, nie jest w stanie go zrozumieć. Kryje się w nim odmęt udręk zarówno wstydliwych jak i subtelnych, kryją się tortury serca i rozumu, psychopatyczne stany zwątpień tym cięższych, że zupełnie nieprzekazywalnych tym, którzy się z tą kondycją nie zetknęli. W katuszach tych brak jest patosu i szlachetności, całej wzniosłości cierpień uświęconych tradycją współczuć podtrzymujących godność cierpiącego. Ostatecznie jest to

tylko walka o skrawek papieru pozwalający na poruszanie się pomiędzy jednym miejscem na ziemi a drugim. Czyli coś co w normalnych społeczeństwach uzyskuje się po piętnastu minutach stania w kolejce do odpowiedniego okienka. Cierpienie to tak niszczy duszę, jak nieprzewietrzane wnętrze więzienne niszczy ciało, cerę i oddech.

W Europie wschodniej Cyganki napastujące ludzi w parkach aby im powróżyć, nie zaczynają od rytualnych słów: „Bogaty będziesz... na loterii wygrasz... za mąż wyjdiesz” — tylko od: „Wyjedziesz zagranicę w niedługim czasie...”

JAK BYĆ ŻYDEM

Cieężko jest być życiem w komunizmie. Utaęło się w świadomości ludów, zwłaszcza w europie, że Żydzi są tą częścią społeczeństw, która pragnie komunizmu dla własnych, egoistycznych celów. Powody tego mętnie uświadomionego, nigdy do końca nie wytłumaczonego, pełnego sprzeczności, lecz upartego przeświadczenia, są liczne i złożone. Ważniejsze jednak od wyjaśniania powodów jest ujawnienie konsekwencji przesądu. Żyd w kraju, w którym komunizm doszedł do władzy, bez względu na to jaki jest jego osobisty stosunek do komunizmu, zaczyna żyć w atmosferze psychomoralnej patologii. Ciężnienie ludowej wiary w organiczny związek Żydów z komunizmem jest tak potężne, że cokolwiek dzieje się, nawet w najodleglejszej od niego sferze życia, Żyd czuje się za to winien. Czech, Rosjanin, Polak doświadczaą komunizm. Żyd przyjmuje zań odpowiedzialność — nawet gdy komunizmu nienawidzi i dostrzega w nim swego śmiertelnego wroga.

Generalną właściwością komunizmu jest, że tam gdzie się pojawia stawia swych praktykujących wyznawców w sytuacjach jednoznacznych i bezkompromisowych, których jedynym następstwem jest totalitarny gwałt, często zbrodnia. W języku oficjalnym nazywa się to aktywną obroną idei, lub walką ideologiczną, i budzi ślepą nienawiść i śmiertelny opór w opanowywanych narodach. Skoro zaś w świadomości ludów utarło się raz na zawsze, że komunizm jest sprawą żydowską, Żydzi zostają automatycznie inkorporowani jako całość — etniczna, rasowa, religijna, nade wszystko zaś odrębna — w pojęcie, przeciw któremu zwraca się obronna i powszechna nienawiść do wojującego komunizmu. Stąd w XX-wiecznym komunizmie, sytuacja jest identyczna jak w średniowieczu, gdy Żydzi a priori odpowiedzialni byli za epidemie, nieurodzaj, trzęsienia ziemi i powodzie.

Wynaturzenia świadomości społecznej są rzeczą złowrogą i prowadzącą do historycznych tragedii. Badanie ich przyczyn jest skomplikowane i trudne, co często prowadzi do prób wyjaśniania ich mitologizacją zjawisk. Żydzi nie są wolni od tendencji do odwracania zasady przyczynowości i częstokroć skłonni są do upatrywania w antysemityzmie zjawiska społecznie bezprzyczynowego, wyjaśnialnego wyłącznie przy pomocy absolutyzacji odrębności i nienawiści. Związek Żydów z komunizmem jest jednak zjawiskiem równie konkretnym jak fatalnym. Nawet najbardziej irracjonalne i wulgarne interpretacje tego związku nie zakorzeniały się w świadomości europejskiego pospółstwa bez powodu.

Marksizm jest płodem Żyda. Do jego najważniejszych i najwcześniejszych apologetów i bojowników należeli Żydzi. Jego najwpływowszymi reformatorami byli Żydzi. Rosyjski bolszewizm i komunizm, proklamując się — słusznie czy niesłusznie — jedynym konsekwentnym kontynuatorem marksizmu, kształtowany był w dużej mierze przez Żydów. W porewolucyjnej Rosji Żydzi objęli ważne stanowiska, decydujące częstokroć o praktyce — krwawej i antyludzkiej — komunizmu. W kraju i pośród narodu, w którym antysemityzm był animalistycznym, instynktownym odruchem, samo słowo zaś Żyd stanowiło synonim pogardliwej obelgi, do najwidoczniejszych i najbardziej ostentacyjnych propagatorów komunizmu należeli Żydzi. Wcześniej też rosyjscy komuniści zorientowali się, że nie zdołają w sposób doraźny i w określonym czasie zlikwidować nienawiści do Żydów, zaskorupiałej w duszy rosyjskiej przez stulecia. Powstał tedy konflikt pomiędzy pryncypialnością a taktyką, rozstrzygnięty szybko na rzecz taktyki za zgodą miarodajnych Żydów. I tak, gdy taki np. Bebel i Bernstein nosili swe żydowskie nazwiska z godnością prawdziwej wiary w wyznawane ideały, rosyjscy Żydzi—komuniści uznali, że dla dobra rewolucji należy poświęcić godność moralności i fundamentalizmu. Stąd Trocki, Rakowski, Swierdłow, Zinowiew, Kamieniew, Litwinow, Radek i tak dalej. Trzeba było jednak dopiero Józefa Stalina — również człowieka o zmienionym nazwisku — by uświadomić Żydom ich błąd i przekuć taktykę w łajdactwo. Więc uczynić raz jeszcze z antysemityzmu instrument

politycznych przeniewierstw, równie absurdalny jak zabójczy Po raz pierwszy też w historii antysemityzmu Stalin osiągnął rzecz niezwykłą: planował i uruchomił prześladowania Żydów o przerażającej intensywności, unikając jednocześnie napiętnowania ich jako antysemityzm przez okazałą ilość Żydów na całym świecie. Tych Żydów, którzy ciągle łudzili się i jeszcze łudzą, że ocalenie jest w marksizmie, czyli w nauce jednego z nich, którą tak łatwo było skierować przeciwko nim samym.

Perfidia Stalina w operowaniu antysemityzmem budzi zdumienie prostotą pomysłu, głębią historycznych perspektyw oraz zimną morderczością, przewyższającą w swej precyzji toporność hitlerowskiej zagłady. Kraje Europy wschodniej są tradycyjnie antysemickie, aczkolwiek w sposób różny od pogromowej zwierzęcości rosyjskiego antysemityzmu. Pod koniec średniowiecza królowie polscy zaofiarowali Żydom, tępionym i prześladowanym w Europie zachodniej, schronienie i przywileje. Przez cztery stulecia Polska była ośrodkiem kwitnącej cywilizacji aszkenazyjskiej, ogarniającej swym zasięgiem Niemcy, Austrię, Czechy, Węgry, Litwę. Żydzi, nie roztapiając się w otaczających społecznościach, zdobyli w nich silną pozycję ekonomiczną, co w końcu, w wieku XIX, przekształciło dotychczasowe animozje religijno-obyczajowe w ostry antysemityzm o podłożu gospodarczym, zwłaszcza w Polsce, gdzie liczba Żydów doszła do 10% ogólnej liczby ludności. Podobnie przedstawiała się sytuacja demograficzna na Węgrzech i w Rumunii. W krajach tych do rzadkości należały wypadki fizycznego wyniszczenia Żydów, nieznane były pogromy na skalę ukraińsko-rosyjską. Niemniej, bariera społeczno-obyczajowa spychała Żydów na margines życia, ograniczano im możliwości rozwoju, zamykano przed nimi dostęp do licznych pól działalności i zawodów. Rosnąca w liczbę i znaczenie inteligencja pochodzenia żydowskiego nie otrzymywała równych praw zawodowych, podlegała restrykcjom i szykanom. Ten stan rzeczy zbiegł się na przełomie stulecia z narastaniem ruchów społecznych, idei socjalistycznych i świadomości politycznej klas pracujących. Marksizm i jego pochodne zapewniały o swym nieugiętym dążeniu do eliminacji nacjonalizmów, różnic etnicznych i przywilejów na nich opartych, nic więc dziwnego, że zarówno spauperyzowane masy żydowskie jak i nie znajdująca ujścia dla swych możliwości inteligencja ujrzały w socjalizmie, a później w komunizmie, konsekwentnego w słowach wybawiciela i zasilaly partie marksistowskie w proporcji daleko wyższej niż autochtoniczne społeczeństwa. W ten sposób powstał w antysemickiej świadomości narodów wschodnioeuropejskich ambiwalentny obraz Żyda plutokraty i komunisty, kapitalistycznego wyzyskiwacza i bezbożnego wywrotowca w jednej osobie. Nastroje antysemickie potęgowały się w okresie międzywojennym, stymulowane bliskością hitlerowskich Niemiec i ich mitologizacją antysemityzmu, sankcjonującą nadciągające ludobójstwo. Jednocześnie wzrastały nastroje prokomunistyczne wśród Żydów, którym niedaleka lecz dokładnie izolowana Rosja wydawała się rajem wolności i równouprawnienia. Już wtedy liczni Żydzi — fanatyczni komuniści — spełniali funkcje sowieckiej piątej kolumny, potęgując wrogość w Polakach czy Rumunach, ślepi zaś na prawdę o ZSRR, gdzie syjonizm był zakazany, bezczeszczono synagogi, a każdy obywatel pochodzenia żydowskiego musiał mieć narodowość żydowską wpisaną do paszportu, nawet jeśli uważał się za Rosjanina lub tylko człowieka. Nastąpiła inwazja Hitlera na Polskę; Żydzi zaczęli masowo uciekać do Rosji Sowieckiej, gdzie ich przyjmowano bez trudności. Cekał tam na nich Stalin ze swoim planem.

W pięć lat później, gdy Armia Czerwona przystępowała do sowietyzowania Europy wschodniej, na czele czechosłowackiej ekipy partyjnej stał Żyd, Węgry kneblował Żyd, w Rumunii rządziła Żydówka, a Polska miała u władzy figuranta Polaka, za którym na węzłowych pozycjach stali żydowscy komuniści wypełniający z fanatycznym oddaniem najbezwzględniejsze rozkazy Kremla. Za przywódcami zaś stały lojalne szeregi komunistów żydowskiego pochodzenia, którzy jedynie byli w stanie uruchomić gospodarkę i administrację w Polsce, Rumunii, na Węgrzech — czyli w krajach chłopsko-drobnomieszczańskich, w

których antykomunizm był rodzajem ogólnonarodowej religii. O czym Stalin wiedział. I wiedział, że tylko fanatycznie oddani komunizmowi Żydzi mogą zrobić dlań tę wstępną i niezbyt czystą robotę — co było częścią nr 1 planu.

Czy Żydzi w swej masie zdawali sobie sprawę z tego, do czego byli przeznaczeni? W ich grupowej świadomości na pewno istniało jakieś rozeznanie katastrofy jaka miała stać się ich udziałem jako następstwo uprzedniej katastrofy; Dla wielu z nich Rosja Sowiecka — którą poznawali od jej najgorszej strony na Syberii i w Kazachstanie — była ponurym, otwierającym oczy doświadczeniem. Dowodem tego jest że ponad trzy czwarte Żydów, którzy wrócili z Rosji do Polski natychmiast po wojnie, równie natychmiast ruszyło w drogę na Zachód, głównie do Palestyny, dając tym samym najlepsze świadectwo swego stosunku do komunizmu. Lecz komuniści pozostali: nie nauczyli się w Rosji niczego, nie zauważyli losu swych żydowsko-niemieckich towarzyszy, których Stalin wydał w ręce Gestapo w okresie flirtu Mołotow-Ribbentrop, wierzyli nadal że cel uświęca środki w nieskalaną czystość idei, której żadna nikczemność nie zbrudzi. Mieli przed sobą Polskę, Węgry, czy Rumunię, w których komunizm obalił wszelkie bariery pochodzenia, realizując wielowiekowe marzenia Żydów o bezwarunkowej, absolutnej emancypacji i równouprawnieniu. Posługiwanie się mniejszościami narodowymi w celu kontroli nad partią komunistyczną właśnie obejmującą gdzieś władzę jest chwytem bezbłędnym: stwarza pozór bezkompromisowej emancypacji dotychczasowych upośledzonych, a zarazem stawia ich w łańcuchowej zależności od Moskwy, która jedynie jest w stanie chronić ich wyniesienie przed nienawiścią i gniewem autochtonów. Stąd Litwini, Białorusini i Ukraińcy dominowali w polskiej partii komunistycznej w początkowym okresie instalowania władzy komunistycznej w Polsce, Węgier był wicepremierem w Rumunii, Słowak na Węgrzech, Żydzi — wszędzie Z nadgorliwym zapałem rzucili się do sowietyzowania wschodnioeuropejskich społeczeństw, do budowania socjalizmu, do zacieśniania komunistycznej pętli na szyjach narodów starych, odpornych na przemoc i doświadczonych w walce o psychiczną niepodległość.

Swym zelanctwem przekreślali największą szansę jaką mieli Żydzi na tych terenach od średniowiecza. Mimo tradycyjnego antysemityzmu bowiem społeczeństwa te czuły się, w swej większości, wstrząśnięte zbrodniami Hitlera: wraz z licznymi dowodami haniebnych nadużyć antysemicka Polska dała dowody licznych aktów bohaterstwa i samozaparcia w ratowaniu Żydów, mimo że niemiecka praktyka okupacyjna wobec Polaków nosiła cechy ludobójstwa i rozstrzeliwanie całych rodzin polskich za ukrywanie Żydów było na porządku dziennym. Antysemityzm, aczkolwiek ciągle obecny, dogasał w swoich źródłach. Żydzi wracali w formie szczątkowej, nie stanowiąc już zagrożenia ani demograficznego, ani gospodarczego. Rosły nowe pokolenia autochtonów, nie znających zagadnienia żydowskiego inaczej niż jako przykładu hitlerowskiego bestialstwa. W tych warunkach eksponowany serwilizm Żydów-komunistów w służbie sowieckiego imperializmu sprawiał wrażenie samobójczego obłąd. Mikroby antysemityzmu zaczęły odżywać i rosnąć na nowej pożywie, mimo oficjalnych kondemnacji, i trzeba było tonąć w zupełnym zaślepieniu by sądzić, że ich zabójcza siła nie zostanie wcześniej czy później wykorzystana przez komunistów dla ich politycznych celów. Jak dalece ideowy Żyd-komunista stanowił tylko ślepe narzędzie Stalina, okazało się wkrótce. Przystępując do generalnej rozprawy z przywódcami wschodnioeuropejskiego komunizmu, której celem — w obliczu schizmy Tity — było ustanowienie zasady bezwarunkowego posłuszeństwa przy pomocy terroru, Stalin kazał uwięzić i stracić pierwszego sekretarza partii czechosłowackiej, Rudolfa Slansky'ego. Człowiek, który spędził swe życie na walce ze syjonizmem, oskarżony został o to, że był tajnym agentem międzynarodowego żydostwa w łonie ruchu komunistycznego. Odtąd słowo Żyd stało się terminem politycznym w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach wschodnioeuropejskich komunistów. Antysemityzm otrzymał urzędowy glejt dla swego podskórnego istnienia. I to była część druga planu.

Część trzecia rozegrała się niedawno, dając świadectwo politycznej przenikliwości Stalina i rozległości jego perspektyw w planowaniu zła. Pozwala też wnikać w jego mroczne przeczucia co do losów idei, w imię której wymordował tylu ludzi. Erozja imperium w niespełna piętnaście lat po śmierci jego budowniczego zdaje się nie ulegać wątpliwości. Proces dezintegracji jest złożony i powolny, lecz wyraźny dla obserwatora nie zaślepionego wiarą. Sprzeczności narodowe, gospodarcze, socjalne sprawiają, że organizm imperium wiotczeje w tłumionych lecz nieustannie odnawiających się schizmach i ideologicznych herezjach. Spadkobiercy masy upadłościowej oscylują chwiejnie pomiędzy obłudnym pseudoliberalizmem i pseudooświeconym absolutyzmem, pomiędzy nieudolnymi mirażami pragmatycznego konsumpcjonizmu trzymanego w szachu przez represywny, biurokratyczny autokratyzm. Wśród buntujących się przeciw degeneracji idei i ustroju są już teraz rozczarowani Żydzi–komuniści. Cóż zatem prostszego niż uczynić pełny użytek z dalekowzroczności Stalina i skierować przeciw nim gniew ludu? Jeszcze nigdy antysemityzm, jako antydotum na antyludzką politykę, nie zawiódł nikogo, zwłaszcza w Europie wschodniej.

Wbrew temu w co wierzą łatwowierni i zaślepieni, istnieje solidna podstawa logiczno–dialektyczna dla takiego przedsięwzięcia. W Rosji jest ona niepotrzebna. „Życie społeczne w tym kraju jest permanentną konspiracją przeciw prawdzie — tam kto się nie daje okłamać uchodzi za zdrajcę ...” — pisał w 1839 roku Astolphe de Custine, francuski pisarz i podróżnik, w swych „*Lettres de Russie*”. Od początków państwa sowieckiego los Żydów był losem grupy narodowo–społecznej systematycznie unicestwianej za to, że stanowi odrębną jakość, a także za to, że nią nie jest w dostatecznym stopniu — za wolę odrębności, jak i za chęć ucieczki od odrębności w stronę asymilacji i roztopienia się w otoczeniu. Lenin napisał tuż po rewolucji: „Nie ma żadnego narodu żydowskiego. Nie ma go teraz i nie będzie go już nigdy”. Lecz w 1949 roku Stalin, ustanawiając mityczną kategorię *kosmopolity* jako przedmiot prześladowań i naczelny cel represji podówczas komunistycznej demonologii, kazał opublikować listę nazwisk intelektualistów żydowskiego pochodzenia wraz z ich poprzednimi, żydowskimi, nazwiskami w nawiasach. W ten sposób ogłosił Żydów w Rosji — w kraju odwiecznie gotowym do deptania ludzi innych, niż zaaprobowani przez władzę — obiektem politycznego i cywilnego mordu. Fizyczna hekatomba nastąpiła wkrótce: w wyniku absurdalnego oskarżenia o chęć oderwania Krymu od ZSRR, Żydowski Komitet Antyfaszystowski — jakże potrzebny Stalinowi w czasie wojny z Hitlerem — zostaje niemal w całości rozstrzelany bądź zlikwidowany w obozach koncentracyjnych. Według niekompletnych danych ginie 238 pisarzy w języku jidysz, 106 aktorów, 19 muzyków, 87 malarzy i rzeźbiarzy. Dokładnie w tym samym czasie partie komunistyczne na Zachodzie, kierowane w znacznej mierze i popierane bez odruchu nieufności przez żydowskich intelektualistów, ogłaszają przeciwko powojennej Ameryce krucjatę nazwaną przez Stalina — jej koncepcjonistę — „ruchem pokoju”. Prokomunistyczne koła w łonie zachodnich demokracji odegrały wówczas rolę epokową: uruchomiły zimnowojenny sowiecki „antyimperializm” i zaopatrzyły go w bombę atomową. Ich przygniatającą większość stanowili Żydzi, zastraszająco ślepi na fakt, że zaraz po Komitecie Antyfaszystowskim nastąpiła sprawa tzw. żydowskich lekarzy, oskarżonych przez sowiecką policję polityczną o spisek w celu wymordowania sowieckich przywódców. Ta prowokacja tak urągała zdrowemu rozsądkowi jak hitlerowskie najprymitywniejsze egzegezy mechanizmu świata i bytu narodów.

Zjawia się pytanie: czy w marksizmie, jako w filozofii i ruchu umysłowym, w którym postępowość i misję uwolnienia ludzkości od ciemnoty wierzyły pokolenia, zawarte są organiczne przesłanki umożliwiające tak monstrualne wynaturzenia?

Jak każdy światopogląd monistyczny, odnoszący się z pogardą do pluralizmu, marksizm jest systemem despotycznym i sankcjonującym despotyzm idei i wiary. Nieodstępną cechą: każdego despotyzmu, od jego wcieleń najdawniejszych po; faszyzm i komunizm jest to, że

opiera on swą moralność o zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Człowiek jest obdarzany przywilejami lub wyrzucany na śmietnik historii w zależności od związków grupowych, przynależności rasowych, klasowych, etnicznych, religijnych. Marksizm, mimo wszelkich klauzul racjonalizmu weń wmontowanych, zgadza się na wartościowanie człowieka według jego grupowego zaszeregowania. Stąd już tylko krok do każdego nadużycia i każdej zbrodni. Żydzi zawsze cierpieli więcej i gorzej od innych narodów na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej za wymagane winy i marksizm, jak się okazuje, nie przyczynił się do zmiany tego stanu rzeczy. Komunizm zaś — bez względu na to jak daleko idzie się dziś w pewnych kręgach zapalonych rewizjonistów w czysto teoretycznym „humanizowaniu” młodego Marxa — utrwalił się raz na zawsze w świadomości ludzi XX wieku jako ponura obsesja władzy za każdą cenę i obłędna pogoń za nadludzkim autorytetem. Ohydnie wynaturzony w swoich motywacjach i uzasadnieniach casus komunistycznego antysemityzmu jest jego ostatnim, przeraźliwym dowodem. W imperium komunistycznym sytuacja Żydów jako grupy przedstawiała pod koniec lat sześćdziesiątych następujące równanie: w zgodzie z uświęconą ortodoksją marksizmu komunizm, jego pochodna, znosi wszelkie różnice pochodzenia między ludźmi — gdy jednak doraźna korzyść Komunizmu tego wymaga, różnice te można, a nawet należy, twórczo reaktywować i tłumaczyć nimi bądź niepowodzenia, bądź konieczności — Żydzi, aby uzyskać uprawnioną niwelację różnic, muszą służyć komunizmowi ślepo i wiernie, budząc nienawiść narodów, które komunizm ujarzmi — komunizm jest ich ochroną przeciw tej nienawiści, lecz nie czyni tajemnicy z tego, że jeśli uzna to za stosowne, będzie się tą nienawiścią swobodnie posługiwał. Czyli żąda od Żydów by zaakceptowali jego pozycję prześladowcy i obrońcy przeciw prześladowaniom w jednej osobie, która to ambiwalencja przekracza kryteria umysłu człowieka XX wieku w łonie zachodniej cywilizacji, lecz która — o dziwo! — ciągle jeszcze znajduje wybaczenie w umysłach licznych Żydów—komunistów żyjących poza praktycznie realizowanym komunizmem. W Polsce, gdzie po ostatniej wojnie zaistniały możliwości wytrzebiecia antysemityzmu w nadchodzących pokoleniach, a przynajmniej zredukowania do społecznie nieszkodliwego minimum jego zaplecza i źródeł, wyżej sformułowane równanie umożliwiało erupcję prześladowań, których rezultatem był neohitlerowski klimat społeczno—obyczajowy. Przyjmując za pretekst polityczną konfigurację — konflikt arabsko—izraelski — komuniści polscy przystąpili do generalnej rozprawy z inteligencją żydowskiego pochodzenia i resztą Żydów polskich w ogóle, stwarzając sytuacje psychomoralne znane ludzkości z Niemiec lat trzydziestych. Czy inspiracja do tej sumiennie rozważonej i bezwzględnie skonkretyzowanej akcji pochodziła ze sztabu, ideologicznego w Moskwie, czy jest płodem czysto polskiego, jakże głęboko zakorzonego antysemityzmu — trudno powiedzieć. Nie trudno natomiast dostrzec identyczność celów i metod obu źródeł. Nie ulega też wątpliwości, że model polski, skutecznie wypróbowany na polskim społeczeństwie, uzyska ogólnoimperialny patent jako najlepsza metoda dla uśmierzania ideowych niepokojów, protestu mas, heretyckich buntów. Starzejąca się i wiotczająca propaganda komunistyczna od dawna potrzebowała transfuzji świeżych, chwytliwych haseł — stare, wypróbowane kłamstwa szowinistyczno—faszystowskie okazały się naraz niesamowicie żywotne w tej części Europy, będą więc z błogosławieństwem Kremla aplikowane tam gdzie wykazą doraźną przydatność. Argumentacja nie gra większej roli: pastwienie się stalinowców nad niedobitkami czeskiej reformy odbywa się aktualnie przy akompaniamencie antyżydowskich wyzwisk, mimo że Czechosłowacja jest krajem, w którym wszystkich żyjących tam dziś Żydów zmieścić można na dobrą sprawę w jednym kinie.

Model polski obnaża ponuro degenerację doktryny. Jest jednak nowocześniejszy i bardziej funkcjonalny od pogromowej schematyki rosyjsko—ukraińskiej. Polacy nie mordują ani nie rozstrzelują — czyli nie upraszczają zagadnienia. Obelżywa i prostacka metoda likwidacji Żydów przy pomocy zredukowanej do bezsensu nomenklatury, instrumentalna w klimacie

stalinowskiej paranoi gdy epitet „kosmopolita” oznaczał częstokroć egzekucję, uległa komplikacji, została politycznie wysublimowana. Syjonista stał się symbolem politycznego arcy—wroga, jak imperialista i ogłoszony został wyjętym spod prawa: wobec syjonisty dopuszczalny stał się każdy akt gwałtu i wywłaszczenia bez prawa samoobrony. W państwie totalitarnym gwałt jest, jak wszystko, instytucją państwową i nikt nie zabija ludzi na ulicach bez aprobaty państwa. Komuniści polscy nie reżyserowali zbyt przesadnych aktów tzw. gniewu ludu, wiedząc dobrze, że nawet najsolidniej opracowane wymknąć się mogą kontroli. Natomiast skanalizowali gwałt w karkołomnej ekwilibryście dialektycznej i ogłosili rządzonemu przez siebie społeczeństwu, że syjoniści są najzaciętszym, skrytym i podstępny wrogiem komunizmu, że usiłowali opanować przewrotnie ruch wyzwolenczy mas proletariackich, nadużyć go haniebnie i wykorzystać dla własnych ultraszowinistycznych celów. Odwieczna ośmiornica żydowska, wyciągająca swe krwio pijcze macki tym razem z. Tel—Avivu, oplotła świat w śmiertelnym uścisku i dziejową misją komunistów (jak niegdyś chłopców z SS) jest uciąć trujące polipy poprzez bezlitosne i odważne (?) demaskowanie syjonistów we własnych szeregach. Pozostawało do ustalenia kto jest syjonistą, lecz to okazało się proste: był nim każdy Żyd, który w sposób upadlająco serwilistyczny nie ogłosił swego wiernopoddańczego stosunku do aktualnych władców komunistycznej Polski. Ta formuła stanowiła jakby apogeum hitlerowskiej „nauki”, że Żyd nie istnieje jako indywiduum, lecz jest *per definitio* częścią i eksponentem jakiejś antyludzkiej nadsily, której unicestwienie jest obowiązkiem każdego Niemca, Polaka, Rosjanina itd. W sumie było to ryzykowne przedsięwzięcie, albowiem znając nienawiść Polaków do komunizmu można było spodziewać się, że cała Polska zapłonie gorącą miłością do Żydów i ich nagle objawionego *ex cathedra* antykomunizmu. Lecz komuniści liczyli na to, że antysemityzm jest silniejszy w pospółstwie polskim od antykomunizmu — i nie przeliczyli się.

Obiektywny upadek ideologii przeobraził się wkrótce w fantastyczne wypaczenia ideowej egzegezy. Cała plejada polskich Goebbelsów i Streicherów zaczęła udowadniać, że nie ma podstawowych antynomii pomiędzy „zdrowym” nacjonalizmem a „uzdrowionym” z żydowskich miazmatów komunizmem; Żydzi stanowią jedyną przeszkodę na drodze do narodowego komunizmu — co znów brzmi niesamowicie znajomo — a likwidacja ich wpływu pozwoli na symbiozę pierwiastka narodowych aspiracji i etnicznego waloru z naczelną dyrektywą marksizmu — walką o wyzwolenie mas. Szaleństwa hitlerowskiego synkretyzmu wynaturzyły się w całej okazałości ze szpalt polskiej prasy komunistycznej: Żyd był znów plutokratą i rewolucjonistą w jednym dwugłowym wcieleniu, jego janusowe oblicze — podstępny instrument do oszukiwania i ujarzmiania ludów w celu rozkładu ich woli i uczynienia z nich bezwolnych ofiar w imię odwiecznych interesów Izraela, judaizmu, Sanhedrynu, Mędrców Syjonu. Mnożyły się ćwierćinteligentkie, „historyczne” hipotezy, że Słowianie byli marksistami już w zaraniu swych dziejów, że ich przedhistoryczna kultura wskazuje na liczne związki z późniejszymi tezami marksizmu—leninizmu, że wczesne wspólnoty słowiańskie były ludowe i jako takie stanowiły już w prehistorii antycypację zaawansowanej gospodarki socjalistycznej — dopiero zaś pojawienie się Żydów na arenie historii przyniosło ze sobą walkę klas. „Naukowy” znak równania ludowe i komunistyczne prowadził do farsowego obskurantyzmu, jak w dowodzie pewnego historyka sztuki, który pisał, że starosłowiańskie ozdoby i biżuteria są zgodne z wymogami realizmu socjalistycznego, podczas gdy Żydzi, poprzez chrześcijaństwo, zanieczyścili europejskie złotnictwo i rzemiosło artystyczne kosmopolityzmem.

Wielu ludzi zadaje sobie dziś na całym świecie pytanie: jak mogło do *tego dojść*? W jakim momencie marksizm — rezultat ścisłego rozumowania, dorobku wiedzy i zasad moralnych — przeobraża się w fantasmagorię ciemnoty, nieuctwa, politycznego bandytyzmu? Jeszcze nigdy pierwiastek anty—humanistyczny i totalitarny zawarty w marksizmie nie ujawnił się z taką siłą jak w komunistycznej wersji antysemityzmu Rosjan i Polaków — i w tym fakcie zapewne

leży trudna i złożona odpowiedź na to pytanie i wiele innych. Pytania rozkładane będą, rzecz jasna, przez kwasy doktrynalnych sofizmatów, lecz fundamentalność wielu z nich nie zezwoli na krętackie odpowiedzi. Na przykład: kiedy kończy się przydatność Żyda—komunisty jako narzędzia w walce o władzę, a zaczyna się jego użyteczność jako kozła ofiarnego w procesie podtrzymywania siłą władzy nie opartej o żaden mandat rządzonych? Wielu Żydów w krajach niekomunistycznych, zaślepionych własnym ekstremizmem, częstokroć karierowiczostwem, a często zwykłą, zadufaną w sobie głupotą, powinno się nad nim głęboko zastanowić. Amerykańskie uniwersytety przygarniają dziś Żydów, którzy przez 25 lat swych służb w policjach politycznych Europy wschodniej ciężko prześladowali ludzi — w tym także innych Żydów — walczących o prawo do niezawisłości sumienia. Dziś Żydzi ci chronią, się za swe niegdyś lak łatwo zapominane żydostwo. Fakt że w Polsce w 1968 roku przypominano im nagle i brutalnie, że są Żydami, jest faktem groźnym i odrażającym, wymagającym napiętnowania i potępienia. Ale nie czyni z nich ludzi godnych szacunku, a nawet współczucia, a już zupełnie nie upoważnia do solidarności z nimi. W chwili poważnej, gdy odwieczne siły ciemnoty grożą i atakują, należy sumiennie oddzielić obronę i protesty w obronie tych Żydów, którzy cierpią tylko za to że są Żydami, od owych, którzy są jedynie ofiarami zmagania o władzę pomiędzy komunistycznymi politykierami a talmudystami marksizmu. Opluwani, poniewierani i pozbawiani środków do życia Żydzi polscy płacą za kariery i błędy tych drugich, za ich upojenia uzurpowaną władzą. Ludzie ci nie mają moralnego prawa do obrony przede wszystkim jako niestrudzeni architekci tej rzeczywistości, w której, po 25 latach, dojść mogło do tak karykaturalnych zwyrodnień myśli i pojęć, jako inżynierowie tej struktury, w której monstrualne kłamstwo tak łatwo jest uczynić prawem życia. Trudno jest zapomnieć ich fanatyczną wiarę w zło jaką głosili w komunistycznych gazetach, książkach, artykułach, filmach — bez względu na to czy wiara ta była czystą wiarą, czy posiadała swe dwuznaczne racjonalizacje. Byli dygnitarze komunistyczni, uciekający z Polski, przeklinają polsko-komunistyczny antysemityzm nieszczerze Skarżą się nań, wyklinają go w imię fundamentalizmu i traconych posad, wznoszą obłudnie oczy ku niebu i wzywają sfrustrowane duchy żydowskich kreatorów zakonu na świadków. W zasadzie jednak antysemityzm jest im zbawiennym wyzwoleniem w obliczu porachunków z samym sobą. Już nie poczują nigdy żółciowego smaku klęsk płynących ze służby kłamstwu i zbrodni — ponieśli niezasłużoną klęskę za pochodzenie. Pogrzebiono ich za to, że byli Żydami, a nie za to, że chwalili i realizowali gwałt, niewolę i łajdactwo. Nie zdadzą już nigdy rachunku za własne przestępstwa, ocalili ich tępi antysemita depcząc ich metrykę i ratując w ten sposób ich człowieczeństwo. Każdy uczciwy Żyd jest z natury rzeczy namiętnym przeciwnikiem, zasady odpowiedzialności zbiorowej. Lecz tylko pewni Żydzi z Europy wschodniej, których życiowy dorobek uczynił zwykłymi kanałiami w służbie totalitarnego komunizmu, uciekając do Ameryki chronią się za tą pokraczną zasadę, usiłując — w oczach świata — przerzucić swą odpowiedzialność, a raczej jej brak, na swe koniunkturalnie odkryte żydostwo.

Każda mistyfikacja jest trampoliną, z której łatwo jest skoczyć w otchłań metafizyki dla ćwierćinteligentów. W wyobraźni antysemitckiego pospólstwa Żyd decyduje, koncypuje, pieje, zapładnia, powija i własnoręcznie uruchamia akty, ruchy i całe skomplikowane procesy polityczno-społeczne wraz z ich antynomiami, wektorami, tendencjami, bogactwem komponentów. Jak Żyd, czy nawet żydostwo, to robi — wyjaśnieniem się nikt nie troszczy, realizm nie jest ulubioną metodą epistemologiczną ani tłumów, ani reżymów totalitarnych. Wąziutka miedza, oddzielająca metafizykę od umysłowego ograniczenia, trapi ludzkość od czasów prearystotelesowskich. To nie bunt intelektualny, krytyka zastanej rzeczywistości, ani nawet niewola i nędza termodynamizują protesty, moralny niepokój, rewolucje, lecz handlarze śmierci, CIA, Mędracy Syjonu, masoni, egzekutywa Wall Street, wywiad izraelski, komórka anarchohokistów zagnieżdżona w londyńskim Jockey Clubie na Pali Mali. Wszystko wskazuje na to, że każda pochodna marksizmu — niegdyś czcigodnej filozofii —

jest dziś w stanie osiągnąć tych granic zinstytucjonalizowanej paranoi. Na naszych oczach lewica marksistowska i neomarksistowska, a także to co zwie się dziś nową lewicą, odrzuca podstawy racjonalnego myślenia dla coraz tandetniejszej metafizyki. Lichy argument komunizmu praktykowanego w Europie wschodniej obwieszcza „niespokojność” żydowskiego umysłu (jakby w tym było coś nowego!), który „przeszkadza”, a nawet „niszczy” to co Słowianie, Niemcy, Węgrzy itd. usiłują konstruktywnie zbudować i wznieść w spokoju ducha i zgodnie z nienaruszalnością obwieszczonej przez Żyda Marxa wiary. Czy Marx doszedł do niej mocą swego niespokojnego, żydowskiego umysłu stanowi dziś punkt poza dyskusją. Pojawia się przeto najbardziej dręczące z pytań: czy wszelkie ideologie stworzone przez Żydów, poczęte przez żydowskiego ducha i w imię jego moralnych norm, muszą się w końcu zwrócić przeciw Żydom — mimo że celem ich jest obrona i zbawienie wszystkich ludzi, a zatem i Żydów? A może właśnie dlatego? Może najszerzej pojęte spectrum humanizmu, o które Żydzi walczą od tysiącleci, jest nie do przyjęcia przez ludzkość, która nigdy go nie chciała i nigdy nie zechce? Czyżby wąsko pojęta tradycja była jedynym zabezpieczeniem historycznego, losu Żydów, wszelki wysiłek by związać ich przeznaczenie z ideą bardziej uniwersalną oznacza samobójczą katastrofę? Czyż zatem każda żydowska próba, poczęta z żydowskiego intelektu, oznacza w ostatecznym rozrachunku samozniszczenie?

W moim przekonaniu, każda doktryna totalitarna musi w swych założeniach i w racjonalizacjach, zwrócić się gwałtownie przeciw Żydom. Ideologie totalitarne są z natury rzeczy utopijne, ich celem ostatecznym, tak teoretycznym jak i praktycznym, jest stworzenie ostatecznej wizji świata i życia, ustanowienie wzoru statycznego, którego ultymatywność nie podlega krytyce, ani modyfikacjom. Na to zaś umysłowość żydowska nie zgodzi się nigdy. Życie jest dynamiczne, a umysł jest owocem życia, ma służyć życiu, nie abstrakcji — i o tym wiedzieli żydowscy twórcy najgenialniejszych abstrakcji Ich przeznaczeniem były odwieczne męki ambiwalencji i względności, co — z kolei — czyniło ich zawsze najruchliwymi mózgami ludzkości. Ludzkość zaś, przez swe dzieje, ulegała potędze tej ruchliwości i przeklinała jej intensywność. Toteż gdy tylko utopia wchodziła w stadium realizacji, demonstrując bezdenne odmęty ludzkich niemożliwości, okrucieństw i niedołęstwa towarzyszący wcielaniu absolutu w kształt egzystencjalny — umysł żydowski rzucał się do rewizji pojęć i przewartościowywania wartości, produkował złoza druzgoczącego krytycyzmu i unicestwiał to wszystko, o co jeszcze niedawno tak zaciekle walczył i krwawił. Stąd antysemityzm był zawsze, i pozostał dziś, najłatwiej produkowaną bronią dla obrony totalitarnych utopii — nieuchronny zaś ciąg dalszy wszelkich zagrożonych totalitaryzmów jest zawsze ten sam. Wokół amerykańskiej Nowej Lewicy toczy się od dawna dyskusja czy stanowi ona naturalny inkubator antysemickiego backlash'u przez sam fakt głoszenia swych idei. Jest to nieporozumienie. Ewentualny antysemityzm w Ameryce tkwi nie w kierunkowej tendencji społeczeństwa niechętnego wobec neo-lewicowych prądów, lecz jest czynnikiem immanentnym w ich totalitarnej tendencji. Wszystkie doświadczenia przeszłości, dawnej i niedawnej, wskazują na to, że antysemityzm zrodzi się wcześniej w samym jądrze amerykańskiej myśli lewicowej niż w otaczającym ją społeczeństwie. Sytuacja, w której dzisiejsi prorocy Nowej Lewicy, w większości Żydzi, zaczną odczuwać konieczność antyżydowskich (nie mylić z antyizraelskimi) sformułowań ideowych i przesycą swą ideologiczną maszynę zjadliwym antysemityzmem, wydaje się jeszcze na razie surrealizmem. Historia zna jednak sytuację, w której antyżydowskość stała się immanentnym motywem, a nawet istotą potężnych aktywności duchowych (i innych) ożywiających wielki organizm ideowy stworzony przez trzynastu Żydów. W XX-wiecznym marksizmie, głoszonym i praktykowanym przez rosyjskich i polskich komunistów, proklamujących konieczność anihilacji żydowskiego ducha, widzimy po raz drugi, że tak absurdalna koncepcja nie jest

złudzeniem chorych zmysłów, lecz przeobraża się w konkret rzeczywistości. Dlaczego gdzie indziej ma być inaczej?

NOWA GÓRA SPOŁECZNA I JEJ DOLCE VITA

Zespół pojęć, którymi posługuje się w działaniu rosyjski przywódca komunistyczny jest zupełnie różny od tych jakie mógłby stosować przywódca wschodnioeuropejski. Chociaż ten rządzi swym krajem w ramach takiej samej jak w Rosji struktury władzy, ale jeżeli chce coś osiągnąć we współdziałaniu z rządzonymi przez siebie masami narodu, musi odwoływać się do innego zespołu pojęć. Pojęcia te skryształizowały się poprzez wieki rozwoju ogólnoeuropejskiej cywilizacji chrześcijańskiej, która opiera się na głęboko zakorzenionych ideałach godności osobistej i cnót społecznych. Także przedmioty pożądań, wyobrażenia o szczęściu i pojęcie indywidualnego powodzenia są inne, niż w Rosji i Azji. Komunizm buduje wszędzie wsie Piatomkinowskie, ale tylko w Rosji społeczeństwo bądź wierzy w ich realizm, bądź uznaje ich dialektyczną konieczność. W krajach Europy wschodniej stanowią one temat dowcipów.

Wygląd ulicy i dziewcząt, nocne lokale i teatry, moda, mieszkania i sposób rozmowy — oto co zdaniem zachodnich korespondentów różni Rosję od Europy wschodniej. Jest to prawidłowa, choć powierzchowna obserwacja symptomów. Przypisuje się je relatywnemu liberalizmowi, który stanowi konsekwencję tzw. narodowego komunizmu i stopniowego uniezależniania się od rosyjskiej centrali ideologicznej. Tymczasem, w istocie swej są one specyficzną subkulturą, której post-stalinowska odwilż nadała tylko znamiona jawności i powszechności. Ta subkultura z kolei jest w znacznej mierze produktem nowej góry społecznej, która stanowi zjawisko szczególne i jedną z głównych cech komunizmu w krajach Europy wschodniej.

Jak każda inna, wschodnioeuropejska góra społeczna ma Swoje maniery, sposób ubierania, sympatie artystyczne i rozrywkowe, które przenikają do reszty społeczeństwa, stanowiąc pożądane i naśladowane wzory czy nakazy mody. Posiada też swój *jet-set* — ogólnie podziwiany i obmawiany. Zachodni korespondent dostrzega elegancję kobiet i osobiście swobodny teatrzyk satyryczny (który wydaje mu się niewygodny dla reżymu), ale nic kojarzy tych zjawisk z istnieniem określonej grupy społecznej, która je produkuje jako swoją subkulturę, wyrażającą jej potrzeby i postulaty. Tym bardziej więc geneza, funkcjonowanie, moralność i wpływy tej grupy pozostają najczęściej tajemnicą dla zachodniego obserwatora.

Błędem powszechnym na Zachodzie jest utożsamianie komunistycznej nowej góry społecznej z komunistyczną klasą rządzącą.

Nowa góra społeczna jest zaś zjawiskiem obyczajowym i moralnym. Jej poszczególni członkowie mogą być także członkami klasy rządzącej i odgrywać znaczną rolę w polityce czy gospodarce, lecz jej ogólną cechą charakterystyczną jest brak władzy i natrętne podkreślanie swej politycznej niemocy. Władza oznacza odpowiedzialność, ta zaś psuje obraz pięknego życia — głównego celu nowej góry społecznej. Natomiast stara się ona nieustannie o wpływy polityczne, co nie przychodzi jej z łatwością. Totalistyczny aparat rządzenia nie podlega wpływom żadnych opinii, ani publicznych, ani zakulisowych.

Klasa rządząca jest złożona z rewolucjonistów, całozyciowych członków partii, przeważnie niskiego pochodzenia. Są oni pożerani przez wadliwość stworzonego przez siebie systemu. Żyją w nieustannych, zaciekłych walkach o władzę, w wiecznym strachu przed dyscypliną partyjną, popełnieniem błędu, intrygami i denuncjacjami karierowiczów, pragnących ich stanowisk. Bezsensowna organizacja państwa i permanentny chaos gospodarczy sprawiają, że pracują po 16 godzin na dobę i umierają wcześniej na ataki serca. Są szarzy, mało inteligentni, żyją skromnie i nieefektywnie.

Stosunki między nową górą społeczną a klasą rządzącą cechuje wzajemna pogarda i nienawiść. Klasa rządząca gardzi asekuranctwem nowej góry społecznej, zazdrości jej swobody w korzystaniu z owoców powodzenia i uprzywilejowania, których sama nie jest w

stanie konsumować. Nowa góra społeczna nienawidzi żelaznej uprząży, którą sobie dobrowolnie nałożyła na grzbiet, a w której klasa rządząca zmusza ją do kłamstw i upodnień. Zżera ją kompleks własnej niemocy: najbardziej nienawidzi swych panów za to, że nie jest dla nich groźna i niebezpieczna. Rekompensuje to sobie szyderstwami z ich niepowodzeń politycznych i umysłowego ograniczenia, które określa wzgardliwie terminem „ćwierćinteligencji”

Obejmując władzę w Europie wschodniej komuniści narażeni byli na katastrofalny brak kadr. Partie były nieliczne, izolowane, bez korzeni w społeczeństwach przeważnie chłopskich i drobnomieszczańskich, konserwatywnych i religijnych. Gwarantem ich władzy była stacjonująca armia sowiecka, ich sojusznikiem — karierowiczostwo, oportunizm i arrywizm. Własnych ludzi starczyło tylko do obsadzenia najwyższych stanowisk w aparacie władzy i terroru. Do kultury, nauki, dyplomacji trzeba było wpuścić elementy obce. Komuniści przyrzekali sobie, że szybko wyprodukują zastępców z własnych środowisk społecznych. Po 22 latach okazało się to niepotrzebne: obcy stali się swoimi. Zrobili kariery, stworzyli nową górę społeczną, związaną z komunizmem na śmierć i życie.

Rezerwuarem tej rekrutacji była przeważnie inteligencja — warstwa społeczna zastępująca kwalifikacjami umysłowymi tradycyjny brak kapitałów w Europie wschodniej. Nie dawało to nigdy zadziwiających rezultatów ekonomicznych, ale pozwalało inteligencji żyć zamożnie przed wojną, w sojuszu z klasami posiadającymi.

Pieniądz ma w komunizmie identycznie tę samą funkcję i znaczenie jak wszędzie indziej, od czasu jak go wynaleźli Fenicjanie. Stanowi cel dążeń i narzędzie osiągnięć. Wprawdzie w komunizmie jest on tani i niewiele zań można dostać, ale bez niego nie można dostać nic, zalety więc płynące z jego posiadania są niedwuznaczne. Pieniądz był zapewne główną przyczyną, dla której część inteligencji poparła czynnie nowy porządek. Jako ludzie żyjący z ruchliwości własnego umysłu nie mogli się jednak powstrzymać od fabrykowania eufemistycznych uzasadnień, w które w końcu sami uwierzyli. Nazywali więc swój konformizm siłą przyciągania zwycięskiej doktryny, bezlitosną logiką historii, goryczą wobec Zachodu, który zdradził. Ci, którzy przed wojną żywili sympatie faszystowskie znaleźli doskonałe pole do popisu w czerwonym totalizmie. Najbardziej cyniczni nazywali to jedyną perspektywą rozwoju, ci też osiągnęli najwyższe szczyble. Zresztą komuniści działali w początkowym okresie z umiarem: ogłosili inteligencję sojuszniczką rewolucji, kokietowali. Jedną z legend o komunizmie jest jego nieubłagana wrogość do klas posiadających, potrzebna mu w walce o władzę, gdy mieni się rzecznikiem interesów proletariatu. W rzeczywistości jest on nieubłagany wrogiem tych tylko, którzy nie chcą się poddać i zaakceptować jego kłamstw i zbrodni; ulegli i przydatni mogą zawsze liczyć na łaskę i zastosowanie. Toteż ci, którzy zdolni byli zaoferować nowym władcom jakieś talenty bądź usługi propagandowe, znaleźli drogę do formującej się nowej góry społecznej.

Nie znaczy to jednak, że deklarujący gotowość współpracy otrzymał natychmiast przepustkę. Kryterium wstępu było zaufanie władców. Ci zaś obdarzali nim ludzi o sprawdzonych skrupulatnie zaletach charakteru. Takich jak tchórzostwo, gotowość do poparcia każdego łajdactwa w ideologii i polityce, nade wszystko zaś ślepy strach przed szarością życia bez dostępnych luksusów. Wielu chętnych odpadło po drodze. Łaska wyniesienia spłynęła na najbardziej uległych i sprzedajnych. Dzisiejsza potęga nowej góry społecznej wyłoniła się w latach stalinowskiego terroru. Jej początki były groteskowe. Komunizm potrzebował figurantów, kamuflujących swymi nazwiskami i postaciami jego poczynania wobec opornych narodów i nieufnej zagranicy. Potrzebował historyczno—arystokratycznych nazwisk, które apelowałyby do nacjonalizmów; katolików, którzy głosiliby że Stalin goręcej od papieża kocha Kościół i wiernych; przywódców stronnictw chłopskich, którzy w życiu na wsi nie byli; wybitnych pisarzy i artystów, którzy dowodziliby, że dwa razy dwa jest pięć. Giętkość i zręczność w takiej gimnastyce umysłowej i moralnej zapewniała

zyski i zaszczyty. Im lepiej ktoś potrafił opowiedzieć jak słońce kręci się wokół ziemi, tym większą otrzymywał nagrodę. W prasie znaleźć można było nazwiska nader dziś na Zachodzie cenione pod artykułami, z których wynikało, że małe dzieci umierają z głodu na ulicach Nowego Jorku, a Stalin jest genialniejszym fizykiem niż Einstein. Niektórzy dziś głoszą, że byli pod presją gróźb i niewyjaśnionych konieczności, wręcz gwałtów ze strony policji politycznej. Że musieli, że wszyscy tak robili, że nikt nie był lepszy. Są to jaskrawe przeinaczenia faktów. Nikomu nie przykładano pistoletu do skroni, czego najlepszym dowodem jest większość inteligencji i intelektualistów tych krajów, która przeżyła stalinizm, jedynie w gorszych mieszkaniach, jedząc gorzej i nie jeżdżąc zagranicę. Imperatywem był awans do nowej góry społecznej, uświęcający ich raz na zawsze w kategorii ludzi wyniesionych i przeznaczonych do dobrobytu. Poczucie własnej produktywności jest w komunizmie najwyższym luksusem psychologicznym.

Raz na zawsze, albowiem ważką cechą nowej góry społecznej jest jej stabilność. Nadzorcy z klasy rządzącej giną w bezpardonowych walkach o swe znaczenie, spadają z wyżyn potęgi do cel więziennych, lub na nędzne emerytury. Intelektualiści, dyplomaci, artyści z nowej góry społecznej trwają niezmiennie na raz osiągniętych w jej łonie pozycjach. Akces do niej jest automatyczną gwarancją stabilności, bowiem odbywa się poprzez wybór postawy oportunistycznej, a zatem uniwersalnie funkcjonującej i przydatnej w każdych warunkach, jako służba wszystko jedno komu. Im cyniczniejszy serwilizm, tym bardziej wzrasta pewność przetrwania wszelkich zmian i politycznych burz.

Nowa klasa społeczna nie jest nigdy zamknięta i przystąpienie do niej zawsze jest możliwe dla nowych Rastignac'ów. Mechanizm przystępowania jest wynikiem postawy czynnej lub biernej. W pierwszym wypadku obowiązuje głoszenie swej wiary. Jest to precyzyjnie opracowana technika obłudy, albowiem głoszący najczęściej gardzą komunizmem, apoteozując go równocześnie w swoich utworach i przemówieniach. Unikają jednak prymitywizmu: uzewnętrzniają zrećzenie swe opory i zastrzeżenia, ostentacyjną troskę o niedoskonałość komunistycznej praktyki (teoria jest święta!), wahają się publicznie i dbają usilnie o tzw. szczerość decyzji. W końcu jednak odnajdują — również publicznie — najgłębsze złoża humanitaryzmu, mądrości i sprawiedliwości w komunizmie; za co honoraria ich wzrastają do bajecznych rozmiarów. W okresie stalinizmu schemat demonologii był prosty: z jednej strony szatan amerykańskiego imperializmu i jego domowe wcielenia — bogaty chłop, burżuj i agent CIA, z drugiej — komunistyczny anioł, czyli stalinowski aparat władzy. Aktualnie sprawy uległy skomplikowaniu: trzeba zaspokoić żądania dysponentów pieniędzmi, ale też i nie odstraszać publiczności — niechętniej i sceptycznej. Wobec tego agenta CIA bolą zęby i nikczemność jego może być w równej mierze wynikiem trudnego dzieciństwa, jak rozkazów Pentagonu; dobry zaś komunista tonie w błędach i wadach charakteru, co jest miarą jego człowieczeństwa, ponieważ myśli dialektycznie, więc w końcu pokonywa sfrustrowanego agenta. Zdarza się, że członek nowej góry społecznej jest prawowitym marksistą: jest to wypadek rzadki, prawowity marksista bez wrażliwego sumienia jest członkiem klasy rządzącej, obciążony sumieniem szybko przemienia się w rozczarowanego krytyka, przez co wypada z nowej klasy społecznej i stacza się do poziomu reszty społeczeństwa, ulegając czasem gwałtowniejszym prześladowaniom niż bojowi niemarksisci. O ile się zdarzy, marksista z nowej góry społecznej pozwala sobie na większą dbałość o pozory: nie portretuje agentów, ani aparatczyków pod modnymi przebraniami, lecz wyalienowanych intelektualistów, którzy źle się czują w komunizmie, w końcu jednak przekonują się, że zachodnia demokracja i jej filozoficzne recepty, jak chrześcijaństwo czy egzystencjalizm, są gorsze pod każdym względem.

Można stać się członkiem góry społecznej w wyniku postawy biernej. Sprowadza się to do kumulowania pieniędzy, zaszczytów i przywilejów przy jak najmniejszych serwitutach. Muzyka jest z natury rzeczy ideologicznie obojętna, ale kompozytor nazywając swą symfonię

„Świętem wiosny” osiągnąć może co najwyżej sukces artystyczny; jeśli jednak nazwie ją „Świętem rewolucji” lub „Kantatą o Leninie”, spadnie nań deszcz nagród i nieustających wykonań w radiu i w filharmoniach. W łonie nowej góry społecznej wszyscy uśmiechać się będą ze zrozumieniem, znając pogardę kompozytora dla rewolucji i Lenina, fakt zaś że społeczeństwo uzna go za karierowicza jest kompozytorowi obojętny, gdyż on sam ma się za charyzmatycznego artystę, któremu wszystko jest dozwolone co służy jego własnej twórczości. Aktor odtwarzający często i z gorliwym zapałem role w socjalistyczno–realistycznych sztukach i filmach może być pewny entuzjastycznych recenzji, bez względu na to czy jest aktorem dobrym czy złym. Produkcja kultury masowej uruchamia mnóstwo zawodów semiartystycznych i pomocnych twórczości: architektów–dekoratorów, operatorów filmowych, autorów popularnych piosenek i tekstów, inżynierów dźwięku. Zarabia się w nich znacznie lepiej, niż w innych,, wystarczy więc zdawkowe pochlebstwo w udzielanym wywiadzie czy zwrotka w piosence, zręcznie obliczone na gust klasy rządzącej, aby stanąć w pełnym blasku reklamy, a tym samym uzyskać bilet do nowej góry społecznej. Reklama i lansowanie odgrywa niepoślednią rolę w nieustającym kształtowaniu nowej góry społecznej, wygląda ona zaś zupełnie inaczej, niż w społeczeństwach wolnych. Jest to popularność dekretowana. Nie można jej uzyskać ani osobistą wartością, ani atrakcyjnością talentu, nie można jej kupić — można ją tylko otrzymać w nagrodę za oddane usługi. Gdy wszelkie masowe środki przekazu skoncentrowane są w rękach klasy rządzącej, wywiad z autorem, aktorem, uczonym czy wynalazcą nie jest rezultatem ani jego zasług, ani popularności, lecz wyłącznie miernikiem jego użyteczności dla władców. Można z dnia na dzień stać się sławnym i wielbionym nie dlatego, że taki był werdykt publiczności, lecz dlatego, że zdecydowała to partia, żadna zaś reklama równać się nic może ze skutecznością w modelowaniu pseudoznakomitości, jaką dysponuje komunistyczne masowe środki przekazu.

Popularność osobista nie jest ani celem, ani przyczyną *publicity*, nie stanowi też o sukcesie finansowym. *Publicity* ma za zadanie ustawienie danej personalisty w takim rzędzie i w takich światłach, aby mógł nań spłynąć strumień przywilejów i wynagrodzeń z łaski klasy rządzącej. Zdarza się czasem, że młody pisarz, aktor czy piosenkarz zdobędzie sobie szerokie gusty publiczności: zostaje on wtedy dokładnie sprawdzony przez klasę rządzącą z punktu widzenia swej polityczno–propagandowej przydatności. Jeśli uznany zostanie za nieszkodliwego i jego produkt czy indywidualność, służyć mogą do ilustracji rzekomej swobody kultury i rozrywki, wtedy — wraz z pieniędzmi i reklamą — otrzymuje wstęp do nowej góry społecznej. Jeśli jednak ktoś upiera się przy swojej samodzielności i niezależności, wtedy skazany jest na totalne przemilczenie i wymazanie: redaktorzy gazet, radia, telewizji, a więc członkowie klasy rządzącej, nie dopuszczą do najmniejszej wzmianki o jego istnieniu, nawet gdy publiczność wyrwa sobie jego książki z rąk i przepisuje je prywatnie na maszynie. Albowiem najbardziej dwuznaczną i wyrafinowaną cechą nowej góry społecznej, która czyni z niej nieoceniony instrument w rękach klasy rządzącej, jest jej umiejętność produkowania treści artystyczno–intelektualnych, które wyglądają na wolne, liberalne i niebezpieczne dla komunizmu, a w istocie swej nie są w najmniejszym stopniu ani niezależne, ani groźne. Małe teatryki literackie w Polsce czy w Czechosłowacji wydają się Zachodowi potencjałami krytyki i satyry, zagrażającej komunizmowi, jest to kardynalny błąd, albowiem są one wyrazem kpiarskiej ambiwalencji i oportunistu nowej góry społecznej. Gdyby były groźne, to by ich nie było.

Charakterystyczny dla postawy bierniej jest cynizm angażowania się ostrożnego i dwuznacznego. Muzyk i aktor podkreślają na każdym kroku, że uprawiają sztuki obojętne i neutralne, zwolnione z wszelkiej odpowiedzialności. Pisarz z nowej góry społecznej uważałby za najwyższą hańbę stosunki towarzyskie z dyrektorem cenzury, mimo że ten jest jego faktycznym sojusznikiem i broni go przed konkurencją uczciwszych i zdolniejszych.

W większości języków wschodnioeuropejskich nowa góra Społeczna nazywana jest „profiteriat”. Polacy mówią o niej: „właściciele Polski Ludowej”. Zysk i własność określa ich zatem najprecyzyjniej w świadomości społeczeństw. Jak więc wygląda ich materialny zbytek i „dolce vita”?

Polega on przede wszystkim na wyodrębnieniu ze społecznego otoczenia. Milioner amerykański, angielski arystokrata czy francuski wzięty artysta żyją w znacznej różnicy standardu od własnych społeczeństw, niemniej są to różnice jakościowe i ilościowe, a nie przedmiotowe. W końcu każdy niemal Amerykanin, Anglik czy Francuz stawiając sobie za cel, samochód, domek jednorodzinny czy podróż zagraniczną, może ten cel osiągnąć przy pomocy pracy, nawet fizycznej. Ludzie bogaci mają po prostu lepsze samochody, większe domy i odbywają częstsze i dalsze podróże. W komunizmie posiadanie własnego dwupokojowego mieszkania jest nieosiągalne dla przytłaczającej większości społeczeństwa, samochód stanowi przejaw najwyższego dobrobytu, podróż zagraniczna jest skomplikowanym przedsięwzięciem, które planuje się latami i które najczęściej nie dochodzi do skutku. Problemy te i troski nie trapią członków komunistycznej nowej góry społecznej.

Nędza mieszkaniowa jest egipską plagą komunizmu: dwie osoby żyjące w małym jednopokojowym mieszkaniu stanowią ogólną normę. Z reguły wyjęte są: klasa rządząca, mikroskopijna grupa ludzi, którym nie odebrano resztek majątku, lekarze, specjaliści naukowcy, których komunizm musi tolerować i wysoko opłacać nawet bez świadczeń politycznych z ich strony. I nowa góra społeczna. Ta ostatnia otrzymuje przydziały szczególne na specjalne mieszkania, w których nie obowiązuje stopień zagęszczenia i w 3 lub 4 pokojach żyją 2 do 4 osób. Finansowa zasobność pozwala nowej górze społecznej budować domki jednorodzinne lub wille bez wtrącania się urzędów podatkowych. W wypadku gdy zamożny lekarz lub ktoś posiadający fundusze decyduje się na budowę, urząd podatkowy rozpoczyna śledztwo skąd budujący bierze na to środki; z reguły wykrywa jakieś „nadużycia” i niszczy go nieustawowymi podatkami, które ma prawo wymierzać dowolnie, niezależnie od przepisów fiskalnych, lekarzowi, o ile nie jest lekarzem partyjnym i ustosunkowanym (o ile jest, należy do nowej góry społecznej), unicestwia się praktykę prywatną. Takie szykany omijają nową górę społeczną.

Gdy znudzi mu się własne mieszkanie członek tej „góry” ma do dyspozycji tzw. domy pracy twórczej dla pisarzy, muzyków, dziennikarzy, itd. Są to przeważnie stare pałace, przeobrażone w komfortowe pensjonaty. Opłaty są niewielkie w stosunku do cen rynkowych, zaopatrzenie zaś w żywność pochodzi ze źródeł specjalnych; gdy dany kraj przechodzi swój kolejny kryzys żywnościowy i w miastach tworzą się długie kolejki przed sklepami, przedstawiciele nowej góry społecznej udają się masowo do domów pracy twórczej, gdzie nie grożą im żadne (Ograniczenia i gdzie mogą spokojnie pisać poematy o równości i braterstwie, o obfitości dóbr w socjalizmie i o głodzie wyzyskiwanych ludów kolonialnych).

Uwarunkowanie polityczne nie jest jedyną przeszkodą: dla wyjazdu na Zachód waluty krajów komunistycznych nie mają kursu na Zachodzie, toteż wyjazd uzależniony jest od otrzymania twardej waluty, której jedynym posiadaczem jest państwo. Tylko nowa góra społeczna otrzymuje bez trudu środki na wyjazd. Tak było od początku: wschodnioeuropejska klasa rządząca, w przeciwieństwie do ZSRR, nigdy nie odcinała się od kontaktów z Zachodem. Zachód jest korzystniejszym partnerem handlowym, jego partie komunistyczne K lewicowe są terenem misyjnym i ewentualnym sojusznikiem przeciw sowieckiej hegemonii, przynależność do zachodniej cywilizacji stanowi potężną, nigdy nie wykorzenioną tęsknotę wschodnioeuropejskich mas; wreszcie rządy komunistyczne były w tych krajach wynikiem porozumienia Zachodu ze Stalinem, należy przeto Zachód upewniać, że nie zrobił nic złego i dokonał właściwego wyboru. Jedzie więc nowa góra społeczna na zjazdy, kongresy, festiwale, do jury międzynarodowych konkursów. Klasa rządząca ryzykuje niewiele, gdzież może być członkom nowej góry społecznej lepiej niż w domu? Zachód zaś ogląda ją z

uznaniem,— zachwyca się jak dobrze powodzi się w komunizmie prawdziwym intelektualistom. Biedny Zachód! Nie ma pojęcia o tym, jak dokładne instrukcje w sprawie pokazowego nonkonformizmu otrzymują przed wyjazdem. Zresztą klasa rządząca zostawia swym podwładnym dość duże pole do prywatnej przedsiębiorczości. Znane są postacie dziennikarzy, którzy oferują zachodnim liniom lotniczym pisanie artykułów o nich w komunistycznej prasie w zamian za kosztowne, egzotyczne podróże. Zachodnie linie lotnicze dają im darmowe bilety i apanaże, dziennikarze jadą, wracają i piszą zjadliwe antyamerykańskie reportaże; kiedy ich sponsorzy robią im wyrzuty, że nie dotrzymują umowy i nawet nie wspominają o liniach, które ich gościły, dziennikarze powołują się na cenzurę, która jakoby nie pozwala im pisać pozytywnie o zachodnich przedsiębiorstwach, czym określają siebie jako ofiary braku wolności prasy. Oczywiście, jako wybitni reprezentanci nowej góry społecznej nie mają nigdy trudności z otrzymaniem paszportów zagranicznych i działają w porozumieniu ze swymi zwierzchnikami z klasy rządzącej, którzy nazywają tę „gierkę” robieniem antyzachodniej propagandy za zachodnie pieniądze.

Nieustające wyjazdy i rozsądne operowanie dietami służbowymi są źródłem zachodnich samochodów, odzieży, telewizorów i innych akcesoriów umilających życie. Zachodni obserwator stwierdza częstokroć ze zdumieniem na różnych party jak wytworny tłum go otacza: sposób ubierania się kobiet i mężczyzn nie odbiega od londyńsko-paryskich wzorów. Zakupiony zagranicą za państwowe pieniądze materiał oddaje się do krawca-rzemieślnika, który za skromną opłatą ubiera członka nowej góry społecznej w ubranie skrojone na miarę.

Samochody, stroje, bujna towarzyskość, ekskluzywne przyjęcia i mnóstwo wolnego czasu sprawiają, że życie seksualne kwitnie. Uderzający kontrast społeczny przyciąga młode, ładne dziewczęta ze środowisk upośledzonych, czyni z nich łatwy łup. Najbardziej atrakcyjne i przedsiębiorcze wchodzi do nowej grupy społecznej jako żony: w jej obrębie zachowują się jak żony mężów z klas posiadających, skłonne są do płytkich, bezpiecznych przygód i eskapad. W krajach oficjalnego purytanizmu, gdzie hotele skrupulatnie sprawdzają stan cywilny każdej pary, obyczaj i etyka seksualna szukać muszą innych ułatwień. Obszerne, wygodne mieszkania nowej góry społecznej, samochody, telefon (trudno osiągalny dla szarego obywatela) decydują o ułatwieniach; trójkąty i czworokąty małżeńskie sankcjonują się łatwo w tych warunkach, —w ramach elastycznej etyki. Nieustające rozwody są rytmem życia towarzyskiego, nie gorzej niż w Hollywood czynna Rivierze. Homoseksualizm prosperuje, ekscesy i orgie w ściśle zamkniętych kółkach nie należą do rzadkości. Głośna była niegdyś w Budapeszcie sprawa wysokich urzędników węgierskiego lotnictwa cywilnego: oblewali nagie dziewczęta roztopioną czekoladą i współzawodniczyli w zlizywaniu z nich słodkiego płynu. Może cieszyliby się tą niewinną rozrywką do dziś, gdyby nie zostali zadenuncjowani przez kogoś, komu zrobiło się żal marnowania takich ilości czekolady: drgnęło w nim sumienie poddanego systemu, w którym żywność trudniej jest dostarczyć na rynek niż piękne dziewczęta.

Nowa góra społeczna nie kapitalizuje swoich dochodów. Powodem jest zarówno obawa przed klasą rządzącą, która krzywo patrzyłaby na gromadzenie majątków, jak i brak zaufania do komunistycznego pieniądza. Żyje na wysokiej stopie, lecz bez zabezpieczeń, z dnia na dzień, nie żałując sobie niczego w kraju. Natomiast zmienia się w nienasyconego drapieżnika i arcyskapca gdy chodzi o dewizy i dolary. Członkowie jej zdolni są do każdej nikczemności i każdego ryzyka dla ich zdobycia. Zarobki i odznaczenia w dewizach to szczyt marzeń, najwyższy sukces, śmiertelna zawiść ze strony reszty środowiska. Dla ich zdobycia podejmuje się różne nielegalne transakcje i kombinacje, kończące się często utratą przywilejów. Częściej jednak klasa rządząca potrafi wybaczyć nadużycia i zatrzeć każdy skandal.

Błędem byłoby upatrywać postawę życiową członków góry społecznej wyłącznie w pogoni za materialnymi satysfakcjami, motorem ich poczynań jest głód znaczenia i potrzeba

wyniesienia ponad innych. Dowodzi tego ich ostrożność i balans w ujawnianiu własnego powodzenia, w jego celebrowaniu: zasadą jest, że należy je ukazywać gorszym bliźnim, ale ostrożnie, bez budzenia zazdrości, lecz tylko podziw, konieczny dla dobrego samopoczucia. Wielu wierzy w wyjątkowość swego talentu i uważa, że wszelkie środki są usprawiedliwione dla jego otwartej realizacji, albowiem za 100 lat nikt nie spyta czy twórca był politycznym hipokrytą, tylko co po sobie zostawił. Wydaje się jednak, że lokajstwo i poniżające posłuszeństwo silniejszym, nie są żyznym klimatem dla twórczości: jak dotąd nie wyprodukowano w kulturze Europy wschodniej niczego godnego przetrwania.

Zarówno postawa czynna, jak bierna są wynikiem wolnego wyboru, czyli wstępnej zgody na cyniczny serwilizm. Członkowie nowej góry społecznej nie kryją tego, ani nie zaprzeczają temu w rozmowach prywatnych. W poszukiwaniu uzasadnień kładą nacisk na przymus, któremu ulegają. Jest to, sądząc z ich słów, przymus ambiwalentny: z jednej strony brutalna presja klasy rządzącej, z drugiej — obowiązek względem narodu, ojczyzny, szerzej pojętej kultury. W drugim wypadku członek nowej góry społecznej zakłada a priori swoją genialność czy nieodzowność dla narodu, kultury itd., która zmusza go do przyjęcia warunków klasy rządzącej. Ta kazuistyka prowadzi do różnych powikłań psychicznych: członkowie nowej góry społecznej pragną aby rzekomy gwałt na ich sumieniach dostrzeżony został i uznany za gwałt przez ich społeczeństwa i opinię intelektualną Zachodu, aby ich rozterki wewnętrzne dały im rozgrzeszenie. Tkwi w nich głęboka nostalgia za moralną czystością i potrzeba usprawiedliwień, a więc świadomość winy. Rodzą się w nich kompleksy: nowa góra społeczna, w jaskrawym przeciwieństwie do klasy rządzącej, wstydi się swych karier, ukrywając ten wstyd poza nonszalancką bufonadą intelektualną i moralną ekwilibrystyką. Towarzyszy im nieodstępny wysiłek, by kariery swe przedstawiać jako rezultat przymusu, siebie zaś jako ofiary „czegoś”. Nad niczym nowa góra społeczna nie pracuje tak gorączkowo jak nad mitem o „prześladowaniach”, którym jakoby ulega ze strony klasy rządzącej, a w które Zachód wierzy. Nic też nie sprawia im większej rozkoszy od chwalenia się tymi „prześladowaniami”, wysłuchiwania wyrazów współczucia za cierpienia lub pochwał za swą nieprzejednaną pryncypialność i prawość, którymi niektórzy intelektualiści Zachodu obsypują niektórych członków komunistycznej nowej góry społecznej.

„Góra” ta wywiera głęboko negatywny wpływ na otaczające je społeczeństwa. Od dwóch stuleci narody Europy wschodniej przywykły widzieć busolę moralną w swej inteligencji, czerpać z niej kategorie honoru i przyzwoitości. Nowa góra społeczna będąc częścią i pochodną inteligencji urabia nowe kategorie i wzory, niezgodne ze szlachetną tradycją tej warstwy społecznej. Co gorsze, przy czynnym poparciu klasy rządzącej uzurpuje sobie kłamliwe prawo do reprezentowania całej inteligencji. W chytrej technice projekcji, przy pomocy której komunizm ukazuje społeczeństwom ich własny obraz, nowa góra społeczna przysłania sobą tych, którzy bronią się, nie ulegają korupcji ani deprawacji. Fałszywa dialektyka zwycięskiego komunizmu wryła w społeczną świadomość prawo, że nie ma tego czego nie widać. Narody, pozbawione widoku zmagania o niepodległość umysłów i charakterów, obojętnieją moralnie, miękną w oporze. Wpierw czy później przyjmują nową górę społeczną jako obiekt zazdrosnych westchnień i plotek, a także jako niezawodny przepis na jednostkowe powodzenie w życiu.

Należy wystrzegać się uproszczeń. Nowa góra społeczna składa się zarówno z członków partii, jak i z bezpartyjnych: legitymacja partyjna nic nie znaczy przy jej ocenach i opisach. Nie jest odpowiednikiem ani reprezentantem elity umysłowej, nie reprezentuje kultury. Pewne dziedziny kultury oddane jej zostały w pacht, ma ona także ambicje wyłączności i hegemonii, nie udało jej się jednak nigdy i nigdzie kultury zmonopolizować. W okresie poststalinowskiej odwilży w Polsce i na Węgrzech, a później w Czechosłowacji, kultura zdołała się wyrwać z uchwytu klasy rządzącej i nowej góry i stała się na krótko domeną liberałów, nonkonformistów i zbuntowanej młodzieży.

Porównanie z zachodnią górą społeczną wykazuje podobieństwa i różnice. Tu i tam o przynależności decyduje pieniądz, powodzenie,— łatwość życia i użycia. W kapitalizmie awantaze te wynikają albo z dziedziczenia majątkowego, albo schlebienia niewybrednym gustom mas, które nie wymaga inteligencji ani błyskotliwości, mogą jednak być wynikiem autentycznie zasłużonego sukcesu. W komunizmie sukces jest wynikiem cynizmu i intelektualnej przebiegłości. Na Zachodzie modna elita składa się przeważnie z bogatych nierobów, wyzbytych jakichkolwiek ambicji poza błyszczaniem, z gwiazd ekranu i estrady, żenujących swą umysłową tępota i chamstwem, których wywiady w prasie ujawniają niepojęte wręcz złoża psychicznego prostactwa. W tym ujęciu porównanie wypada na korzyść komunistycznej modnej elity, która jest gruntownie wykształcona, błyskotliwa, zajmująca. Obcowanie z jej przedstawicielami stanowi prawdziwą przyjemność, są to przeważnie ludzie pełni wdzięku, prowadzący pasjonujące rozmowy, mistrzowie ironii i kpiny. Przypominają renesansowych i rokokowych dworzan, mądrych, jadowitych, świadomych wszelkich tajemnic życia, przewrotnych samoszyderców i pochlebców. Panuje wśród nich kult dowcipu za wszelką cenę, nawet za cenę rezygnacji z resztek własnej godności. Zachodnia modna elita mimo swej płycizny umysłowej i moralno—ideowej obojętności, jest niezależna od swych warstw rządzących, zdobywa się czasami na pożyteczny mecenat dla sztuk czy filantropię dla nauki. Nie demoralizuje swych społeczeństw: młodzież ma doń stosunek lekceważący, jeśli zaś stawia sobie za cel jego materialny dobrobyt, wtedy wystarczy, że dobrze śpiewając nauczy się również dobrze sprzedawać swój talent lub schlebiać gustom publiczności, co może Unicestwia moralnie jednostkę, lecz nie wyrządza szkody społecznej. Komunistyczna, modna elita jest bezbronnym klientem klasy rządzącej, a jako jedyny regulator sukcesu proponuje konformizm, czyniąc z siebie samego nieubłaganego deprawatora.

Zachód, a zwłaszcza pewne jego kręgi intelektualne, widzą w nowej górze społecznej swego sojusznika. Panuje błędna teoria, że cynizm jest źródłem komunistycznych rozłamów, schizm i herezji, że głód dóbr doczesnych zmusi w końcu surowych dogmatyków z klasy rządzącej do koncesji, zaś naczelnym chorążym konsumpcji jest nowa góra społeczna. Sprzedajność jej jest w oczach pewnych *political scientists* okazją do infiltracji, do wstrzykiwania idei i koncepcji politycznych, do zarażania tamtych społeczeństw Zachodem, jego kulturą i cywilizacją. Co płytsi i naiwniejsi obserwatorzy z Zachodu przyjmują deklaracje nowej góry społecznej jako szczere wyznania wiary i przekonań, wierzą w ich ostentacyjny liberalizm i ostrożny opozycjonizm. Nie doceniają oni stopnia wierności nowej góry społecznej dla swych klas rządzących. Wierność ta nie jest, rzecz jasna, cnotą, lecz wyrachowaniem. Nikt na świecie nie jest w stanie dać ludziom tym lepszego życia od ich klasy rządzącej. Dlaczego więc narażać na szwank coś, czemu lepiej i łatwiej jest dać pseudomoralne uzasadnienie? Nawet w chwili najbardziej bezlitosnej konfrontacji i rekapitulacji własnych nędz, upadków i poniżeń osobnik ze wschodnio—europejskiej nowej góry społecznej wierzy, iż swą obecnością humanizuje, upiększa i łagodzi coś groźnego, brudnego i nieludzkiego. Uważa się za różę w lufie karabinu wymierzonego w ludzkość i człowieczeństwo.

CZEMU SŁUŻY SPORT

Sport w komunizmie służy wykazywaniu wyższości komunizmu nad demokracją. Tak ważki cel uświęca wszelkie dostępne środki, toteż ci co zawiadują sportem w krajach komunistycznych — a są to ogromne instytucje w wielopiętrowych gmachach pełnych tysięcy urzędników — robią wszystko aby komunistyczni zawodnicy zwyciężali w spotkaniach z zawodnikami spoza komunizmu. Najprostszym zabiegiem jest jak zawsze pospolite oszustwo polegające na przedstawianiu zawodowców jako amatorów, skoro wiadome jest że amator w dobie dzisiejszej specjalizacji nie jest w stanie pokonać zawodowca, który całe swe życie, czas, siły poświęca szlifowaniu swej formy. Młody człowiek w komunizmie, który ma po temu fizyczne warunki, wybiera karierę zawodnika. O ile wykaże się talentem i wynikami, państwo przyjmuje dalszą odpowiedzialność za jego losy, wynagradza go o wiele hojniej niż kogokolwiek, zapewnia mu *dolce vita* dostępne tylko wybrancom losu, dba o jego rodzinę, obsypuje go nagrodami w formie wygodnych mieszkań, samochodów, bezpłatnych wakacji w najlepszych hotelach, nie mówiąc już o tak drobnej premii jak pieniądze, które płyną mu jako lukratywne pensje z fikcyjnych posad w fabrykach czy biurach, gdzie noga jego nigdy nie powstała.

Jedynym jego zadaniem w zamian za ten róg obfitości i te bogactwa jest wygrywać z zawodnikami z krajów demokratycznych, którzy biegają, skaczą, pływają i wiosłują powodowani upodobaniem, ambicją lub przyjemnością walki, którym nikt za nic nie płaci, prócz kosztów podróży na mecze i zawody. Dlaczego zawodnicy z Zachodu biorą od czasu II Wojny Światowej udział w operetkach i maskaradach zwanych olimpiadami pozostaje tajemnicą dla wielu kibiców sportowych za żelazną kurtyną.

Ktoś może słusznie zauważyć, że młodzi ludzie w Ameryce, o ile mają po temu warunki fizyczne i wykażą się odpowiednim talentem i wynikami, wybierają karierę futbolisty czy baseballisty i zarabiają ogromne pieniądze. Lecz futbol i baseball są jedynymi dyscyplinami sportowymi, w których kraje komunistyczne nie konkurują z Ameryką. Tym samym nie ryzykują katastrofalnych klęsk. Gdyby jednak nauczyły się grać w futbol i baseball, na pewno odmówiłyby spotkań z Green Bay Packers czy Orioles. Albowiem według komunistycznego systemu wyjaśniania zjawisk, ci ostatni są produktem kapitalizmu, płacącego skorumpowanym atletom brudne pieniądze za brutalne pokazy siły.

KULTURA — CZYLI NIEWIARA DOSKONAŁA

Nóż, widelec i łyżka — uprościł kiedyś pewien pisarz polski — to cywilizacja. Zaś sposób posługiwania się nimi — to kultura” O ile więc nauka, sztuka, literatura stanowią w tradycyjnym rozumieniu tę część cywilizacji, którą nazywamy kulturą, to komunizm szuka bardziej precyzyjnych zaszeregowień. Dopiero sposób posługiwania się nauką, literaturą i sztuką dla swoich własnych celów, jest nazywany przez komunistów kulturą. Stąd obiektywny zespół sądów, norm, kryteriów i ocen, składający się na życie kulturalne w demokracjach, nie istnieje w komunizmie i zastąpiony jest przez coś co zwie się polityką kulturalną. Polityka kulturalna jest niezwykle symbiozą dogmatyzmu i kaprysu. Wydaje się to niemożliwością lub paradoksem, lecz stanowi rzeczywistość w komunizmie. Dwa warunki muszą być spełnione dla jej funkcjonowania: kaprys, czyli najczęściej kapryśne przeinaczenie bądź diametralna akceptacja czegoś co jeszcze wczoraj uchodziło za śmiertelny grzech, musi być posunięty do granic surrealizmu.

Siła komunizmu polega, jak pewien pisarz zauważył, na fantastyczności zjawiska. Toteż jeśli zawiadujący kulturą w komunizmie oznajmiają, że wczorajszy geniusz jest dzisiejszym idiotą, to tylko tak fantastyczna wolta ma szansę, że konsument kultury wzruszy ramionami i powie sobie: czemu nie? Oświadczenie bowiem, że wczorajszy geniusz może nie jest taki mądry jakby się wydawało jest zaproszeniem do polemiki, a polemika w komunizmie nie istnieje. Istnieje tylko dyskusja, której prawidła i przepisy są ściśle określone: wolno w niej, tylko wymienić przymiotniki, tak że jeśli jeden dyskutant oświadczy, że komunizm jest dobry, następny może się z nim zgodzić lub nie, oświadczać że komunizm jest piękny, trzeci zaś dyskutant ma prawo zaprzeczyć im obojgu i powiedzieć, że komunizm jest i piękny i dobry. Przykład ten można ciągnąć w nieskończoność, jako że zaciekle kłótnia o to czy komunizm jest bardziej dobry, czy bardziej piękny, stanowi właśnie jądro polityki kulturalnej.

Drugi warunek, czyli dogmatyzm stanowi naturalną przeciwwagę kaprysu, czyli że bądź afirmacja, bądź negacja w imię idiotyzmu muszą być jednakowo niewzruszone. Do roku 1956 William Faulkner określany był przez komunistyczną krytykę literacką jako zboczeniec i sadysta, Hemingway był podżegaczem wojennym, a John Steinbeck tanim pisarzem pornograficznym. Po tym roku, który, jak wiadomo, stanowił początek ery tzw. pokojowej koegzystencji, Faulkner uznany został za wielkiego moralistę, Hemingway awansował na ostatniego wielkiego romantyka, a Steinbeck stał się wielkim pisarzem obyczajowym. W dziesięć lat później, oficjalna doktryna polityki kulturalnej oparta była na już stwierdzeniu, że wprawdzie zimna wojna nie istnieje, lecz pokojowa koegzystencja dotyczy tylko polityki zagranicznej — każda inna dziedzina życia i myśli jest terenem nieubłaganej wojny ideologicznej, w której imperialiści używają każdej metody prowadzącej do rozkładu psychomoralnego społeczeństw socjalistycznych. Tym samym Faulkner został wyrafinowanym obrońcą resztek feudalizmu, Hemingway animalistycznym behawiorystą, zaś Steinbeck upadł na dno psychologizmu, gdzie każdą zgniłoliberalną podłość uzasadnić można relatywistyczną psychoanalizą. Wszyscy trzej, aczkolwiek nic w ich życiorysach nie wskazuje na powiązanie z wywiadem amerykańskim, są jednak obiektywnymi narzędziami CIA, której zadaniem na aktualnym etapie, gdy ZSRR jest silniejszy (zdaniem dogmatyków) militarnie od USA, jest zatruć i zregenerować ducha narodów, które wybrały socjalizm. Dowody na to są oczywiste: książki Hemingwaya i Steinbecka, nawet w jednorazowych 30-tysięcznych nakładach wyrwane są z rąk sprzedawców w Czechosłowacji i na Węgrzech i znikają ze sklepów w ciągu jednego dnia, Faulkner zaś przepisywany jest w Rosji na prywatnych maszynach do pisania i krąży wśród młodzieży uniwersyteckiej w maszynopisach — czyli w tzw. Samizdacie, to jest w podziemnej, nielegalnej formie rozprowadzania piśmiennictwa zabronionego oficjalnie przez władze komunistyczne. Fakt, że istnieje rzeczywistość, w której

robotnik za całomiesięczną pensję może kupić tylko jedną parę butów, w której Trocki może być ogłoszony agentem Hitlera i w której to samo pokolenie naucza się, że ten sam pisarz jest zwyrodnialcem i moralistą, wydaje się nie do wiary. Ale — jak dodaje wyżej wzmiankowany pisarz — komuniści stworzyli świat fantastyczny, w który nie można uwierzyć — i w tym ich siła.

Polityka kulturalna jest działaniem, którego celem najwyższym jest stworzenie wiedzy o tym jak ludzie mają myśleć i czuć. Komuniści nie posiadają tej wiedzy, lecz usiłują ją zdobyć za wszelką cenę bez względu na ofiary materialne, na zmarnowane żywoty jednostek, na klęski rozumu, na śmieszność jaką okrywają się na każdym kroku.

Stanisław Ignacy Witkiewicz napisał w latach dwudziestych genialną powieść antycypującą filozoficzną istotę dwudziestowiecznych totalizmów zanim jeszcze komunizm — najgroźniejszy z nich — ujawnił światu swe niedostrzegalne naówczas mechanizmy. Witkiewicz opisuje karierę malajskiego proroka nazwiskiem Murti-Bing, który głosi nową wiarę stanowiącą jakby kwintesencję obezwładniania istoty ludzkiej. Podstawowym elementem rozprzestrzeniania tej wiary jest mała pigułka rozdawana przez fanatycznych głosicieli tej wiary, jak dziś cytaty z Mao Tse-tunga, którą należy połknąć. Połknięta zmienia światopogląd i pozwala na bezbolesne, nawet entuzjastyczne zaakceptowanie każdej zbrodni i każdego szaleństwa przedstawianym jako sprawiedliwość i mądrość. Komunistyczna polityka kulturalna oparta jest fundamentalnie o receptę murti-bingizmu. Ktoś kto raz przyjął komunistyczną hostię przeobraża się w świadomość bezwolną i podatną na przyjęcie stwierdzeń i zaleceń urągających najprymitywniejszym wymogom rozsądku. Odmawiający naraża się na tortury mentalne, których rozciągłości i dogłębności nie sposób jest wytłumaczyć nikomu z zewnątrz. Albowiem w żadnej dziedzinie życia koszmara bezsensu nie przejawia się z taką mocą jak w dziedzinie myśli i twórczości umysłowej, czyli w kulturze.

Politycy kulturalni wychodzą z założenia, że świat jest taki jakim klasycy i teoretycy komunizmu go poznali i określili. Skoro rzeczywistość się nie zgadza z przepisem, tym gorzej dla niej i należy ją zmieniać. Ten zespół zasad ma sens w polityce i — aczkolwiek prowadzi do tyranii — niemniej jest logicznie spoisty W kulturze jednak, a zwłaszcza w twórczości, prowadzi w chaos o niespotykanym dotąd napięciu wykluczających się wzajemnie kategorii ontologicznych i epistemologicznych. Nikt sobie, jak dotąd, nie dał rady z tym odmetem żmudnie wykoncypowanego upraszczania i spłaszczania świata, któremu dialektyczne zaplecze i 50—letnia akumulacja nadają zewnętrzne cechy powagi i dostojeństwa, a który oficjalnie nazywa się dorobkiem bądź panteonem marksowsko—leninowskiej myśli. Zasada tworzenia literackiego zwana realizmem socjalistycznym głosi, że świat ma być przedstawiany nie jakim jest, lecz jakim powinien być zgodnie z wyobrażeniem komunistów o tym jakim powinien być. Zjawia się przeto pytanie, dlaczego taka metoda twórczości nazywana jest realizmem, czyli odtwarzaniem rzeczywistości tak jaką ona jest zgodnie z najpowszechniej dostępną o niej wiedzą. Nawet najinteligentniejszy komunista odpowie na to, że skoro doktryna uznała, że świat powinien być taki to świat jest już taki, co oznacza koniec racjonalności sporu. Rzecz jasna, ta metoda rozumowania sublimowana jest w najróżniejsze delikatności i sofizmaty: mówi się o tym, że prawdziwym realizmem socjalistycznym jest odnajdywanie głęboko ukrytych tendencji rozwoju, które sprawiają, że o ile nawet świat wygląda obiektywnie inaczej, to prawda o jego przyszłości zgodna jest najdokładniej z prawami doktryny, co stanowi jakby realizm na wyrost. Po czym, po latach okazuje się, że wszystko jest inaczej niż przewidywały to kierunkowe rozwoju sprzed paru lat, określane wtedy jako realizm przyszłości, i wszystko raz jeszcze okazuje się piramidalną bzdurą, o której łatwo zapomnieć mając do dyspozycji cenzurę, która nie przepuści słowa wspomnień.

Dwa następne pojęcia określają całokształt tworzenia w komunizmie i stanowią naczelne wytyczne polityki kulturalnej nawet jeśli nazwy ich się zmieniają bądź na czas jakiś zostają

wycofane z obiegu. Jednym z nich jest formalizm czyli teoria, że tylko to co służy ideologii i polityce jest literaturą, sztuką, teatrem itd., wszystko zaś inne pustą formą bez żadnej dla kultury wartości. Drugie zwie się kosmopolityzmem i wyjaśnia że tylko uznanie prymatu i wyłączności tych, którzy położyli fundamenty pod komunistyczną przyszłość świata, czyli w tym wypadku Rosjan, chroni przed uleganiem toksynom i mikrobowi obcych i wrogich ideologii: stąd ten kto uważa, że Szekspir dał więcej światu niż Puszkina jest podstępny kosmopolitą, podczas gdy ten kto twierdzi, że Lenin jest więcej niż Einstein i Gandhi razem, jest internacjonalistą, popierającym czynnie braterstwo ludów.

Obłąd i wynaturzenia realizmu socjalistycznego, popełnione w walce z formalizmem i kosmopolityzmem, widoczne są najlepiej w dziedzinie sztuk plastycznych. Krowa pasąca się na pastwisku w blasku zachodzącego słońca jest oczywiście obrazem formalistycznym, lecz ta sama krowa — o ile w tytule obrazu zaznaczone zostanie, że jest własnością kołchozu — staje się dziełem socjalistycznego realizmu. Jeśli natomiast jakiś krytyk sztuki, równie biegły w dialektyce jak w agrykulturze, wytropi, że jest to krowa rasy holenderskiej, czyli pochodzi z kraju należącego do NATO, artysta, który ją namalował, będzie oskarżony o kosmopolityzm. Kubizm, tasyzm, abstrakcjonizm ogłoszone zostały formalistyczną trucizną imperializmu, jak również konstruktywizm i funkcjonalizm w architekturze. Byłem kiedyś świadkiem dyskusji słynnych marksistowskich filozofów sztuki i teoretyków estetyki, w czasie której stwierdzono, że kształt prostokąta jest zgodny z założeniami realizmu socjalistycznego, podczas gdy owal i koło skażone są tendencją, formalistyczną i kosmopolityczną — nie pamiętam już dowodu tego aksjomatu, lecz wiem, że odznaczał się scholastyczną subtelnością. Na drugim biegunie rozważań o sztuce postawić należy głośną niegdyś opinię marszałka Woroszyłowa, prezesa rady najwyższej ZSRR, który, zwiedzając niegdyś Muzeum Narodowe w Warszawie, na widok płócien sławnego polskiego postimpresjonisty mruknął przez zaciśnięte wargi: „Takiemu artyście trzeba było uciąć ręce”. Na szczęście malarz już nie żył.

W Europie wschodniej lat sześćdziesiątych polityka kulturalna uległa daleko idącym przemianom i wyeliminowała karykaturalne przerosty ortodoksji socrealistycznej. Terminologia krytyki literackiej i artystycznej unika partyjnego żargonu, formalizm i kosmopolityzm utraciły swą magię i swą moc unicestwiania ludzi, ich twórczości, ich zamiarów. Zapominać jednak nie należy o tym, że elementarna współzależność kaprysu z dogmatyzmem ciągle jest jedyną determinacją kultury jako dziedziny życia. Polityka kulturalna się zmienia, ale zostaje nienaruszalną funkcją ogólnopolskiej polityki w sferze kultury. Póki trwa ten stan rzeczy mowy być nie może o samodzielności twórczej intelektualistów i artystów w komunizmie, bez względu na to jakie formy i przejawy śmiałości krytyki i poszukiwań będą dozwolone.

Bez względu na to jaka nomenklatura rządzi aktualnie prasą literacką i czy wolno jest chwalić Prousta i wspominać Dostojewskiego, książka w komunizmie pisana jest ciągle przez pisarza, jego redaktora w wydawnictwie i cenzurę jako ostateczną instancję. Arystofanes, Pascal i Dickens nigdy nie mogą być pewni, czy w zaciszu redaktorskich gabinetów w wydawnictwach nie zostanie im z ręcznej zoperowanych kilka zdań, które po zabiegu takim zmieniają kompletnie swe znaczenie i wyinterpretowane być mogą w uczonej przedmowie jako prawdziwy i nieskażony tekst wielkiego pisarza, dowodzący jego oddania sprawie ludu i rewolucji socjalnej, dotąd zaciekle wymazywany przez jego feudalnych czy kapitalistycznych wydawców i komentatorów. Nikt się o ich prawa i pogwałconą własność nie będzie w stanie upomnieć w komunizmie, a wątpliwe jest czy uczeni w Harvardzie i na Sorbonie tropią fałszerstwa w Arystofaniesie po bułgarsku, czy w Pascalu po rumuńsku, a jeśli tropią — to co z tego? Sam byłem świadkiem jak dopisywano dialogi w polskim przekładzie powieści współczesnego pisarza australijskiego, fanatycznego komunisty.

— Przecież to komunistyczny i prawomyślny pisarz — powiedziałem.

— Ale nie taki jakiego my *teraz* potrzebujemy — padła odpowiedź.

— Czy nie możecie go zapytać o pozwolenie? Może się zgodzi?

Redaktor uśmiechnął się pobłażliwie.

— W ogóle nie zrozumie o co chodzi — odparł.

Ludzi tworzących w tych warunkach kulturę najprościej byłoby uznać za masochistów, lecz byłoby to określenie mało precyzyjne. Dzielią się oni z grubsza na trzy kategorie. Pierwszy stanowią ci, którzy wierzą, bezwzględnie w komunizm. Jest ich bardzo mało, są najgłupszy i najmniej utalentowani, zarabiają najwięcej pieniędzy, spada na nich najwięcej zaszczytów i sławy, piszą o nich bez przerwy gazety. Drugą stanowią ci, którzy są przeciw komunizmowi w sposób otwarty i zasadniczy. Tych też jest bardzo mało i w ogóle nie wiadomo czy robią cokolwiek, bo nikt nie wydaje ich książek, nikt nie wykonuje ich muzyki, nikt nie wystawia ich obrazów, nikt im nie daje żadnych pieniędzy, nikt o nich nigdzie nie pisze i w ogóle właściwie ich nie ma, aczkolwiek wie się, że istnieją i mają oni swą ustaloną rangę w istniejącej poza obowiązującą rzeczywistością, szeptanej hierarchii. Trzecią i najliczniejszą kategorię stanowią ci pośrodku. Ów środek jest niezwykle skomplikowaną, pełną ambiwalencji i sprzeczności mozaiką, której jedyną wspólną cechą jest chęć brania udziału. Jest to jakby połknięcie połowy pigułki Murti-Binga: połykający akceptuje, ale nie opuszcza go gorzka świadomość udziału w jakimś zbrodniczym idiotyzmie, w którym jakoś chce brać udział. A chce z najrozmaitszych powodów: bo

trochę wierzy, ale nie we wszystko; bo jest właściwie przeciw, ale niezupełnie; bo chce wydawać swe książki, wystawiać obrazy, słyszeć kompozycje, nie marnować życia na jałowy opór, który mu się wydaje bez szans. Postawę tę można bez trudu nazwać sprzedaniem się w zamian za czysto materialne osiągnięcia i sukcesy, można ją też nazwać cynizmem, w obu wypadkach miano będzie niezupełnie przylegało do prawdy, aczkolwiek i cynizm i selling—onl są tej postawy składnikami. Pewien wschodnioeuropejski pisarz nazwał środowisko tych intelektualistów, pisarzy, artystów dworem — i jest to definicja oszołamiąca swą celnością. Ludzie ci są dworakami komunizmu w takim stopniu, jak dworacy renesansu, baroku i rokokowego absolutyzmu istnieli i prosperowali na dworach swych władców, panów, tyranów. Ich zadaniem jest cyniczne pochlebstwo, za które otrzymają kosztowny, pierścień i tytuł faworyta, a z którego sami śmieją się i szydzą po kątach salonów. Ich taktyką jest zręczny konformizm dworzanina chwytającego w lot co jest potrzebne władcy i wiedzącego jak dać mu najmniej tego w zamian za jak największą nagrodę w łaskach, pieniądzach, przywilejach. Ich satysfakcją są rozkosze podskórnych porozumień, w lot łapanych dowcipów i skojarzeń, ostrych, drwiących bon—mol’ów, zmrużeń oczu, grymasów ust, bezradnego lecz wszechwiedzącego gestu dłoni ludzi, którzy rozumieją wszystko, wybaczą wszystko i są zdolni do wszystkiego. Ich moralną dewizą jest ironiczne wzruszenie ramion i formuła: „Ależ wiemy, wiemy, to wszystko jest podłe, wstrętne i idiotyczne, ale jakże zabawne! A zresztą, cóż można zrobić przeciw ich potędze?” i zgodnie z tym głębokim przeświadczeniem nazwiska ich można znaleźć nazajutrz pod esejami i poematami opiewającymi owe przestępstwa i bzdury w słowach wyszukanych i nabrzmiałych od poetyckich natchnień. To co robią, uważają za nieważne, a zwłaszcza za nie podlegające ocenie z zewnątrz, za wyobcowane zarówno ze społecznego kontekstu, jak i z jakiegokolwiek zdrowego sensu, a więc wymykające się sądom i kryteriom. Tych zaś co uważają ich życie za podlegające jakiejś społeczno—moralnej ocenie, mają za głupców i mówią: „My wiemy, że to co się dzieje to jedna wielka paranoja i ta nasza wiedza wystarczy zarówno dla oceny nas, jak i dla przeniesienia czegoś ważnego przez czasy pogardy. A żyć trzeba...” W ten sposób udzielają sobie bezapelacyjnej absencji. Gdy zaś jeżdżą na Zachód — a jeżdżą nieustająco, gdyż jako faworyci mają akces do wszelkich przywilejów — wygłaszają przemówienia publiczne lub odbywają zaufane rozmowy z kolegami w swoim zawodzie, w których zapewniają o swej niezłomnej wierności pryncypiom, swej kryształowej uczciwości, która przybierać musi

pozory oportunisty, o swych cierpieniach w imię ideałów literatury, sztuki, prawdy, człowieczeństwa. Nic im za to nie grozi. Po powrocie na dwór władcy opowiedzą mu, pękając ze śmiechu i budząc w nim rozbawienie, o naiwności wrogów, których będzie tak łatwo pokonać ze względu na ich łatwowierność. I władca czasami im wierzy, co być może jest ich jedyną zasługą. Są między nimi arcy mistrze przeniewierstwa, okłamywania wszystkich z sobą samym włącznie, wirtuozi intrygi wikłającej się bez końca.

Pewien rosyjski poeta, fetowany na Zachodzie jako nieugięty nonkonformista, uchodzi za takiego, który pisze listy do władców, protestujące przeciw ich różnym posunięciom. O listach tych krążą wspaniałe legendy, o ich odwadze, o ostrości sformułowań, o bohaterskim wyzwaniu w nich zawartym, o gotowości do ofiary w imię prawdy i sprawiedliwości. Są to listy-poematy, wstrząsające sumieniami autokratów i ustawiające ich autora na równi z Sokratesem i Galileuszem. Rzecz w tym, że listów tych nikt nigdy nie widział. Poeta mówi o nich w tajemnicy napotkanym na ulicy znajomym i plotka zaczyna krążyć. Gdzie są dowody? Dowodów nie ma i nie może być, ostatecznie żyje się w totalizmie, gdzie wszystko się niszczy, fałszuje, przemilcza, gdzie żadna stała wartość czy stały element nie ostaje się w nawałnicy bezprawia. Po czym poeta, arcywzór dworaka, zausznika i totumfackiego tyrana na Kremlu wyjeżdża w nową podróż zagraniczną z instrukcjami jak udawać niezależnego poetę sowieckiego w Nowym Jorku i w Acapulco. Tuż przed wyjazdem szepce w ucho odprowadzającego znajomego, że zmusza się go do opuszczenia kraju aby zniwelować skutki jego protestującego listu, który wywołał piorunujące wrażenie w kołach Politbiura.

Dwór ma jednak swoje pojęcia honoru i godności, co stanowić może rzecz zaskakującą w tym obrazy upodlenia i serwilizmu. W jego wewnętrznych rozgrywkach, animozjach, sympatiach, antypatiach i admiracjach miarą wartości jest stopień konformizmu. Tuż po wojnie niekomunistyczny ruch oporu przeciw Niemcom, który tworzył historię w Europie wschodniej, nie istniał w oficjalnym obrazy niedawnej przeszłości. Komuniści z zaciekleścią wymazywali każdą możliwość wzmianki o tym, że zasadniczy ciężar walki z hitleryzmem spoczywał na barkach milionów ludzi, którzy z komunizmem nic nie mieli wspólnego, a których Czerwona Armia, okupując Polskę, Czechosłowację, Rumunię po wyparciu Niemców, mordowała i wywoziła na Syberię. Toteż w literaturze powojennej owych krajów brak było tych, o których bohaterstwie i o poświęceniach wiedziały całe społeczeństwa, a książki i filmy pełne były komunistycznych partyzantów, których w czasie wojny nikt nie widział i nie miał pojęcia o ich istnieniu. Społeczeństwa czytając te książki i oglądając filmy, budowały w sobie trwałą niewiarę we wszystko co komunistyczne i uczyły się współżyć z fantazją, która w kulturze obowiązywała jako rzeczywistość. Toteż gdy pewien polski pisarz z dworu, a za nim pewien reżyser filmowy, wpadł na pomysł aby wprowadzić do swych utworów negatywną postać niekomunistycznego partyzanta, zohydzonego zgodnie z zaleceniami partyjnej dialektyki, ale obdarzonego cechami prawdopodobieństwa — powodzenie książki czy filmu wśród publiczności dochodziło do zenitu. Czytelnikom i widzom było wszystko jedno jak pokazany czy scharakteryzowany będzie partyzant, mieli oni o tym swoje własne zdanie, ale fakt, że istniał na kartkach książki czy na ekranie stanowił jakieś wyzwanie rzucone nakazowi z góry. Oczywiście, nic nie ukazuje się w kraju komunistycznym bez zezwolenia z góry, władza zaś, udzielająca zezwolenia, dostrzega w tym jakieś swoje korzyści. W ostatecznym rozrachunku publiczność otrzymuje swe satysfakcje, oglądając swego partyzanta, władza cieszy się, że w subtelniejszy sposób niż dotąd spotwarzyła tego samego partyzanta, a pisarz czy reżyser chodzi w glorii chwilowego nonkonformisty, albowiem wydaje mu się, że przechytrzył władzę i zmusił ją do koncesji, o czym wdzięczna publiczność wie i nigdy mu tego nie zapomni. I wszyscy zgodnie zapominają, że o partyzancie, o jego bohaterskiej walce i o tym jak było naprawdę zostało powiedziane jeszcze jedno, wielkie kłamstwo.

W okresie przełomu po śmierci Stalina filmowcy w Europie wschodniej stosowali osobliwą taktykę, którą nazywali walką o rozszerzenie swobód twórczych. Mianowicie kręcąc służalcze, konformistyczne filmy o komunistycznych partyzantach lub o robotnikach i robotnicach walczących o podniesienie wydajności produkcji, według najbardziej obskuranckich scenariuszy socrealistycznych, ubierali swych aktorów, a zwłaszcza aktorki, zgodnie z aktualnie obowiązującą na Zachodzie modą. Bohaterki wygłaszały więc kwestie przypominające bardziej artykuły wstępne z „Prawdy” niż normalne dialogi, ale za to na głowach miały najnowsze uczesanie według paryskiego „Vogue”. Oczywiście, filmowcy uważali to za dowód niezwyklej odwagi i niezależności twórczej, albowiem ich cenzorzy są tak wyostrzeni w tropieniu każdego szczegółu, ich zdaniem niezgodnego z czystością komunistycznego filmu, że filmowcy muszą toczyć śmiertelną walkę o każdy sweter i każdy lok. Ale widz nie zdaje sobie sprawy z żelaznego uchwytu cenzury, nie słucha dialogu i nic go nie obchodzi co aktorzy mają do powiedzenia, widzi tylko sweter i lok i jest szczęśliwy, że może sobie trochę popatrzeć na taką manifestację prozachodniości. Filmowcy zaś chodzą w glorii nonkonformistów i uważają się za niezłomnych bojowników z przemocą totalizmu, albowiem ich przynależność do dworu tak znieczuliła ich moralnie i poznawczo, tak zredukowała ich godność własną i zdolność widzenia rzeczy w ich właściwym wymiarze, że już nie meritum poglądów, słów, czy postępowania filmowej postaci ma dla nich znaczenie, lecz jej akcesorium.

Owocem polityki kulturalnej w komunizmie jest atmosfera zupełnej niewiary w cokolwiek — w jakikolwiek fakt, czy w jakąkolwiek wartość, wyprodukowaną w komunizmie w imię kultury. Niewiara ta obejmuje zgodnym uściskiem producenta i konsumenta kultury jednakowo. Postacie literackie pomyślane jako wiekopomne wzorce do naśladowania i usilnie forsowane przez wszystkie możliwe media jako symbole cnót obywatelskich i osobistych są przedmiotem powszechnych żartów i służą jako sygnały wywoławcze dowcipów. Rezultaty tego stanu rzeczy są zadziwiające. W rok potem gdy polska telewizja zakupiła stare i tanie amerykańskie filmy seryjne dla programów rozrywkowych, 90% chłopców pytanym w ankietach kto jest ideałem ich marzeń odpowiadało: Zorro. A na pytanie: jaką z postaci literackich lub filmowych poznanych przez ciebie w ostatnich latach chciałbyś spotkać w życiu? — miliony polskich telewidzów odpowiedziały zgodnym chórem: doktor Kildare. Biadając nad tym zjawiskiem i piorunując na jego ewentualne skutki, urzędowy organ polskiej partii komunistycznej napisał: „Dlaczego tamta prawda zyskuje u nas tysiące wielbicieli i sympatyków? . . .” Odpowiedź na to pytanie jest niezwykle prosta, lecz w Polsce nie można jej wydrukować, ani wypowiedzieć publicznie po polsku. Może zresztą nie ma potrzeby.

CO TO JEST REWIZJONIZM

Ortodoksi w marksizmie ciągle jeszcze deklamują o tym jak masy robią historię. Praktycy komunizmu uważają masy za mierzwę. W gruncie rzeczy jest wszystko inaczej. Masy nie robią żadnej historii w demokracjach kapitalistycznych, gdzie zajęte są telewizją i troską o właściwe wykorzystanie *week-endów*. W demokracjach historię robią żarci ambicjami politycy i intelektualiści, rozżarci własną pasją mili—tanci i aktywiści, niedomyci fanatycy niedowarzonych idei, którym nikt nie przeszkadza i którym wszystko wolno, względnie oględni specjaliści—technokraci z solidnym wykształceniem. Z tasiemcowych rozpraw i polemik jednych i drugich żyją w kapitalizmie całe przemysły. W komunizmie oszalałe od nadmiaru władzy indywidua i całe Politbiura ustanawiają prawa nieludzkich porządków, ale właśnie masy — zbita, bezkształtna, bezkierunkowa na pozór pulpa, sterroryzowana i jakby bezwolna — określa historię ciężarem swej bierności. W komunizmie masy nienawidzą komunizmu, a chociażby i tylko byty mu niechętnie, to ciężar jednostkowej niechęci przemnożony przez setki milionów żywotów ludzkich sprawia, że mimo najdoskonalszego systemu terroru w dziejach wszystko rozplywa się, rozmazuje i obraca w gnój karykaturalnie zaprzepaszczonej planów gospodarczych.

Zachód potrafi dostrzec rozruchy uliczne w Berlinie, powstanie w Budapeszcie i Poznaniu, inwazję Czechosłowacji i procesy krnąbrnych literatów w Moskwie, ale nie umie rozeznaczyć właściwie owej formy nieprzyjęcia komunizmu, owego braku zatwierdzenia przez masy rodzającego bierny opór mas. Istnieje wiele wyjaśnień tego stanu rzeczy, aczkolwiek żadne z nich nie zadowala w pełni. Odraza do doktryny i do metod. Poczucie wyższości i słabo zdefiniowana, lecz realnie istniejąca wiedza o tym jak powinno być wyczuwalna jest u każdego Węgry, Czechy, Polacy, rodząc w tych krajach jakby nową formę oporu pośredniego, dezorganizującego, alienacyjnego. W Rosji, Rumunii, czy Bułgarii masy pozbawione są tego poczucia wyższości wobec swych komunistycznych wielkorządców, stąd w społeczeństwach tamtych niechęć przybiera od czasu do czasu formę westernizacji, lecz nie stanowi elementu w procesie liberalizacyjnym. Polski czy czeski student szuka *bell-bottom trousers* czy psychodelicznej koszuli i poszukiwania takie wiążą mu się wyraźnie z pogardą i nienawiścią do komunizmu i jego porządków. Rosyjski *stiliaga* czy huligan nienawidzi tylko milicjanta, który ściga go za krój spodni, ale co do komunizmu to nie ma własnego wyrobionego zdania. Aktualna polska i czeska apatia wywodzi się z dziwną ambiwalencją z tylko częściowo zrealizowanych celów w czasie respektywnych odwilży w obu krajach oraz ze sfrustrowania nieproduktywnym wysiłkiem ażeby coś lepiej urządzić. Wygląda to na sprzeczność, ale nią nie jest — jest tylko właściwością owych nowych form oporu poprzez nieprzyjęcie credo. Stąd łatwiej jest wysłać z krajów komunistycznych rakietę na księżyc, niż zorganizować służbę zdrowia zaspakajającą choć 2% potrzeb społeczeństwa, w którym każdy ma wszystko gdzieś. Kilka gramów apatii, frustracji i palącej urazy do otaczającej rzeczywistości, przemnożone przez miliony ludzi, to już jest coś. W ten sposób rodzą się utrapienia prowadzące pianę na wargi komunistycznych dyktatorów. A także niewygodne kręcenie się na krześle inteligentniej szych komunistów, zwane .wytwornie przez życzliwych badaczy rewizjonizmem lub niepokojem partyjnych intelektualistów.

Problem byłych stalinowców i tych co czynnie współdziałali z najokrutniejszym czasokresem komunizmu w ramach wszelkich motywacji — od szczerej wiary, poprzez hipokryzję aż do cynicznej pobłażliwości i egoistycznego konformizmu — pozostaje problemem kluczowym dla uczuć i postaw moralnych całych pokoleń. Stalinizm rozciągnął w komunizmie siatkę międzyludzkich współzależności o moralnej strukturze niezbadanych aż dotąd zakamarków. Jakże często to co niektórzy z kuglarską zręcznością przedstawiali jako konflikt sumień epoki, okazywało się zwykłym oszustwem ideowym i umysłowym. Jakże

często ostentacyjna trywialność okazywała się jedyną możliwą próbą zachowania godności własnej. Dziś na Zachodzie w warunkach wolności badań liczni romantycy socjologii, sentymentalni *political scientist* i spekulatywni psycholodzy grzebią się gorliwie w nieskończoności wersji o ideowych egzystencjach byłych stalinowców. Faktem jest, że ci ostatni wyprodukowali gigantyczną literaturę o swych wiarach i bólach pełną tak przepastnych eufemizmów, że można już mówić o neosofistyce jako o odrodzonej gałęzi filozofii. Dla ludzi, którzy żyją w komunizmie, owe przepaście i odmęty są dziecinnie łatwe do zgłębienia, ich prawdziwa płycizna bardziej śmieszy niż poraża. Przerażliwość prawdy leży w komunizmie na ulicy, potwierdza je każde kłamstwo w gazecie i na każdym transparencie. Wiedza o tym jak jest stanowi tkankę codziennego doświadczenia, fakturę bytu.

Niektórzy skłonni są do stawiania znaku równania pomiędzy byłym stalinowcem a rewizjonistą. Jest to o tyle słuszne, że nie weszło jeszcze na polityczną scenę pokolenie, które nie mając żadnych faktycznych związków z tak niedawną przeszłością, wyraziłoby chęć reformowania komunizmu. Nawet najmłodszy znani nam dziś rewizjoniści spędzili swą młodość w stalinowskich organizacjach szkolnych. Doświadczenie zaś uczy nas, że ci którzy mechanicznie powtarzali formułki o młodości pozostali takimi samymi powtarzaczami. Najlepszym materiałem na rozczarowanych są zawsze idealisci, przyjąć więc trzeba, że młodzi dzisiejsi rewizjoniści byli nie tak dawno zaciekłymi stalinowcami. Znają więc piekło niejako od strony nadzorców, co sprawia, że stosunkowo łatwo jest uwierzyć w szczerość i uczciwość ich przełomów. Czy jednak nadejdzie pokolenie, które odmówi akceptacji komunizmu bez próby walki o inny jego kształt — to pozostaje do zobaczenia.

Tak więc rewizjonistą jest taki komunista z łona praktycznego komunizmu, kto uznał je komunizm, wychodząc ze słusznych założeń, znieprawił się, zhańbił i dokonał rzeczy Strasznych w ciągu swej 50-letniej egzystencji. I że należy go zmienić, czyli naprawić. Czyli chce innego komunizmu, ale komunizmu. Zgodzić się można, że wielu rewizjonistów na—; leży do ludzi uczciwych, wierzących w swe przekonania i „we własne intencje. Lecz komunizm stworzył już niezwykle złożoną rzeczywistość społeczną i moralną, ludzkie racje i motywy działania od dawna nie są łatwe do przejrzystych zaszeregowań. Warto przytoczyć tu słowa pewnej polskiej pisarki na temat rządzącej komunistycznym państwem elity: „Są tacy, co wczoraj wierzyli, a dzisiaj przestali już wierzyć, ale mimo to nie zrezygnowali z przynależności do elity,— nie podali się dobrowolnie do dymisji, wprost przeciwnie — nadal głoszą kłamstwo. Oficjalnie głoszą je z wielkim przekonaniem, a prywatnie kpią, szydzą ze wszystkich świętości. Wyrafinowany cynizm tych ludzi uważa się za przejaw dobrego tonu” Dodać należy, że są również tacy co przestali wierzyć, ale udają, że wierzą, a to udawanie i osiagane z niego profity, sławę, dobre życie dla siebie nazywają ulepszaniem, albo humanizowaniem komunizmu. Zapominać nie należy, że brak wiary nie oznacza buntu, oraz że długie lata służby stwarzają skomplikowany system *vested interests*, którego podtrzymywanie identyfikować się może wielu ze słuszną walką o dobrą sprawę. Ludzi w komunizmie fascynuje zjawisko przewrotnej, niezwykle zręcznie kamuflowanej pobłażliwości ortodoksów wobec rewizjonistów. Krańcowe wypadki rewizjonizmu tępią się zaciekle, widoczne jest to w losach przywódców czechosłowackiej reformacji, polskich i jugosłowiańskich schizmatyków. Ale rewizjonizm w Europie wschodniej w latach sześćdziesiątych, był już zjawiskiem powszechnym i codziennym. Rodził się na każdej sesji każdej podstawowej organizacji partyjnej zakładów dystrybucji mleka: ktoś kto chciał podać w wątpliwość dotychczasowe metody rozwożenia mleka i uzasadniał swe wnioski bardziej ogólnym rozważaniem teoretycznym, cytując klasyków, już podpadał pod oskarżenie o rewizjonizm. Uderza tedy masochistyczna skłonność do wybaczeń u najsurowszych komunistycznych Katonów u władzy: karzą winnych lecz po ojcowsku i po bratersku. Nie jest to zresztą sprawą czystych uczuć. Komunizm wschodnioeuropejski nieustająco zagrożony

przez potęgę bierności swych mas, zrozumiał pożytek jaki dają własni, swoi buntownicy, dostrzegł korzyści płynące z posiadania nieautentycznych rebeliantów, pogniwanych i rozgoryczonych, lecz swoich. Autentyczni przeciwnicy byli i są, jak zawsze, wdeptywani obcasami w ziemię, likwidowani, wymazywani, więzieni, pozbawiani środków do minimum egzystencji. A byli bracia, nigdy na serio nie skrzywdzeni, zawsze mają otwarte drzwi do powrotu, albowiem — jak uczy historia — tylko nielicznych heretyków pali się na stosach, większość zaś po latach buntu wraca na łono prawowiernego Kościoła.

Tak więc korzenie rewizjonizmu tkwią w każdym niemal wypadku w byłym stalinizmie i jego moralnym lub pseudo-moralnym przeobrażeniu. Słabość i dwuznaczność tej postawy i tego procesu tkwi w okoliczności, że były stalinowiec domaga się rozgrzeszenia tylko za to, że *przestał* być czymś złym. W przygniatającej większości wypadków nie potrafi on przytoczyć dowodów własnego oporu przeciw złu, jego antystalinizm zaczyna się wraz ze śmiercią Stalina i rewizją pojęć o Stalinie i jego czynach. Były stalinowiec nie wykazuje więc skruchy za to, że służył złu, lecz natychmiast domaga się uznania, szacunku, zainteresowania za to, że już nie służy złu. Czyli w jakiś sposób kapitalizuje swą złą wiarę i złe uczynki, żąda za nie dywidendy. Montaż intelektualnego *establishment* w dzisiejszej Europie wschodniej wsparty jest na niezliczonych odcieniach rewizjonizmu, na półrewizjonizmach i ćwierćrewizjonizmach, na rozlicznych pseudononkonformizmach i niekończących się wersjach oportunistów. Jego *homogeneity* wynika zaś z jednakiej przynależności wszystkich do kategorii byłych stalinowców, a więc ludzi jednakowo wytrenowanych w praktyce kłamstwa w służbie scholastyki przemocy. Udział w tej kongregacji oparty jest na regule przerażającej swą potęgą i perwersyjnością, na zadziwiającej normie wartościowania: ci co się nie mylili nie mogą mieć racji — prawdziwą wartością było służyć złu, a potem przestać i głosić swe nadużyte dobre chęci i oszukana mądrość. Lecz co zrobić z tymi, którzy od początku nie chcieli być zli i głupi i — jak się okazało — mieli rację? Tłumaczy się tedy w różnych dziełach co to jest trudna prawda lub co to jest przewaga ruchu nad bezruchem. Dwudziestowieczna psychologia pozbawiła świat winy, współczesny relatywizm nie wywodzi się w komunizmie z filozofii, lecz z umiejętności żonglowania piłkami o różnych kolorach i napisach. Skutek jest taki, że dziś byli stalinowcy stanowią najpotężniejszą mafię świata, lepiej zorganizowaną niż Cosa Nostra, międzynarodowy homoseksualizm czy filateliści. Ich święta wspólnota polega na — wzajemnym zmywaniu z siebie win i na genialnie skomponowanych żalach na swój zły los zgwałconej i wyeksploatowanej niewinności. Wynik jest olśniewający: w 15 lat po rewelacjach Cbruszczowa, po powstaniach w Polsce i na Węgrzech i po bohaterskim przełomie w Czechosłowacji, najtroskliwszą uwagą i szacunkiem otacza się po obu stronach żelaznej kurtyny ludzie, którzy najgorliwiej lizali buty Stalina i pomagali mu w ustanawianiu moralnych, politycznych i intelektualnych porządków. A potem wycofali się z tego w sposób przepisowy, czyli głosząc swą dziecięcą naiwność. Czyli tych, co posiadli cnotę transfiguracji, a więc cudownego przeistoczenia własnych win i błędów we własną, niepokalaną chwałę. Zapominać nie należy o jednym: rewizjonista nie przestaje być komunistą. Czyli — nie odrzuca totalizmu. Czyli — prawda, w którą wierzy i którą chce głosić jest tylko neo-prawdą i nie wnosi zasadniczego zaprzeczenia do kardynalnych nieprawości i błędów doktryny. Czyli — jak powiedział pewien polski krytyk literacki — domaga się Wyłącznego prawa do naprawiania zegarka dla tych, którzy go zepsuli.

AMERYKA — CZYLI KŁAMSTWO TOTALNE

To że Marx omylił się wie każdy kto wie kto to był Marx. Aż wstyd przypominać, ale Marx przepowiedział wybuch rewolucji w krajach o zaawansowanym uprzemysłowieniu. Wybuchła w zacofanym kraju agrarnym Marx twierdził, że postęp jest funkcją rozwoju sił produkcyjnych. Dziś wiemy, że nieograniczony rozwój sił produkcyjnych ma niewiele wspólnego z postępem i doprowadzić może jedynie do zaniku życia na tej planecie. Marx wierzył w polaryzację i rosnący antagonizm klas w ustroju kapitalistycznym — w sto lat po nim społeczeństwo kapitalistyczne składać się miało po prostu z ogromnej masy proletariatuszy i drobnej garstki ich wyzyskiwaczy i ich najemnych sług. W sto lat po Marxie społeczeństwo demokratyczno-kapitalistyczne jest skomplikowaną mozaiką współzależności pomiędzy ciągle mnożącymi się i obiektywnie zróżnicowanymi grupami społecznymi; ich różnorodność i złożoność przyprawia o ból socjologów usiłujących je klasyfikować. Lenin, najważniejszy po Marxie teoretyk komunizmu, widząc co się święci raczej unikał prorocत्व i przepowiedni. Wierzył jednak głęboko i głosił bezkompromisowo, że proletariatusz, a więc klasa robotnicza, stanowić będzie zawsze awangardę komunizmu, komunistycznej rewolucji i najwierniejszą armię partii komunistycznej. W latach siedemdziesiątych, w Stanach Zjednoczonych, czyli w najuparciej kapitalistycznej demokracji, klasa robotnicza jest najzacieklejszym wrogiem komunizmu i naczelną przeszkodą dla jego działalności w Ameryce. Robotnik amerykański, nie przestając być klasycznym proletariatuszem wyzbytym środków produkcji, posiada warunki materialne i polityczny wpływ na losy swego kraju, o jakich robotnik w kraju komunistycznym nie może marzyć nawet w swych najcudowniejszych snach.

Czym jest Ameryka w krajach komunistycznych wie się bardzo mało w Ameryce. Wiedzą o tym nieco amerykańscy dyplomaci i dziennikarze, ale też nie za dobrze, albowiem komunizm osiągnął wspaniałe rezultaty w izolowaniu i dezinformacji tych wszystkich, których zadaniem jest coś o nim wiedzieć. Zresztą gdyby nawet wiedzieli wszystko aż do końca, ich wiedza nie przydałaby się wiele w informowaniu samej Ameryki. Albowiem Ameryka nie wie o komunizmie z dwóch powodów. Po pierwsze, bo nic wiedzieć nie chce, mało on ją obchodzi, nie wydaje się jej niczym szczególnie różnym od zwykłej obcości, takiej samej jak odrębności geograficzne i etniczne. Po drugie, dlatego że tak dyplomaci, jak dziennikarze, jak wszyscy inni zainteresowani, badają, oceniają, mierzą i wartościują komunizm przy pomocy tradycyjnie amerykańskich kryteriów, norm i instrumentów intelektualnego pomiaru. Czyli stosują zespoły pojęć wypracowane w ciągu ostatnich 5.000 lat, przez judeo-chrześcijańską cywilizację, której Ameryka jest spadkobiercą i dynamicznym promotorem. Tymczasem komunizm w ciągu 50 lat stworzył własną cywilizację, w której wegetują jeszcze relikty ogólnoeuropejskiego dorobku, lecz w której najbardziej podstawowe pojęcia i kryteria tego co dobre i złe, mądre i głupie, od dawna wyrzucone zostały na śmietnik. Stąd skale i hierarchie wartości, które realnie obowiązują w komunizmie, pozostają najczęściej w oczywistym konflikcie z tymi, którymi operuje amerykański dyplomata, dziennikarz czy obserwator. Trudno zresztą o to mieć do niego pretensję: ulega on sile własnych nawyków myślowych, bardzo różnych od tych, które mu są właśnie potrzebne, a dodatkowo jest wystawiony na nieustanne promieniowanie najmisterniej skonstruowanych kłamstw w historii cywilizowanych społeczeństw.

Musimy sobie przypomnieć, że już w zaraniu komunizmu wybuchł brzemienisty w skutki konflikt pomiędzy jego protagonistami. Jedni utrzymywali, że tylko rewolucja na skalę światową może być historycznym zwycięstwem komunizmu; inni, że należy zbudować go naprzód w jednym, odpowiednio potężnym kraju i z bazy tej rozprzestrzeniać na cały świat. Obie strony dysponowały zapasem uczonych argumentów i nieodparty ciał dowodów swej racji. Zwyciężyła druga koncepcja, w imię której Stalin wymordował zwolenników pierwszej

z Trockim na czele. Niemniej jednak przejął jeden z członów rozumowania przeciwników i ogłosił jako dogmat dialektyczny i ideowy, że dopóki istnieć będzie na świecie tzw. kapitalistyczne otoczenie komunizm nie będzie w stanie zrealizować się w pełni i jego świetlane cele, nadzieja całej ludzkości, będą musiały poczekać na pełną implementację. Jest to jeden z najbardziej zadziwiających sofizmatów, imponujących swą funkcjonalnością i intelektualną bezczelnością. Z jednej strony obwieszcza się mechanizm historii za nienaruszalny w swej świętości, albowiem zgodnie z nim żadna siła na świecie nie jest w stanie przeszkodzić ostatecznemu triumfowi socjalizmu; wycieńczone nędzą i beznadziejnością masy na Zachodzie od 50 lat czekają z utęsknieniem na przybycie Czerwonej Armii, której potędze, zgodnie z wyrokiem dziejów, nikt nie jest w stanie przeciwstawić. Z drugiej strony wbija się w świadomość własnych społeczeństw, że jeśli cały świat byłby już rządzony z Kremla, ale jakimś niesamowitym trafem Paragwaj i Kenia pozostałyby w szponach kapitalizmu, komunizm nie może czuć się pewnie, musi czuć się zagrożony, a jego masy muszą być trzymane w stanie mobilizacji, gotowości i praktycznego niewolnictwa. Jak w każdym paradoksie, tak i w tym tkwi cenna i istotna prawda. Komunizm osiągnął już stadium, w którym nie boi się armat. Boi się tylko idei. Wie, że żadnej wojny nie może przegrać w trybie bezwarunkowym. Ale też wie, że póki istnieje najciaśniejsze miejsce na ziemi, gdzie ludzie mogą mówić i myśleć, jego istnienie i racja istnienia są śmiertelnie zagrożone. Gdyby tym inkubatorem idei miała być już tylko Grenlandia, „Prawda” i „Izwiestia” proklamowałyby ją wrogiem nr 1, kolebką imperializmu i kapitalistycznym okrażeniem świata socjalizmu oraz oskarżyłyby ją o chęć agresji i podbicia ZSRR, a takie o nieustanne nasyłanie swoich agentów przebranych za pingwiny. Cóż dopiero zaś, gdy kolebką niezależnej myśli są Stany Zjednoczone, największa potęga świata w szczytowej fazie swego rozwoju.

Stąd — amerykańskie dywagacje na temat końca zimnej wojny w latach sześćdziesiątych są przedsięwzięciem jednostronnym i stanowią transpozycję myślenia polityczno-dyplomatycznego w sferę dialektyczno-ideologiczną, gdzie jest ono bez wartości. Pokojowa koegzystencja jest technicznym terminem określającym czasokres złagodzonych manewrów politycznych w duchu wzajemnych uprzejmości i mikroskopijnych ustępstw. Nie ma ona innych konsekwencji w Rosji niż wpuszczenie kilku amerykańskich pianistów na koncerty w Moskwie i zaproszenie kilku pisarzy, o czym wiedzą tylko członkowie związku literatów i ich rodziny.

W skali globalnej kanonem polityki amerykańskiej, od początku republiki, była i jest stara liberalna zasada: *żyć samemu i dać innym żyć jak chcą*. Bez względu na to czego sobie życzą, co o tym myślą, i co o tym piszą zwolennicy koegzystencji w Ameryce, kanonem geopolityki komunistycznej jest unicestwienie Ameryki, głównego członu kapitalistycznego okrażenia. Aby to osiągnąć nigdy nie przestali oni uczyć swoje dzieci w szkołach, że jedynym celem Ameryki jest zniszczenie ZSRR. Oraz że ogromne wynędzniałe masy amerykańskiego proletariatu, torturowane przez kapitalistów z Wall Street, nic innego nie robią tylko czekają na przybycie Czerwonej Armii — oswobodzicielki. Oba te twierdzenia pozostają w oczywistej sprzeczności, lecz komunizm wie jak mało czułe na sprzeczność są dzieci.

Cała ta problematyka wygląda nieco inaczej od strony Europy wschodniej. W przeciwieństwie do ZSRR, gdzie masy uległy najbardziej brutalnej indoktrynacji w dziejach oraz gdzie nastroje wielkomocarstwowe grają dużą rolę mimo wewnętrzniepolitycznego koszmaru, masy wschodnioeuropejskie są zdecydowanie i wyraźnie antykomunistyczne. O tym wie się w Ameryce, ale nie wie się o tym, że masy te są także frenetycznie proamerykańskie i mało kto zdaje sobie sprawę ze stopnia natężenia ich sympatii. Gdyby istniała możliwość badania opinii publicznej w Europie wschodniej, na pytanie: czego sobie pan/pani najgoręcej życzy w sprawach publicznych — jestem przekonany, że znaczna większość odpowiedziałaby: amerykańskiej okupacji. Nie ma to nic wspólnego z groteskową

przesadą: społeczeństwa te nauczyły się, że w świecie dzisiejszym tylko konsekwentna opieka możniejszego zapewnia jakieś prosperity materialne i obyczajowo-społeczne. Chodzi o to tylko kto jest tym możniejszym i przykłady Niemiec i Japonii mówią same za siebie. Na niepodległość i nieingerencje będzie zawsze czas gdy zniknie niebezpieczeństwo sowieckie — rozumuje wschodnioeuropejski prostaczek — wiadomo zaś jak szczerze i delikatnie Ameryka traktuje tych co jej zaufali. Zapas konkretnej nienawiści do komunizmu przerasta w tych krajach najśmielsze amerykańskie przypuszczenia, ale komuniści wiedzą o nim dobrze. Liczyli na to, że uda im się go rozładować, że samo życie go jakoś rozłoży, zdekomponuje. To okazało się mrzonką, nienawiść rośnie w postępie geometrycznym, i ten kto będzie umiał ją skanalizować i wykorzystać, zdobędzie kontrolę nad imperium komunistycznym w Europie.

Amerykańskie pryncypium to *make friends* za wszelką cenę, stanowiące pierwiastkową zasadę amerykańskiej polityki zagranicznej i dyplomacji, przenosi mechanicznie do polityki pewne ideały amerykańskiej codzienności, a także ujawnia sędziwy, specyficznie amerykański kompleks niższości wobec arystokratycznych tradycji europejskiej dyplomacji. W żargonie propagandowym komunizmu oskarża się nieustannie dyplomację amerykańską o brutalność, bezwzględność, okrucieństwo, wulgarną interesowność. Jest to zniewaga perfidna, chytra, podstępne oskarżenie i obciążenie przeciwnika dokładnie własnymi grzechami. Prawdziwym grzechem współczesnego amerykańskiego dyplomaty jest sentymentalizm i naiwna dbałość o manery i logikę. Uważa on ciągle uczucia i protokół za jakieś elementy w rozgrywce i ciągle myśli o tym co oni sobie pomyślą, jakby cokolwiek miało jakikolwiek wpływ na ich myślenie prócz wyłącznie realnych atutów jak siła, przewaga, konkretne działanie. W geopolitycznym wymiarze Ameryka walczy desperacko o uznanie, sympatię i symptomy uczuć Boliwijczyków i Francuzów, Egipcjan i Włochów, którzy — czując się od Amerykanów gorszymi i słabszymi — mogą ich tylko bać się i nienawidzić, jedyną satysfakcję znajdując w antyamerykańskiej pogardzie. W ciągu ostatnich 50 lat nic nie wskazuje na to, że celem aliantów Ameryki jest coś innego poza wykorzystywaniem politycznym i materialnym jej potęgi. Tymczasem żyje na świecie kilkadziesiąt milionów ludzi, którzy są fanatycznymi zwolennikami Ameryki, gotowymi na wszystko, potencjalnymi sprzymierzeńcami, upatrującymi w Ameryce ideał i ewentualnego krzyżowca, z którym kiedyś wspólnie powędrują do Ziemi Obiecanej i Świętej, aczkolwiek na razie nic na bliskość takiej krucjaty nie wskazuje. Jest to jedyny rezerwuuar entuzjastycznych bez granic aliantów, płaczących przy telewizorach gdy amerykański zawodnik przegrywa na olimpiadzie i upijających się ze szczęścia przy każdym sukcesie Ameryki. Są oni wszyscy zgodni co do tego, że Ameryka powinna zrównać Wietnam Północny z ziemią, albowiem oni wiedzą co to jest komunistyczne kłamstwo i żadne względy humanitaryzmu nie grają dla nich żadnej roli. Momentem najśłodszeo triumfu w ich życiu był Amerykanin na księżycu. Niemniej odpowiedź na pytanie czy nienawiść do komunizmu jest równoznaczna z miłością do Ameryki jest zawiła i niełatwa.

Wygląda na to, że Ameryka zmarnowała pewien kapitał, niepomrotnie większy niż wydaje się to na pierwszy rzut oka, mierząc konwencjonalnie doniosłość tej części Europy w całokształcie geopolitycznej kalkulacji. Przez pierwsze pięć lat po drugiej wojnie światowej Europa wschodnia darzyła Amerykę bezbrzeżną miłością zdradzonej kobiety, która mimo doznanej krzywdy nie jest w stanie zapomnieć uroków kochanka. W czasie wojny koreańskiej przechodnie mijając ambasady amerykańskie w stolicach wschodnioeuropejskich, spontanicznie zdejmowali czapki i kapelusze przed wywieszonym tam gwiazdzystym sztandarem; czyhający w pobliżu szpicle policji politycznej aresztowali dziennie po kilkanaście osób. W Polsce rozeszła się pogłoska, że ogłoszono pobór ochotników do walk na Korei: zgłosiły się tłumy ludzi, którzy otwarcie dyskutowali metody przechodzenia przez linię frontu do MacArthura. Gała afera okazała się prowokacją policji politycznej, która

skrupulatnie zarejestrowała mnóstwo „ochotników”, zanim ludzie zorientowali się o co chodzi. Karykaturzyści w oficjalnych organach komunistycznych zwykli rysować MacArthura jako krwawego kata o rękach ociekających krwią obwieszonego hitlerowskimi swastykami, ale zawsze w ciemnych przeciwsłonecznych okularach, co miało symbolizować amerykańizm. Był czas, gdy cała Warszawa chodziła zimą w ciemnych okularach, jako symbol solidarności z MacArthurem: sekretarze partyjni w zakładach pracy otrzymali rozkaz pozbawiania posad każdego kto nosił ciemne okulary, nawet jak mógł udowodnić zaświadczeniem lekarskim, że cierpi na zapalenie spojówek. W 1952 roku krążyła w miastach Europy wschodniej wystawa pod tytułem „Oto Ameryka!” organizowana przez wydziały propagandowe partii komunistycznych. Była ona po: myślana jako gigantyczne oskarżenie tego co obrazowo zwie się w języku dziennikarskim komunizmu „wilczymi kłami imperializmu”, albo „rynsztokiem kapitalistycznej kultury”, lecz organizatorzy jej popełnili błąd. Mianowicie wypełnili ją autentycznymi eksponatami, takimi jak pistolety dla szpiegów, przezrocza przedstawiające prześladowania Murzynów, *comicsy* z „Braci Karamazow”, plastikowe *gadgetsy* ilustrujące swoją krzykliwością wulgarność obyczajów. Skutki tej wystawy były apokaliptyczne: tłumy jakie gromadziły się przy wejściach tworzyły kolejki w których czekać trzeba było po kilka godzin, dzieci masowo uciekały z klas aby tylko choć trochę pobyć na wystawie i dopiero regularne obławy przez liczne oddziały policji doprowadzały je z powrotem na ławki szkolne. Pewien polski pisarz, który uciekł na Zachód pod koniec lat 50 tak wspomina ową wystawę: „Ludzie chcieli ujrzeć cokolwiek amerykańskiego... choćby przez chwilę popatrzyć na rzeczy zrobione za oceanem przez ludzi, którzy im nigdy nie pomogą. Jest to miłość nieszczęśliwa, miłość bez cienia wzajemności. I już chyba miłość ostatnia dla tych, którzy skazani są na niebyt w komunizmie... Nasz gest braterstwa w stosunku do Amerykanów jest śmieszny i żalorny i nie zostanie przez nich nigdy ani dostrzeżony, ani zrozumiany. Jest to jednak jedyny gest na jaki nas stać. Może dzieje się tak, że w braku obietnicy kryje się największa nadzieja. Komuniści obiecali wszystko: chleb, prace, wolność, braterstwo. Ale kto obiecuje wszystko, ten nie obiecuje naprawdę niczego”. Ludzie nosili wtedy z pasją stare amerykańskie ubrania i wojskowe płaszcze jeszcze z czasów wojny lub z paczek od krewnych z Ameryki, mimo że groziło za to wyrzucenie ze szkoły, z uniwersytetu, z pracy, a czasem nawet aresztowanie i więzienie. Ale tak właśnie wtedy kochano Amerykę.

Stygnięcie tej miłości przypada na okres zmian i reform w Europie wschodniej, gdy zwiedzeni pozorami wewnętrznego odprężenia Amerykanie ustanowili nowe wytyczne dla swej polityki w tej części imperium. Nazywało się to stawka na rewizjonizm, na tzw. komunizm narodowy, na walki frakcyjne i schizmy, czyli na erozję władzy — jak to wdzięcznie nazwał pewien amerykański *political scientist*. W niespokojnych stolicach wschodnioeuropejskich Amerykanie poczuli się nagle najbardziej zafascynowani komunizmem, a nie rzeczywistym oporem przeciw niemu. Zmiany w łonie komunizmu uznane zostały za klucz do przyszłości i za ewentualny most do porozumień. Rzecz jasna — zmiany Amerykanie pojmowali według tradycyjnych norm zachodniej filozofii politycznej, nieświadomi, że zmiany w komunizmie, o ile nawet zachodzą, mało mają wspólnego z pojęciem zmiany zaakceptowanym przez naszą logikę i naszą teorię poznania. Wytworzyła się tedy absurdalna sytuacja, w której ambasady sowiecka i amerykańska popierały w każdej stolicy wschodnioeuropejskiej tych samych ludzi, a mianowicie komunistów sprawiających wrażenie, że w sposób miarodajny wpływają na to co się w tych krajach dzieje. Rosjanie działali konsekwentnie w zgodzie z własnym interesem. Amerykanie osiągalni to tylko, że ci, którzy ich dotąd kochali, zaczęli na nich patrzeć z coraz większą nieufnością. W zamian za powolną utratę płomiennych uczuć swych naturalnych sojuszników nie uzyskiwali niczego od komunistów. Swym najwierniejszym z wiernych, którzy od Amerykanów pragnęli przede wszystkim zrozumienia tego jak jest naprawdę, Amerykanie serwowali raz po raz zużyte i

przeżute po stokroć slogany o nieugiętości, wolności, niepodległości, heroizmie. Bardziej skomplikowane uczucia i propozycje były dla komunistów, których — zdaniem ideologicznych planistów w Departamencie Stanu — należy pieścić i hołubić, albowiem rządzą i rządzić będą Bóg wie jak długo. Stosunek do wschodnioeuropejskich komunistów uległ zatem kardynalnej zmianie: nikt nie dążył już do sporu z nimi o pryncypia, choćby rudymenatne i formułowane w sposób przestarzałe sentymenatny. Na miejsce sporu pojawiła się kokieteria, subtelne uwodzieielstwo i pokusy. Komunistów zaczęto obsypywać lukratywnymi stypendiami, zaproszeniami, darmowymi pobytami w najatrakcyjniejszych miejscach Ameryki, kontaktami z najciekawszymi ludźmi. Jakby nie rozumiejąc, że każdy wyjazd ze wschodniej Europy na Zachód za dolary jest królewsko hojną premią, wspaniałym wynagrodzeniem, Amerykanie rozpoczęli akcję obdarowywania swym rogiem obfitości najgorszych spośród komunistów, tych bowiem których cyniczna zonglerka pseudononkonformizmem tak ustawiała w oczach partii, że ta pozwalała im na otwarte kontakty z Amerykanami. Doszło do tego, że na Uniwersytecie Warszawskim skorumpowani i oportunistyczni intelektualiści polscy bawili się powiedzeniami jak: „Jeśli będziesz przykładnym komunistą, pojedziesz na stypendium Forda do Ameryki”. Rzecz jasna, że społeczeństwa w komunizmie wiedzą lepiej od Amerykanów kto jest i jakie łajdactwa kryją się za fasadą, uczoności, przystępności, intelektuaBzmu, nic więc dziwnego że ożywiona działalność Amerykanów, nagradzających komunistów za ich nikczemność, oddalała od nich coraz bardziej tych wszystkich, którzy kochali ją w sposób naturalny i prosty.

Na czym polegała błędność amerykańskiej kalkulacji? Przede wszystkim na stosowaniu norm rozumowania z zakresu własnej cywilizacji. Zapraszając do siebie i fetując ludzi notorycznych z popełnianych w komunizmie nikczemności, których nazwiska często symbolizowały kłamstwa i zbrodnie okresu stalinizmu, Amerykanie działali w imię również przestarzałych pojęć idealizmu i realizmu. Ich idealizm wynikał t wiary w prawdę obiektywną: każdy Amerykanin, nawet najbardziej sceptyczny, wierzy w końcu, że prawda obiektywna ma ultymatywną siłę przekonywania i że ktoś postawiony wobec konkretnie istniejącego faktu musi fakt ten zaakceptować i zgodzić się z nim. Stąd sądzi on, że jeśli przywiezie się komunistę do Ameryki i położy się przed nim wolność sumień, dostatek robotnika, prawa obywatelskie i egalitaryzm społeczny, komunista uderzy się w pierś, rzewnie zapłacze i zawoła: „Błądziłem! Od dziś chcę być demokratą! Wrócę do swej ojczyzny i będę pracował dla wspólnych ideałów!” Tymczasem komunista, im inteligentniejszy tym bardziej uprzejmie uśmiechnie się i nie uwierzy w nic. Często zaś powie z nie wysłowioną beczelnością, że w komunizmie jest więcej wolności, równości i dobrobytu. Często też znienawidzi Amerykę jeszcze głębiej za to, że jest w niej rzeczywiście lepiej i on o tym wie. Zawsze zaś i nieuchronnie wróci do swej ojczyzny i będzie plwał na Amerykę z podwójną mocą, zaopatrzony za amerykańskie pieniądze w nowe tematy do plwania, albowiem to jest główny powód dla którego tu przyjechał zgodnie z pozwoleniem partii, z czego wysyłający go do Ameryki amerykańscy dyplomaci nie bardzo sobie zdają sprawę.

A motywacja realistyczna wygląda tak: zapraszamy i płacimy za podróż do Ameryki starego oportunisty i krętacza politycznego. Służy on komunistom, o tym wiemy, lecz ma wpływy i poważanie swych partyjnych pracodawców. Z natury jest skłonny do różnych machinacji, może więc coś wynegocjujemy, trafimy przez niego wyżej i do bardziej miarodajnych ośrodków władzy, damy dowód naszej przystępności, co może ich nastawić przychylnie do nas. Zapraszamy młodych, rzutkich, zręcznych konformistów. Nigdy nie wiadomo co zrobią gdy dojdą do władzy. Może kontakty z nami utorują nam drogę do nich wtedy gdy już władzę osiągną. Zapraszamy młodych, twardych, bezwzględnych i nieprzekupnych. Może nasza potęga czyni na nich takie wrażenie, że gdy dojdą do władzy zechcą czegoś od nas i skłonni będą dać coś w zamian. Z punktu widzenia reguł klasycznej

dyplomacji i polityki zagranicznej oba rozumowania są prawidłowe. Ale w krajach komunistycznych ich realizacja zmienia się w farsę. W ZSRR prawie nikt poza specjalnie desygnowanymi do tego ludźmi nie rozmawia z Amerykanami. W Europie wschodniej rozmawiają z nimi wszyscy. Wielu rozmawia szczerze, ale równie wielu rozmawia z pozycji własnego udziału w niekończącej się maskaradzie serwilizmu i sprzedajności, wielu jest tylko sztucznie umakijowanych na konflikt sumień epoki, na rewizjonizm, nonkonformizm, komunizm tzw. narodowy. Społeczeństwo jest dobrze zorientowane kto jest kto, ale Amerykanie nie, nic więc dziwnego, że skłonni są do brania za nonkonformizm i sprzeciw coś co jest tylko chytrą kombinacją. Amerykańska obsesja tymi, którzy mają wpływy czyni Amerykanów jeszcze bardziej bezbronniymi, bowiem trudno im wytłumaczyć, że skoro wpływ ma zupełnie inny sens w komunizmie niż w Ameryce i ci, którzy wydają się Amerykanom wpływowi są najczęściej zwykłymi szalbierzami, ci zaś, którzy pozornie nic nie znaczą, liczą się stokroć więcej. Mało kto w komunistycznej Europie wschodniej wierzy jeszcze w komunizm — poza samym wierzchołkiem władzy, który nigdy się z Amerykanami nie będzie wdawał w nieoficjalne stosunki — ale mnóstwo ludzi w komunizmie żyje z tego, że udaje że wierzy. Dla tych ludzi amerykańskie stypendium czy wyjazd do Ameryki jest surrealistyczną nagrodą za całowyciową walkę z Ameryką i jej ideałami, albowiem Amerykanie, uwiedzeni najczęściej swobodą ich konwersacji, wierzą naiwnie w ich pseudoprzełomy i pseudomakiawelizmy. Czołowy dziennikarz komunistyczny w rozmowie z ambasadorem amerykańskim nie zostawia na komunizmie i na swoich mocodawcach suchej nitki. Po czym idzie do redakcji i pisze artykuł odsadzający Amerykę od czci i wiary, jako niezłomny apologeta kłamstw, z których naśmiewał się szyderczo godzinę temu. A przy ponownym spotkaniu z ambasadorem daje mu dyskretnie do zrozumienia, że on musi, że jest w szponach terroru, ale mimo to ambasador nie powinien się zrażać, lecz powinien wierzyć, że gdy nadejdzie odpowiedni czas to tenże dziennikarz odegra odpowiednią rolę przy kształtowaniu nowych stosunków z Amerykanami. W zamian za to ambasador i jego współpracownicy organizuje dziennikarzowi luksusowy podróż do Ameryki, gdzie dziennikarz — oszczędzając zaciekle na dietach dziennych — zakupuje sobie nowe buty i nowe ubrania, które zapewnią mu w domu opinię dandysa na długie lata, a także świadczyć będą o jego znakomitych stosunkach z Amerykanami, co pomoże mu w oczach jego rodaków, którzy może sobie pomyślą, że nie jest on taki zły skoro Amerykanie go goszczą i poważają. O czym ambasador i jego ludzie najczęściej nie wiedzą, to to że cyniczno-drwiący, błyskotliwy dziennikarz nie znaczy nic, jego pozycja jest wyłącznie pozorem i blichтром, a sugerując ambasadorowi, że coś może, że prowadzi jakąś grę, że warto jest z nim grać — po prosty kłamie.

Ostatnie 10 lat wyprodukowało w Europie wschodniej kastę bezwzględnych i okrutnych arrywistów komunistycznych przebranych we włoskie buty, francuskie kołnierzyki i angielskie tweedy. Ich rynsztunek bojowy do propagowania kłamstw i uprawiania politycznych afer uległ podobnemu kamuflażowi. Zachód, głównie Amerykanie, upatruje w nich awangardę postępu, widzi w nich lepszych, ewoluujących ku lepszym formom i upragnionym przez Zachód reformom przedstawicieli władzy. W istocie są oni tylko groźniejszym wcieleniem tej samej totalistycznej zasady widzenia świata i rządzenia światem. Usiłują pilnie wypracować nowe, niebezpieczniejsze formy i zmodyfikować treści dla podtrzymania chylącej się ku upadkowi doktryny. Ich celem jest ulepszenie funkcjonowania mechanizmu, lecz nie zmiana jego kierunku działania — ma on nadal działać przeciw człowiekowi, prawdzie i wolności, tylko w mniej brutalny sposób. Ich pojawienie się Amerykanie powitali jako oznakę zmiany na lepsze; zamiast zwalczać ich frontalnie i pełnym rozpoznaniem istoty zjawiska Amerykanie postanowili ich kupić. Ośmieszyło to Amerykanów w oczach wszystkich, zarówno tych, których usiłowali kupić, jak i tych, którzy ich dotąd kochali. Uwielbienie dla ciemnych, kanalii i oportunistów, jakie demonstrowali

Amerykanie na każdym kroku, musiało się w końcu wydać ludziom uczciwym objawem pogardy dla nich samych. Trudno jest człowiekowi uczciwemu pozbyć się uczucia rozgoryczenia, gdy widzi swych prześladowców szanowanych i nagradzanych przez tych, którzy są jego obiektywnymi sprzymierzeńcami; pojawia się pytanie: czy warto upierać się przy jakichś wartościach moralnych, gdy nagrodę w skali społecznej otrzymuje ten kto je gwałcił i gwałci nadal, tylko w sposób bardziej skomplikowany i przemyślny. W ostatecznym rozrachunku Amerykanie jakby mówili ludziom w komunizmie: „Chcemy rozmawiać z naszymi wrogami Chcemy się z nimi porozumieć. Wszystko wskazuje na to (buty, nowe nomenklatury, wycieczki zagraniczne, tweedy itd.), że chcą oni aby ludziom było lepiej To nam wystarczy. I żyjmy: my w wolności, wy w ulepszonym, strawnym komunizmie.

Tak więc Amerykanie zapominają błogo o tym, że komunizm ma swą eschatologię. Spór o świat nie skończy się przez zezwolenie na Hemingwaya, *mini-skirt* i *rock music*. Karierowicze przychodzą i odchodzą, odchylenia przemijają, przeminął trockizm i narodowy komunizm, schizmy i odstępstwa, pozostaje komunizm i jego integralni wrogowie. I ci się nie zmieniają. Są najtrwalszą opoką biernego oporu — czyli jedynej siły zmuszającej komunizm” do ustępstw Flirtując z wrogami wrogów komunizmu Amerykanie sądzą, że uda im się podtrzymać dobre stosunki z tymi ostatnimi powołując się na stęchlą papkę dawno nieważnych haseł: że Polacy są wiernymi katolikami i miłują wolność, że Węgrzy są narodem Kossutha i Petőfięgo, że Czesi są szczerymi demokratami. Tymczasem Czesi, Polacy, Węgrzy toczą walkę ze współczesnym komunizmem, w której wszelkie deklamacje na temat ułanów, narodowego honoru i odziedziczonych tradycji brzmią jak szczebiot niedorozwiniętego. Jest to walka, której złożoności i głębi nic rozumie świat spoza komunizmu, o której nikt niczego za dobrze nie wie w samym komunizmie, która stanowi zjawisko nowe i mało zbadane. Wie się tylko o tym, że ogromne masy ludzkie są w nią zaangażowane i że masy te nienawidzą komunizmu.

Amerykanie przetrwonili zapas miłości do siebie samych z okresu stalinowskiego, nie potrafili zaś nawiązać ani kontaktu, ani dialogu z nowymi fenomenami antykomunizmu w łonie społeczeństw rządzonych przez komunistów, z tymi wszystkim tam, którzy są antykomunistami, ale nic nie mają wspólnego z tradycjami kawalerii i bohaterstwa z przeszłości. Zachodzi pytanie: czy owa fala antykomunizmu ostatniego rzutu jest adekwatna z proamerykanizmem? Odpowiedź ta nie jest trudna — ostatnie dziesięć lat poronionych manewrów i zwykłych partactw opisanych powyżej, sprawiły że autorytet Ameryki upadł w tych krajach. O miłości, jak za czasów wojny koreańskiej, nie może być mowy. Można powiedzieć wyraźnie: Ameryki się tam nie lubi. Szerokie masy nienawidzących komunizmu pragną odwetów, rewanżów pod różnymi postaciami i pozorami. Pragną, aby Amerykanie postępowali tak jak znienawidzeni komuniści i Rosjanie, by nagradzali walor i cnotę i karali zło i oportunistów. Pragną mieć uczucie, że ktoś za nimi stoi, tak jak Rosjanie stoją za komunistami w krajach kapitalistycznych. Jeśli nie może być odwetu bezpośredniego, pod postacią krucjaty, niech będą nieskończone ilości małych odwetów pośrednich: w sporcie i w obyczajach, w okazywaniu pogardy dla ludzi, którzy na nią zasługują. Tymczasem Amerykanie robią coś wręcz przeciwnego, traktują Rosjan jak równych w sporcie, mimo że wszyscy wiedzą, iż Rosjanie szachrują. Zapraszają do siebie i honorują poetów, o których wszyscy wiedzą, że są sprzedawczykami i posłusznymi sługalcami komunistycznych reżymów.

Amerykanów ratuje Ameryka. To co zepsuli w Europie wschodniej własną nieudolnością naprawione zostaje tym co dzieje się w Ameryce. Ci, którzy nienawidzą komunizmu i nie lubią Ameryki, zapatrzeni są jednak w Amerykę jako w obiektywny ideał. Wielbią ją za to co się w niej dzieje, co robi ona u siebie. To każe im marzyć o amerykańskiej okupacji — wierzą oni niezłomnie, że w kraju przez siebie okupowanym Amerykanie zainstalowaliby ten sam rodzaj wolności jaki panuje w Ameryce, tę samą logikę i efektywność życia społecznego,

które czynią z Ameryki kraj możliwości rozwoju dla każdego. Dla ogromnych mas w komunizmie Ameryka stanowi niedościgły wzorzec polityczny i ekonomiczny, symbol słusznie i z pożytkiem przeżywanego życia. Ale i z tą proamerykańskością Amerykanie nie umieli się porozumieć. Nie umieli znaleźć właściwej drogi do tego jak bezkompromisowo, zręcznie, skutecznie i wydajnie poprzeć prawdziwych wrogów komunizmu, tych którzy na to najbardziej zasługują.

Mimo tych niedołęstw i błędów wszystko jednak wskazuje na to, że niewielu żołnierzy wschodnioeuropejskich będzie walczyło przeciw Amerykanom, gdyby kiedykolwiek zdarzyła się tak ponura rzecz jak wojna między dwoma światami.

CO TO JEST SŁOWO

Słowo w komunizmie, w sferze publicznej służy przede wszystkim ukrywaniu prawdy, następnie do porozumiewania się ludzi między sobą. W sferze prywatnej służy w równej mierze porozumiewaniu się jak i ukrywaniu myśli.

Gdy głowa państwa komunistycznego przemawia, jego poddani wiedzę doskonale jak bardzo kłamię. Wiedzę również, że kłamstwo posunięte tak daleko, mimo pozorów idiotyzmu, ma swoją konkretną funkcję polityczną. Wiedzą też, że prasa, radio i telewizja umocni jeszcze nazajutrz kłamstwo w kłamstwie i nonsens w nonsense. Wiedzą zresztą, że w pewien czas później nastąpi gruntowne dementi ogłaszanych niezłomnie niezachwianych twierdzeń, niektóre zaś z nich zostaną surowo potępione i napiętnowane jako kłamstwa i nonsensy. Na odwołanie i potępienie trzeba tylko umieć czekać. Jak długo? Czasem nawet wiele lat, lecz po jakimś czasie można być zupełnie pewnym, że ono nastąpi.

Kłamstwo w komunizmie jest zawsze monstrualne, wzbudzające rozbawienie w człowieku Zachodu. Wyraża ono jednak sumiennie przemyślany instrumentalizm polityczny. Jeśli komunistyczny dziennikarz napisze, iż w Ameryce je się dzieci na śniadanie, to o tym, że tak nie jest na pewno wie tylko jego mocodawca i nadzorca, on sam i jeszcze kilka tysięcy ludzi, którzy byli w Ameryce. Cała ogromna masa czytelników wie również, że to bzdura, ale nie wie o tym na pewno, i nie może oprzeć się o żadne autorytety, bowiem nawet list do redakcji w tej sprawie podający nieśmiało w wątpliwość tę informację, nie zostanie nigdy wydrukowany. A po wielu latach codziennego czytania w gazecie o amerykańskich śniadaniach z niemowląt, człowiek, w którego naturze leży skłonność do wahania, mówi sobie: „Coś musi być na rzeczy. Ostatecznie — co można wiedzieć? Piszą o tym i piszą, coś musi w tym być”. I o to tylko komunistom chodzi. Jest to ich jedyna szansa w społeczeństwach gdzie panuje powszechne przekonanie, że wszystko — ale to absolutnie wszystko — co wydrukowane w komunistycznej gazecie, jest kłamstwem. Oczywiście, przekonanie to jest niesłuszne i zdarza się, że informacja o tym, że w kinie „Chwała Rewolucji” idzie film pt. „Jutrzeńka komunizmu”, odpowiada prawdzie Słabością tej prasy jest to jednak, że najczęściej i ta wiadomość okazuje się nieprawdziwa Kino albo nie zostało jeszcze wykończony, aczkolwiek według planu oddane miało być do użytku w zeszłym roku, albo film nazywa się „Zmierzch kapitalizmu”, o czym dyrekcja kina, sądząc słusznie, że tytuł jest bez większego znaczenia, nie podała do prasy od przeszło miesiąca. Trudno jest sprawdzić także, ile tysięcy Arabów wymordowali wczoraj po południu izraelscy imperialiści, ale nietrudno jest odnaleźć w dziełach zbiorowych Lenina słynne zdanie, że zadaniem prasy nie jest bynajmniej informowanie mas, lecz kształtowanie ich świadomości i że celem najwyższym słowa drukowanego w gazecie jest transmisja dyrektyw partii do mas. Komuniści powinni być w jakiś sposób dumni, że w rządzonych przez nich społeczeństwach wiara w słowa Lenina zakorzeniona jest głęboko i trwale.

Ostateczna korupcja słowa w komunizmie zaczęła się dawno wraz z Leninem, największym deprawatorem semantyki w dziejach ludzkości. Osiągnęła ona szczyty cynizmu za Stalina, gdy zdanie „walka z ‘dialektycznie fałszywym poglądem’” oznaczała skazanie kilkudziesięciu tysięcy ludzi na dożywotni obóz koncentracyjny, a „korektura historycznego błędu” wymordowanie w drodze egzekucji następnych kilkudziesięciu tysięcy. „Odrabianie historycznych zaległości” oznaczało wieloletnie kolejki za chlebem, a „pokój zwycięży wojnę” — komunistyczne czołgi traktujące południową Koreę, Tybet i Czechosłowację. Zwyrodnienie słowa jako symbolu pojęcia zostało już bezbłędnie odnotowane przez Orwella, interesująca jest wszakże nonszalancka swoboda w przeinaczaniu zespołów pojęć. Każda podwyżka cen żywności w krajach komunistycznych podawana jest w gazetach pod wielkimi tytułami: „Epokowe zwycięstwo ludzi pracy!”, obok zaś: „Obniżka cen na szyny tramwajowe,

windy i lokomotywy!” a dalej, mniejszymi literami: „Przejsiowa podwyżka cen na masło i mięso” Szaremu człowiekowi trudno jest się cieszyć z potanienia wind, nikt bowiem sobie nie kupuje codziennie ani windy, ani lokomotywy, a jeszcze trudniej jest ugryźć szynę na śniadanie. Wie on także, że przymiotnik przejściowa jest bez znaczenia, bowiem od czasu pierwszej przechadzki Lenina po Kremlu nic z żywności nigdy w imperium komunistycznym nie potaniało, a wszystko zawsze szło w górę. Lecz szary człowiek może sobie pomyśleć, zwłaszcza jeśli nie obce mu są prawa ekonomii, że obniżka cen szyn może wpłynąć na obniżkę biletów w tramwaju. Wkrótce okazuje się, że ceny biletów tramwajowych zależą od cen masła i idą w górę, natomiast potanienie lokomotyw wpływa widocznie na cenę biletów do kina, które ulegają lekkiej obniżce. Ale w kinie panuje słowo, literatura, agitacja, w kinie człowiek dowiaduje się o ile lepiej żyje mu się z każdym dniem i ku jak wspaniałej przyszłości zmierza — i ten cykl logiczny, uwikłany we własną idiosynkrazję, nie ma końca.

Wybory, w których ogromna, nie nazwana i nigdy nie określona większość ludzi jest przeciw rządowi i ustrojowi, nazajutrz w gazetach widnieją jako 99,89% głosujących za rządem i ustrojem; stąd, jeśli raz komuniści podali, że głosowało za nimi w Polsce 99,87% — cała Polska szalała z radości, że komuniści przegrali wybory Sowieckie linie lotnicze, obsługujące także świat zachodni, podały kiedyś z dumą informację, że każdy ich pilot przechodzi badanie lekarskie przed lotem. Zadziwiający spłot prawdy z nieprawdą wiąże się w tę wiadomość. Sowieccy piloci istotnie stają przed lekarzem przed każdym lotem, ale w celu sprawdzenia, czy krew ich nie zawiera zbyt obfitej ilości alkoholu. Wszystko się zatem zgadza: jest troska o bezpieczeństwo pasażerów, jest badanie, jest ludzki stosunek do pilota. W obrazie całości brak tylko wódki, owego psychofizycznego czynnika o posmaku moralnym.

Na straży słowa uwięzionego, okaleczonego i pohańbionego stoi instytucja zwana cenzurą. Ludzie spoza komunizmu wyobrażają ją sobie jako urząd działający wyłącznie w oparciu o ustalone sztywno zasady, zgodnie z biurokratycznym mechanizmem nakazów ze strony kierownictwa partii i rządu. Co prawda, istnieje urząd zwany urzędem cenzury, jest on jednak tylko członem procesu, który dokonuje się nieustająco w świadomości ludzi związanych z produkcją i rozprzestrzenianiem słowa w komunizmie. W istocie akt ocenzurowania myśli i słów zgodnie z wymogami polityki i propagandy zaczyna się na biurku redaktora gazety czy wydawnictwa. Artykuł czy książka poddane są skrupulatnemu wglądowi i coś zostaje z nich wycięte, a coś dodane, autor zaś albo jest w ogóle nie pytany o zgodę na zmiany, albo ma do wyboru zrezygnowanie z artykułu lub książki w ogóle. Jeśli książka czy artykuł będą nieskazitelne z punktu widzenia czystości idei w nich zawartych, coś zawsze zostanie dodane lub ujęte, albowiem redaktor obawia się, że wyższa instancja, tym razem partyjna, uzna brak ingerencji za dowód apatii, niedbalstwa lub głupoty, co może nadwerężyć pozycję redaktora i jego pensję. Stąd, jeśli bezgranicznie oddany pisarz czy dziennikarz napisał, że komunizm jest nadzieją ludów, redaktor doda, że jest nadzieją i miłością ludów — o ile naprawdę dba o swoją posadę. Kontroler z ramienia partii, czytający ten sam tekst, doda choćby dwa przymiotniki: promienna do nadziei i gorąca do miłości, albowiem i on ma zwierzchników, od których zależy jego opinia czujnego i niezawodnego kontrolera, od której z kolei zależy jego dalsza kariera. Wreszcie tekst idzie do urzędu cenzury, bez której stempla nic w komunizmie nie może być wydrukowane, nawet wizytówka zawierająca tylko czyjeś imię i nazwisko. Urzędnik cenzury nie ma prawa niczego dodać do tekstu i rzadko kiedy sam coś usuwa, ale po przeczytaniu cytowanego zdania najprawdopodobniej zatelefonuje do redaktora bądź kontrolera i powie: „Słuchajcie towarzyszu, nam nie bardzo podoba się słowo nadzieja. Oznacza ono jakieś odwleknięcie na przyszłość uczuć, które są już, teraz i powinny być z właściwą stanowczością podkreślane, zwłaszcza w dobie ofensywy ideologicznej reakcji...” Ponieważ ofensywa reakcji trwa od początku komunizmu i nigdy się nie skończy, a urzędnik

cenzury też pilnuje swej posady, więc tekst wraca na biurko pisarza czy dziennikarza, którego zadaniem będzie wyrazić się właściwiej.

Wędrowiec jeśli przypadkiem trafia do stolicy komunistycznej w dniu jakiegoś święta państwowego, widzi na ulicach tłumy w radosnym pochodzie, wznoszące entuzjastyczne okrzyki na cześć komunizmu i jego przywódców. Rzadko kiedy kojarzy on ten entuzjazm z szyderstwem i najczęściej nie umie dostrzec pod powłoką poklasku rozpaczliwej drwiny. Słowa są w tym wypadku funkcją modulacji i natężenia głosów, nabierają odcieni niezwyklej dwuznaczności, w ramach których okrzyk „Niech żyje!” staje się wyraźną obelgą w uszach tłumu. Umiejętność szyfrowania znaczeń, jedyna obrona gnębionych, nie daje cudzoziemcowi żadnej szansy na zrozumienie co tu się właściwie dzieje. Gdy ktoś przemawia, używając jak najściślej oficjalnego żargonu partyjnego, cudzoziemiec skłonny jest sądzić, że przemawiający jest za. Tymczasem jest on właśnie przeciw i jego słuchacze rozumieją go doskonale. Wiedzą oni, że przemawiać przeciw nie można i nie warto, że grozi za to więzienie albo co najmniej utrata środków do życia. Otwarte wystąpienie przeciw uważane jest za rzecz niepoważną, za wygłup, za tanie efekciarstwo bądź prostacką gamoniowatość. Należy przemawiać tak za, ażeby każdy wiedział, że przemawiający potępia wszystko od a do z, i że on wie, że oni o tym wiedzą.

Cudzoziemiec na ogół patrzy na komunizm z pozycji człowieka, który po wszystkim wróci do domu, wobec czego pozwolić sobie może na bezstronność. Komunistom właśnie nie chodzi o nic innego tylko o jego bezstronność — jeśli jest on dziennikarzem, dyplomata, intelektualistą, obserwatorem. Zawsze są w stanie pokazać mu rzeczy i fakty nie z punktu widzenia jak jest naprawdę, lecz jak może, powinno być, lub ewentualnie kiedyś będzie. To budzi sympatię i uruchamia bezstronną przenikliwość cudzoziemca w taki właśnie sposób jak tego sobie życzą komuniści. Cudzoziemiec zrozumieć więc nie może dlaczego jego bezstronność i obiektywizm wzbudzają tyle zaciętego oporu wśród niekomunistów w komunizmie. Stąd przygniatająca większość sprawozdań stamtąd, pisanych na Zachodzie przez bezstronnych i obiektywnych obserwatorów, najczęściej ludzi uczciwych i inteligentnych, jest w oczach ludzi żyjących w komunizmie prymitywnym prostactwem. Najczęściej budzi w nich bezsilną złość i pogłębia uczucia rozpaczliwej beznadziejności.

JAK UMRZEĆ

Nikt nigdzie na świecie nie ma złudzeń co do starości. Wszyscy wiedzą, że starość to ból nieuleczalny i zapomnienie i smutek. W demokracjach humanizm współczesny nieustająco drze serca wyobrażeniami nieszczęsnej, pustej starości w literaturze i na ekranie. Ponieważ w socjalizmie nie ma miejsca na ból, smutek i nieszczęście, przeto zgodnie z oficjalnym nakazem starość musi tam być szczęśliwa. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością, albowiem starość tam jest jeszcze bardziej ponura niż gdziekolwiek indziej. Przeciętna emerytura miesięczna wystarcza tam na kilka dni nędznego życia — co robić z resztą miesiąca tego nie wie nikt z państwem i partią włącznie. Toteż twarz starca w telewizji, czy głos staruszki w radio, zapewniających o swym słonecznym życiu i szczęściu, jakie im daje socjalizm, budzi już tylko zażenowanie.

Śmierć jest problemem politycznym i skomplikowanym. Najmniejszy błąd w umieraniu obraca się przeciw tym, którzy są umierającemu drodzy i bliscy. Umierać należy tak, aby nie być dla nich ciężarem. Dotyczy to przede wszystkim ludzi wybitnych, których życie poświęcone było pracy umysłu, ideom, twórczości, śmierć wydaje ich po raz ostatni na pastwę komunistów. Czemukolwiek bowiem nie poświęciłiby swego wysiłku myśli, swych talentów, swych uczuć — komuniści przywłaszczą to sobie i ogłoszą ich usługowymi i gorliwymi poplecznikami komunizmu. Zmarli bronić się nie mogą, ich rodziny i ich bliscy boją się bronić ich mienia i ich dorobku. W końcu zresztą są tylko żyjącymi ludźmi, potrzebują posad i mieszkań, dlaczego więc nie obrócić w korzyść coś, co inaczej może być tylko nieszczęściem. Raz jeszcze cenzura wkracza w życie, a raczej w śmierć człowieka. Nekrolog musi uzyskać pieczęć cenzury zanim ukaże się w druku. W licznych wypadkach urzędnik cenzury uprzejmie lecz stanowczo doradza co ma być wymienione w zasługach nieboszczyka, a co nie.

Pogrzeb na skalę narodową jest odczynnikiem reakcji i nastrojów! Największych mężów komunizmu chowano w obecności bezmiernych tłumów, o których gazety urzędowo pisały z uniesieniem jako o najwyższym dowodzie umiłowania ich przez masy. Naoczni świadkowie natomiast stwierdzają, że elementarnym uczuciem wyczuwalnym jasno dla każdego w tłumie była błoga radość. Wesolutko pijani ludzie pytali się nieustająco i dyskretnie: „Co jest z szanownym ciałem?” — na co inni odpowiadali z lubością: „Wszystko w porządku. Już stygnie”. Zdarza się jednak, że umiera pomniejsza gwiazda reżymu i aparat propagandowy chce mieć swój należny mu udział w dialektyce śmierci. Zwalnia się tedy z pracy urzędy i szkoły — i ulice znów pełne są zadowolonych urzędników i rozradowanych dzieci. A gazety nazajutrz donoszą o pogrążonych w żałobie tłumach ludności, odprowadzających luminarza na zasłużony spoczynek. Piszą o miłości ludu dla niego i jego wiary. W ten oto i inny sposób śmierć staje się cennym i docenionym sojusznikiem komunizmu.

ZAKOŃCZENIE

W Ameryce pisze się mnóstwo książek o tym jak źle jest w stanach zjednoczonych. To dobrze, że się pisze, stanowią one wielką gwarancję, że bez względu na to jak jest dobrze, kiedyś będzie jeszcze lepiej.

W komunizmie pisze się również mnóstwo książek o tym jak źle jest w Ameryce. I jeszcze więcej książek o tym jak cudownie jest w komunizmie. Co sprawia, że równowaga zostaje zachwiana. Postanowiłem więc wziąć w tym udział i stać ta książka.

Książka ta, rzecz jasna, uznana być może za zbiór rad praktycznych. Zawiera ona po temu dostateczną ilość ogólników, w które ja, autor, głęboko wierzę, co jeśli nawet nie przesądza o ich słuszności, czyni je jakoś obowiązujące. Pojawia się więc pytanie: dla kogo książka ta została napisana?

Oczywiście, jest ona dla ludzi spoza komunizmu. Być może, iż wysiłek jej napisania był wysiłkiem bezcelowym, albowiem wydaje mi się, że nie można zrozumieć tego co jest tam, nie żyjąc tam. Życie tam polega w jakiś sposób na niemożliwości życia. Mimo to żyje tam miliard ludzi, co wskazuje na to choćby, że ten rodzaj życia może zaistnieć gdzie indziej. Zawsze bawiły mnie dywagacje komunistów spoza komunizmu i ich sympatyków na temat jak oni zrobią komunizm lepiej. Moim zdaniem są to romantyczne mrzonki i komunizm wszędzie będzie taki sam, mimo odmiennych, zależnych od klimatu i tradycji makijażów. Wirus komunizmu jest jeden, tylko chemizm różnych organizmów narodowych może być różny. Znaczy to tylko, że będą niejednakowo reagowały na chorobę, inaczej ją w sobie zwalczały, produkowały inne antytoksyny. Ale zużywanie i niszczenie żywej tkanki przez wirus będzie zawsze takie samo i ostateczny rezultat zawsze taki sam. Napisałem o tym jak żyje się w komunizmie już ustanowionym i sprawdzonym przez miliard ludzi. Wierzę, że tak żyć się będzie w każdym modelu polityczno—społecznym o jaki walczy dziś totalitarna lewica.

Nie napisałem więc tej książki dla Czechów, Polaków czy Ukraińców, bo oni już wiedzą jak żyć w komunizmie. Napisałem ją dla ludzi demokratycznego Zachodu, którzy spotykając w swych krajach uciekinierów z komunizmu, zastanawiają się nad ich gorzką, zapiekłą, niewyraźną i nieartykułowaną, ale też i pełną mądrości nienawiścią do komunizmu. Uciekinierzy, pytani dlaczego uciekli, mają tak wiele do powiedzenia, że nie potrafią dać prostej, jasnej i zwięzłej odpowiedzi. Wierzę głęboko i pokornie, że to borykanie się aby przekazać drugiemu człowiekowi coś o czym wie się tak dobrze, że aż nie sposób tego wyrazić, stanowi potężną siłę pchającą ludzkość do przodu. Siłę dzięki której ludzkość potrafi czasem odróżnić dobro od zła.

Warszawa — Nowy Jork — Peterborough

1964

1970

TEGO SAMEGO AUTORA

Hotel Ansgar. Opowiadania, Gustowski, Poznań 1948
Zły (pow.), „Czytelnik”, Warszawa 1956 (5 wydań)
Gorzki smak czekolady Lucullus (nowele), „Czytelnik”, Warszawa 1957
U brzegów jazzu (eseje), Wyd. Muzyczne, Kraków 1957
Wędrowki i myśli porucznika Stukułki (pow.), „Kurier Polski”, Warszawa 1957
Filip (pow.), Wydawnictwo Literackie, Kraków 1961
Życie towarzyskie i uczuciowe (pow.), Instytut Literacki, Paryż 1967
Cywilizacja komunizmu (szkice), Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1972
Siedem dalekich rejsów (pow.), Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1975
Tu w Ameryce, czyli dobre rady dla Polaków (esej), Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1981
Dziennik 1954, Polonia Book Fund, Londyn 1980

LEOPOLD TYRMAND ur. 16.5.1920 w Warszawie, w czasie wojny wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, później więzień obozu koncentracyjnego. Po wojnie, do 1953 r., współpracował z szeregiem czasopism. Wyjechał z Polski w 1966 r. i po krótkim pobycie we Francji osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, gdzie współpracował ze znakomitym pismem New Yorker i wykładał na nowojorskich uniwersytetach.

Był autorem m.in.: Złego, U brzegów jazzu, Filipa, Dziennika 1954, Życia towarzyskiego i uczuciowego oraz — wydanych przez Polską Fundację Kulturalną: Cywilizacja komunizmu (1972, II wyd. 1992), Siedem dalekich rejsów (1975, II wyd. 1991) i Tu w Ameryce, czyli dobre rady dla Polaków (1981). Laureat nagrody londyńskich Wiadomości: 1967 — za Życie towarzyskie i uczuciowe; 1973 — za artykuł „Polacy przegrywają Amerykę”.

Zmarł 19.3.1985 w Miami na Florydzie.